

Rafał Dębski

Łzy Nemezis

I

Z daleka mogło się wydawać, że na szczycie pagórka przysiadł stwór nie z tego świata. Unoszone porywistymi podmuchami wiatru poły płaszcz sprawiała wrażenie, jakby baśniowy uskrzydłony jeździec lada chwila miał wzlecieć w powietrze. Z wielkim napięciem wpatrywał się w dal, gdzie niebo lśniło niesamowitym sinym blaskiem. Poprawił arkan przerzucony przez łęk siodła, przyłożył do czoła dłoń, by choć trochę uchronić oczy przed kłującymi promieniami słońca. Spod zawoju wymykały się długie szpakowate włosy.

- Allah - mruknął. - Jeśli nadciągnie wielka burza, nie wiem jak ją przetrwamy na tej pustyni. Nigdzie osłony przed wiatrem i piaskiem. Dwa krzaki i kilka kamieni - wygładził fałdy burnusa. Spomiędzy zmarszczek materiału spłynęły strużki żółtobrunatnego pyłu.

- Widzisz coś, Dżamil? - zawołał czekający u stóp wzgórza człowiek. Koń tańczył pod nim niecierpliwie. - Pospiesz się. Sułtan czeka na wiadomości!

- Kończymy poszukiwania. Burza idzie! Bierz ludzi, jedź i powiedz w obozie, żeby się przygotowali. Płachty namiotów wkopać jak najgłębiej... Wyznaczyć spośród przybocznych takich, którzy osłonią sułtana, jak trzeba to własnymi ciałami! Mają być niczym mur! Zresztą sam wiesz, co robić. Ja jeszcze zostanę i popatrzę. Dziwne zaiste jest to, co niosą ku nam demony piasków! Patrz, jak się zwierzęta płoszą. Jedź już!

- A ty? Też powinieneś wracać.

- Jeszcze poczekam. Może wreszcie nadciągnie Musa z oddziałem. Zresztą wyjadę o jaką milę w przód poszukać śladów, nie obawiaj się, zdążę przed burzą. Ruszaj, Osman!

Rzucił krótkie spojrzenie za oddalającym się jeźdźcem, powolnym, nieświadomym ruchem sięgnął po bukłak, podniósł do go ust... nagle drgnął, rzucił okiem na wypełniony do połowy worek, potem przywiązał z powrotem do pasa. - Trzeba oszczędzać, niebawem możemy mieć za mało wody - poklepał konia po szyi. - Cicho, Antares, nie kręć się.

Znowu popatrzył na łunę nad horyzontem. Zaczęła nabierać żywszych kolorów, stawała się purpurowa. Przeżył w swym życiu wiele burz piaskowych, jednakże takiej barwy nieba jeszcze nie widział. - To wygląda groźniej niż wtedy, gdy księżyc rudzieje przed nawałnicą - rzekł do siebie. - Zupełnie jakby gdzieś tam płonęło wielkie miasto, a wszak przed nami nie ma nawet najmniejszej osady.

Rozejrzał się. Miał wrażenie, iż luna zaczyna wyciągać ku niemu upiorne macki. Poczł niepokój. Coś niesamowitego było w tym rozległym blasku, coś, co sprawiało wrażenie, jakby sam szejtan postanowił przybyć wraz z burzą. Wstrząsnął się. Cóż za myśli

przychodzą mu do głowy! To zapewne dlatego, że dziś musi zadbać o bezpieczeństwo sułtana i jego ukochanego brata. O wiele łatwiej przetrwać burzę, kiedy nie trzeba się troszczyć o innych. O wiele łatwiej żegnać się z życiem, kiedy wraz z tobą nie ginie nadzieja na ocalenie przed przemocą najeźdźców.

Wierzchowiec zatańczył pod nim, spłoszony basowym pomrukiem odległego grzmotu. Dżamil ścisnął zwierzę mocniej kolanami. - Naprzód, Antares, skoro mamy zdążyć, zanim się zacznie, nie ma na co czekać... Co mogło się stać, że tak doświadczony żołnierz jak Musa zaginął wśród piasków?

Jechał, śledząc uważnie ślady na piasku. Trop jaszczurki: zygzak pozostawiony przez umykającego przed niebezpieczeństwem albo gorącym wężą... Ani śladu po licznym bądź co bądź zwiadowczym oddziale. Co chwila rzucał okiem w kierunku nadciągającego żywiołu. Że też coś takiego musiało nadejść akurat teraz. Magle potrząsnął głową, a jego oczy rozszerzyły się niedowierzaniem. Zeskoczył z konia, pochylił nad dziwnym śladem, wpatrując się dłuższy czas w obrys, który na piachu pozostawiła jakaś istota... Co to może być?

Niespodziewane przypomnienie: raz w życiu widział podobny odcisk łapy, bardzo dawno temu... I miał nadzieję, że nie zobaczy czegoś takiego już nigdy! Splunął soczyście, wskoczył w siodło i zawrócił wierzchowca. Zmusił go do okręcenia się kilka razy wkoło, po czym wystrzelił jak pocisk z greckiej katapulty.

Przed samym namiotem drogę zastąpiła mu potężna postać. - Co powiesz, Dżamil?

- Muszę natychmiast zobaczyć się z sułtanem!

- Mowy nie ma! Był tu już Osman i przekazał co trzeba. Sułtan rozmawia z bratem. Obawiam się, że nie znajdzie dla ciebie czasu. Za mały jesteś, żeby ot, tak sobie przyjść i ujrzeć władcę. Myślę, iż jeśli jego wysokość zechce poświęcić odrobinę swego cennego czasu właśnie tobie, na pewno zostaniesz o tym powiadomiony.

Dżamil zmrużył oczy. - Posłuchaj, Fadil. Przyjęto cię do straży przybocznej nie dlatego, że potrafisz myśleć, ale żeś silny i dobrze machasz mieczem. Myślenie pozostaw zatem innym. I nie zapominaj, kto cię wyciągnął z zapadłej wioski.

Pamiętasz, jak wypraszałeś na kolanach, żeby jechać do Damaszku? Wyglądałeś wtedy równie żałośnie jak chory, wyliniały szczur. A teraz melduj sułtanowi, iż mam pilną sprawę! Biegnij! Nie unos się gniewem. Kiedy indziej odplacisz mi za zniewagę! Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja.

Było coś takiego w wyrazie twarzy Dżamila, że Fadil porzucił myśl o wydobyciu miecza i natychmiast zniknął w namiocie.

Dżamil pokręcił głową. Jak odrobina władzy może wpływać na prostackie umysły. Jeszcze dwa miesiące temu ten żołdak czołgałby się przed nim w prochu, a dziś...

Płachta odsunęła się.

- Możesz wejść! - Fadil rzucił mu nienawistne spojrzenie.

W środku panował przyjemny półmrok. Oczy, przyzwyczajone do porażającego blasku pustynnego słońca, oswajały się bardzo powoli. Przez chwilę nie widział właściwie nic.

- Dżamil al-Ghadban - rozległ się cichy głos. - Witaj, stary wojowniku, mój pustynny jastrzębiu, nie widziałem cię od trzech bodaj dni. Gdzieżeś się podziewał?

- Cały czas w przedniej straży, najjaśniejszy panie. Weszliśmy na ziemie, na których możemy napotkać znaczne siły wroga.

Sułtan na w pół leżał podparty na łokciu, naprzeciwko królewskiego brata. Obaj wpatrywali się w wojownika z wyczekiwaniem.

- Jakie wieści przynosisz? Twój posłaniec już ostrzegł nas przed burzą. Przygotowania trwają.

Al-Ghadban zacisnął pięści. - Musisz odjechać, panie! Obaj musicie uchodzić co sił. Ty, i czcigodny al-Adil!

- Co ty mówisz, człowieku? Mamy porzucić wojsko i uciekać przed zwykłą piaskową burzą?

Dżamil wciągnął głębiej powietrze. - Wojsko też musi uchodzić! Wszyscy! Na miejscu pozostawić trzeba najwaleczniejszych, takich co bez wahania staną oko w oko z... - zacisnął zęby. Nie wolno wymawiać w głębi pustyni imion demonów.

- Ani Salah ad-Din ani jego brat - odpowiedział spokojnie sułtan - nie będą uciekali przed niebezpieczeństwem, niby tchórzliwe kobiety. Stawimy mu czoło.

- To nie jest kwestia odwagi - Dżamil starał się mówić równie spokojnie - lecz rozsądku. Czym innym jest stanąć przed wrażą, choćby najliczniejszą armią, a czym innym próbować stawić opór... demonowi! A właśnie nadciąga stwór z piekła rodem!

Saladyn skrzywił się niechętnie. - Nie ma żadnych demonów! Miałem cię za mądrzejszego, Dżamil, a ty gadasz jak przesądny nomad albo Zendza o skórze równie ciemnej jak jego umysł! Strach cię obleciał? Ciebie, jednego z najlepszych moich ludzi? Powinienem cię...

- Poczekaj Jusuf - powstrzymał sułtana brat. - Niech powie do końca, co ma do przekazania, zanim uniesiesz się gniewem. Nie poznaję cię! Gdzie twoje opanowanie i skłonność do dokładnego rozważania wszelkich aspektów sprawy?

- Masz słuszość, Malik. To zapewne przez ten upał... Mów, Dżamil.

Al-Ghadban spojrział na księcia z wdzięcznością. - Pojechałem w stronę burzy, mając nadzieję, że odnajdę jakieś ślady oddziału Musy. Zamiast ujrzałem rzecz niesamowitą... - przerwał, dostrzegłszy ruch w kącie namiotu.

- Dalej, al-Ghadban. To mój pies, nie Fatma. Siostrę odesłałem już do Jerozolimy. A gdyby to nawet była ona, cóż by z tego wszystkiego wyrozumiała, skoro Allahowi spodobało się zesłać na nią szaleństwo? Mów, co zobaczyłeś.

- Znalazłem ślady ghula!

Malik się poderwał. - W głębi pustyni? Jesteś pewien, że to był ghul?

- Nic innego nie pozostawia podobnych śladów, panie. I myślę, że nie mamy się co spodziewać powrotu choćby jednego żołnierza Musy. Pewnie zapuścili się zbyt daleko, zlekceważyli albo przeoczyli pewne znaki. Zapewne nie żyją.

- Chcesz powiedzieć, że to, co ku nam nadciąga, to rozgniewany pustynny duch, opiekun ghula?

- Nie inaczej! Sam ghul jest zbyt słaby, by stawić czoło tak wielu ludziom. Musi mieć pomocnika. A ten znalazł sobie nie byle jakiego. To wyjątkowo potężny duch, skoro nie przybywa w postaci zwykłego leja piachu, jak to zwykle bywa, ale ciągnie na wielkiej przestrzeni niczym ogromna nawałnica.

- Pewien jesteś?

- Na tyle, żeby doradzać natychmiastową ucieczkę. Ja pozostanę na miejscu, będę dowodził ochotnikami. Może uda nam się choć na kilka chwil powstrzymać demona. Ratujcie się! Wasza krew nie może wsiąknąć w piach, jeśli mamy powstrzymać wojska niewiernych!

- Jusuf - Malik przysiadł naprzeciw sułtana. - Słyszysz to?

Saladyn zmarszczył gniewnie brwi. - Wiesz dobrze, że nie wierzę w te wszystkie opowieści o dzinnach, ifrytach i ghulach! Dziwię się doprawdy, że dajesz temu wiarę ty, nazywany synem pustyni!

- Właśnie dlatego, że tak mnie zwał, wierzę, bracie. Widziałem na własne oczy zbyt wiele zastanawiających zjawisk, żeby lekceważyć słowa Dżamila, tym bardziej iż nie należy on do ludzi, którzy złączą się byle czego.

- Wasza wysokość - odważył się wtrącić al-Ghadban. - Z każdym momentem, z każdym słowem niebezpieczeństwo się zbliża. Dla pustynnego ducha przebyć odległość mili czy nawet farsacha to tyle, co dla ciebie uczynić krok.

Saladyn wzruszył ramionami. - Nie wierzę w żadne pustynne duchy, Dżamil! Wzrusza mnie twoja troska o moje życie, jednakże nie ucieknę przed zwykłymi kłębami piachu! Nie

pozwole też wprowadzać paniki wśród wojowników. Czekają nas ciężkie bitwy!

- Ale...

- Zamilcz al-Ghadban, by nie dotknął cię w końcu mój gniew! Uczynimy, jak powiedziałem.

Dżamil zagryzł wargi. - Pozwól mi przynajmniej, panie - wymamrotał - wyjechać z silnym oddziałem naprzeciw burzy, na wszelki wypadek. Przynajmniej tyle dla mnie uczyn, skoro nie chcesz słuchać rady...

Saladyn pokręcił głową. - Uparty jesteś, człowieku, nad miarę. Idź już i nie drażnij mnie więcej!

- Poczekaj, Dżamil - odezwał się Malik. - Pójdę z tobą. Sam chcę doglądać przygotowań.

Gdy wyszli z namiotu, książę zbliżył wargi do ucha al-Ghadbana: - Wyślę oddział, tak jak mówiłeś.

- Narazisz się na gniew brata, panie...

- Moja rzecz!

- W takim razie ja poprowadzę tych ludzi. Trzeba działać szybko, mamy bardzo mało czasu.

- Nie, Dżamil! Ty masz pozostać przy sułtanie. Jeśli zdarzy się jakieś nieszczęście, on musi mieć najlepszego i najwaleczniejszego wojownika przy sobie. Kto inny pójdzie z żołnierzami na przedpole. Do tego nie potrzeba wielkiego rozumu ani rozeznania. - Zerknął na potężną postać wyprężoną przy wejściu do namiotu. - Fadil, podejdz! Mam dla ciebie rozkazy, niech kto inny obejmie służbę, ty pójdziesz ze mną!

Ciemne chmury gnały z zachodu, jakby chciały prześcignąć ostatnie przebijające się promienie słońca. Dżamil stanął w strzemiach, nie zważając na siekące kłęby piachu, wpatrywał się w miejsce, gdzie Fadil osadził swój oddział. Z włóczniami pochylonymi do przodu, zwarcu w żelaznych szeregach, wyglądali niby ciemna wyspa zalewana ze wszystkich stron falami rudoszarego morza. Obejrzał się za siebie: skupieni wokół Saladyna przyboczni przygotowywali się, by stawić czoło burzy.

- Zaraz nadejdzie pierwsza nawałnica - krzyknął, z trudem przebijając się głosem przez wycie wichury. - Przygotować zasłony dla sułtana. Uczynić krąg z wielbłądów! Przeprowadzić tam też...

- Dżamil, patrz! - przerwał mu czyjś okrzyk.

To, co wyłoniło się właśnie znad horyzontu sprawiło, iż zabrakło mu tchu w piersi. Na

tle burych tumanów zajaśniał sięgający nieba płomień. Zdawał się stać w miejscu, jednakże Dżamil wiedział, że w istocie rzeczy nadciąga z ogromną prędkością. - Ifryt - szepnął. - Jaki wielki... - spiął konia, pogalopował do środka obozu i dopadł kręgu utworzonego z ludzi i zwierząt, w którego centrum sułtan, zasłonięty płachtami, przystąpił do modlitwy.

- Ifryt! - wrzasnął Dżamil, nie zważając już na nic. - To wyjątkowo potężny ifryt, panie! Przerwij modły i sam zobacz! Allah ci wybaczy to uchybienie...

Saladyn poderwał się z kolan, wypadł na otwartą przestrzeń. Z niedowierzaniem patrzył na olbrzymi płomień, wciąż jeszcze mamrocząc rozpoczęte sury.

- To ifryt! - powtórzył Dżamil. - Nic mu się nie oprze! Zmiażdży wszystko, co mu stanie na drodze! Wasza wysokość, sułtanie, panie mój! To prawdziwy okrutny demon zemsty! Uciekaj, póki jeszcze pora. Fadil z ludźmi zdoła go powstrzymać najwyżej krótką chwilę.

Nie powstrzyma wcale, pomyślał, bo ifryt jedynie straci nieco czasu, aby ich pochłonąć, a może oddać na ofiarę temu, w imieniu kogo się mści...

- Nie myślałem, że to możliwe - szepnął sułtan.

- Jusuf! - przypadł do niego Malik. - Widzisz? Siadaj na koń! Ratuj się, bracie! W tobie jedyna nadzieja! Nie pora na spory w obliczu niebezpieczeństwa!

Wiatr porywał słowa, do uszu sułtana nie docierało ich znaczenie, tylko pojedyncze dźwięki. Spojrzał na przyprorowadzonego rumaka, skinął głową i wskoczył w siodło. Malik skinął na przybocznych. Natychmiast otoczyli Saladyna, a po chwili gnali na złamanie karku.

- A wy, panie? - Dżamil pociągnął Malika za rękaw. - Jedźcie wraz z nim!

- Ja poprowadzę wojsko. Uratuję tyłu, ilu się uda.

- Nikogo nie uratujesz, a sam zginiesz! Jest już za późno! Od początku było za późno - dodał ciszej.

- Nie opuszczę moich ludzi! Ale ty jedź natychmiast za Jusufem, musisz być przy nim! Masz go bezpiecznie przeprowadzić przez pustynię!

Wiatr wzmagał się. Musieli rozmawiać pochyleni ku sobie, prawie stykając się głowami.

- Ty jedź, panie. Jesteś bardziej potrzebny bratu niż im - al-Ghadban machnął dłonią w kierunku biegających bezładnie żołnierzy. Widząc, że sułtan odjechał, rozproszyli się nawet ci wybrani, którzy mieli stanowić jego ochronny krąg. - Znasz pustynię nie gorzej ode mnie, poradzicie sobie. A ja spróbuję tutaj zebrać, co się da!

- Nie sprzeciwiaj mi się, Dżamil! - Oblicze Malika wykrzywił wściekły grymas, błysnęły białe zęby. - Wykonaj rozkaz. Natychmiast!

Wojownik dłuższy czas wpatrywał się prosto w oczy księcia. - Wybaczcie, szlachetny panie - powiedział cicho.

Malik zbliżył się do niego jeszcze bardziej, usiłując zrozumieć, co mówi. Wtedy potężna pięść wylądowała na jego szczęce. Choć kłęb materii zawoju nieco stłumił siłę ciosu, jednak był wystarczająco mocny, aby al-Adil bez przytomności osunął się na ziemię. Al-Ghadban chwycił go, przerzucił przez grzbiet własnego wierzchowca. - Antares - szepnął do końskiego ucha. - Będziesz niósł wyjątkowo cenny ładunek, nie zawieź mnie.

Ktoś galopował od strony nadchodzącego żywiołu. Dżamil stanął mu na drodze z uniesionymi nad głowę rękami. Tamten w ostatniej chwili osadził konia, wypuszczając przy tym spod kopyt fontanny piachu. - Z drogi - wrzasnął. - Jadę do sułtana z wieściami! Z drogi, bo mieczem pchnę!

Wydobył broń, mierząc prosto w gardło Dżamila. Stary wojownik skoczył do przodu, chwycił tamtego za nadgarstek, silnym uderzeniem wytrącił miecz, ściągnął na ziemię, usiadł zaskoczonemu posłańcowi na piersi i bez wysiłku rozkrzyżował jego ręce, wciskając je w miążki piach.

- Posłuchaj, durniu - krzyknął mu prosto w ucho. - Sułtan już uszedł wraz z przybocznymi! A ty zabierzesz teraz szlachetnego księcia Malika i spróbujesz ich dogonić! Rozumiesz?

Leżący pod nim żołnierz kiwnął głową, na Dżamila spojrzwały spokojne błękitne oczy. Al-Ghadban zaklął w duchu. Niewierny, ulubieniec al-Adila. Nie było jednak teraz czasu na rozważania.

- Posłuchaj, giaurze! Los królewskiego brata jest w twoich rękach! Masz uczynić wszystko, aby go uratować. Jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że spadnie na ciebie mój gniew! Odnajdę cię, choćby jako zły duch! Zabiję cię, wyszę z ciebie krew! Naślę na ciebie piekielne demony!

- Niepotrzebnie mi grozisz! - Giaur wymawiał słowa z twardym akcentem. - Bez tego zrobię co w ludzkiej mocy, aby ocalić życie księciu! Nie obawiaj się! Przysięgam na moje zbawienie!

Dżamil puścił go, powstał ciężko, nagle poczuł się bardzo zmęczony i stary. Kilka dni trudów uczyniło swoje. Już od dawna ma za sobą wiek, kiedy mógł bezkarnie hasać po pustyni choćby i miesiąc, aby potem wrócić do miasta i oddawać rozkoszom. - Wierzę ci, niewierny, bo nie mam innego wyjścia! Kiedy jego dostojność Malik się ocknie, powiedz mu, żeby nie chował do mnie urazy. Co uczyniłem, uczynić musiałem nie tylko dla jego dobra, ale dla nas wszystkich. Powtórzysz?

Niebieskooki kiwnął głową.

- Teraz jedź! Nie żałuj tchu w koniach! Pomóż mi tylko wpierw przywiązać księcia do siodła! Daję swego wierzchowca. To Antares, najściglejszy rumak, jakiego ziemia nosiła! Na pewno nie zawiedzie, jeśli ty nie zawiedziesz.

- A ty?

- Co ci do mnie? Zostaję. Ktoś musi objąć dowodzenie tym nieszczęsnym oszalałym tłumem! Powtórz tylko jeszcze jedno temu panu, niech Allah zachowa go w zdrowiu...

Giaur spojrzał pytająco.

- Powiedz mu tylko jedno imię: Abd al-Madżib! Zapamiętaj dobrze: Abd al-Madżib! Sułtan będzie wiedział, o co mi chodzi. Jedź już!

Po chwili patrzył jak wierzchowce znikają w kłębach kurzawy. Spojrzał w drugą stronę. Płomień potężniał z każdym momentem, biła z niego zniewalająca moc, straszliwa tajemnicza potęga, która zdawała się pochodzić z najczarniejszych czeluści piekła. Stary wojownik wznosił oczy do nieba. - Panie mój, jedyny, który mnie teraz słyszysz. W mojej ostatniej godzinie wybac mi wszystko, co uczyniłem złego w moim długim życiu. Ty, który gdzieś tam nad tymi chmurami patrzysz, jak nędzne ludzkie robaki pełzają w przyziemnych, nic niewartych sprawach, przyjmij mą duszę do swego domu i znajdź dla niej ustronne miejsce, nie pragnę rozkoszy seraju, nie pragnę wyszukanych potraw ani nieustających biesiad. Chcę tylko odrobiny spokoju. O to jedno cię proszę, mój Panie. A na tym świecie niechaj nikt nie przeklina i zanosz do Ciebie skarg, kiedy wspomni moje imię... - Znowu rzucił okiem na szalejącą nad pustynią kolumnę ognia. - Do mnie! - zawołał, dosiadając najbliższego wielbłąda. - Do mnie! Setnicy, zbierać ludzi w oddziały! - Jego głos utonął w wyciu wichury i niesamowitym, przeszywającym uszy syku dobiegającym od szalejącego o kilkaset kroków płomienia.

II

Tłum wylewał się z kościoła wprost na rozgrzany porannym upałem plac. Vincent zmrużył oczy i skrzywił się, kiedy przyjazny chłód i mrok świątyni został zniwiedza zastąpiony przez rażący blask i gorący powiew. O wiele bardziej od tutejszych ranków cenił sobie wieczorną bryzę, dającą znać o bliskości morza.

- De Rionne, gdzie się wybierasz? - poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzał się. Za nim stał uśmiechnięty od ucha do ucha Jan de Morges. - Zapomniałeś? Mieliśmy dzisiaj nawiedzić pewną tawernę. Tam rozkaz królewski zakazujący gry w kości o wyższe stawki jest, jakby to delikatnie ująć... niezbyt ściśle przestrzegany.

- Podobne zakazy waszych monarchów są dla was, zapomniałeś? Ja nie jestem krzyżowcem, nie przypląnąłem z Filipem czy Ryszardem. Podlegam jedynie władzy króla Jerozolimy.

De Morges machnął ręką. - Króla Jerozolimy? A gdzie masz takiego? Korona leży teraz w skarbcu.

- Nie będę się z tobą kłócił, Janie - uśmiechnął się lekko Vincent. - A do tej twojej spelunki zajrzę bardzo chętnie.

- I słusznie uczynisz, bo spotkamy tam jeszcze kogoś.

- Kogo? Czyżbym wyczuwał w twoim głosie kobietę? A jakiejże to wysokiej proveniencji niewiasta mogłaby zawitać w tak paskudne miejsce?

- Nie, de Rionne! Nie chodzi o kobietę! W każdym razie niezupełnie. Pamiętasz zapewne Judytę z Monaghan?

Vincent spojrział na Jana spod zmarszczonych brwi. - Nie kpij, pewnie, że pamiętam. Ale Judyta odpłynęła dwa miesiące po królu Filipie, bodaj w październiku.

- Nie inaczej, drogi przyjacielu. I nie mów „bodaj w październiku”. Już ty wiesz najlepiej, kiedy to było, bo potem chodziłeś jak struty jeszcze przez... nie, źle mówię! Ty nadal tak chodzisz. A ja, widzisz, nie dalej jak pozawczoraj miałem okazję poznać sławnego krewniaka pięknej Judyty, Piotra z Telford. Niedawno przyjechał z Jafy i, powiadam ci, już pokazał, że potrafi tego pić i tego grać! A i pięść ma niczego sobie.

- O, to zapewne wielce interesujący kompan.

- Żebyś wiedział, de Rionne, żebyś wiedział. W dodatku sam Ryszard bardzo go sobie ceni. A to już coś znaczy.

De Rionne skrzywił się. - On czyni fawory również Lusignanowi, a to z kolei nie najlepiej świadczy o jego właściwej ocenie ludzi.

- Daj spokój. Lusignan zwyczajnie jest Ryszardowi potrzebny jak, nie przymierzając, miastu grabarz w czasie ciężkiego oblężenia, zaś Telford nie tak bardzo, a jednak król okazuje mu duże względy. To prosty rycerz, takiemu łaskę pańską niełatwo uzyskać.

- Prosty rycerz! - parsknął Vincent. - Telfordowie prostym rycerstwem! On w samej tylko Bretanii ma więcej ziemi niż my obaj razem wzięci.

- Ma jej sporo, to fakt, a w szczególności więcej od ciebie. Bo dopóki Filip nie zdejmie z twego rodu ortylów, tyle jej posiadasz, co pod stopami lub w mogile. Ale zgadza się, Piotr posiada pewien majątek. Ho to chcesz czy nie chcesz poznać kuzyna pani z Monaghan?

- Chcę. Prowadź.

- Jasne, że chcesz. Toż mało brakowało, a zostalibyście stryjecznymi szwagrami!

Vincent pokręcił głową. - Powiadam ci, de Morges, kiedyś się doigrasz. Przyjdzie dzień, w którym ktoś uzna, że powiedziałaś o jedno słowo za dużo!

Jan roześmiał się beztrosko i klepnął towarzysza po ramieniu. - Na mnie ciężko się gniewać, wiesz przecież.

- Ja tak, ale możesz trafić na kogoś, kto nie będzie posiadał podobnej wiedzy.

De Morges przyjrzał się swojej prawicy. - No cóż, jeśli będzie miał pięć bardziej mocarną aniżeli moja, może być różnie... Jednakże nie myślę przejmować się podobnymi sprawami w tak piękny dzień. Chodźmy.

W tym samym momencie rozległ się tętent kopyt i rozpaczliwy krzyk kobiety, natychmiast pobiegli w tamtym kierunku. Przez szeroką aleję galopował szpaler jeźdźców. Pośrodku, między rzędami pędzących koni, stało struchlałe z przerażenia dziecko. Niewieści krzyk narastał. Chłopczyk, może pięcioletni, skulił się i mocno zacisnął powieki. Jeźdźcy przelecieli błyskawicznie, a matka natychmiast przypadła do synka.

- Nic ci nie jest? Skarbie, nic ci nie jest?

De Morges splunął. - Masz tego, który chce zostać nowym królem Jerozolimy. Widziałeś? Jeszcze go nie pomazano, a już stał się bardziej wyniosły niż władca całej Francji! Dla Konrada z Montferratu wszyscyśmy jeno pył i mierzwa. Gdybyś ty tam stał, stratowaliby cię bez wahania. Dzieciak uratował się tylko dlatego, że mały i zmieścił między końmi. Od markiza Montferrat lepszy byłby już chyba Gwidon, choć powiadają o nim, iż nieudacznik i trzyma się niewieściej zapaski! Ba, wolałbym Onufrego z Toronu, chociaż swego czasu nie podjął rękawicy, gdy go wyzwał pan z Senlis. Lepszy chyba tchórz niżli podlec. - Spojrzał na unoszący się kurz wzniecony kopytami. - Powiadam ci, Vincencie: Jeżeli ktoś wreszcie nie pozbędzie się Konrada, to będzie zakrawało na cud. Jest zbyt dumny i gwałtowny, żeby umrzeć we własnym łóżu. Jeszcze dokąd przebywa tutaj król angielski, Montferrat na wiele się nie waży, lecz kiedy tamtego braknie, zalezie wszystkim za skórę...

- A odkąd to darzysz taką estymą króla Ryszarda, Janie?

- Ja go nie darzę żadnym szczególnym uczuciem. Ale mam dla Anglika szacunek. Więcej jest wart niż stu tutejszych władcyków. Gdyby jeszcze nie był tak szalony... Ale, ale - ożywił się nagle, przypominając sobie, po co odszukał przyjaciela - chodźmy już, bo nam całe wino wypiją i wszystkie pieniądze przegrają!

W tawernie panował przyjemny chłód. Gości o tej porze było jeszcze niewielu, więc gospodarz krzątał się niespiesznie, gawędząc ze stałymi bywalcami. Było w miarę cicho, tym

więc wyraźniej brzmiał grzechot kości w skórzanym kubku.

- Telford! - zawołał od drzwi de Morges. - Słońce jeszcze nie wzbilo się na szczyt nieboskłonu, a ty już tutaj! W kościele chociaż poświęciłeś swoją osobą?

Z ławy pod ścianą powstał czarnowłosy, wysoko podgolony mężczyzna. - Wszak przechodziłem obok katedry, idąc tutaj. To chyba wystarczy. Starczy też, że mój pan, jego wysokość Ryszard Plantagenet, odbywa kolejną publiczną pokutę. Dość będzie jego modlitw dla niego samego, dla mnie i jeszcze tuzina takich mizeraków jak ja! Powiedz lepiej kogo to przyprowadziłeś do naszej jaskini? - ruszył w kierunku przybyłych.

- Poznaj pana Vincenta de Rionne, prawego rycerza.

Piotr z Telford zatrzymał się. Obrzucił Vincenta uważnym spojrzeniem. - Tak - wyrzekł powoli, groźnie marszcząc brwi. - Chętnie poznam człowieka, który złamał serce mojej kuzynce, Judycie. Poznam i... - sięgnął do boku. De Rionne obserwował spokojnie jego poczynania.

Jan de Morges stanął między nimi. - Dałbyś pokój. Nie przypuszczałem, że zechcesz się o to mścić. To sprawa między panią Monaghan a nim, czyż nie?

- A kto mówi o zemście - roześmiał się nagle Piotr. - Odsuwam tylko kord, by broń Boże nie uderzyć pana de Rionne, gdy go wezmę w objęcia. - Ominął osłupiałego Jana i ujął za ramiona zaskoczonego Vincenta. - Bracie! - zawołał. - Nigdy bym nie przypuszczał, że to możliwe. Że ktoś jest w stanie tak zapaść w duszę mojej zimnej krewniaczce, którą zowią, poza jej plecami rzecz jasna. Lodową Panią! Zaiste Palestyna jest krainą cudów! - Wziął de Rionne'a pod rękę, poprowadził do stołu. - Bawmy się, pijmy. Wnieśmy toast za zdrowie pięknej Judyty, zimnej królowej lodu!

- Panie - rzekł Vincent. - Bardzo cię proszę, nie obrażaj przy mnie imienia tej damy, którą będę czczył i szanował po kres moich dni!

Piotr spojrział na niego uważnie. - Nie myśl sobie, że chciałem urazić ją albo ciebie. Być może wypilem już za dużo wina i język mam zbyt swobodny. Jednakże gdybyś znał Judytę równie długo jak ja, sam wzniosłbyś kielich w tej intencji!

De Morges natychmiast objął obu kompanów. - Przy stole nie czas na urazy, panowie! A pojedynkować i tak się nie możecie, bo król zabronił.

- Jaki król? - spytał Vincent. - Bo jeżeli...

- Dałbyś już spokój, de Rionne! Napijmy się lepiej i rzućmy kości. To bodaj jedyne miejsce w całym mieście, gdzie możemy to uczynić, nie narażając się na kłopoty ze strony straży biskupiej! Nie zaglądamy tu już od pewnego czasu.

Piotr spojrział pytająco.

Jan chrząknął. - Pewnie chcesz spytać dlaczego? Sprawa jest prosta. Onegdaj wlaź do tej karczmy pewien kapitan z kilkoma ludźmi, z wyraźnym zamiarem aresztowania wszystkich grających. Kiedy przysła kolej na mnie... Jakby to powiedzieć... Rzecz jasna nie pozwoliłem na podobne zuchwalstwo. Myślę, że jeszcze długo tutaj nie zawitają.

- Nie pozwoliłeś - roześmiał się Telford. - O ile zdążyłem cię poznać, to oznaczało regularną bitwę!

- Zaraz tam bitwę. Rozdałem kilka kuksańców, by sobie nie myśleli, że ze mnie jakiś nieruchawy biedron, a oni pokocili się na ziemię, ledwie którego dotknąłem.

Vincent rozejrzał się uważnie. - Tak, Janie. Dookoła są jeszcze ślady twego niewinnego oporu, jak choćby te ławy byle jak pozbijane i połatane świeżym drewnem, albo i drzwi, które noszą wyraźne znaki, iż albo ktoś otwierał je nie w tę stronę co należy, albo wychodził z tawerny, zapomniawszy w ogóle chwycić za klamkę.

Jan roześmiał się na całe gardło. - Niektórzy jak się przestraszą - odparł wesoło - zupełnie tracą głowę!

- Panowie - rzekł człowiek siedzący przy sąsiednim stole. Miał charakterystyczny twardy akcent. - Nieco ciszej proszę. Przeszkadzacie w grze!

Vincent skierował tam wzrok.

Jeden z graczy zamarł z kubkiem w dłoniach, drugi, zwrócony ku nim, patrzył niechętnie. Na stole połyskiwało kilkadziesiąt sztuk złota, ułożonych starannie w kształt wieży. Widać szło już o sporą stawkę. Obok, pod ścianą, siedział młody mężczyzna i zdawał się pograżony bez reszty w rozmyślaniach.

Jan de Morges postąpił krok w tamtą stronę. - Sądząc z barw - Niemcy albo Austriacy?

- I Austriacy - padła odpowiedź. - I Niemiec. A co, czyżbyście szukali zwady?

- Niekoniecznie - odparł Jan. - Rzadko się jednak zdarza podczas tej wyprawy, żeby...
- policzył szybko - w Ziemi Świętej na sześciu rycerzy zgromadzonych w jednym miejscu trzech pochodziło właśnie z tych krajów...

Odziany w czerń i żółć mężczyzna poderwał się błyskawicznie na równe nogi. - Ostatnio - wycedził - coraz trudniej w takim towarzystwie także o rodowitego Francuza, nie zauważyłeś? Porzucacie krucjatę równie skwapliwie, jak to uczynił wasz król i wielu innych dostojników za jego przykładem!

Vincent z zainteresowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań. Napięcie rosło, kątem oka zobaczył, jak Piotr z Telford zgina i prostuje palce, przygotowując dłonie do walki. Trzech na trzech, pomyślał. Dzień jeszcze dobrze się zaczął, a już szykuje się bijatyka...

Jednakże Jan najwyraźniej nie zamierzał wszczynać awantury. - Masz poniekąd słuszną, panie - rzekł pojednawczym tonem. - Nie chciałem cię dotknąć, wyraziłem jedynie swoje zdziwienie. Trzeba ci wiedzieć, że bardzo cenię tych, którzy dotrzymują wierności przysięgom złożonym przed wyruszeniem na wyprawę, choć pozostają w osamotnieniu wśród obcych.

Nieco udobruchany, niemiec skinął głową. - Przyjmuję twoje wyjaśnienia, panie...

- Ja zaś - wpadł mu w słowo Piotr z Telford - wcale sobie nie cenię ani Austriaków, ani Niemców! Ci, co zostali, zapewne zwyczajnie spóźnili się na swoje galery! Inaczej nie byłoby w Palestynie ani jednego!

Powietrze zdawało się gęstnieć z każdym słowem wypowiedzianym przez zapalczego Anglika. Zamyślony młodzieniec zerwał się wraz ze swymi towarzyszami, gotów pomścić zniewagę.

- Piotrze - rzekł łagodnie Vincent. - To było zgoła wcale niepotrzebne.

- A ja swoje zdanie podtrzymuję! Kto się ze mną nie zgadza, niech zaraz staje do walki!

- Z przyjemnością - warknął drugi z obcych. - Powiedz jeno gdzie i kiedy!

- Tu i zaraz! Panowie, pomóżcie odsunąć ławy!

No to znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, przeleciało przez głowę Vincentowi. Trzeba się będzie bić! Żeby to chociaż miało jakiś sens.

Zaszurgotały sprząty, szczęknęły wydobyte miecze.

- Angielskie psy, francuskie pomiotła! - padł się okrzyk.

- Po kolei, panowie! Pojedynczo! Mamy mało miejsca! Rozsądne wezwanie pozostało bez echa. Rzucili się na siebie, zadzwoniła stal.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i wraz z blaskiem dnia do wnętrza zaczęli się wlewać ludzie w biskupich barwach. Po chwili zrobiło się tak ciasno, że przeciwnicy nie mogli porządnie złożyć się bronią.

- Zaniechajcie walki! - krzyknął od wejścia dowódca straży. - W imieniu biskupa Salisbury, złożcie miecze i nie stawiajcie oporu! Inaczej zostaniecie surowo ukarani!

- Toż to ten sam kapitan, którym ostatnio otwierałem drzwi! - zawołał Jan de Morges.

- Zuch z ciebie, kościelny sługusie. Ależ podejdz tu, serdeńko, dokończę to, co wtedy zacząłem!

- Brać ich! - wrzasnął wyzwany w odpowiedzi.

W jego stronę poleciało ciężkie przekleństwo i nie mniej ciężki zydeł. W półmroku tawerny zakłębiło się od splecionych w walce ciał.

III

W gorące południe ulice Jerozolimy zupełnie się wyludniły, nawet niestrudzony nosiwoda zaległ w cieniu pod murem, żeby wydyszeć ze zmęczonych krzykiem płuc chociaż odrobinę gorąca. Spojrzał w kierunku pałacu. Odkąd Salah ad-Din przybył do miasta, ani razu nie ukazał się publicznie. Muzułmańska ludność zaczęła między sobą szeptać, iż musiało zajść coś bardzo niepokojącego, skoro zazwyczaj szczodrobliwy i łaskawy władca zaniechał nawet rozdawania jałmużny przed bramą swej siedziby. Żeby to chociaż jedynie wyznawcy Proroka snuli takie przypuszczenia. Gorzej, że chrześcijanie i Żydzi również to zauważyli, a każda wieść o kłopotach jego wysokości z pewnością ucieszyłaby ich niepomierne. Nosiwoda zgrzytnął zębami. Kiedy nadejdzie wreszcie taki czas, iż będzie można wyżenać niewiernych z Jerozolimy. Przestaną się wieszać pańskich klamek i zabierać pracę uczciwym wyznawcom Proroka! - Skąd też u emirów taka ufność w wiedzę greckich doradców - mruknął, patrząc z obrzydzeniem na leżące obok naczynia i bukłaki. - Czemu chcą otaczać się giaurami, skoro wystarczy rękę wyciągnąć, by przywołać swojego, wiernego człowieka.

Przymknął oczy. Nie na jego prosty rozum te wszystkie sprawy. Lepiej zasnąć i wyśnić sobie świat, gdzie ludzie przed nim padaliby na twarz. A jeszcze lepiej - suty obiad, taki, który sprawi, że pusty żołądek odklei się wreszcie od zmęczonego dźwiganiem ciężkich naczyń krzyża...

- Widzę, że pokładasz w nim wielkie zaufanie - Saladyn uważnie obserwował smukłą postać stojącego przed nim człowieka. - Czy ostatnie spotkania i bliskie stosunki z królem Franków nie przysłoniły ci obrazu świata? Czy nie zacząłeś zbyt liczyć się z niewiernymi?

- Nie, bracie - odrzekł Malik al-Adil. - Wiesz dobrze, jak z tym jest. Z Anglikiem rozmowy prowadzić trzeba, inaczej ciągiem byśmy się jeno bili, a to zawsze może przynieść niespodziewaną klęskę, bo trudno mu zaiste dotrzymać pola. Lepiej prowadzić rozmowy, niech będzie przekonany o możliwości ugody i wyciągnięciu korzyści najmniejszym kosztem. Jeśli zaś chodzi o tego giaura, można wierzyć jego słowom. Gdyby chciał zdradzić, czyż nie mógł wrazić sztyletu w moje serce, kiedy wiozł mnie przywiązanego do końskiego grzbietu? Czyż nie mógł mnie wziąć w pęta i zawieźć do swoich, żeby odebrać sutą nagrodę? Czyż nie miał tysiąca okazji, żeby zdradzić? Nikt by się o tym nie dowiedział, gdy błądziliśmy po pustyni w poszukiwaniu twoich śladów. Pamiętaj, Jusuf, że i wśród niewiernych są ludzie godni szacunku, potrafiący dotrzymać przysięg.

- Wiem. Jednakże wolałbym nie rozmawiać o sprawach państwowych w obecności

kogoś, kogo oczy są przezroczyste, a włosy jasne jak spłowiła na słońcu płachta namiotu. To budzi we mnie niepokój.

Malik ułożył się wygodniej na poduszkach. - Wyjdz, ibn Suan - rzucił. - I bądź w pogotowiu. Być może niebawem cię wezwę.

Niebieskooci zniknął za drzwiami.

Al-Adil spojrział na sułtana. - Każ przynieść fiołkowego szербetu - mruknął. - Upał daje się we znaki nawet w północnym skrzydle pałacu.

Saladyn klasnął w dłonie. Po chwili pojawiła się złocona misa wypełniona po brzegi wonnym napojem. Księżę zaczerpnął pełny kubek, przez chwilę delektował się smakiem, po czym przemówił: - Słyszałeś, co rzekł mój gjaur. Dżamil przed śmiercią pomyślał o człowieku, którego imię mnie samemu przyszło na myśl, gdy tylko odzyskałem zmysły. Abd al-Madzib. Trzeba go koniecznie sprowadzić, i to jak najszybciej!

- Nie trzeba... - Saladyn lekko przekrzywił głowę, obserwując pojedynczy promień światła, który przedarł się przez szczelnie zaciągnięte zasłony.

- Jak to?! Tylko on może coś zaradzić! Tylko jemu... Przerwał mu niecierpliwy gest. - Nie ma potrzeby go sprowadzać - powtórzył sułtan. - Za kilka dni zjawi się w Jerozolimie.

Malik spojrział na brata z podziwem. - Czyżbyś wpadł na ten sam koncept? Kazałeś go tutaj przywieźć?

Sułtan zagryzł wargi. - Nie, nie kazałem. W ogóle o nim nie pomyślałem, ani przez chwilę. Znasz mnie, mam zbyt trzeźwy umysł, żeby dać wiarę takim gusłom... Może trudno w to uwierzyć, ale spotkaliśmy go po drodze, nie przyjechał teraz razem ze mną, bo zasłabł od wysiłków podróży. Zostawiłem go z kilkoma ludźmi w małej wiosce. Kiedy trochę wydobrzeje, natychmiast go przywiozą.

- Sam widzisz, że przypadek go podsunał. Widać wola Allaha...

- Nie przypadek. Al-Hadzib jechał na spotkanie ze mną. Przecież nikt nie mógł wiedzieć, którądy podążam! Znalazł mnie jednak wśród skał i piachu, jakby mu ktoś dokładnie objaśnił, gdzie powinien szukać!

- Nigdy go nie doceniałeś.

- Ja po prostu nie wierzę w czary i niesamowite gminne opowieści! To znaczy nie wierzyłem do tej pory... - dodał ciszej. - Z każdym dniem jednak coraz mniej jestem pewien swoich racji.

Malik uśmiechnął się nieznacznie. - Mówiłem ci...

- Daj spokój! Tego, czego się od niego dowiedziałem, wolałbym nigdy nie usłyszeć. Lepiej, by Allah zesłał na mnie śmierć w którejś z bitew!

- Co ty mówisz? Bez ciebie, bez naszego rodu, Frankowie już dawno by ogarnęli całą Palestynę i resztę ziem, pewnie aż po Egipt!

- Beze mnie, bez ciebie - odparł przez zaciśnięte zęby Saladyn - i bez naszego rodu nie zawisłaby nad tą ziemią straszliwa groźba!

Malik usiadł. W głosie brata zabrzmiało coś, co było zupełnie nowe, obce. Czyżby strach? Nieulekły wódz, zwycięzca spod Hittinu miałby powody, aby tak bardzo się czegoś obawiać? Chyba tylko mocy nadprzyrodzonych. Ho tak...! Nadprzyrodzonych... Przecież tam na pustyni...

- Pamiętasz mułłę, który przywiódł do nas Fatmę? - spytał sułtan.

- Oczywiście. Sam go przydzieliłeś, by zadbał o jej nauki. Gdyśmy ich wówczas napotkali przed Ar-Ramlą, obiecałeś obsypać go złotem po powrocie, choć Fatma okazała się niespełna rozumu... A tak się uradowałem, kiedy ją zobaczyłem...

- Wtedy obiecałem obsypać go złotem za wierność i odesłałem do Jerozolimy, a teraz wtrąciłem do lochu! Jeśli go obsypię złotem, to w szczelnej beczce, tylko po to, by się wśród tego bogactwa udusił! Ten szubrawiec nie powiedział nam wszystkiego. Nie powiedział chociażby tego, że nasza siostra była brzemienna!

Al-Adil wciągnął gwałtownie powietrze. - Jak powiadasz? Brzemienna?! Ale z kim? Kto się ośmielił... - patrzył na sułtana oczami, w których lśniła wściekłość i żądza zemsty. - Powiedz, kto?!

- Wolalbyś nie wiedzieć... Powiem później, kiedy uzyskam całkowitą pewność - zamyślił się. - Mnie zwał Salah ad-Din, ciebie Sajf ad-Din... Dla ludzi jesteśmy wszechmogącymi władcami, kimś na kształt Boga... Jednakże są sprawy, na które nie mamy żadnego wpływu, za to one wywierają na nas wielki nacisk...

- Chcę przesłuchać tego mułłę! Własnymi rękami zadam mu najstraszniejsze tortury i dowiem się wszystkiego!

- Jak sobie życzysz. Lecz powiedział już tyle, że kazałem zgładzić zdrajcę jutro o świcie. Od kogo brał pieniądze, sam chyba dokładnie nie wiedział. Być może od Angelosa z Konstantynopola, być może od kupców genueńskich czy weneckich, ale na pewno przepływały przez parszywe ręce Izaaka Komnenosa. W tej sprawie jest więcej tajemnic aniżeli skał na pustyni.

- Komnenos - warknął al-Adil. - Zawsze mówiłem, że trzeba zgładzić tego zdrazieckiego węża! To u niego na Cyprze przebywała Fatma... Potem słuch o niej zaginął!

- Nie inaczej. Ale, jak powiedziałem, sprawa nie kończy się i na Izaaku... Nie wiem, dokąd mogą zaprowadzić nas ślady, które wyjawiał zdrajca. Złoto ma dłuższe ręce niż nawet

największa na tym świecie władza. Czasem wydaje mi się, że jedynie Allah nie jest od niego zależny. Czego, niestety, nie można powiedzieć o jego kapłanach. Zresztą nie inaczej ma się rzecz także z duchownymi chrześcijan. Wszyscy oni jednacy, głosiciele prawdy! Chciwi niegodziwcy.

- Zaraz - Malik potrząsnął głową. - Powiedz mi jeszcze, gdzie jest teraz Ryszard? Masz o nim jakieś wieści? Tylko patrzeć, jak zjawi się pod murami!

Saladyn uśmiechnął się smutno. - Król Franków ma w tym momencie ważniejsze sprawy, niżli myśleć o zdobywaniu Jerozolimy. Wyobraź sobie, że w Akce rozpocznie się niebawem, a może nawet już wybuchła, wojna między pizańczykami a genueńczykami. Od dawna wchodzili sobie w drogę i wzajemnie odbierali zyski z handlu. Teraz uznali, iż nadszedł czas rozstrzygnięć. W samą porę dla nas.

- O to „w samą porę” musiałeś pewnie sam zadbać! Szkoda, że mnie nie było, kiedy wysyłałeś do Akki ludzi, by wzniećli tumult. Doręczyliby ode mnie pismo do Gwidona, by poparł kupców z Pizy! Mam z nim swoje sprawy... Uczyniłby tak. Chaos zapanowałby o wiele większy niż przy zwykłym kupieckim zatargu.

- Nie wiedziałem, czy przeżyłeś, nie mogłem zatem czekać, a zresztą nie było na to czasu. Lecz nie myśl sobie, żebym czegoś zaniedbał. We właściwym momencie Gwidon otrzyma od ciebie odpowiedni list.

Malik spojrział na brata z niekłamanym podziwem. - Są takie chwile, że naprawdę zaczynam się ciebie lękać! Opowiedz lepiej, czego się wywiedziałeś o losach Fatmy. I gdzie jest dziecko, skoro brzucha już po niej nie znać?

- Właśnie, oto pytanie. Gdzie jest dziecko? Mułła bredzi takie rzeczy, iż nawet przesądny wieśniak kazałby to włożyć między bajki! Najchętniej bym przyjął, że bękart nie żyje, tym bardziej że i mułła i Fatma mamroczą o jakimś cmentarzu pod Damaszkiem. Jak mniemam, tam go pochowali noworodka.

- Skąd jednak w tym wszystkim ifryt? - szepnął Malik. - Pamiętam, jak stara Selima opowiadała pewną historię... Taki gniewny demon pojawia się, gdy...

- Nie czas na snucie babskich opowieści! Ty odpoczywaj, ja pójdę rozmówić się z al-Hadžibem. Przesłać tancerki do twojej komnaty?

Malik pokręcił przecząco głową. - Chcę zostać sam. Zresztą przed drzwiami czeka na mnie giaur. Każę go odesłać do moich kwater, lecz wpierw niech nas zaprowadzą do Fatmy. Prosił mnie o to, a ciekaw jestem jego zdania.

- Wciąż jest wdzięczny za to, że uratowała go przed twoim gniewem?

- Ma ku temu powody. Wiesz przecież dobrze i on o tym wie, że gdyby nie próśby

siostry, za jego śmiałe spojrzenie i nieobyczajne słowa kazałbym go wtedy oślepić i rozerwać koźmi. Mam nadzieję, słabą co prawda, iż jego widok pomoże jej odzyskać zmysły.

IV

- Co za obrzydliwe miejsce! - zawołał Piotr z Telford, patrząc z odrazą na kamienne ściany upstrzone mozaiką ekskrementów, łacińskich sentencji i sprośnych rysunków. Widać lochy gościły ludzi bardzo różnego autoramentu. - Cuchnie tu gorzej niżli w chłopskiej oborze.

- Przynajmniej nie możemy narzekać na wilgoć - mruknął Vincent. - Kiedy przebywałem w wieży w Hevers, bywało, że w czas jesiennej pluchy staliśmy po kostki w wodzie. Tu zaś pewnie tylko trochę ścieka ze ścian w czas wielkiego deszczu.

Piotr obrzucił ponurym spojrzeniem grupkę siedzących pod przeciwległą ścianą niedawnych przeciwników. - Nie bylibyśmy tutaj, gdyby poddani austriaccy i niemieccy nie unieśli się tak honorem!

Jan de Morges położył mu rękę na ramieniu. - Nie byłoby zwady, gdyby nie twój ostry jęzor, przyjacielu. A bylibyśmy tutaj tak czy inaczej, gdyż wówczas przyłapano by nas na grze w kości, a nie wiem, co teraz gorsze: karczemna burda czy złamanie zakazu królewskiego. Takiej ćmy strażników jak w tawernie nie widziałem póki żyję! Palca nie było gdzie wetknąć. Ech - westchnął! - Gdyby zostawili choć odrobinę miejsca... Ale dość o tym. Ja tam myślę, że skoro już przypadł nam wszystkim w udziale jednaki los, należałoby się poznać, nie wiadomo, ile tutaj posiedzimy, a nie mam ochoty boczyć się na kogoś, gdy nie ma takiej potrzeby. Co wy na to? - zwrócił się do tamtych.

Jeden powstał. - Nie mam nic do ciebie, panie, ani do tego drugiego Francuza, nazywam się Kurt von Landberg. Moi towarzysze to Konrad von Wallheim i jego siostrzan Werner, graf von Watzenrode. Jednakże ten, którego nazywacie Piotrem znieważył mnie i moich towarzyszy! Znieważył nas bezpodstawnie, zarzucając wręcz tchórzostwo! I zamierzam stanąć mu na ubitej ziemi, kiedy tylko opuścimy lochy!

- Co powiesz, Piotrze? - spytał Jan. - Nadal masz ochotę do bitki z tymi panami?

Telford skrzywił się niechętnie. - Za dużo było wina z samego rana - zamruczał. - W dodatku cypryjskiego wina. Powiadają, że oni tam leją w trunek żywicę dla wzmocnienia, i pewnie to prawda, bo rozum się po nim człowiekowi miesza i zaczyna czynić rzeczy, których przychodzi się potem wstydzic - podniósł głowę. - W życiu nikogo nie zwykłem prosić o wybaczenie - patrzył w twarz cesarskim poddanym - ale przyjmijcie ode mnie przeprosiny, które wam się słusznie należą! Nie ukrywam, że gdyby nie nasza żalсна

sytuacja, nigdy nie wydobyłbym z siebie tych słów. - Milczał chwilę. - Pan de Morges ma jednakowoż rację. Skoro wspólny nam przypadł los, nie powinniśmy żywić do siebie urazy.

Jan uśmiechnął się szeroko.

- Zatem zgoda? Zgoda!

- Jednakże... - Konrad von Wallheim chciał wyrazić swoje wątpliwości.

Jan podszedł do niego, objął serdecznie i podniósł w górę. - Niech będzie zgoda!

Nieszczęsnemu Konradowi oczy wyszły na wierzch w niedźwiedzim uścisku. - Ach, więc to wy jesteście ten sławny Jan de Morges - wydyszał, kiedy rycerz wypuścił go z objęć - który swego czasu wyzwał na ubitą ziemię Renalda z Sydonu?

- Zgadza się. Lecz do walki nie doszło, jako że Konrad z Montferratu zabronił Renaldowi stanąć do pojedynku i wysłał go zaraz w posły do Bejrutu, jakby było tam w ogóle po co jeździć.

- Nie chciał się pozbawiać wiernego sługi - mruknął Vincent. - Niewielu ma takich, którym może zaufać.

- Ty to wiesz najlepiej, żyjąc tyle lat w Ziemi Świętej. - Jan uśmiechnął się krzywo. - Moi panowie - zwrócił się do nowych towarzyszy - przedstawiam wam Vincenta de Rionne, który zna ten kraj i panujące w nim stosunki na wylot.

- Miejscowy? - spytał Kurt. - Nie mam zaufania do tych, którzy się tu urodzili. Zbyt stali się podobni Grekom, a nawet Żydom czy muzułmanom. Nie na darmo przyłgnęło do nich określenie żrebaki. Jak z młodym wierzchowcem, nigdy nie wiada, co uczynią i w którą się zwrócą stronę.

Vincent zmrużył oczy niczym kot patrzący na mysz, kiedy nie chce, by zdradził go błysk światła odbity w źrenicach. - A kimże ty jesteś, panie von Landberg, żeby oceniać tych, co żyjąc w tej ziemi dbają, by nie dostała się na powrót w ręce pogan? Ja nie urodziłem się w Palestynie, nie jestem pulanem, jednakże lata pobytu tutaj nauczyły mnie szacunku nawet dla tych, którymi tak wszyscy pogardzacie: Żydów i Greków. Wiem też, że wielu spośród muzułmanów jest bardziej godnych szacunku niżli nasze wysoko urodzone rycerstwo!

- Spokój, panowie, spokój! - zawołał de Morges. - Ty, panie von Landberg, jak widzę, bardzo podobny jesteś do Piotra Telforda w wydawaniu pochopnych osądów. Bacz, byś nie trafił na kogoś bardziej popędliwego niż mój przyjaciel, de Rionne, który najpierw mówi, a potem dopiero dobywa miecza!

Gdyby teraz zostawić nas samych we dwóch, przemknęło przez myśl Vincentowi, skoczylibyśmy sobie bez wahania do gardeł, nie bacząc na nic... Z niechęcią obserwował, jak Kurt von Landberg zmierza ku niemu z wyciągniętą prawicą. Nie uchylił się jednak od

podania dłoni.

Słusznie prawił Jan, że gdy ich położenie jest tak żalosne, nie pora unosić się ambicją.

- Tak - sapnął z zadowoleniem de Morges. - Teraz czekajmy już tylko, co przyniesie przyszłość! Trzeba w nią patrzeć z nadzieją.

V

- Przybył poseł do waszej miłości - oznajmił pokojowiec. Konrad z Montferratu uniósł pytająco brwi. - Od króla Ryszarda?

- Nie, panie. Powiada, że przynosi wieści od szejka Sinana. Czeką na dziedzicu.

Konrad skrzywił się niechętnie. - Wprowadź go.

- Co ty masz za sprawy z Sinanem? - spytał stojący przy oknie Balian z Ibelinu.

- Zaraz się dowiesz - mruknął Konrad i zerknął w stronę żony. - Oboje się dowiecie.

Izabela wstała znad krosien. Podeszła do męża i zajrzała mu głęboko w oczy. - Kochany - rzekła miękko, aksamitnym głosem. - Czyżbym wyczuwała w twoim głosie troskę?

- Sama wiesz, najmilsza, że ten, kto musi się znosić ze Starcem z Gór, nie ma wielu powodów do radości. Ów człowiek, o ile to w ogóle jest człowiek, stanowi zagrożenie większe niż kobra ukryta w łożu.

- Lecz powiedz, co jest na rzeczy?

- Powtarzam, że za chwilę oboje się dowiecie. Zresztą to sprawa dość powszechnie znana. Podaj mi kuszę i belt, Balianie. Przybysz z al-Kahf może okazać się kimś więcej niżli tylko posłem.

Skrzydło drzwi uchyliło się. Wszedł człowiek o smagłej cerze, odziany jak Beduin. Spod zawoju spoglądały czarne, przepaściste oczy. - Jestem Selim, poseł tego, którego nazywacie Starcem z Gór. Mój władca, czcigodny szajch Raszid ad-Din Sinan z Basry, śle pozdrowienie markizowi Montferrat, przyszłemu królowi jerozolimskiemu. Wyraża nadzieję, iż zastaję was w dobrym zdrowiu, a także przekazuje podarek żonie waszej, pięknej Izabeli - sięgnął pod burnus.

Konrad natychmiast uniósł kuszę, a Balian sztylet.

Posłaniec pokręcił głową, powolnym ruchem wy dobył rękę spod fałdów szaty. - Możecie się nie obawiać, panie. Gdyby szajch Sinan pragnął twej śmierci, zapewniam, iż nadeszłaby niezauważona. Królowo Jerozolimy - zwrócił się do Izabeli. - Racz przyjąć ten drobiazg - w wyciągniętej dłoni zaśnił wspaniały diadem. - Wykonali ten klejnot najbieglejsi rzemieślnicy w dalekiej Bucharze. Diamenty zaś, którymi jest ozdobiony, szajch otrzymał w podarunku od pewnego wezyra z Damaszku.

- W podarunku - mruknął Balian. - Też coś. Chyba jako okup albo zapłatę za zabicie kogoś niewygodnego!

Spojrzały na niego oczy o przedziwnym, niepokojącym wyrazie.

- To nie ma w tym momencie znaczenia, szlachetny panie, najważniejsze, że diadem ten trafi do rąk kobiety, która nań zasługuje, niech przyzdobi godne tego skronie.

- Połóż go na stole - odezwał się Konrad. - Tylko powoli. Pamiętaj, że bacznie obserwuję każdy twój ruch!

Selim posłusznie odłożył klejnot.

- A teraz mów, z czym cię przysłał szejk!

- Czcigodny szajch Sinan prosi o zwrot ładunku okrętu, który raczyłeś swego czasu opanować, zapewne, jak chce wierzyć, na skutek nieporozumienia, jakie w czas wojenny może się zawsze przydarzyć. Liczy także na to, że wraz ze statkiem powrócą do niego ludzie z załogi, bowiem wielu z nich znał i darzył przywiązaniem...

- Nie zwrócę żadnych towarów! - przerwał mu Konrad. - Sinan powinien wiedzieć, że straciłbym twarz, gdybym teraz ustąpił.

- Jednakże zwolnienie ludzi pojmanych na statku w niczym by nie naruszyło twojej godności, panie. Szajch jest gotów puścić w niepamięć obrazę, jaką stanowił rabunek jego własności, jeżeli uczynisz przynajmniej tyle.

- Nie uczynię niczego! - warknął Konrad. - Wróc i powtórz to Sinanowi! Możesz też zabrać diadem!

Za plecami usłyszał ciężkie westchnienie. Uśmiechnął się w duchu. Kobieta, choćby królowa, to zawsze kobieta i żal jej będzie każdej błyskotki.

Posel milczał przez dłuższy czas. - Starzec z Gór - wyrzekł wreszcie - spodziewał się podobnej odpowiedzi. Dlatego gotów jestem do wypełnienia drugiej części posłania - pod burnusem zafalowało, jakby wykonywał skomplikowane ruchy dłońmi.

Konrad ścisnął mocniej kuszę, spodziewając się ataku. Selim jednak stał bez ruchu. Po chwili na jego twarzy zagościł uśmiech. Dziwny to był grymas, ni to zwiastujący wielką radość czy nawet rozkosz, ni to niosący cierpienie. Postąpił krok do przodu, a wtedy przeszła go strzała. Spojrzał na swoją pierś, obserwując jak bełt unosi się i opada wraz z coraz płytszym oddechem. Wówczas przypadł Balian i z rozmachem wbił sztylet w jego plecy.

Posłaniec padł na kolana. - To... było niepotrzebne - szepnął. - Zadałem sobie śmierć wcześniej niż wyście to zdołali uczynić, przekłęci gjaurzy... - upadł na bok, potem przewrócił się na plecy i wyprężył nogi w ostatnim śmiertelnym spazmie. Burnus na brzuchu zabarwił się krwią.

Balian, zdumiony, uniósł materiał.

- Jezu Chryste. - Patrzył z osłupieniem na straszliwą ranę. - On sobie wypruł wnętrzności! Wypruł i wyciągnął na wierzch!

Konrad podszedł, spojrzął i splunął z obrzydzeniem. Po komnacie rozszedł się odór surowizny. Izabela wybiegła, zanosząc się szlochem.

- To znak, mój przyjacielu - stwierdził Balian. - Sinan ma na swoje usługi całą armię takich straceńców...

- Wiem.

- Wydaje mi się, że bardziej niż o towary chodzi mu o zwrot załogi statku.

- Wiem.

- Pewnie było w niej przynajmniej kilku asasynów, a na nich Starcowi z Gór zależy nie mniej niżli na złocie.

- Wiem.

- Wiem, wiem! - zniecierpliwiał się Balian. - Powtarzasz to jak obłąkany! Wiem, że wiesz! Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chcesz zwrócić mu jeńców. Po co ci oni?

Konrad spojrzął na niego pustym wzrokiem. - Nie ma żadnych jeńców - powiedział cicho. - Kazałem wszystkich utopić.

- Sinan będzie chciał zemsty, kiedy się dowie!

- On wie. Gdyby chciał mnie zgładzić, zapewne już bym nie żył. Słyszałeś kiedyś, aby ktokolwiek zdołał ująć asasynom? Chyba, że ucieknie daleko za morze. Nie, Balianie, on zdaje sobie sprawę, iż prędzej czy później zostanie królem. Do tej pory myślałem, że chce mieć możliwość wywierania na mnie wpływu... To dlatego upomina się o swoich ludzi. Chyba nie przypuszczasz, żeby ich los naprawdę go obchodził! Starzec z Gór marzy o tym, żeby chociaż w części izmailicki zakon mógł sterować poczynaniami władcy Królestwa Jerozolimskiego... To znaczy, takie miałem przekonanie aż do dzisiejszego dnia.

- A co nim zachwiało?

- Sam nie wiem... Jednakże mam pewne przeczucia. Tutaj jest coś więcej... a raczej ktoś więcej. Sinan nie robi niczego na darmo. Ani za darmo. Jest chyba bardziej chciwy niż pizańscy i weneccy kupcy razem wzięci. Muszę się liczyć z tym, że ktoś chce zapłacić za moją głowę, a suma musi być ogromna, skoro opłacało mu się przesłać Izabeli tak bogaty dar. Ten trup to znak dla mnie.

- Co zamierzasz uczynić?

- Sam jeszcze nie wiem, muszę nad tym pomyśleć. Komu aż tak może zależeć na mojej śmierci?

- Naszym baronom? Saladynowi? Ryszardowi wreszcie?

- Nie wiem. Izmailici zachowują się w tej wojnie bardzo wstrzemięźliwie, czerpiąc korzyści skąd się da i umacniając swoją pozycję. Nie będą się wikłać w niepotrzebne układy.

- Zatem kto?

- Nie wiem! Ale trzeba się mieć na baczności. Każę wzmocnić strażę w mieście i wokół mej siedziby. Tobie też to doradzam.

VI

Al-Adil uważnie przyglądał się twarzy niewiernego. W niebieskich oczach można było wyczytać przygnębienie i rezygnację.

- Nic z tego, ibn Suan? Nie przypomniała sobie?

- Nie wiem, książę. Przez chwilę wydawało mi się, że wzrok jej przytomnieje, lecz zaraz znowu opuściła głowę i zaczęła nucić tę swoją piosenkę.

- To kołysanka. Taką samą śpiewała mi w dzieciństwie matka... - Malik zacisnął zęby.

- A ten, kto skrzywdził Fatmę, zapewne ujdzie mojej zemsty!

- Wiesz, kim on jest, panie?

- Wiem. Salah ad-Din w końcu mi powiedział, chociaż nie poznałem jeszcze wszystkich okoliczności. Jednakże to, co wiem, wystarczy, by zważyć, czy świat dookoła jest rzeczywiście taki, jakim go widzimy.

Zapadło milczenie.

Giaur przerwał je po chwili: - To, co zaatakowało nas na pustyni... Czy wiesz, panie, co to było?

- A kto może dokładnie wiedzieć takie rzeczy? Jakiś ifryt. Demony są istotami nieodgadnionymi. Tam mieliśmy do czynienia z potężnym duchem. Tak sędzę, nie wiem! Myślisz, że kiedykolwiek w życiu widziałem coś podobnego?! Ciekawi mnie tylko, czy z tych, co zostali, ktoś przeżył.

Ibn Suan obliznął wargi. - Kiedy pędziliśmy, żeby ująć jak najdalej od niebezpieczeństwa, nie wytrzymałem, by się nie obejrzeć. Dziękuj Bogu, panie, że byłeś wówczas nieprzytomny. Widziałem, jak potwór zatrzymał swój lot nad obozem, aby pastwić się nad ludźmi... Powtarzam, ciesz się, książę, żeś był bez zmysłów. Słyszałem krzyk mordowanych... Powiadam ci, czegoś takiego nigdy się nie zapomina! Stamtąd nie mogła ująć żywa noga.

- Widzę wilgoć w twoich oczach - stwierdził ze zdumieniem Malik. - Czyżbyś żałował moich żołnierzy, tych, których nazywacie niewiernymi, poganami albo zgoła dziećmi Beliala?

- To byli dzielni wojownicy - rzekł cicho ibn Suan. - Umierali, by ratować ciebie i sultana. Umierali z imieniem Allaha na ustach. Kiedy przybyłem do Ziemi Świętej, wzorem moich ziomków miałem muzułmanów za stwory szatańskie. To, co opowiadają o was nasi kaznodzieje, nie mieści się w głowie. Byłem przekonany, że przyjdzie mi stawić czoło potężde piekiel, potworom w ludzkiej skórze, ludożercom wręcz...

- Nie inaczej nasi mułowie czy imamowie przedstawiają chrześcijan - uśmiechnął się al-Adil.

- Tyle we mnie było żaru - ciągnął giaur - tyle wiary, że idę służyć słusznej sprawie...

Malik słuchał. Czuł, że ten człowiek potrzebuje wyrzucić z siebie myśli, z którymi był sam przez długi czas. Niewola, nawet tak łagodna jak w jego przypadku, skłania do rozmyślań.

- Gdyby objawił mi się wtedy anioł, ani by mnie to zdumiało, ani przelękło, tak byłem przekonany o słuszności tego, co czynimy. Gdyśmy odchodzili, biskup błogosławił nas i udzielał odpustu, nie ogłoszono jednak wyprawy krzyżowej, nie zjawiły się pancerne hufce. Poszliśmy sami, tak jak staliśmy pod katedrą, do Palestyny, żeby wesprzeć naszych braci w walce z potęgą ciemności. Lecz gdy zobaczyłem, jak kupczy się imieniem Chrystusa na ziemi, po której On stąpał, jak weneccy handlarze, na których statku dotarliśmy, są tutaj bardziej poważani aniżeli prawi rycerze, pierwszy raz zwątpiłem... Potem ujrzałem rycerskich zakonników... Zamiast dbać o dostęp pielgrzymów do Grobu Jezusowego, pilnują jeno własnych korzyści, pożyczając pieniądze na wysoki procent, choć proceder taki jest przez Kościół potępiony... Widziałem jeszcze wiele rzeczy. Lecz dopiero w niewoli, obcując na co dzień z tymi, z którymi dotąd walczyłem, zrozumiałem, że ta wieczna wojna w obronie wiary niewiele ma z ową wiarą wspólnego. Że tak naprawdę bijemy się o ziemię, o władzę, złoto... A po obu stronach stoją tacy sami ludzie. Czasem wydaje mi się nawet, iż wyznajemy tego samego Boga... - zamilkł, zbierając myśli.

- Kto wie - odezwał się Malik. - Allah jest wielki, a jego łaskawość nieogarniona. Nie jestem teologiem, powiem nawet więcej: sprzeciw we mnie budzi zgłębianie boskiej natury. Mój królewski brat jest bardziej biegły w tych sprawach, ale i on, trzeba ci wiedzieć, nigdy nie potrafił mi tego wszystkiego rozsądnie wytłumaczyć. Sam ma innowierców za błądzących i współczuje im, bo są skazani na potępienie, ale widzi w nich takich samych ludzi jak prawowierni, a jałmużny nie odmawia nikomu. - Pokręcił głową. - Może to nie są sprawy, które da się rzeczowo wyjaśnić. Może Allah wcale nie chce, żebyśmy Go pojęli. Człowiek i bez tego jest dostatecznie zarozumiały.

- Jak w takim razie miałbym to wszystko zrozumieć ja, zwykły człowiek, skoro nawet

majestat książęcy zda się bezradny.

- Dla Boga nie istnieje majestat władzy, giurze. Dla niego wszyscy jesteśmy jednacy i staniemy przed nim boso, z odkrytą głową, by zdać sprawę ze swych uczynków na Ziemi. Ty, ja, sułtan, szalona Fatma... On nas osądzi i nie będzie ważne, co o nas powiedzą inni, albo czy byliśmy bogaczami, czy nędzarzami. Nie da się wkupić złotem w łaski najwyższego. Ważne będzie tylko to, co sam zobaczy w naszych duszach.

Ibn Suan patrzył na niego rozszerzonymi oczyma. - Książę, mówisz tak, jakbyś czytał Biblię, naszą świętą księgę.

Al-Adil zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Mówię tylko, czego naucza Koran. A może wszystkie święte księgi przekazują to samo? Ile ich zgłębiłeś w ciągu życia? Właśnie.

Tak naprawdę żadnej, nawet waszej Biblii. A może po prostu to, co zapisano w tych księgach, istnieje samo z siebie w każdym z nas i wystarczy tylko nad tym odrobinę pomyśleć?

Zapadła cisza. Al-Adil zdał sobie nagle sprawę, że rozmawia z tym oto niewiernym, jak nie rozmawiał do tej pory w życiu z nikim, nawet z bratem.

- Jest coś w tobie, ibn Suanie - stwierdził - co sprawia, że już nie potrafisz nienawidzić chrześcijan tak jak przedtem, zanim cię poznałem. Miał jednak słuszość Madżm ad-Din, nasz ojciec, kiedy powtarzał, że wróg twój pozostaje prawdziwym wrogiem tylko do chwili, w której zasiądziesz z nim przy wspólnym stole i zamienisz chociaż kilka słów.

- Co będzie z księżniczką, panie?

Malik rozłożył ręce. - A cóż mamy z nią uczynić? Zostanie przy nas. To był wielki błąd, że Jusuf pozwolił jej brać udział w naszych wyprawach... Błędem było, iż w ogóle pozwolił jej opuścić Bagdad. Obaj żywiliśmy do niej zbyt słabość, spełniając jej zachcianki.

- Wybacz, książę, śmiałe słowa, ale trudno nie mieć słabości dla księżniczki Fatmy.

- Ty to wiesz najlepiej - roześmiał się Malik. - W końcu zawdzięczasz jej życie, a przynajmniej to, że kilka istotnych dla ciebie części ciała pozostało na swoim miejscu. - Spoważniał i zamyślił się. - W tym wszystkim tkwi straszna tajemnica. Jest tak okropna, że sułtan przez kilka dni nie chciał o niej rozmawiać, nawet ze mną. Od al-Hadžiba wyszedł słaniając się na nogach. Mułłę, który przywiódł Fatmę, kazał zgładzić, zanim zdążyłem go przesłuchać. Wierz mi, giurze, bardzo mnie to niepokoi.

Ibn Suan słuchał z zainteresowaniem. Po raz pierwszy dostrzegł w dumnym i wyniosłym Maliku zwykłego człowieka.

Książę uśmiechnął się. - Dziwi cię zapewne, że rozmawiam tak otwarcie? Zapewniam,

iz nie ośmieliłbym się zwierzać ze swych wątpliwości komuś z moich poddanych.

Oni muszą widzieć we mnie i moim bracie potęgę, niepodważalną i niekwestionowaną. Oczekują od nas nieomyślności, a decyzje musimy podejmować bez chwili wahania. Będąc kilkakrotnie podczas układów gościem Ryszarda, króla Anglików, zauważyłem, że u was panują zgoła odmienne obyczaje. Wasze rycerstwo często przeciwstawia się władcy, ba, potrafi go nawet zelżyć i to często nie przejmując się jego obecnością, a jednak na czas walki jest karne i posłuszne. U nas wręcz przeciwnie: nasi wojownicy i wodzowie padają na twarz przed sułtanem, oddają mu cześć tak wielką, jakby był synem Proroka, ale w potrzebie bywają niekarni, porywcy i nadzwyczaj często lekceważą rozkazy... Wy bardziej dostrzegacie w swoich królach i książętach zwykłych ludzi. Namaszczonych do sprawowania władzy, ale tylko ludzi. Dlatego łatwiej wam zrozumieć ich słabości. A zrozumieć oznacza wybaczyć. Dlatego właśnie z tobą rozmawiam szczerze - odchylił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło. - Szczerze! Tak powiedziałem? Powinienem rzec: na tyle, na ile jeszcze w ogóle potrafię. A możesz mi wierzyć, sam naprawdę nie wiem, czy w ogóle umiem, czy pamiętam, jak smakuje szczerłość. Władca zawsze żyje w zakłamaniu, musi łączyć wszystkim dookoła, a nawet samemu sobie. - Wstał, podszedł do drzwi. - Nie podnoś się, giaurze. Odpoczywaj. Ja muszę rozmówić się z bratem. Dla ciebie, jak mniemam, będziemy niebawem mieli pewne zadanie. Jeśli się dobrze sprawisz, odzyskasz wolność. Nie tylko wolność. Odejdiesz jako bogaty człowiek. Nie obawiaj się, nie będziesz musiał czynić nic wbrew sumieniu. Zresztą nie zrobisz tego tylko dla mnie czy sułtana. Uczynisz to dla Fatmy. Zawdzięczasz jej życie, przyszła pora odplacić za ten dar.

VII

Kurt von Landberg przechadzał się nerwowo po celi. - Ile jeszcze zamierzają nas tutaj trzymać? - Stanął przed Piotrem z Telford.

- Chcesz uzyskać odpowiedź ode mnie? - Angielski rycerz przeciągnął się leniwie. - A skąd ja miałbym to, u diabła, wiedzieć?

- To przez ciebie się tutaj znaleźliśmy - warknął Kurt. - We kto inny jak ty wywołał awanturę!

- Powtarzasz to wciąż niby poranną modlitwę. Przeze mnie czy nie, jak słusznie zauważył de Morges, i tak by nas koniec końców aresztowali. Zapomniałeś, że zanim się posprzeczailiśmy, ty rzucałeś kości, a myśmy się właśnie zamierzali do tego zabrać? Jeżeli

przez kogo tu siedzimy, to przez mężnego Jana. Wszak on dał się we znaki straży tak mocno, że tym razem przysłali chyba wszystkich ludzi jakich mieli w Askalonie! Nieprawdaż, panie de Morges? Bez tego przyszłoby pewnie góra trzech czy czterech i w dodatku udawaliby, że nic nie widzą. A gdyby nawet nie udawali, poradzilibyśmy sobie z nimi jedną ręką.

Jan uśmiechnął się. - A cóż nam mogą złego za tamto uczynić? Posiedzimy trochę w lochu i tyle. Potem staniemy przed biskupem albo nawet samym królem, a oni nas połączą i wypuszczą. Jedyne co, to zapłacimy karę.

Konrad von Wallheim jęknął ze swojego kąta. - No właśnie, tak by może i było, gdyby tylko chodziło o kości! A pobicie straży? Biskup jest bardzo czuły w tym względzie! Pewnie dlatego trzyma nas w zamknięciu już tyle dni! Zobaczycie, że tak łatwo nie wyjdziemy! I wcale nie o mnie mi się rozchodzi, bom już w lecjach i niejedno przeżyłem, ale martwię się o mego siostrzeńca Wenera. Kto to słyszał, żeby graf von Watzenrode był sądzony jak pospolity przestępca i zwykły koster! A obiecałem jego matce, że będę go pilnował - westchnął. - Ładnie upilnowałem!

Vincent poruszył się na posłaniu. - Nie martw się, panie von Wallheim, wybronimy chłopaka - spojrzął na bladą twarz młodego grafu. - Niech tylko będzie okazja, zeznamy, że nie hazardował się, a w dodatku próbował nas powstrzymać przed bójką z biskupimi sługami.

- Powstrzymać - parsknął Jan. - Widziałem, jak prasnął o ziemię pachołkiem tęgim jak dwóch najmniej Wenerów. Nie spodziewałem się, żeby w tym szczupłym ciele drzemała taka siła!

- To nie siła, panie - zarumienił się graf. - To jedna ze sztuczek, której nauczył mnie pewien wenecki marynarz. Trzeba pozwolić przeciwnikowi dojść do przekonania, że za chwilę odniesie zwycięstwo, rozluźnić ciało i kiedy tamten jest pewien, iż już będzie mógł postawić nogę na pokonanym, stawić opór, znowu ustąpić, pociągnąć go na siebie... W zasadzie sam wtedy powala się własną siłą, a im mają większą, tym boleśniej odczuje własny upadek.

- Tak - zgodził się Vincent. - Słyszałem o podobnych praktykach. Ponoć wiedza o nich pochodzi gdzieś ze wschodu, z bardzo daleka. Czy ten marynarz pływał gdzieś w tamte kraje?

Wenera wzruszył ramionami. - Z tego co mówił, nie był nigdy dalej niż w Egipcie, w delcie nilu. To bardzo młody żeglarz, zbyt krótko przebywał na morzu, by popłynąć tam, gdzie jak powiadają, żyją wielkie morskie potwory, albo i dalej... On tego wszystkiego nauczył się w czasie portowych bójek. Mawiał, że kto nie daje rady zmóc wroga siłą, musi używać podstępów.

- Ja tam wolę polegać na swojej pięści - mruknął Jan. - A kiedy wydobędę miecz, nie ma na mnie mocnych.

- A ja - zauważył kwaśnym tonem Kurt - wzdragam się na myśl, żeby używać w uczciwej walce takich zbójeckich albo zgoła pogańskich sposobów. Prawy rycerz winien stanąć naprzeciw niebezpieczeństwa i walczyć zgodnie z rycerskimi regułami.

Vincent pokręcił głową. Pewność siebie Niemca i wygłaszanie przez niego kategoriycznych osądów były strasznie irytujące. - Kiedyś sam dojdiesz do przekonania, iż czasem, aby przetrwać, trzeba się imać każdego dostępnego sposobu. To, że rycerz ucieka się do podstępów nie jest niczym złym, jeżeli nie brudzi jego sumienia.

- Możesz się nie rodzić w tej ziemi - odparł von Landberg, pogardliwie wydymając usta - ale że przesiąkłeś nią już na wskroś, to pewne. Myślisz niczym miejscowi... Albo nawet jak...

- Wy tu sobie gawędzicie o sposobach walki - przerwał Konrad - a ja cały czas myślę, co z nami będzie. Ile jeszcze przyjdzie nam siedzieć w zamknięciu!

- Nie turbuj się tak - zawołał Piotr. - Obmyśliłem doskonały sposób, żeby się z tego wybronić!

- Wuju - w tej samej chwili powiedział łagodnie Werner: - Uspokój się. Zobaczymy, co nam los przyniesie.

Los zaś w tej właśnie chwili odezwał się od drzwi zgrzytem odsuwanej żelaznej sztaby.

Stefan z Turnham przechadzał się przed ustawionymi w szeregu rycerzami. - Za stawianie oporu strażnikom oraz grę w kości powyżej ściśle wyznaczonej sumy dwudziestu su powinniście zostać surowo ukarani!

- Wybaczcie, szlachetny panie - odezwał się Piotr z Telford - ale na grze nikt nas nie przyłapał. Kiedy weszli strażnicy, właśnie zabieraliśmy się do wyjaśnienia pewnych kwestii wynikłych między nami...

Stefan skrzywił się niechętnie. - Panie Telford, zostaw swoje sztuczki na wypadek, gdybyś stanął kiedy przed prawdziwym sądem. Spójrz, tam na stole leżą dwa skórzane kubki i kości znalezione w tawernie. Na jednym z tych kubków jest twój monogram i herb. Życzysz sobie to sprawdzić czy uwierzysz mi na słowo?

- To, że posiadam te rzeczy - odparł śmiało Piotr - Nie oznacza jeszcze, iż łamię królewskie zakazy. Wziąłem je ze sobą, albowiem stanowią przypomnienie rodzinnego domu, a nie zamierzałem grać o więcej aniżeli stanowi rozporządzenie. Zaś ci strażnicy, o których

pobicie się nas oskarża... To nieporozumienie. Byliśmy przekonani, że miasto zostało wzięte podstępem przez Saracenów, a ich siepacze przyszli nas pojmać w niewolę, albo i zaszlachtować!

- To jest ten twój doskonały sposób obrony? - szturchnął go Vincent - Pysznie! Tylko go rozdrażnisz.

Stefan z Turnham westchnął ciężko. - Powtarzam, panie Telford, że twoje tłumaczenia są w tym momencie zupełnie zbędne. Skoro jednak uparłeś się twierdzić, żeś zamierzał grać o wyznaczoną prawem stawkę, mogę przedłożyć ci przed oczy ową górę złotych monet, które leżały przygotowane przy znalezionych kościach.

- Zaraz tam górę - mruknął Piotr. - Tych marnych parę dukatów...

- Za tych parę marnych dukatów można by kupić ze trzy wsie w Anglii! Mam wam rzec, ile razy ta suma przekracza wartość dwudziestu su? Lecz dość o tym. Nie jestem pewien, czy zauważyłeś, że nie stoisz ani przed biskupem, ani królem, tylko przede mną. Jednocześnie chcę wyraźnie powiedzieć, iż te przedmioty mogłyby stanowić wystarczające dowody dla najłagodniejszego i najbardziej wyrozumiałego trybunału!

- Ale... - zaczął znowu Piotr, zaraz jednak umilkł, czując na ramieniu ciężką rękę.

- Milcz już, przyjacielu - rzekł spokojnie de Morges. - Pan z Turnham chce powiedzieć coś ważnego. Jak się domyślam, proces przeciwko nam zostanie zaniechany, jeżeli spełnimy pewne warunki.

- Dzięki za wsparcie - odetchnął Stefan. - Jak widzę, pan Piotr jest dobrze zaprawiony w sądowych utarczkach, zupełnie inaczej niż ja. Żeby uciąć wszelkie wątpliwości, muszę powiedzieć jeszcze jedno. Ten kapitan straży został w zamieszaniu pchnięty nożem w bardzo wstydlive dla zbrojnego człeka miejsce. Nieszczęśnik leży teraz w lazarecie na brzuchu, klnąc was wszystkich na czym świat stoi.

- Żaden z nas tego nie zrobił - powiedział spokojnie Vincent. - To nie po rycersku...

- Wiem. Biskup też to wie, że o królu nie wspomnę. Jednakże przed sądem owo przekonanie może nie być wystarczającą okolicznością łagodzącą. Ja, szlachetni panowie, w istocie mam dla was pewną propozycję. Jeśli jej nie przyjmiecie, oczywiście nasz dowódca straży może wnieść przeciwko wam dodatkowe oskarżenie. Wówczas nie wykpicie się grzywną, a wasz pobyt w lochu niepomierne się przedłuży, nim zdołacie dowieść swojej niewinności w tej kwestii. Jeśli w ogóle zdołacie jej dowieść.

- Słuchamy twej propozycji - mruknął Konrad von Wallheim. - Bardzo chciałbym już wyjść z tej ponurej twierdzy.

- Sprawa jest delikatnej natury. Trzeba wam wiedzieć, panowie, że król Ryszard

zmuszony był udać się do Akki, gdzie wybuchły zamieszki. Pizańczycy posprzecwali się z genueńczykami, a do sprawy wmieszali się zarówno Konrad z Montferratu, jak i Gwidon Lusignan. Na dokładkę pojawił się też w mieście Hugon burgundzki. Chaos zapanował nie do opisania. Król wyruszył zaprowadzić spokój, pozostawiając na mojej głowie wszystkie sprawy, zaś przedtem jeszcze wysłał silny podjazd, gdyż pojawiły się pogłoski, iż zmierza ku nam Saladyn na czele licznej armii. Na dobitkę wojsko Saracenów podążać ma z zupełnie niespodziewanej strony, od wielkich pustyń Arabii. Otóż sprawa, jaką do was mam związana jest z tym, że nasz podjazd jeszcze nie powrócił.

Vincent przyglądał się uważnie mówiącemu, nic w jego postawie nie wskazywało na to, żeby jakoś specjalnie był zmartwiony brakiem wieści o wysłanych na rekonesans ludziach, najwyraźniej wypełniał tylko czyjeś polecenie, być może nawet samego króla Anglików.

- Jest to niepokojące. Wyruszył silny oddział złożony z doświadczonych, znających te ziemie rycerzy i żołnierzy, nie jest możliwe, by wszystkich ogarnęli Saraceni.

- Jak się domyślam, panie Turnham - Jan podrapał się po zarośniętym policzku - chcesz, żebyśmy pojechali poszukać tego zaginionego oddziału.

- Nie inaczej - Stefan zatarł ręce. - W tejsze chwili nie mam lepszych ludzi niż wy, szczególnie zaś niżli pan de Rionne i ty, panie de Morges.

- Chwileczkę - Vincent zmrużył oczy. - Jeżeli mamy szukać owego podjazdu, może się zdarzyć, że będziemy musieli jechać daleko w głąb pustyni. Ja nie jestem dość biegły, by podjąć się wprowadzenia moich towarzyszy w głębokie piaski. Sam nigdy nie wyruszałem bez miejscowych przewodników, a na południowym wschodzie nie byłem w ogóle.

Turnham skinął głową. - Dostaniecie przewodnika. Kogoś, kto sam niedawno przebył wielką pustynię. Potwierdził wieści, że Saladyn wyruszył z armią. Wie to najlepiej, gdyż zbiegł był od Saracenów. Powiada, iż trwają tam wielkie przygotowania do wojny - spojrzał bacznie na Vincenta. - To ktoś, kogo poganie wzięli do niewoli jeszcze pod Hittinem. Może się okazać, panie de Rionne, że się znacie.

- Pod Hittinem wielu poległo i wielu wpadło w pogańskie pęta. Nasza armia była potężna, nie mogłem znać wszystkich.

Stefan klasnął w dłonie. - Wprowadzić!

Wszedł wysoki, postawny mężczyzna o jasnych włosach i smagłej, spalonej słońcem twarzy. Po kolei uważnie oglądał swoich przyszłych towarzyszy wyprawy.

- Edward! - zawołał zduszonym głosem de Rionne. - Edward Swansen, jak mi Bóg miły! Wyglądasz niczym prawdziwy nomad. Gdybym cię zobaczył gdzie indziej,] pomyślałbym, żeś duch!

- Vincent - odrzekł tamten niskim, głębokim głosem. - Nie myślałem, że cię jeszcze ujrzę wśród żywych!

De Rionne otworzył ramiona. Padli sobie w objęcia.

Duszny opar wieczoru pozostał na zewnątrz. Siedzieli w piwnicznej izbie skupieni przy wspólnej ławie. Vincent patrzył z rozrzewnieniem na odzyskanego przyjaciela. - To już prawie pięć lat - podparł głowę na dłoni. - Choć wydaje się, że tamta fatalna bitwa była zaledwie wczoraj.

Edward pociągnął z dzbana. - Mnie zaś się zda, że od Hittinu upłynęły wieki. W niewoli czas dłuży się, każdy dzień jest jak miesiąc, a każdy tydzień jak rok...

De Rionne pokiwał głową. - Panowie - rzekł do pozostałych. - Byliśmy z Edwardem Swansenem niby bracia. Podobni sobie, choć on pochodzi z zimnej północy, ja ze słonecznego południa słodkiej Francji. Choć on podjął krzyż z własnej woli, a mnie zmusiły do tego burzliwe koleje losu. Choć on mógłby wrócić do ojczyzny w każdej chwili i przyjęto by go tam z otwartymi ramionami, zasię na mnie czekać może jedynie mistrz małodobry z ostrym mieczem i purpurą na szafocie, nie rozstawaliśmy się prawie nigdy, aż przyszedł dzień wielkiej bitwy, niesławnego starcia pod Hittinem. Zdawało nam się wtedy, że bez trudu zmieciemy całą potęgę Saladyna. Gdybym choć przez moment przypuszczał, jak to się skończy... nie wiem, co bym uczynił - machnął ręką. - Pewnie i tak poszedłbym walczyć!

- Straszna musi być niewola u pogan - szepnął Werner, patrząc rozszerzonymi oczami na Edwarda.

- Każda niewola jest straszna - Edward uśmiechnął się do grafa. - Czy u muzułmanów, czy u kogo innego. Dla jednego lżejsza, dla innego cięższa, zależy na jakich ludzi trafisz. Okropne to jednak uczucie, kiedy nie znasz dnia ani godziny, a każdy najpodlejszy ciura obozowy może cię zgładzić, bo taki mu przyjdzie do głowy kaprys... najmoźniejsi, jak Gwidon Lusignan, nie mieli się czego obawiać. Są zbyt cenni dla swych rodów, za takich zawsze można uzyskać wysoki okup, więc traktuje się podobnych jeńców dobrze... O tak, ci wykpiłi się łatwo... Wrócili między swoich i objęli znowu rządy.

- Nie do końca, Edwardzie - wtrącił de Morges. - Z tego co wiem, właśnie niewola u Saladyna kosztowała Gwidona koronę. Balian z Ibelinu wraz z tymi, co uszli z życiem, a zdołali uniknąć niewoli, uznali za swego przywódcę Konrada z Montferratu. Klęska pod Hittinem ma poniekąd skutki do dzisiaj, bo powiadam ci: zrą się stronnictwa między sobą nie zważając, że Saladynowi z tego korzyść... I nie w ostatku na podjudzanie owych płyną jego pieniądze.

- Gdyby pod Hittinem dowodził ktoś taki jak Ryszard - westchnął Werner. - Nie

byłoby zapewne klęski, ale wielkie zwycięstwo...

Kurt von Landberg rzucił mu kosę spojrzenie. - Gdyby żył cesarz Fryderyk, wtedy dopiero zobaczylibyście, co znaczy znamienity wódz!

- Być może - odparł de Morges. - Jednakże Barbarossa nie dotarł do Ziemi Świętej, więc nie ma nad czym deliberować. Ja za to doskonale widziałem, jak poczynił sobie j Ryszard pod Arsufem, gdy opadła nas ćma Saracenów!

- Opowiedz, panie - poprosił młody graf. - Nie było mnie tam wtedy, bom leżał złożony gorętą w Hajfie.

- Wszak już raz to opowiadałem, gdyśmy siedzieli w wieży - uśmiechnął się Jan.

- Mógłbym tego słuchać i tysiąc razy. Opowiedz, panie i de Morges. Pan Swansen też pewno chętnie posłucha.

- Mów, Janie - poparł Wenera Piotr z Telford. - Karczmarzu! Przynieś wina!

De Morges odchrząknął. - Podążaliśmy na spotkanie z siłami Saladyna. Jak bardzo ciężko było nam opuszczać Akkę, gdzie przez prawie miesiąc jedliśmy, piliśmy i bawiliśmy do syta, niech świadczy to, że wielu próbowało ukryć się gdzieś w mieście i przeczekać niespokojny czas. Król musiał nakładać dotkliwe kary, by zapobiec takim procederom. Ja przyłączyłem się do hufca księcia Burgundii. Ryszard, jak to on, przyspieszał wciąż pochód, choć gorąc był taki, iż ludzie dziesiątkami marli od słońca. Nie tylko od samego upału zresztą. Nie daj Boże było zostać nawet pół stajania za wojskiem, bo podjazdy Saracenów deptały nam po i piętach... Kto tylko oddalił się od kolumny kończył ze strzałą w plecach albo poderżniętym gardłem. Wykroczyć się nawet nie było można gdzieś na uboczu. Podążaliśmy wzdłuż wybrzeża, a statki dawały nam wsparcie ze strony morza. W środku kolumny ciągnięto wysoką wieżę ze sztandarem. Gdybyśmy się rozpierchli albo zagubili gdzie w ferworze bitki, na nią właśnie mieliśmy się kierować. Kiedy tylko dotarliśmy w pobliże Cezarei, zaczął się obłądny taniec z większymi siłami muzułmanów. Nieraz zdarzyło się komu oderwać, a wtedy błogosławił z całej duszy ową wysoko tkwiącą flagę. Saraceni nie dawali nam spokoju ani przez chwilę. Dzień w dzień musieliśmy staczać z nimi walki. Były drobne potyczki, ale też zdarzało się, iż atakowali większą liczbą, choć zawsze unikali walnej rozprawy. Wlokło się nasze wojsko noga za nogą, wznosząc tylko modły o siłę do przetrwania. Pamiętam, jak od czoła odzywało się błagalne *Sanctum Sepulchrum, adjuve*: Wspomagaj nas, Święty Grobie. Sam tak wołałem, patrząc w rozpalone nielitościwie niebiosa, choć śliny brakowało w gębie i zdawało się człeku, że kiedy rozchyli usta, wysuszone gęba na pół pęknie. Trzeba wam jeszcze wiedzieć, iż nasz hufiec szedł w samym ociągu. Mieliśmy strzec tyłów, a koniec końców wyszło raz tak, że zostaliśmy daleko za

ostatnią kolumną. Wtedy nas poganie dopadli, było ich prawdziwe mrowie! Wystawcie sobie, jakie ogarnęło mnie zdumienie, gdy zamiast uczciwej twarzy mego towarzysza, Arnulfa de Montfort, zobaczyłem obok siebie krzywy pysk jakiegoś Turka! Dostrzegłem jeszcze tylko, jak głowa nieszczęsnego Arnulfa koziółkuje w powietrzu, by upaść w pył między końskie kopyta. Otoczyła nas taka ćma Saracenów, że miałem wrażenie, jakbyśmy wpadliśmy w rój wściekłych szerszeni. Zdawało się, że są wszędzie! W szeregach powstał niepokój... Sami wiecie: od takiej ruchawki do ucieczki tylko włos... Wówczas książę stanął w strzemionach, spojrzął na wszystkie strony i jak nie ryknie na nas, żebyśmy ruszyli leniwe dupska! Zaraz skupiliśmy się w gromadę i dalejże rwać saraceńskie szyki! Sam z siedmiu albo i ośmiu tych diabłów położyłem.

- O bitwie miałeś opowiadać - ofuknął go Vincent - a nie wychwalać swoje przewagi!

- O swoich przewagach nic więcej nie powiem - odparł z godnością Jan - bo za chwilę oberwałem z tyłu toporem. Dobrze, że szłom miałem przedni, bo byście mnie dziś nie oglądali. Towarzysze unieśli mnie ze zgiełku, ale we łbie huczało mi potem przez tydzień - pociągnął z dzbana tęgi łyk. - Powiem o samej bitwie. To była sobota rano. Dwa dni wcześniej przyjechał do obozu brat Saladyna, Malik, którego nasi nazywają Safadynem. Rozmawiał z Ryszardem pod flagą rozejmową. Krótco to trwało. Król ponoć od razu zażądał oddania mu we władanie całej Palestyny, na co Saracen tylko odburknął grubym słowem i odjechał. Tego i następnego dnia Ryszard słał podjazdy, pilnie śledząc ruchy muzułmanów. Jak już rzekłem, zaczęło się w sobotę. Tabory stanęły za liniami, wzdłuż morskiego brzegu. Osłaniał je Henryk z Szampanii, któremu król przydał trochę piechoty. Całe rycerstwo rozmieściło się za szeregami łuczników i kuszników. I tak na prawe skrzydło poszli świątynnicy, znaczy templariusze, potem Bretończycy, dalej rycerze z Anjou i ludzie Lusignanów. W środku oczywiście sam Ryszard z Francuzami i normandami, następnie Flamandowie, obok wojsko miejscowych pod Jakubem z Avesnes i wreszcie nasz hufiec. Lewą flankę ubezpieczali zakonnicy od świętego Jana... Tak właśnie... Jak wszystko w tej ziemi, tak i owa wielka bitwa nie mogła się odbyć bez wojsk zakonnych. Na jednym skrzydle templariusze, na drugim joannici. Gdyśmy już się rządnie ustawili, król razem z moim księciem przejrzeni dokładnie szyki, dodając nam ducha. A my czekaliśmy, aż poganie przypuszczą atak. Poszli wreszcie przed samym południem, w pierw lekkimi siłami, jak to oni, żeby nas cokolwiek zmiękczyć. Wiecie wszak, jak straszliwie wrzeszczą ci ich czarnoskórzy wojownicy. Ledwo to ma w ręce byle jaką włócznię, co niewiele więcej szkody uczyni rycerzowi niżli żądło komara, ale wydziera się, jakby skórę z człowieka potrafił złupić od jednego ciosu. Zasyпали nas deszczem strzał. Piechocińcy to i owszem, zmieszali się

niepomału, jeno zaraz setnicy przywołali ich do porządku, tamci zaś cofnęli się widząc, iż nam w tęgich zbrojach śmiać się tylko z ich pocisków. Już myślałem, iż nie doczekamy znowu porządnej bitki, że jak tyle razy przedtem postraszą i uciekną, jednakże naraz zjawiała się ichnia jazda i dalejże do szarży! Tak i nasi łucznicy wypuścili swoje strzały taką gęstwą, że w ten piekielny upał cień choć na moment padł na ziemię, a potem skryli za konnicę. Saraceni upadali, mieszały szyki, ale dobry to był żołnierz. Opamiętali się w mgnieniu oka, przypadli do naszych szeregów i jęli szarpać, ze szczególną zaciekłością szpitalników i Flamandów. Strasznie się na nich zawzięli!

- Widziałem to - mruknął Konrad von Wallheim. - Stałem wśród Flamandów i widziałem, jak jeden za drugim gnają posłańcy wielkiego mistrza joannitów, prosząc, by Ryszard rozpoczął atak. A on tylko patrzył, jakby nie dostrzegał, co się dzieje.

- Nie inaczej - przytaknął Jan. - Nawet pomyślałem, że znowu dopadła go słabość. Wszak nie tak dawno chorował. Lecz nie. Patrzyłem w tamtą stronę i widziałem: odprawiał ludzi szpitalników, aż wreszcie zbiesił się, jak to tylko on potrafi, i jednym gniewnym ciosem zmiotł z konia kolejnego posłańca. Przysiągłbym, iż słyszę jego krzyk: „Macie się utrzymać!”, choć zgiełk panował taki, że nie wiedział, co mówi do mnie towarzysz obok.

- A joannici szczerbili się z Saracenami - wtrącił znowu von Wallheim. - Szedł tam cios za cios, trup padał na trupie. Widać było, że ledwie się trzymają w karbach, żeby nie uderzyć na wroga.

- I nie wytrzymali - ciągnął de Morges. - Najpierw poszło bodaj dwóch. Spięli konie, ruszyli do przodu, a zaraz za nimi reszta. Ryszard, widząc, co się dzieje i że więcej nad gorącą krwią wojska nie zapanuje, dał znak. Jakby w nas wszystkich diabeł wstąpił. Pamiętam tyle, iż pędziłem wrzeszcząc co sił w płucach. Spojrzałem I w przód: król gnał na czele, krzycząc i pokazując mieczem, gdzie kto ma przypuścić uderzenie. Musieliśmy wyglądać jak demony, bo poganie złamali szyki i rzucili się do ucieczki.

- Wyglądaliście jak demony - odezwał się Swansen. - Słyszałem, jak wojownicy Saladyna rozmawiają o tej bitwie. Przysięgali, że widzieli pośród krzyżowców wielkiego gorejącego potwora, który rzucił się na nich z wściekłym rykiem. Mówili, iż król Franków musi być wielkim czarownikiem, skoro potrafi wezwać moce piekielne na swoją służbę.

- Czego to imaginacja ludzka nie wymyśli ze strachu. A tego demona zobaczyli zapewne wtedy, kiedy zwyczajnie zajęła się ogniem nasza wieża ze sztandarem. Pachołkowie ugasili ją zaraz, ale płomień rzeczywiście mógł być widoczny.

- Nie wiem, Janie, wieża czy nie wieża. Tyle powiem, że musiało to być coś więcej. Oni naprawdę widzieli w was demony!

- To pewnie dlatego - stwierdził Vincent - ich następna szarża była taka mizerna. Upadł w nich duch. A przecież wcale nie ponieśli wielkich strat. My za to byliśmy wymęczeni tak, że każdy tylko patrzył gdzie się położyć... Mogli nas wziąć jednym uderzeniem. Lecz gdy Saladyn pozbiierał wreszcie swoje wojsko, nie miał już chyba serca do walki.

- Jak było, tak było, a najważniejsze, że odziliśmy pole, zaś Saraceni musieli ustąpić - de Morges spojrzał uważnie na Swansena. - Powiedz lepiej, jak zdołałeś im uciec.

Edward uśmiechnął się lekko. - Wikingu, powiadasz... Rzeczywiście tak mnie nazywano - zerknął na Wenera. - To przez moje północne pochodzenie. Już zapomniano w nadmorskich krajach o grozie, jaką Normanowie niegdyś budzili, a jednak zbójce miano przetrwało... Zaś co do ucieczki, nie ma o czym opowiadać. Od dawna czekałem na okazję. Przebywałem akurat w Krak de Montreal, kiedy Saladyn nakazał zgromadzić tam większą część armii. Również dom człowieka, u którego przebywałem, został zajęty na potrzeby wojska. Po prostu skorzystałem z zamieszania, jakie powstało przy rozlokowywaniu oddziałów w mieście.

- Nie ścigali cię?

- Ścigali, a jakże. Jednakże okazałem się szybszy. I sprytniejszy. Zresztą gdy dotarłem na nasze ziemie, musieli zaprzestać pościgu - spoważniał nagle. - Miałem w tym wszystkim dużo szczęścia...

- Wypijmy za to szczęście!

Jan de Morges powstał, w ślad za nim pozostali.

- Wypijmy za naszą wyprawę - powiedział cicho Werner.

- To przy następnym toaście, młodzieńcze! Po kolei. Noc jest długa. Zdążymy wychylić kielichy za nas wszystkich, naszych królów i rodziny po najdalsze przeszłe i przyszłe pokolenia! Karczmarzu, więcej wina!

Vincent nagle odwrócił głowę. W kącie dostrzegł ruch. Kto może się ukrywać poza kręgiem światła? Czy ta postać nie wygląda znajomo? Przeszedł go dreszcz. Czyżby to był... Wstał i przeszedł kilka kroków w tamtą stronę.

- De Rionne - zawołał podochocony Konrad von Wallheim. - Gdzie idziesz? Czyżbyś chciał się zaszyć z dala od nas? Czujemy się urażeni!

- Tak jest - przyświadczył Piotr. - Czujemy się urażeni.

- Zaraz - mruknął Vincent.

Szybko wyszedł poza blask kaganków. Pusto. Odetchnął z ulgą. Zatem to tylko złudzenie. Wrócił do towarzyszy.

- Dziwnie się zachowujesz, przyjacielu. - Jan de Morges podał mu kubek z mocnym winem. - Zapomnij o troskach. Lepiej się napij. Dzisiaj chcę się poczuć jak dawniej, gdyśmy pospołu opróżniali kielichy w słodkiej Francji, zanim... - przerwał widząc wyraz twarzy Vincenta. - A zresztą, nie będziemy wspominać przeszłości!

- A potem, moi panowie - oświadczył Kurt - zapraszam do mnie!

- Czy jednak twoja małżonka nie będzie miała nic przeciwko tak późnej wizycie?

Von Landberg dumnie uniósł głowę.

- Wiem, że różne bywają obyczaje, ale w moim domu rządzą ja!

VIII

Zmięty w kulę pergamin pofrunął prosto na rozżarzone węgle.

- Panu Konradowi zdaje się, że jest nietykalny!

Siwy mężczyzna o pomarszczonej, ogorzałej twarzy patrzył nieruchomym wzrokiem na płonący dokument.

- Pan Konrad z Montferratu jest przekonany, że nie czeka go z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. Jego zdaniem gniew mój wywołał rabunkiem i zabójstwem marynarzy. Nie bierze, zdaje się, pod uwagę innych sił, które są mu o wiele bardziej nieprzychylnie niż ja.

- Zwrócił wzrok na młodego wojownika stojącego przy drzwiach. - Podejdz, Mehmet. Nie mam ochoty krzyczeć do ciebie przez całą długość pokoju!

- Mój pan rozkaże?

- Co o tym sądzisz?

- Wszak spodziewałeś się właśnie takiej odpowiedzi, prawda szejku? Przewidziałeś, że Konrad postąpi właśnie w ten sposób.

Starzec uśmiechnął się. Jego twarz przybrała przy tym niepokojący, drapieżny wyraz. To tak, pomyślał Mehmet, jak ujrzeć uśmiech jastrzębia...

- Oczywiście, mój chłopcze. Inaczej postąpić nie mógł. Kie może mi zwrócić tych, których nie ma, skoro wszystkich kazał zabić... - Nagle twarz mu zmierzchła, pojawił się na niej wyraz bólu.

- Tak, szejku - odezwał się Mehmet. - Rozkazał utopić nawet twojego syna!

Sinan drgnął. - Wszyscy jesteście moimi dziećmi. Nie mam żalu, że Hassan zginął. Kazałem go wyszkolić jak wszystkich innych, więc gdyby była taka potrzeba, bez zastanowienia poszedłby ze śmiertelną misją. Izmailita nie może się wahać. Boli mnie, że zginął on i jego towarzysze tak bez celu, bez sławy. Ale może jego śmierć jeszcze na coś się przyda. Tego nigdy nie wiadomo - starzec wskazał Mehmetowi miejsce naprzeciw siebie.

Wojownik spoczął na poduszkach. - Miałem wieści od naszych italskich przyjaciół z faktorii w Tyrze - rzekł. - Do Masjafu podąży dwóch ludzi. Wysłał ich Konrad z poufnym zadaniem. Chce, by mieli na mnie baczenie. To zgadza się z moją ostatnią wizją, zatem musi być prawdą. Głupiec! Uważa, że można mnie odnaleźć w tym mieście - zamilkł, patrząc jak popiół z pergaminu rozwiewa się po całym palenisku, niesiony gorącymi strugami powietrza.

- Zapal nargile, chłopcze. Przekażę ci dokładne rozkazy. Sięgnął za plecy, przysunął bulgoczące naczynie bliżej rozmówcy. Mehmet wziął szczypce, podjął z paleniska malinowy od żaru węgielek. Po chwili obaj zaciągnęli się aromatycznym dymem. Pomieszczenie wypełnił gęsty opar. Blask ognia przygasł, a nad posadzką zatańczyły niewyraźne cienie. Podłużne pasma dymu rozpełzły się po komnacie, splatając w pierwsze, skomplikowane wzory.

- Czy widzisz to już, Mehmet? - rozległ się głos Starca.

- Widzę, mój panie.

- Czy pojmujesz, czego od ciebie oczekuję?

- Przypuszczałem, szejku, że najpierw każesz zabić tych dwóch szpiegów.

- Oni nie są groźni. Zapamiętaj: wróg, o którym wiemy, gdzie przebywa, przestaje być prawdziwym zagrożeniem. Powtarzam pytanie: Pojmujesz, czego od ciebie żądam?

- Pojmuję, panie!

- Idź zatem, dobierz sobie towarzysza i ruszajcie.

- Słucham i jestem posłuszny...

Narkotyczny opar rozwiął się. Wraz z dymem zniknął również młody wojownik.

Sinan opadł ciężko na posłanie.

Coraz trudniej przychodzi zmagania z haszyszem. Coraz ciężiej otrząsnąć się z wizji, niebawem może nadejść czas, że - jak jego poprzednik - pograży się bez reszty w kuszącym świecie ciężkiego dymu, a wtedy ktoś przyśle wyszkolonego specjalnie na tę okazję asasyna. Cóż, tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie oddać władzę, a czy odbierze ją śmierć, czy wyciągną po nią ręce inni... Różnica niewielka.

Rozejrzał się po komnacie. - Odejdźcie, cienie - mruknął. - Jeszcze nie czas. Zbyt wiele muszę dokonać, żeby skusiły mnie wasze rozkosze. Dopiero potem oddam się wam we władanie. Wówczas możecie zabrać moją duszę i uczynić z nią, co się wam spodoba... - przez chwilę milczał, nadstawiając uszu, jakby wsłuchiwał się w czyjś głos. - Nie ma Boga prócz Allaha! - zaśmiał się zgrzytliwie. - Kto z was to powiedział? A może nie ma także Allaha! Może nie ma żadnego Boga, a jest jedynie haszysz, nie nauczyłyście się tego jeszcze, głupie zjawy? Nie wiecie, że przy życiu utrzymuje was tylko jego dym w moich ustach? - Zgasił

nargile. - Dajcie mi teraz spokój. Chcę zasnąć...

Patrzył, jak zjawy ulatniają się wraz z oparami narkotyku. Tylko tam, w rogu pokoju, gdzie łuczywo rzuca niepewny złotawy poblask... - Czego chcesz? Nie słyszałeś? Kazałem wam odejść! Kim jesteś?

W świetle pochodni widział wyraźnie potężną postać niemłodego wojownika. - Nie należysz do tego świata... Lecz skąd przybywasz? Jasna cera, która nigdy nie doświadczyła prawdziwego skwaru ni wiatru pustyni... Frankoński strój, różny jednak od tego, jakie zwykli nosić tutejsi chrześcijanie czy krzyżowcy... Kim jesteś? Skąd jesteś?

Zjawa milczała, na Starca z Gór patrzyły przenikliwe, przepastne oczy.

- Nie byłeś za życia dobrym człowiekiem - złożył palce od uroku. - Widzę w twym spojrzeniu. Tylko zły duch ma tak pusty wzrok. W imię Chrystusa, Allaha czy któregośkolwiek innego boga, rozkazuję ci odejść! Nie potrzebuję cię!

Widział, jak powoli, jakby z wielką niechęcią, postać rozwiewa się w dusznym powietrzu. - Zbyt gęsto się robi wkoło mnie. - Szejk pokiwał głową. - Trzeba się przenieść z powrotem do Al Kahf. Może górskie powietrze wywieje z duszy trujące opary... Coś niedobrego nadciąga z południowego wschodu. Jakieś ciemne moce zbierają się na bezkresnych pustyniach Arabii. Wizje są ostatnio mętne i nasycone obrzydliwym odorem ludzkiego przerażenia - otrząsnął się. Działanie złych mocy nie musi stanowić zagrożenia właśnie dla niego. Trzeba raczej myśleć, jak wykorzystać zamęt do własnych celów.

IX

Malik al-Adil czekał z niecierpliwością na pojawienie się brata. Wreszcie Saladyn stanął w drzwiach. - Wysłałeś swojego człowieka? - spytał, podchodząc do trójnogu z płonącymi węglami ustawionego pośrodku sali. Wyciągnął dłonie, aby ciepłe powietrze owiało je przyjaznym dotykiem.

- Wysłałem, Jusuf...

- Masz do niego zaufanie? To tylko giaur.

- Mam.

- To dobrze, Maliku. To dobrze...

Al-Adil patrzył na sułtana z troską. Dzień taki gorący, że trudno wytrzymać, a on grzeje ręce, jakby przebywali mroźną nocą w głębi pustyni, gdzie dzienny upał zamienia się gwałtownie w oszroniony chłód.

- Jesteś chory, bracie?

Saladyn uniósł wzrok. Na Malika spojrzwały zmęczone, otoczone sinymi kręgami oczy.

Gdzie się podziela wspaniała królewska postawa? W przygarbionych plecach, opuszczonych ramionach znać było wielkie znużenie.

- To nie choroba. Wiesz przecież, że choć przekroczyłem pięćdziesiątkę, zwawy byłem i sprawny... niejeden młodzieniec mógłby mi pozazdrościć. Właśnie... Byłem... Dziś czuję się, jakby Allah dołożył mi jeszcze ze trzy dziesiątki lat... - zapatrzył się w pełgające po przepalonym, siwym drewnie płomyki. - Zresztą, chyba w istocie tak się stało. Do tej pory żądałem ofiar od innych. Od wojowników, dowódców, emirów... Teraz przyszedł czas złożyć ofiarę z samego siebie, niebawem umrę.

- Co ty mówisz, bracie?! Nie możesz umrzeć! Co się nagle wydarzyło? Rozmawiałeś z al-Hadžibem. Czy on ci to przepowiedział? Wiesz wszak, że przewidywania, nawet tak świętego męża, nie muszą się sprawdzić!

Saladyn pokręcił głową. - To nie przepowiednie. Ja... widzisz... musiałem uczynić coś, co sprawiło, że pozostał mi co najwyżej rok życia.

Malik poczuł lodowaty chłód pełzający od stóp, zupełnie jakby udzieliło mu się zimno, które najwyraźniej odczuwał sułtan. - Jak to? - szepnął. - Jak to możliwe?

- Wiesz dobrze, że czcigodny mędrzec dotarł do Jerozolimy prawie umierający. Widziałeś go.

- Widziałem, lecz mówiłeś, że czuje się lepiej.

- Wyprawa na pustynię, kiedy mnie poszukiwał, bardzo nadwątlila jego siły. To przecież starzec. Powiadają, że pamięta jeszcze pierwszych krzyżowców, a oni przybyli bez mała sto lat temu.

- Jest tak stary i pomarszczony, że mogę w to uwierzyć - mruknął Malik.

Saladyn uśmiechnął się smutno. - Był już tak wycieńczony, że potrzebował, aby ktoś... Rozumiesz? Jak w tej baśni, w której matka oddaje ostatnie tchnienie, by jej syn mógł przeżyć.

Al-Adil zbladł. Nie chciał wierzyć w to, co wbrew rozsądkowi podpowiadał mu umysł. - Jusuf, co ty zrobiłeś?!

- Uznałem, że al-Hadžib jest teraz potrzebniejszy niż ja. Ma do spełnienia niesłychanie ważne zadanie. Ważniejsze niż moje życie.

- Oddałeś mu lata, które ci jeszcze pozostały?!

- Musiałem...

- Trzeba było rzec choć słowo! Ja oddałbym siebie!

- Ty też jesteś potrzebniejszy niż ja. To znaczy będziesz. Twoje dobre stosunki z Frankami mogą w pewnej chwili okazać się cenniejsze niż wszystko inne, a wielki mir jaki

ja mam wśród naszych ludów stanie się także twoim udziałem, jeśli tylko zechcesz.

Malik zagryzł wargi. - Oddałeś mu więc życie... Nie myślałem, że coś takiego jest możliwe.

- Ja też. Jednakże w ciągu ostatnich dni przekonałem się, jak mój trzeźwy osąd i przeświadczenie, że wszystko da się wyjaśnić rozumem, w istocie rzeczy niewiele stały się warte. Tak czy inaczej pozostał mi najwyżej rok, bym mógł dopełnić spraw.

Malik poderwał się.

- Idę do niego! Niech bierze moje lata, a twoje pozostawi przy tobie!

- Nigdzie nie pójdziesz, bracie! Zabraniam ci.

- Moje uszy pozostają głuche na twe słowa!

- Al-Hadžib może nie zechcieć z tobą rozmawiać. Jest bardzo zajęty.

Al-Adil zgrzytnął zębami.

- Jeżeli nie zechce, każę go zgładzić i niech szejtan bierze wszystko!

Wypadł z komnaty zanim sułtan zdążył cokolwiek rzec.

- Doskonale wyglądasz, czcigodny mędrze - wycedził Malik. - O wiele lepiej niż przy naszym ostatnim spotkaniu.

- Usiłował zapomnieć o tym, co zobaczył, kiedy wtargnął do izby zajmowanej przez al-Madžiba. Strach zastąpił złością.

- To zasługa jego wysokości - odparł starzec.

- Wiem! I żądam...

Zamilkł pod wpływem przenikliwego spojrzenia wodnistych ze starości, lecz bystrych jeszcze oczu.

- Proszę, czcigodny, oddaj życie memu bratu, a weź w zamian moje.

- Nie mogę, chłopcze.

Malik się wzdrygnął. Chłopcze? Nikt nie ośmielił się tak do niego powiedzieć, odkąd umarł ojciec. Jednak w tej chwili stłumił w sobie gniew. - Skoro mogłeś zabrać, możesz oddać!

- Zrozum, Murisz, tak zdecydował twój brat.

Malik znowu drgnął. Murisz... Biały Gołąbku... Tylko jedna osoba w życiu tak go nazywała... Kim jest ten staruch, że wie takie rzeczy?

- Nie da się złożyć na powrót raz stłuczonego dzbana - ciągnął mędrzec. - Zawsze już będzie z niego wyciekała woda. Tak samo nie można zwrócić raz podarowanych komuś lat... Gdybym mógł tego uniknąć, gdyby to zależało tylko od mojego poświęcenia, przecież nie

popelniałbym podobnego uczynku. Ale taka jest konieczność. Beze mnie czeka nas wszystkich zagłada.

- Bez Jusufa również! To jego zważ Szczodrość Wiary! To on potrafił zjednoczyć skłócone plemiona, odzyskać ziemię i stawić czoło najeźdźcom!

- Powtarzam, że decyzję podjął sam sułtan.

- Czy nie mógł się poświęcić ktokolwiek inny? Sługa, żołnierz, niewolnik wreszcie?!

- Mógł. Lecz Salah ad-Din w swojej szlachetności uznał, że nawet najmarniejszy człek nie może odpowiadać za grzech, który zhańbił wasz ród!

Malik milczał, a starzec kontynuował: - Gdybym nie stracił tylu sił brnąc przez pustynię, mógłbym mu pozostawić nieco więcej czasu, jednak...

- Trzeba było go szukać na latającym dywanie! Musisz mieć więcej mocy niż mówisz! Przed chwilą sam widziałem.

Abd al-Hadžib uśmiechnął się. - Co widziałeś? Jedynie to, iż unoszę się kilka stóp nad ziemią. To, moje dziecko, tylko skutek tego, co czynię w istocie rzeczy. Zadanie, jakie przede mną Allah postawił, wymaga sił, których nie mogę znaleźć u siebie. Muszę korzystać z pomocy i poświęcenia innych... A trzeba ci wiedzieć, że i ze mnie podarowane życie uchodzi jak ciecz z pękniętego dzbanu. Zaś cudowne dywany są tylko w baśniach.

- O ifrytach też to słyszałem!

- Sam widziałeś, że w tym wypadku jest inaczej. Uwierz mi, na tym świecie o wiele łatwiej spotkać rozszalałego demona niż niewinny latający dywan. Zachowaj swój gniew dla wrogów, Murisz. Nie trać siły na walkę z nieuniknionym. Jesteś jak napięty łuk. Wypuść strzałę w odpowiednim kierunku. - Nieoczekiwanie podszedł bardzo blisko, spojrzał księciu prosto w oczy, potem położył rękę na jego głowie i zaczął gładzić włosy.

Malik w pierwszym odruchu chciał strącić pomarszczoną dłoń i wydobyć sztylet. Nikt nie waży się bez pozwolenia zbliżać do człowieka królewskiej krwi! Za taką poufałość kara może być tylko jedna! Lecz w dotyku starca było coś, co natychmiast poskromiło gniew.

- Dzielny Murisz - zamruczał. - Porywczy i szlachetny jak zawsze.

- Skąd znasz to imię? Tylko matka tak do mnie mówiła...

- Wiem o wielu sprawach, które dla innych są osnute mgłą tajemnicy i zapomnienia. Zaufaj mi, chłopcze, tak jak zaufał twój brat.

Książe niespodziewanie i wbrew sobie poczuł ogarniający go spokój. Niesamowite, nieoczekiwane uczucie, jakiego nie doświadczył od bardzo wielu lat.

Saladyn siedział zamyślony. Zdawało się, że nie zwrócił na brata najmniejszej uwagi.

Wpatrywał się w kąt, w którym struga światła przecinała na pół zalegający w nim cień.

- Nie da się złożyć na powrót roztrzaskanego dzbana, prawda? - zapytał cicho.

- Nie da - westchnął Malik.

- A za mną już chodzi śmierć... Widziałem ją w tamtym mrocznym zaułku komnaty.

Patrzyła mi w oczy jasnymi źrenicami niewiernego. Powiedz, bracie, czy wierzysz, że oni naprawdę są wysłannikami diabłów, jak chcą nasi święci mężowie?

- Nie wiem, Jusuf. I choć noszę imię anioła, który strzeże bram piekła, nie potrafię na to odpowiedzieć. Wiem jednak, że ich duchowni nie inaczej powiadają o nas. Obie strony oskarżają się nawzajem o korszachy ze Złym. Z tego rozsądny człowiek może wysnuć tylko jeden wniosek. Taki mianowicie, iż mieszanie do naszych zmagania mocy niebieskich czy piekielnych nie ma większego sensu.

- Rozsądna myśl - szepnął Saladyn. - Ale gdzie szukać rozsądku na tym świecie? Może to my właśnie jesteśmy sługami szejtana, jak chce ten ich nowy prorok Joachim, może prawdziwe imię naszego pana brzmi Azazel? Czy to możliwe, by nasz ród począł się z nasienia piekielnego i był przeklęty od zarania?

Malik zerknął z niepokojem na twarz brata. Saladyn przez cały czas wpatrywał się w ciemny kąt. Czyżby ogarniało go szaleństwo? - Czy ta postać, o której mówiłeś, nadal gdzieś tam tkwi?

Sułtan potrząsnął głową. - Nie. Odeszła już. Zresztą pewnie to tylko złudzenie. Wyglądała jak frankoński rycerz w takich szatach, w jakich przybywają na statkach ze swojego kraju, zanim zrozumieją, o ile praktyczniejsze są miejscowe stroje. - Wstał, rozprostował ramiona. W zgasłych oczach pojawił się dawny blask. - Pora zająć się sprawami państwowymi. Nie będę przecież siedział i jęczał niczym stara kobieta! Czy pożyję jeszcze rok, czy wiek, mam wiele do zrobienia, więc zwlekać byłoby grzechem. - Rozejrzył się po pomieszczeniu. - Każ odsłonić okna, zgasić i wymieść palenisko, a dowódcy i emirowie mają się stawić z raportami.

Malik uśmiechnął się. Saladyn był bardzo podobny do ojca. Nawet największe życiowe przeciwności nie były go w stanie załamać. Choćby to było nawet widmo śmierci.

X

- Oto dom, w którym mieszkam! - Von Landberg zatoczył się, uderzając czołem w drzwi. Zabębnił w nie pięścią. - Za moment poznacie moją słodką małżonkę, Gertrudę. - Przez chwilę patrzył na kutą klamkę, zdziwiony, że nie poruszyła jej posłuszna ręka odźwiernego. - Truda! - wrzasnął. - Truda! Twój ukochany mąż wrócił! Otwierajże któryś,

darmozjady, bo jak wpadnę w gniew, paździerze z was pójda!

Dał się słyszeć tupot, po chwili zgrzytnął zamek. Kurt zatarł ręce z radości. - Zaraz ugościmy się jak szlachetnie urodzonym przystoi. To ty, Meiko? Pospiesz się, durniu, czego tak zwlekasz? Pewnieś znowu pijany jak bela!

Klucz się przekręcił. Lecz w tym momencie z głębi domu dobiegł niewieści głos: - Meiko, durniu jeden, ani się waż otwierać! Cała służba do łóżek, ale już! Kto usłucha tego nicponia, mojego męża, wybatożyć każe!

Zasuwa natychmiast wróciła w poprzednie położenie.

- Truda, przyprowadziłem gości! - krzyknął von Landberg. - Nie rób scen, otwieraj!

Z okna wychyliła się zażywna kobieca twarz okolona koroną czepeca. - A idź ty razem ze swymi obwiesiami chlać wińsko gdzie indziej!

- Niewiasto! - zawołał groźnie Kurt. - Nie żadni to obwiesie, a prawi rycerze, jako to pan de Rionne, pan de Mo... - umilkł, gdyż Jan pociągnął go za rękaw.

- Daj lepiej spokój. I nie wykrzykuj naszych imion na całą okolicę! Nie chce nas twoja żonka wpuścić, to pójdźmy stąd...

- O nie - zaperzył się Niemiec. - Słodka Gertruda nie tylko nas za chwilę wpuści, ale każe przygotować najlepsze dania, kiedy dowie się, jakie jej męża już spotkały i spotkają niebawem przygody!

- Słodka Gertruda - głos pani von Landberg ociekał jadem - nie miała o swoim dzielnym małżonku wieści od bodaj dwóch tygodni. Gdzieżeś się włóczył, łajdaku?! Ileś przez ten czas wychędożył ulicznych dziewczek?

- Moja żono, wpuść nas, wtedy wszystko wyjaśnię. Nie będę wszak prawil o poufnych sprawach na ulicy. Tyle ci rzeknę, że otrzymaliśmy z tymi tu panami wielce ważną misję od samego króla.

- Zamilcz już! - szturchnął go Vincent. - Po co wszyscy mają wiedzieć...

Przerwał mu wściekły głos Gertrudy: - Misję, podwikarzu zatracony? Myślisz, że cię nie znam? Wiem, jaka to misja! Znalazłeś sobie znowu kochanicę! Kto to był tym razem: Ormianka czy Greczynka? Pewnie porzuciła cię, gdy spostrzegła, jaki to z ciebie niewczesny ogier, mocny w pysku, nie zasię w lędźwiach!

Von Landberg skulił się, jakby ktoś smagnął go batem. - Cichaj już, najmilsza. Wpuść mnie, to porozmawiamy...

- Z ladacznicami idź gadaj, bo pewnikiem od nich wszyscy wracacie, ty i twoi szlachetni, tfu!, towarzysze! W którym zamtuzie byliście, obrzydli pieczeniarze, trutnie nic niewarte?! A tu, podczas kiedy wy się po burdelach i karczmach włóczycie, rycerstwo w pole

rusza krew za wiarę przelewać!

- Ależ Trudo...

- Milcz, ty nicponiu! A ostrzegła mnie macierz przed tobą, jenom jej słuchać nie chciała! Jesteś jak twój ojciec i dziad! Ci też jeno patrzeli, gdzie tu dzban wychylić, a cycki dziwkom namacać i pod spódnicę sięgnąć! - Głos wściekłej kobiety niósł się echem wśród budynków. Zaczęły trzaskać okiennice, pojawiały się zaspane twarze ciekawskich.

- Nie wpuścisz? - zawołał Kurt. - To drzwi wyłamie!

- A spróbuj tylko, darmożjadzie! Przywitam cię wrzątkiem lubo czekaniem! Patrzcie go, do drzwi będzie się brał! Bajsan albo Jerozolimę idź oblegać, gdy taki z ciebie zawzięty wojownik! W zamtuzie drzwi wyłam, niech ci z tego chwała będzie! Zabieraj się ze swymi opryszkami, pókim dobra!

- Chodźmy lepiej - mruknął Jan. - Strasznie krzyczy ta twoja słodka niewiasta! Niebawem pół miasta się zbiegnie jak na alarm. Toż wrzasku czyni, jakby Saraceni dom szturmowali!

Wzięli pod rękę opierającego się Kurta i oddalili w mrok, ścigani złorzeczeniami pani von Landberg.

- Tak - rzekł jakiś czas później Vincent. - Rację miałeś. Kurcie, twoja żonka bardzo nam była przychylna.

- W istocie - dorzucił Jan. - I widać od razu, kto tam u was w portkach chodzi! Prawdę nam gadałeś, że w swoim domu robisz, co chcesz. Jeno pewnikiem dopiero wtedy, kiedy cię do niego wpuszczą, co nie wydaje się wcale takie łatwe i oczywiste. Swoją drogą srogo musiałeś się już narazić słodkiej małżonce, skoro takie ma zdanie o tobie i ludziach, z którymi do niej przybywasz. Czyżbyś zazwyczaj prowadził ze sobą bandę pijanych żeglarzy?

Kurt siedział z ponurą miną. Otrzeźwiał już nieco i zaczynał cierpieć od strasznego bólu głowy. - Musicie kpić? - warknął. - Tak sobie myślę, może i miała rację Truda, że przychodzę z ludźmi podejrzanego autoramentu. Bo co ja o was właściwie wiem? Nawet o Konradzie czy Wernerze? Tyle tylko, iż siedzieliśmy razem w wieży. A to niekoniecznie dobre świadectwo.

Vincent skrzywił się. Pod wpływem wina von Landberg robił się dość sympatyczny. Gorzej jednak było, gdy zaczynał trzeźwieć.

- Niepotrzebne słowa. Kurcie - mruknął von Wallheim. Piotr nie był tak ogłędny.

- Odgryzłeś się za nasze kpiny w isticie krotochwilny, prawdziwie alemański sposób - zmrużył oczy. - Wiedz i to, że gdyby nie rozkaz i nasza wspólna wyprawa, dałbym ci teraz

w gębę aż miło!

Kurt poderwał się, lecz nie zdołał uczynić nawet kroku, bo wyrosło przed nim ogromne ciało Jana.

- Właśnie - powiedział spokojnie de Morges. - To nie było ani uprzejme, ani nawet zabawne.

Von Landberg usiadł z powrotem, zaczął masować łupiące skronie.

- A, bo zeżliłem się - mruknął. - Widzieliście, na co stać moją Trudę, a jeszcze mi dokładacie!

- Skoro wiedziałeś, jak może cię przywitać, po co nas tam ciągnąłeś?

- Miałem nadzieję, że jeśli zjawię się w towarzystwie, awantura jakoś rozejdzie się po kościach. Że się baba nie odważy pyszczyć przy obcych rycerzach.

Vincent pokręcił z niedowierzaniem głową. - Tak jakbyś nie znał kobiet... Nie wiesz, że wściekłość niewieścia gorsza bywa niżli szarża Saracenów na rozszalałych wielbłądach? Toż zapewne nawet nasz młody graf pojmuje takie sprawy. Mylę się, Wernerze? Watzenrode zaczerwienił się.

- Daj pan spokój, panie de Rionne - mruknął. - Co ja mogę wiedzieć.

Vincent roześmiał się. - Przyznaj, Edwardzie - zwrócił się do milczącego Swansena. - U Saracenów nie do pomyslenia by było, żeby białogłowa tak pomstowała na męża!

- Nie do pomyslenia - przytaknął Edward. - Choć ogniste i zawzięte bywają także ich kobiety.

- Ogniste, powiadasz - rozmarzył się de Morges. - Wiecie, brakuje mi kobiecego towarzystwa... Przez tyle dni oglądałem tylko wasze gęby, bez obrazy, panowie. Może odwiedzimy „Głowę Turka”? Mają tam wyśmienite tancerki.

- Jutro wyruszamy - zauważył trzeźwo Konrad von Wallheim - Powinniśmy wypocząć...

- Na koniu wypoczniesz! - zawołał Jan. - Ja idę do tawerny! Kto ze mną? De Rionne? Telford? Wy na pewno. Kto jeszcze?

Po chwili całą grupą ruszyli w stronę nadmorskich zabudowań, skąd dochodziła muzyka fletów i bębenka.

- Truda mnie kiedyś zabije - mruknął von Landberg.

XI

Niewieścia postać szczelnie owinięta delikatnym jedwabiem skuliła się, kiedy doleciał do niej odgłos otwieranych drzwi.

- Fatma - rozległ się cichy, łagodny głos. - Fatma, nie bój się. To tylko ja, twój brat.

Dziewczyna zerwała się, spojrziała nieprzytomnie.

Te oczy, pomyślał Malik, kiedyś były lśniące i piękne, a pod ich wejrzeniem najbardziej nawet zaprawionym w bojach wojownikom miękły zatwardziały, spieczone gorącym wiatrem serca. Dziś te same źrenice są puste jak wyschnięta tykwa... Co musi przeżyć człowiek, żeby w jego oczach zgasło życie? - Słyszysz mnie?

Fatma stała nieruchomo jak posąg. Malik powoli zbliżył się do niej, ujął za ramiona. Odskokzyła przerażona, zaszywając się w najciemniejszy kąt.

Al-Adil poczuł napływające do oczu łzy wściekłości i bezradności.

- Siostrzyczko - wyrzekł z trudem przez ściśnięte gardło. - Już po wszystkim. Jesteś bezpieczna. - Podszedł do tacy, stojącej na podłodze przy posłaniu, podniósł srebrną pokrywę. - Znowu nic nie zjadłaś... Trzeba jeść, inaczej umrzesz... Zabijesz się!

Ścigało go spłoszone spojrzenie. Ostatnie słowa musiały jednak poruszyć coś w pamięci, bo Fatma cichutko załkała: - Zabiłam... ooo... Zabiłam... nie ma dla mnie przebaczenia...

Książę wzniosł oczy do nieba. Na Allaha, czy ona potrafi powiedzieć tylko to jedno? - Siostrzyczko. Podejdz do mnie... - wyciągnął rękę, ukucnął. Wabił ją tak, jak przywołuje się nieufnego kota lub przestraszone szczenię. - Choć, przecież nie zrobię ci krzywdy.

Przerażone oczy błyszczały szaleństwem.

- Chodź, maleńka, nie poznajesz brata? Gdy umarła twoja matka, kto cię kołysał do snu? Komu ojciec powierzył pieczę nad tobą? Chodź, źrenico moich oczu...

Powoli uspokajała się. Szybki, urywany oddech stawał się coraz spokojniejszy. Nie przestając do niej przemawiać, wciąż w kucki, zaczął ostrożnie podchodzić. Podjął z tacy kawałek zalabiji. - Spróbuj, jakie to pyszne, kochana. Przełknij chociaż malutki kęs...

Podkuliła nogi, jednak teraz bardziej z ciekawością niż strachem śledziła poczynania brata. On tymczasem, cały czas przygarbiony, przybliżył się na wyciągnięcie ręki.

- Trzymaj, siostrzyczko. Przegryź chociaż to.

Dziewczyna niepewnie wyciągnęła dłoń, dotknęła palcem ciasta. Cofnęła go szybko i oblizwała kropelkę miodu, która przylepiła się do opuszka. Znowu wyciągnęła rękę, teraz już biorąc poczęstunek.

- Dobrze, dziecino, jedz.

Fatma szybko przełknęła zalabiję, spojrziała w kierunku tacy. Malik natychmiast przyniósł kolejny kawałek. Malał do kubka wonnego napoju. - To szербet z ambrawą, twój ulubiony. Wypij.

Posłusznie zanurzyła wargi w napoju.

Książę z zadowoleniem kiwnął głową. - To rozumiem. Posłuszna dziewczyna. Chcesz jeszcze?

Fatma oblizwała wargi, zerkając najedzenie.

- Zaraz, poczekaj. Jest jeszcze fatira. Posmaruję ją, tak jak lubisz, świeżym masłem.

W tej chwili rozległy się mocne kroki. Brzmiały jakby nadchodzący chciał się zachować specjalnie głośno. Fatma znowu uciekła w kąt, zakrywając twarz ciemnym materiałem. Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Gdzie jest ojciec? Metaliczny, nieprzyjemny głos. Malik zmrużył oczy.

- To ty, Ali. Nie powiedziano ci przy wejściu, że nie wolno przeszkadzać?

Przybyły lekceważąco machnął ręką. - Coś zaczął strażnik mówić, alem jeno dał mu po gębie. Śmiał się odzywać nieproszony do królewskiego syna! Zatrzymywać chciał! Obwiesić go każę!

- Nie każesz - odparł zimno książę. - To mój człowiek i uczynił tak z mojego rozkazu! Zobacz, al-Afdal, przestraszyłeś Fatmę!

Ali obojętnie spojrział na struchlałą dziewczynę.

- Gdzie jest ojciec? - spytał znowu. - Ile razy mam pytać?

- Nie podnoś głosu, chłopcze - wycedził Malik. - Nie rozmawiasz ze swoim szatnym czy koniuchem! Nie jesteś jeszcze sułtanem, żeby traktować wszystkich z góry!

Al-Afdal uniósł dumnie głowę. - Chcę rozmawiać z ojcem! Doszły mnie słuchy, że nie czuje się najlepiej.

- Jeszcze nie umieram, synu - rozległ się za jego plecami cichy głos. - Znadto się pospieszyłeś. Kiedy nadejdzie moja godzina, sam cię do siebie wezwę - Saladyn odsunął zaskoczonego Alego na bok, zajrzał do komnaty.

- Zjadła coś?

Malik kiwnął głową. - Zjadłaby więcej, gdyby jej nie przestraszył twój syn. On nie potrafi się cicho zachowywać. Nie umie być delikatny.

- Życie go jeszcze nauczy...

- Ja tylko troszczę się o twoje zdrowie, ojcze - dopiero teraz zaskoczony al-Afdal pozbierał myśli.

- O co się troszczysz, wszyscy doskonale wiemy. Pamiętaj jednak: fakt, iż jesteś najstarszy, nie musi dać ci tronu!

Ali przełknął ślinę, łypnął nienawistnie na Malika.

- Zapewne. Jeśli stryj przeżyje cię bodaj o jeden dzień, sam będzie chciał zagarnąć

władzę!

- Każdy osądza poczynania drugiego - powiedział spokojnie al-Adil - według tego, co sam zamierza uczynić. Możesz być spokojny, bratanku. Gdy nadejdzie czas, oby stało się to jak najpóźniej, wypełnię dokładnie wolę twego ojca, choćby mi nie zostawił ani piędzi ziemi poza moją al-Dżazirą i nie powierzył ani kawałka władzy.

- Pozwolisz stryju, że jednak pozostanę nieufny wobec twych zapewnień...

Saladyn niecierpliwie strzepnął dłonią.

- Dość o tym! Nie pora na jałowe rozważania! Dobrze, że przybyłeś, synu, choć wolałbym, żeby sprowadziła cię prawdziwa troska o moje zdrowie, a nie nadzieja na mój rychły zgon. - Przez chwilę z krzywym uśmiechem przypatrywał się grymasowi zmieszania i niechęci na twarzy Alego. - Mam dla ciebie zadanie. Tak się złożyło, że nie mogę opuścić Jerozolimy, choć zamierzałem poukładać zaniedbane ostatnio sprawy w innych prowincjach. Musisz mnie zastąpić, podjąć moje obowiązki, nareszcie przestaniesz się pławić jedynie w zbytkach i rozkoszach.

- Słucham, ojcze - al-Afdal kornie pochylił głowę, jednakże nie uszło uwagi Malika jego wściekle spojrzenie.

Jeśli on zostanie sułtanem, strzeżcie się wszyscy, którzy zechcecie przy nim czy poza nim powiedzieć coś, co mu się może nie spodobać!

Saladyn ciągnął: - Niezwłocznie udasz się do Damaszku, dopilnujesz, aby przygotowania wojsk do wymarszu przebiegały sprawnie. Weźmiesz też w karby emirów. Gdy wyjdą w pole, mają być posłuszni jak miecz w ręku fechmistrza!

- Ale...

- Bez dyskusji - uciął sułtan. - Zrobisz, jak kazałem. A teraz odejdz i wykonaj, co poleciłem. Kto chce sam rządzić, wpierw musi się nauczyć słuchać innych!

Syn bez słowa skłonił się ojcu i zniknął w głębi korytarza.

Kiedy ucichły jego kroki, odezwał się Malik: - Wiesz przecież, że nikt poza tobą nie potrafi okiełznać emirów. Poruczyłeś mu zadanie nie do wykonania.

- Będzie miał przynajmniej inne zajęcie, niż tylko snuć plany, co uczyni, gdy przejmie po mnie władzę. A jeśli jakimś cudem teraz mu się uda wymóc posłuch, to znaczy, że potrafi rządzić. Jeśli zaś nie, niechaj nabierze trochę pokory. Powinienem już dawno pomyśleć o należyтым wychowaniu swojego następcy, lecz jeszcze tydzień temu nie przypuszczałem, iż będę musiał myśleć o tym tak pilnie... - spojrział księciu prosto w oczy. - Obiecuj mi, że będziesz mu służył radą.

- Już cię o tym zapewniałem, bracie. Uczynię co w mojej mocy. Oczywiście, jeśli

tylko Ali będzie chciał słuchać.

- To dobrze, Maliku, to dobrze... - Saladyn zamyślił się. - Zostaw mnie samego z Fatmą - poprosił po chwili. - Może mnie uda się coś jeszcze jej wcisnąć - odwrócił się w stronę siostry. - Moja Ghazala - rzekł pieszczotliwym tonem.

Ghazala...

Malik odszedł, starając się czynić jak najmniej hałasu. Zupełnie zapomniał, że tak ją nazywali. Ibn Suan nadał jej to miano. To było tak dawno i niedawno zarazem, kiedy giaur stał przy fontannie, odważnie i wyzywająco patrząc w oczy śmierci, a rozgniewany Malik wznosił miecz. Fatma go wtedy powstrzymała. Fatma...

Znowu poczuł cisnące się do oczu łzy. Pobiegł korytarzem, nie zważając na zdziwione spojrzenia pałacowych strażników.

Zielone pola wokół Jerozolimy połyskiwały w świetle chyłącego się ku zachodowi słońca. Gdzieś tam, dwa kroki za tą zielenią, bierze we władanie ziemię wszechobecna pustynia. Gorące powiewy od wschodu i południa niosą zapach przepalonego okrutnym słońcem piachu. Lecz o tej przedwieczornej porze okolica wyglądała niczym jedna wielka oaza, jakby palące promienie dnia niosły tylko życie.

Malik pędził na koniu, czując jak powiewy wiatru uśmierzają gorączkę niechcianych myśli. Antares drżał w radosnym wysiłku. Słusznie prawił nieodżałowany Dżamil, że to najlepszy wierzchowiec w królewskich stajniach. Czuł, jak olbrzymia energia wprost rozpięra rumaka, jak siła drzemiąca w kształtnych mięśniach pozwala mu od dłuższego czasu na nieprawdopodobnie szybki bieg. Każdy inny koń bez wątpienia padłby już z wycieńczenia, cwałując z podobną prędkością nawet tylko przez kilka chwil.

- Allah - zawołał. - Sam Prorok mógłby mi ciebie pozazdrościć, Antaresie!

Koń jakby zrozumiał, bo zarżał przeciągle i jeszcze przyśpieszył. Malik roześmiał się radośnie. Chociaż na ten krótki moment troski zostały gdzieś z tyłu, nie mogąc dognać pędzącego na złamanie karku księcia.

XII

Izabela siedziała na łożu z twarzą ukrytą w dłoniach. - Lękam się o ciebie, mój mężu. Ostatnimi czasy miewam takie straszne sny...

Konrad machnął lekceważąco. - Gdyby wszystkie złe sny miały się spełniać, świat dawno przestałby istnieć. Spójrz lepiej za okno. Piękny poranek. To będzie dobry dzień.

- Jednakże wciąż mam przed oczami tamtego człowieka, który się zabił w świetlicy.

Kiedy zasypiam, gdy tylko zamknę oczy prześladowuje mnie jego obraz...

- Ukochana... - położył dłoń na jej drżącym ramieniu. - To był tylko zwyczajny asasyn. Oszołomiona haszyszem nieszczęsna ofiara machinacji Starca z Gór. Sinan bardzo chętnie pokazuje wszystkim, czy sobie tego życzą czy nie, jak posłuszni oraz gotowi do poświęceń są jego wojownicy. Uważa, iż w ten sposób inni będą odczuwać przed nim respekt. Słusznie uważa - dodał po chwili. - Ale w moim przypadku różnica polega na tym, że ja się go nie boję. Nie stać mnie na strach, jeżeli mam osiągnąć cel, do którego dążę.

Przez chwilę milczeli oboje.

- Widziałas na własne oczy - odezwał się wreszcie Konrad - jak fanatyczni są ludzie Sinana. Jak trudno by było się przed nimi ustrzec, gdyby szejik postanowił, że mam zginąć. Można się obronić przed nasłanym zabójcą, jeżeli ten będzie się starał wykonać zadanie i umknąć, nikt wszak nie ma ochoty umierać bez potrzeby, a wtedy sam jest ostrożniejszy, mniej skłonny do podejmowania największego ryzyka. Z asasynami rzecz ma się inaczej. Oni przede wszystkim chcą zabić, a potem najczęściej nawet nie próbują uciekać. Co więcej, poczytują sobie za zaszczyt, jeśli zostaną zgładzeni lub sami sobie zadadzą śmierć.

- Wiem, mój mężu. Lecz nie potrafię tego zrozumieć.

- Oni po prostu są inni. Inaczej myślą, być może nawet czują. Starzec z Gór oferuje im radość, jaką daje haszysz lub opium, a ci mordercy mają go bodaj za boga samego!

Izabela wstrząsnęła się. - Zimno mi się robi, kiedy o tym pomyślę. Boję się. Musisz na siebie uważać. Nie ufaj nikomu, nawet najbliższemu przyjacielom.

Konrad spojrzał bystro. - Wyczuwam w tobie coś więcej niż tylko zwykłą obawę. Powiedz mi wszystko! Czegoś się dowiedziałas? Rozmawiałaś z kimś o tym, prawda? Ten ktoś tak cię wystraszył.

- Konradzie - zawołała z przestraszeniem. - Kazałeś mnie śledzić?

- Niech Bóg broni! Dlaczego przyszło ci to do głowy?

- Bo istotnie z kimś o tym rozmawiałam. Ale ty nie masz prawa tego wiedzieć! Jak mam sobie wytłumaczyć to, że jest inaczej?

Roześmiał się. - Ukochana! Jeżeli ktoś, jak ja, zamierza włożyć na skronie koronę, nawet tak niewielkiego państwa jak Królestwo Jerozolimskie, musi wiedzieć więcej niż inni. Jeżeli nie wie - powinien dostrzegać więcej i wyciągać wnioski. Wreszcie pozostają jeszcze zwyczajne domysły. Na ich karb właśnie możesz złożyć to, iż odgadłem twoje poczynania. Zbyt dobrze cię znam, bym nie odkrył tajemnicy.

Długo mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. - Rzeczywiście byłam u kogoś. Na przedmieściu mieszka pewna wiedząca kobieta, Karima. Pewnie o niej nie słyszałaś.

- Mylisz się, Izabelo, słyszałem o Karimie. Połowa niewiast z miasta chodzi do tej poganki albo po miłosne eliksiry, albo gdy potrzebują spędzić płód. Dziwne jesteście wy, kobiety, najpierw uwodzicie mężczyzn, potem ich przeklinacie, bo przysporzyli wam trosk, które może rozwiązać tylko taka wiedźma. Jednakże nie rozumiem, po co ty do niej poszłaś. Po miłosny napój? Myślałem, że nie potrzebujesz mnie bardziej już w sobie rozkochać.

- Nie byłam u niej ani po eliksir miłości, ani po inną miksturę. Karima, prócz warzenia ziół, zajmuje się także wrózeniem. Czyni to co prawda niechętnie i trzeba słono zapłacić, ale powiadają, iż jeśli coś powie, sprawdza się zawsze. Mnie zgodziła się przepowiedzieć tylko dlatego, że jestem wysoko urodzona, no i dałam bogaty bakszysz.

- A co jej dałaś?

- Ten diadem, który pozostał po asasyńcu.

- Diadem?- zdumiał się Konrad. - Ten klejnot wart był kilkaset bizantów! Piękny dar, bez dwóch zdań! Nie mogłaś dać czegoś mniej wartościowego? Tej babie starczyłaby byle błyskotka, albo i sztuka srebra! Dlaczego diadem?

- I tak nie mogłabym go nosić. Musi być przeklęty tak samo, jak jego ofiarodawca! Nie chciałam, żeby znajdował się w naszym domu, nawet zamknięty w skarbcu, nie gniewaj się...

- Już dobrze. Dałaś, to trudno. Jesteś królową i zapłaciłaś iście po królewsku. Warto chociaż było?

Izabela znowu ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

- Co ci powiedziała ta przeklęta baba? Każę ją oćwiczyć i wypędzić z miasta!

- Nie czyn tego. Ona wprawdzie nie chciała nic rzec... Dopiero kiedy nalegałam, wyjawiała mi, co zobaczyła w kartach.

- W kartach... Tarot - mruknął Konrad. - Powinno się karać za posiadanie chociaż jednego z jego obrazków. Podobno odkąd zawleczono tę zarzę do Europy, wielu rycerzy pożegnało się z fortuną, a niejeden i z życiem. Lecz jeszcze jestem w stanie zrozumieć, gdy się go używa do gry, choćby ryzykownej, jednakże za stawianie nim kabały ucinąłbym ręce! A najlepiej głowę. Ta starucha zasłużyła na karę!

- Nie sierz się, najmilszy. Zrobiła tylko to, czego żądałam. Obiecuj mi, że nic jej nie uczynisz.

Konrad milczał.

- Obiecuj! Błagam cię! Nie chcę, by przeze mnie stała się komuś krzywda! Nawet tej Saracence! Czy mam przed tobą paść na kolana?

- Przestań, Izabelo! Co robisz? Wstań natychmiast!

- Obiecaj więc!

- Dobrze, obiecuję - westchnął. - Czasem mam nieodparte wrażenie, iż dobry Bóg stworzył was, niewiasty, tylko po to, by łagodzić obyczaje mężczyzn... Powiedz lepiej, co takiego usłyszałaś od tej wiedźmy, że łyzy cisną się do twych pięknych oczu.

- Przepowiedziała mi rzecz straszną... - Izabela zagryzła wargi.

- Co? Mów wreszcie!

- Rzekła mi, że umrzesz...

- Tylko tyle? - Konrad wybuchnął śmiechem. - Tyle to i ja mogę ci przepowiedzieć, nawet bez pomocy kart! W końcu każdy umrze.

- Nie drwij, mężu. Wyczytała, że jeśli nie będziesz się miał na baczności przed pewnym człowiekiem, zginiesz niebawem...

- Och, a przed kim to mam się mieć na baczności?

- To właśnie jest najdziwniejsze. Powiedziała, że zgładzi cię syn...

Konrad uniósł ze zdumieniem brwi.

- Czyj syn?

- Twój!

Konrad znowu zaniósł się śmiechem.

- Widzisz sama, co warte są te babskie bajania! Przecież ja nie mam syna!

Izabela była jednak poważna. - Nie śmieję się i nie odrzucaj tej wieści tak pochopnie. Powiadam ci, że nie słyszałam, by wróżba Karimy okazała się fałszywa.

- Przestań! - zniecierpliwił się. - Przecież to wszystko jest zupełnie pozbawione sensu! Nie mam żadnego syna, więc siłą rzeczy nie może mnie zgładzić! Okaż trochę rozsądku, kobieto! Czy wizyta u tej szalonej baby i tobie odebrała rozum?

- Błagam, najmilszy, uważaj na siebie, nie lekceważ... Konrad odwrócił się na pięcie. Po chwili drzwi sypialni zatrzasnęły się z hukiem.

- Bądź ostrożny - szepnęła za nim Izabela. Potem rzuciła się na łożo i załkała z bezsilności.

Karima zestawiała kociołek z ognia, otworzyła na oścież drzwi. Przenikliwy zapach ziół kręcił się jeszcze przez chwilę po izbie, zanim uleciał uniesiony wieczornym podmuchem.

- Kiedy przyjdzie pani Brangiena - zamruczała - dodamy tylko kroplę tojadu i wszystko będzie gotowe. Któryż to już raz szlachetna pani Gallard potrzebuje moich usług? Kochliwa z niej niewiasta, a przy tym płodna niczym królicą... Jej małżonek zapewne hoduje

na głowie poroże bogatsze niż najstarszy na świecie jeleni... Ale że też po wywołaniu tylu poronień jeszcze potrafi zająć w ciążę?

Podreptała do półek ustawionych pod zachodnią ścianą domu. Wciąż jeszcze gorące promienie słońca wdzierały się przez okno jasnymi smugami, kładąc skomplikowany wzór na glinianej podłodze. Drobinki kurzu tańczyły w ich blasku swój monotony, odwieczny taniec.

- Dekokt dla hrabiny Henrietty... Jest. Trzeba go odstawić gdzie indziej, żeby buteleczki się nie pomyliły. Toż by było, gdyby pani Brangiena zażyła teraz miłosnego napoju... - zaśmiała się zgrzytliwie. - W odmiennym stanie będąc, dopiero by się rzucała na każdego napotkanego mężczyznę! Kto z nieznanających się by pomyślał, że ciąża tak wzmacnia działanie tej mikstury?

- Co ci tak wesoło, babo? - zabrzmiał od wejścia ostry głos. - Cuchnie u ciebie gorzej niż w klasztornej zielarni!

Karima zmarszczyła brwi. - Czego chcecie, panie? Czy ktoś przysłał was po eliksiry? Trzeba wam wiedzieć, że nie mam we zwyczaju wydawać ich komu innemu niż sam zamawiający.

- Przybyłem po coś zupełnie innego. Nie potrzebuję twoich wywarów.

- Czego więc chcecie?

- Podobno nie tylko zielarka, ale i wróżycha z ciebie, to sama sobie zgadnij. Powinnaś dawno to już wiedzieć, jeśli w przyszłość potrafisz zajrzeć!

Stara zmarszczyła się jeszcze bardziej. - Widzę zdarzenia, które nastąpią, gdy wróżę innym. Sobie samej nic przepowiedzieć nie potrafię. Chcecie, bym wam wywróżyła, co was czeka? Przyjdźcie jutro.

- Nie, starucho! To ja ci powróżę.

Jego głos zabrzmiał groźnie i niepokojąco. Karima cofnęła się.

- Odejdźcie, panie, zostawcie w spokoju starą kobietę, co nikomu nic nie zawiniła - wybełkotała przestraszona.

- Zaraz pójdę - zaśmiał się. - Najpierw jednak przekażę ci posłanie od tego, kto mnie przysłał. I, rzecz jasna, powróżę, jak obiecałem.

- Nie chcę twoich wróżb!

- A jednak ich wysłuchasz!

Jednym skokiem znalazł się przy niej, bez wysiłku uniósł nad ziemię chude ciało i rzucił o ścianę.

- Przepowiadam ci, Karimo - rzekł cicho - że umrzesz. To właśnie moja wróżba! I przysięgam, iż spełni się zaraz!

Stara, oszołomiona uderzeniem, nie mogła skupić wzroku na mówiącym.

- Litości, panie - gramoliła się na czworakach, z jej ust ciekła ślina zmieszana z krwią.

Potężne kopnięcie w żebra posłało ją z powrotem na twardą polepę. Podniósł się gliniany pył. Mężczyzna pochylił się nad zielarką.

- Owo posłanie pochodzi od pewnego możnego pana. Kazał ci przekazać pozdrowienia od syna, którego nie posiada. Wiesz już, kim jest ów możnowładca?

Karima kaszłała, czując w piersiach ostry, przejmujący ból.

- Kazał ci jeszcze zapowiedzieć, ścierwo, że dokąd wróżyłaś za pieniądze Wenecjan, znosił to spokojnie. Jednakże nie będzie tolerował szpiegów Sinana!

Błysnął sztylet. Chciała coś powiedzieć, zaprotestować... Chciała mu coś wytłumaczyć, lecz ostrze było szybsze od słów. Morderca wytarł nóż w szaty ofiary, wyprostował się i rozejrzał po chałupie. Splunął. Przekłeta wiedźma! Czego tu nie było? Co by tylko człowiek paskudnego wymyślił, na pewno stoi gdzieś na półkach. Zaczął myszkować wśród sprzętów. - Mam!

Wydobył spod sterty szmat zakorkowany dzban z oliwą do lamp. Włożył w palenisko smolną szczapę.

Nagle za plecami wyczuł ruch.

- Kto tu?!

Odwrócił się, błyskawicznie wydobywając sztylet. Wstrzymał oddech, czekając na atak. Przemknął niewyraźny cień, zaniepokojony mężczyzna odniósł wrażenie, że w ścianę wniknęła potężna postać starego frankońskiego rycerza, po czym rozległo się ciche szuranie i pisk.

- Przekłete szczury! - kopnął w kąt butlę stojącą pod nogami. Roztrzaskała się na drobne kawałki. Natychmiast rozszedł się ostry zapach mieszaniny ziół. - Żeby takie małe zwierzę potrafiło rzucić tak okazały cień!

Nagle zaczęło mu się śpieszyć. Jednym ruchem strącił dzban z oliwą na ziemię, wrzucił w kałużę płonąca szczapę. Czym prędzej wyszedł z chaty. Odbiegł kilka kroków, potem obejrzał za siebie. Wcale nie był taki pewien, czy tam, w środku, nie dostrzegł jednak ludzkiej postaci. Przeżegnał się. - Zgiń, przepadnij...

XIII

- Bodaj was, chrześcijanie! - Rakim zacisnął pięści, uczynił ruch, jakby chciał pobiec za żołnierzami, jednakże chroma noga natychmiast odezwała się potężnym strzyknięciem bólu. Wiech ich szejtan porwie! Odkąd Frankowie zajęli Jafę, a właściwie to co z niej

pozostało po tym, jak sułtan kazał ją zburzyć, nie było chwili spokoju. Splunął za odchodzącymi żołdakami, którzy śmiejąc się i dogadując, prowadzili na rzeź jego ostatnią krowę. Zerknął w bok, gdzie jego żona leżąc, darła włosy z głowy. - Wstań, głupia! - warknął. - Po co krzyczysz? Im z tego tylko większa radość. Ciesz się, że przynajmniej Zubejdę zostawili w spokoju.

Na wspomnienie tego, co uczynili z jego starszą córką, poczuł, jak na nowo zalewa go fala nienawiści. To tam, na polu, obok wielkiego przedwiecznego głazu, zgotował jej pochówek. Nieszczęsna dziewczyna...

Pomógł się podnieść żonie.

- Chodź, Rasza. Nie ma co tutaj sterczeć.

Wspierając wzajemnie, powlekli się do chałupy. Rakim ciągnął za sobą bolącą nogę. Wydawała się ciężka jak worek mokrego owsa. Jakże to może być, żeby własna kończyna tyle ważyła?

Rasza... Kiedy ją brał za żonę zdawało się, że świat przed nimi stoi otworem. Młody i sprawny wojownik oraz piękna córka bogatego kupca. Młoda Gazela, Rasza... Jakże wtedy to imię do niej pasowało. Pachniało jak najpiękniejszy kwiat. Teraz patrzył na zniszczoną twarz niewiasty, pooraną cierpieniem, spaloną słońcem, nie takiego losu dla niej pragnął.

Weszli do izby. W garnku kipiała nędzna zupa na łożu, zaprawiona bazylią.

- Błogosławiony rajhan - mruknął. - Gdyby nie ta przyprawa, nie dałoby się przelknąć ani łyżki tej lury.

Żona zakrzętnęła się przy kuchni, natychmiast przybiegła Zubejda, by ją wyręczyć.

- A mówili nasi, że niebawem wrócą - powiedziała Rasza. - Gdybyś im tak łatwo nie uwierzył, można było uciec, choćby do Hebronu.

- Cicho, głupia - ofuknął ją. - Rozzuchwaliłaś się ostatnimi czasy i zabierasz głos niepytana! Słyszałaś, co mówił Hasir. Mamy trwać, nadejdzie jeszcze nasza godzina.

Rasza milczała, choć widać było, że walczy ze sobą, chcąc coś odpowiedzieć. - Nadeszła już - nie wytrzymała wreszcie. - Ostatnia godzina przyszła na Azzę! Bodaj mnie to spotkało, nie ją! A wszystko przez twoją łatwowierność!

- Milcz!

Skuliła się, zamknęła oczy, kiedy powstał i podniósł rękę. Silny był jak tur, mimo kalectwa, nieraz przekonała się o tym na własnej skórze. Jednakże spodziewany cios nie padł. Zerknęła spod przymrużonych rzęs. Siedział z powrotem przy stole, masując obolałą nogę.

- Wojak jest nim do końca życia - rzekł cicho, jakby się tłumacząc. - Nawet jeśli uczynią z niego szmacianą kukłę - roześmiał się gorzko. - Lubił mnie emir Ghazi, gdy

potrafiłem, jadąc konno w pełnym galopie, rzucić mieczem przed koński łeb i zebrać go, nim dotknął ziemi. Lubił, kiedy jednym strzałem z łuku strącałem trzy melony. Lubił patrzeć, jak prowadzę swój oddział do szaleńczych gonitw. A gdy w wielkiej bitwie przetrącono mi nogę, obiecał zadbać o moją przyszłość. Sama wiesz, jak wyszło. Może byłoby inaczej, gdyby sam wtedy nie popadł w niewolę. - Przez chwilę masował w milczeniu stwardniałe z bólu udo. - Lecz nie potrafię - podjął - porzucić naszej sprawy, zdać się pokornie na łaskę chrześcijan albo zwyczajnie uciec. Mogę być tu jeszcze potrzebny. Kto, jak ja, zna tajemne przejścia, kto wie, jak przebrnąć przez umocnienia... Może tylko szczury. Z gospodarstwa obok dobiegł głośny kwik.

- Tfu! Niech ich zaraza! Hodują te nieczyste zwierzęta tylko po to, by nam dokuczyć! Świniojady!

- To nie są źli ludzie, ci nasi nowi sąsiedzi - zaproponowała Rasza. - Sam wiesz, nie hodują tych bydła nam na złość, ale dlatego, że błędzą, nie znając nakazów Proroka. Nie zachowują się przecież jak ich panowie, co chcą nas upokorzyć. Ich też potrafią złupić własni żołnierze.

- Mówiła mi Aisza - odezwała się Zubejda - że chrześcijanie specjalnie założyli świńską hodowlę opodal dawnego pałacu kadiego. Żeby nam dokuczyć. I handlują winem tuż pod meczetem.

- Psy są ci chrześcijanie i tyle. A ty mi do Aiszy nie łaż! - napomniiał surowo Rakim. - Różnie o niej powiadają. Sam widziałem jednego razu, jak wychodził od niej pewien giaur! To nierządnicą i porządna dziewczyna nie ma o czym z taką rozmawiać. Zrozumiałaś?

- Tak, ojciec - dziewczyna spuściła głowę.

- A gdzie ona ma zarobić tych parę nędznych groszy na chleb? - stanęła w jej obronie matka. - Bezpieczniej jej tam popracować przy sprzątanii, niż chodzić choćby do pralni, gdzie Frankowie urządzą sobie oblawy na dziewczęta!

Rakim westchnął ciężko. - Co za czasy nadeszły, żeby niewiasta bezkarnie sprzeciwiała się mężowi, najgorsze zaś to, że pewnie masz rację - zamilkł z ponurą miną. - Kiedy tak o tym rozmyślam - wyrzekł wreszcie - mam ochotę zwinąć się i odejść.

- Teraz i tak nigdzie nie uciekniesz - Rasza pokręciła głową. - Niewierni pilnują, jakby się bali, że Salah ad-Din może się nagle ukazać spod ziemi.

Przerwał jej żalony krzyk.

- To u Ajjuba! - zawołała.

- Nie ruszajcie się stąd! - Tak szybko, jak tylko pozwalała mu chroma noga, Rakim wybiegł przed chałupę. Kilka domów dalej dwaj żołdacy ciągnęli opierającą się dziewczynę.

Rakim zacisnął pięści. - Niech moce piekielne ześlą na was przekleństwo - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Niech synowie szejtana zatańczą z wami swój okrutny taniec! Niech nadejdzie czas zapłaty!

Ciemności rozjaśniał nieśmiało jedynie mdły poblask gwiazd. W mroku ledwie można było rozróżnić dwie postaci pochylone ku sobie.

- Kiedy to się wreszcie skończy, Nasir? Każdego dnia modłę się do Allaha, by nadszedł sułtan i zrobił porządek z naszymi wrogami!

- Bądź dobrej myśli, Rakim - nawykły do wydawania komend głos z trudem mieścił się w ciasnych ramach szeptu.

- Łatwo ci tak mówić. To nie ty musisz codziennie patrzeć na nieprawości giaurów. Nie tobie zdierają z grzbietu ostatnią koszulę, nie ty martwisz się o żonę i córkę, bo Frankowie żadnej niewieście nie przepuszczają, nie ty, na koniec, musiałeś pochować własnymi rękami pohańbione przez niewiernych dziecko!

Nasir poderwał się. - Nie sądz tak pochopnie, Rakim! Nie wiesz nic o tym, jakie mnie spotkały nieszczęścia! Jak myślisz, dlaczego siedzę tutaj, w pobliżu chrześcijańskich wojsk, ryzykując życie, zamiast zażywać wojackiej sławy choćby u boku księcia al-Adila? Mnie Frankowie zabili w Akce umiłowaną żonę! Nawet nie chcę myśleć, jaki los ją przedtem spotkał! Nie tylko żonę tam straciłem... - zacisnął zęby. Głos mu drżał, kiedy mówił dalej: - Opowiedział mi wszystko brat mój, Mubarak. Prowadzili go na rzeź blisko mojego domu. Widział moją Asiję martwą, leżącą przed progiem, w podartych szatach. Pełzał po niej łkający w rozpacz maleńki Aziz, cały umorusany jej krwią... Pewnikiem głodny był i zdziwiony, że mu nagle macierz mleka odmawia... - na chwilę zabrakło mu tchu. - Aziz, światło moich oczu! Myślisz, iż ocalał? Że ktoś się nad nim ulitował? Jeżeli nawet, to spędzi resztę życia w jarzmie! Mubarak zaś tylko cudem uniknął śmierci. Lecz przeżył ją chyba tylko po to, aby rozedrzeć moje serce! Czasem wolałbym, żeby nie wrócił... Nieświadomość bywa błogosławieństwem. Rakim milczał ze ściągniętą twarzą.

- Nie mów mi więc, człowieku, o nieszczęściu! To, które stało się moim udziałem, sprawiło, że nie jestem tym samym Nasirem, co dawniej.

- Wybacz. Kiedy gorycz się w człeku zapieczę, nawet przyjaciela by pokąsał.

- Rozumiem to doskonale. A gdy nadejdzie czas, sam was poprowadzę na Franków, choćby przyszło nam polec jeden na drugim!

Rakim spoglądał w połyskujące w ciemności oczy Nasira.

- Lecz kiedy przyjdzie ten dzień?

- Być może całkiem niedługo. Cierpliwości. A teraz wracaj do domu, zanim Rasza zauważy, że opuściłeś łożo. Powinniśmy być bardzo ostrożni. Musimy cierpliwie czekać.

XIV

Chłodny górski wiatr rozwiewał siwe włosy Sinana. Stał nad przepaścią, bez zmrużenia powiek wpatrując się w surowe, wysmagane wichrami skały. Al-Kahf! Jedyne miejsce, w którym może czuć się bezpieczny. Roześmiał się głośno. Bezpieczny! Otoczony najbardziej sprawnymi i okrutnymi zabójcami, jakich zna świat, lecz pewien, że nikt tu nie poda mu trucizny, nie wbije zniecka noża w plecy.

Hamdan, pomyślał, przymykając oczy w skupieniu. Przyjdź tutaj, Hamdan.

Po chwili zazgrzytał żwir za jego plecami.

- Słucham, wzywałeś mnie, Raszidzie ad-Dinie?

Sinan obejrzał się. Zwalisty jak góra Hamdan. Najbardziej skuteczny asasyn, jakiego znał. Ile to niegdyś misji mu poruczył, a ze wszystkich wrócił cało! Zbyt stał się cenny, żeby używać go do zwykłej pracy.

- Przygotuj mi któregoś z natchnionych. Potrzeba nam przesłać i odebrać wieści.

- Słucham, panie. Czy ma się stawić natychmiast?

- Wieczorem, Hamdan, tuż przed północą. Wtedy świat stawia najmniejszy opór wysłannikom. Zostaw mnie teraz samego i niech mi nikt nie zakłóca spokoju. Potem przyjdę do kwatery natchnionych obejrzeć wybranego człowieka.

- Jak rozkażesz, panie.

Sinan znowu zapatrzył się w surowe piękno krajobrazu. Asasyni, spożywcy haszyszu... Wszyscy myślą, że szkoli ich w sztuce zabijania, karmiąc narkotykami, żeby bez wahania popełniali najcięższe zbrodnie, wypełniali zadania, nie bacząc na swoje bezpieczeństwo... niech ludzie tak właśnie myślą.

Lecz to tylko część prawdy, i to ta mniej istotna. Gdyby ktoś niepowołany dowiedział się, jak wpływa haszysz na tych, z których czynią natchnionych, niewątpliwie miałby od razu na głowie nie tylko krzyżowców, ale Saracenów, a nawet Bizantyjczyków - i to działających w porozumieniu, nikt nie lubi takich, co korzystają z usług niepojętych mocy.

- Który to? - Starzec z Gór wszedł do celi natchnionych. Runęli na kolana.

- Turuntaj - Hamdan wskazał chłopca o skórze żółtej i gładkiej, bez najmniejszej skazy. Na Starca przelotnie spojrzwały skośne oczy. - Pierwszy z lewej...

- Wiem, znam przecież wszystkich, sam ich dobieierałem. Zapomniałeś?

Hamdan skłonił głowę w geście przeprosin. Spod oka rzucił wściekłe spojrzenie, nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy Sinan na ryle podupadnie na zdrowiu, by można go było zastąpić kimś innym. Tym kimś może będzie nawet...

Sinan drgnął, odwrócił się gwałtownie.

- Nawet tak nie myśl, Hamdanie - powiedział cicho. - Mój następca być może jest gdzieś w tym zamku, jednakże wcale nie musisz być nim ty! Najpierw trzeba sobie zdobyć pewnych sprzymierzeńców wśród asasynów. Nie zabraniam ci starać się o nich, ale zbyt jeszcze wcześnie, aby usuwać mnie z drogi.

Hamdan skulił się, zaklął w duchu. Jak mógł popełnić taką nieostrożność! Przecież w towarzystwie Natchnionych wszelkie myśli stają się dla szejka jasne, jakby ktoś wypowiadał je na cały głos. Starzeje się już, powinien zostać posłany gdzieś na samobójczą misję, skoro nie potrafi zachować ostrożności w gnieździe węża.

- Przydasz się jeszcze, mój drogi - rzekł łaskawym tonem Sinan. - I mnie posłużysz, i być może mojemu następcy. Tylko wyrzuc z głowy swoje zamiary. One mogą zniszczyć nie tylko ciebie, ale także całe nasze zgromadzenie - rozejrzał się po schylonych kornie głowach. - Akceptuję twój wybór, Hamdanie. Zaprowadź Turuntaja do Sali Wspomnień. Niech tam dokona ablucji.

- Czy podać mu haszysz zmieszany z mirrą?

- Nie, dziś użyjemy mieszanki haszyszu z wywarem makowym i cykutą. Potrzebuję wyraźnego kontaktu.

Turuntaj drgnął, rzucił spłoszone spojrzenie.

- Nie lękaj się, Natchniony - powiedział Sinan łagodnym tonem. - Cykuty dają niewiele, tylko tyle, żeby zaostrzyć wizję. Odchorujesz to, ale nie umrzesz.

Za drzwiami zwrócił na Hamdana rozgniewane oblicze. - Przyślij mi natychmiast opiekuna natchnionych!

Szybkim krokiem, twardo przybijając nogi do ziemi, poszedł do swojej sypialni. Co za niechlujstwo! Wystarczy na chwilę odwrócić czujne spojrzenie, żeby działy się takie rzeczy. W komnacie rzucił na łożo płaszcz, a sam usiadł na zydlu pod oknem. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść!

W progu ukazała się przygarbiona sylwetka.

- To ty, Halim. Podejdź bliżej.

Przybyły posłusznie zbliżył się na dwa kroki. Opuszczone ramiona, zgasłe oczy... Tak, ten człowiek nie może dobrze wykonywać swoich obowiązków.

- Dawno cię nie widziałem, Halim. Sterałeś się. - Tak, panie, bardzo jestem znużony. Ta służba wyczerpuje człowieka bardziej niż najniebezpieczniejsze misje.

Sinan długo patrzył w opuchniętą twarz rozmówcy. Dręczy go przypadłość, która utrudnia mu nie tylko wykonywanie obowiązków, ale także normalne życie. Szkoda go, lecz al-Kahf to nie miejsce dla słabych. W całym zakonie nie ma dla takich miejsca.

- Dziś, Halimie, ujrzałem rzecz niedopuszczalną. Jeden z natchnionych okazał strach. Oni mają umierać z moim imieniem na ustach! Z radością, że mogą się przysłużyć! A ja nie powinienem ich zapewniać, iż przeżyją, by skłonić ich do współpracy. Śmierć dla mnie, Raszida ad-Dina, winna być dla nich nagrodą! Co więcej, jestem pewien, że przynajmniej połowa ludzi w tamtej celi byłaby podobnie przerażona jak ten chłopiec. Zawiodłeś mnie, Halimie.

Opiekun natchnionych opuścił nisko głowę.

- Wiem, żeś zasłużony dla mnie i dla całego zgromadzenia. Cenię cię za wierność i za to, co uczyniłeś dla izmailitów w swym życiu. Wyobraź jednak sobie, co to by było, gdyby Saik, przedłużenie mych rąk, opiekun asasynów, okazał się równie niedołączny?

Halim padł na twarz. - Zgrzeszyłem, szejku, przeciwko tobie i całemu zakonowi. Zgrzeszyłem nie tylko zaniedbaniem obowiązków, ale także ukrywaniem dręczącej choroby.

- Wiem już o niej, kiedy tylko wszedłeś, dostrzegłem na twym obliczu nieomyślne znamiona. Nie pomyślałeś, że nie dasz rady jej ukryć i w końcu wszystko się wyda? Wstań, nie godzi się, aby ktoś taki jak ty pełzał w prochu niby niewolnik, nawet jeśli bardzo przewiniłeś przeciwko naszemu bezpieczeństwu.

Halim powstał. Wyprostował ramiona. Nagle stał się podobny do tego wojownika, którego Sinan pamiętał sprzed lat. Dumny i szalony Halim, postrach wrogów.

- Czy pozwolisz mi naprawić błąd? Odkupić winę? Czy jest ktoś, kogo chciałbyś zgładzić?

Starzec z Gór pokręcił głową.

- Nie mogę już ufać w twoje siły. Nie poruczę ci żadnej misji. Dręcząca cię choroba może się odezwać w najmniej sposobnej chwili.

Spojrzenie Halima znowu zgasło, plecy zgarbiły się.

- Rozumiem, panie. Czy mogę już odejść i uczynić, co powinienem?

- Możesz, Halimie.

Słuchał przez chwilę ciężkich, powolnych kroków. Halim szedł jak stary, bezradny człowiek. Sinan wsparł głowę na rękę. Wykruszają się dawni towarzysze, ci którzy przeżyli wszystkie niebezpieczeństwa i pozostali w górskim gnieździe, żeby nauczać młodych, jak

mają ginąć dla swego szejka.

Minęło kilka minut. Zaszurał żwir za oknem. Starzec z Gór wyrzwał. Halim podązał w stronę muru nad przepaścią. Jeszcze kilka kroków... Wspiął się na blankę, spojrzął w dół, potem obejrzał się na górę, prosto w okna sypialni Sinana. Szejk skinął łaskawie dłonią. Halim wzniosł ramiona. Ostry wiatr rozwiewał szerokie rękawy czarnej szaty, czyniąc je podobnymi do skrzydeł kruka. Stary asasyn postąpił naprzód. Jeszcze przez chwilę zdawał się unosić w powietrzu, niby młody ptak, który po raz pierwszy opuszcza gniazdo, a potem runął bezwładnie w dół.

Sinan, zadowolony, cofnął się w głąb komnaty. Halim skończył życie, jak na asasyna przystało, nic wspanialszego niż umrzeć, gdy władca na ciebie patrzy. Uśmiechnął się do siebie. Widok wojowników popełniających samobójstwo działał na niego kojąco. Dokąd to czynią, znaczy - wierzą. Jak przekłęci sunniccy duchowni, popierani przez Saladyna, mogą zabraniać takich aktów swoim wiernym? Jak mogą potępiać samozagładę? Czyż jest na świecie coś piękniejszego niż takie właśnie poświęcenie?

Mehmet kiwał się miarowo w przód i w tył. Kłęb dymu z nargili zdawał się przenikać jego ciało na wskroś. Mamrotał pod nosem sury Koranu. Jednakże ktoś znający Pismo zdumiałby się, jakie wersy łączą się ze sobą w ustach asasyna. Obok leżał jego towarzysz pogrążony w głębokim narkotycznym śnie.

- Zrozumiałeś mnie, Mehmet?

Ten głos budził strach i szacunek. Strach u wrogów, szacunek u oddających mu cześć. Mehmet słuchał go dzisiaj już bardzo długo, nie wiedział dokładnie, ile czasu upłynęło, czuł tylko ogromne zmęczenie. Głos rozbrzmiewał prosto w jego głowie, lecz jednocześnie odbijał się echem wśród zadymionych ścian.

- Tak, panie...

- Zrobisz to, kiedy tylko otrzymasz znak. Zacznesz działać po trzech dniach, nie później i nie wcześniej. Postąpisz dokładnie tak, jak ci nakazałem. Zmienisz imię.

- Tak, panie...

- I pamiętaj, dokąd nie wykonasz zadania, nie wolno ci zażywać haszyszu. Musisz zachować jasny umysł. Ci, do których się udasz, mogą być bardzo czujni. Więcej, oni na pewno stali się bardzo ostrożni.

Mehmet kołysał się monotennie.

- Zrozumiałem, panie.

- Będę się za ciebie modlił, synu.

- Dzięki, panie.

- A teraz wypocznij dobrze. Czeka cię ważne zadanie.

Sinan obojętnie spojrział na leżące przed nim ciało. Żółta skóra przypominała teraz stary, przezroczysty pergamin. Widać było każdą żyłkę, każdą podskórną grudkę. Półprzymknięte skośne oczy lśniły mętnie w blasku świec.

- Zabierzcie go - rzucił do tyłu. - Zaprawdę Halim zasłużył na śmierć, skoro tego tutaj nieszczęśnika trzeba było uspokajać, zanim makowy wywar zaczął działać, a zabiła go taka odrobina cykuty. Jego następca musi się lepiej postarać, jeżeli chce przeżyć dłużej niż do kolejnej próby. Zbyt cenni są nasi natchnieni, by tracić ich przy byle okazji.

Halimie, pomyślał, niech Allah ci wybaczy, stary druhu. Niechaj niegościnnie skały utulą twoje ciało w surowych objęciach, a ciało twe padnie łupem orłów, nie sępów.

- Hamdan!

- Słucham, panie.

- Zawiadomisz kupca Lorenza, że wszystko gotowe. Odnajdziesz go w Tyrze, w faktorii pizańskiej. Jeśli zdecyduje, że zadanie ma zostać wykonane, każesz przesłać Mehmetowi białą szarfę.

XV

- Gdzie byłeś? - Saladyn przyjął brata z marsem na czole. - Rozkazałem już szukać twojego trupa!

- Nie powiedzieli ci? Pojechałem konno przed siebie. Zawsze smagła twarz była teraz spalona na brąz, zastygły na niej smugi kurzu.

- Dwa dni, Malik! Nie było cię dwa dni!

- Nie pierwszy raz. Potrzebuję czasem zostawić to wszystko za sobą, uciec tam, gdzie nie ma powszednich trosk. Powinieneś to wiedzieć. Powiadają, że czynili tak i Mahomet, i chrześcijański prorok Jezus. Pustynia to doskonałe miejsce, żeby zapomnieć o doczesnym świecie.

- Wiem! Jednakże nasze położenie nie było dotąd aż tak poważne! Jesteś mi potrzebny tu, na miejscu! W pełni sił ciała i umysłu.

Al-Adil spojrział ponuro.

- Właśnie. Jestem ci potrzebny. Zawsze byłem tylko potrzebny! Jako ten brat, który potrafi dochować wiary, który nie marzy o chwili, kiedy odejdziesz z tego świata, aby zająć twoje miejsce!

Władca milczał, mierząc brata dość nieodgadnionym spojrzeniem.

- Nigdy nie usłyszałem, że miłe jest moje towarzystwo, że chcesz mnie mieć przy sobie tylko dlatego, iż sprawia ci to radość! - Żal wylewał się z księcia, burząc jakieś tajemnicze tamy w głębi jego duszy. - Zawsze tylko słyszałem: „Jesteś potrzebny”. Jak ten pies, co jest doskonały do polowania na lwy albo sokół, konieczny, by zwierzyna nie umknęła z obieży! Potrzebny, to wszystko!

Saladyn wstał.

- Przenigdy nie przyszło mi do głowy, żeby mówić o swoich uczuciach, bracie - rzekł cicho. - Miłuję cię. To było zawsze dla mnie oczywiste. Dla ciebie nie? - Podszedł, objął Malika serdecznym uściskiem. - Przykro mi. Tylko tyle mogę powiedzieć w tej chwili. Jesteś mi potrzebny nie tylko jako niezawodny pomocnik, wykonawca mej woli. Jesteś mi potrzebny także jako ten, który potrafi pojąć moje zamierzenia. Lecz to tylko część prawdy. Jesteś mi potrzebny, bo kocham cię, bracie! Bo jesteś mi bliższy niż wszyscy na świecie! Krzywdzisz mnie sądząc, że jest inaczej.

Al-Adil oddał mu uścisk. - Wybacz, bracie. Nie wiem, skąd nabierało się we mnie tyle żalu.

- Ale ja wiem. Mnie również przychodzą do głowy gorzkie myśli, szczególnie ostatnimi czasy. Nic dziwnego, zważywszy na to, co zbiera się nad naszymi głowami – usiadł z powrotem, podparł głowę na dłoni. - Pora skończyć myśleć o sobie - szepnął.

- Co się stało?

- Abd al-Hadžib...

- Co z nim? Potrzebuje więcej życia? Jestem gotów!

- Nie to. On cały czas pogrążony jest w medytacji. Jednakże nim udał się do swojej komnaty, rzekł, że musimy całą rzecz przeprowadzić szybciej, niż się spodziewaliśmy. Ten, którego imienia nie wymówię głośno, zbyt szybko rośnie w siłę.

- Jesteś już pewien, że to syn Azazela, straszliwy...

- Zamilcz! Nie przywołuj jego przekłętogo miana, zanim nie zostanie uwięziony! Jeśli w ogóle uda się go uwięzić! Tak, al-Hadžib jest już pewien, że to on!

- Niech Allah ma nas w swojej opiece...

- Rzekłeś, bracie. Przed tobą daleka i niebezpieczna droga. Powiedz tylko czy jesteś pewien, że gjaur wypełni należycie swoje zadanie?

- Już o to pytałeś, a ja odpowiedziałem. Mogę ręczyć za to głową. Jeśli nie zrobi tego dla mnie ani dla ciebie, uczyni to ze względu na Fatmę.

- On wie? - Saladyn uniósł się lekko. - Powiedziałeś mu? To nierozważne! To właściwie zdrada!

- Nie wpadaj w gniew, sultanie - uśmiechnął się lekko Malik. - Wie tylko tyle, ile musi wiedzieć. Jeśli jego misja się powiedzie, zdołamy zapobiec nieszczęściu, a Fatma może odzyskać zmysły. Nie powiedziałem nic więcej niż potrzeba.

- To dobrze - odetchnął Saladyn. - Odniosłem ostatnio wrażenie, że bardzo się do siebie zbliżyliście. Traktowałeś go niczym bliskiego przyjaciela, rzekłbym nawet, jak członka rodziny.

- Przyjaciela, powiadasz... Może i tak. Jest coś w tym człowieku, co zniewala i zmusza do zastanowienia. - Książę chwilę milczał, namyślając się nad czymś. - Nie wahałbym się powierzyć mu nawet całej tajemnicy, choć wiem, że to nierozsądne, skoro wysłaliśmy go tam, gdzie pod żadnym pozorem nie może ona wyjść na jaw. Jeśli tego nie uczyniłem... Ciężko nieść takie brzemie, pewnie dlatego nie wyjawilem mu wszystkiego. I tak się dowie, jeśli nie zginie.

- Wtedy to będzie bez znaczenia. Martwią mnie jednak twoje słowa. Jakbyś zapomniał, że nie wolno mieć zaufania do nikogo!

- Ciężko tak żyć, Jusuf.

- Takie jest właśnie życie władcy, Malik. Ciężkie od kłamstw, zbrodni i odpowiedzialności za każde wypowiedziane słowo.

Długo patrzyli sobie w oczy.

- Mam się udać w owo miejsce, o którym wspominał al-Hadžib? - spytał wreszcie książę.

- Natychmiast. I musisz zabrać starca ze sobą. Malik kiwnął głową. - Życz mi powodzenia.

- Codziennie będę prosił Allaha o łaskę dla ciebie i wszystkich, w których rękach leży nasz los.

Malik wyszedł. Przez rzeźbione kratownice okien sączyło się mdłe światło księżyca. Saladyn czuł, jak kamień, który od wielu dni zaległ w jego piersi, staje się coraz większy i cięższy. Kiedy to się wreszcie skończy? Po raz pierwszy w życiu pomyślał o chwili śmierci jak o wyzwoleniu, a nie tylko nieuchronnym i niechcianym końcu.

XVI

Krople krwi na piasku budzą niepokój. Są jak Izy nemezis wylane nad zamordowanym dzieckiem. Rozgrzane ziarna wysysają z nich całą czerwień, w zamian ofiarując brunatną barwę beznadziei.

Ten, kto napisał te słowa chyba nigdy nie był w głębi pustyni, pomyślał ponuro

Vincent. A już na pewno nie widział zwarzonej przez słońce krwi. Spojrzał na towarzysza. Edward z wysokości końskiego grzbietu przyglądał się ciemnym bryzgom na niegościnniej ziemi. Patrzył bardzo długo, z ułożenia krwawych plam próbując odczytać historię tragicznych wydarzeń. De Rionne przymknął oczy, znużone blaskiem odbitych od piachu promieni.

- Tu musieli ich dopaść - mruknął Swansen. Głos wiązał tuż przy ustach, zaplątany w klęby zawoju.

- Co rzekłeś? - Vincent ocknął się z chwilowej, gorączkowej drzemki zesłanej przez palące słońce. Poprawił labry na hełmie. W odróżnieniu od swego towarzysza, pustyni nigdy nie lubił i nie rozumiał, nie potrafił też zupełnie pojąć, jak Edward, wychowanek zimnej Północy, mógł przyłgnąć sercem do tego kraju. I dlaczego tak swobodnie sobie radził z potwornym gorącem, od którego nawet miejscowi tracili zmysły.

- Tu ich dopadli - powtórzył głośniejszym głosem Edward. - A nasi musieli się mocno bronić, spójrz ile krwi...

Vincent skrzywił się. - Owszem, krwawa jatka. Dziwne tylko, że nie pozostały żadne trupy, przecież na pewno wielu zginęło. Musieliby wszystkie pozbierać. Po co? Przecież nikt tak nie czyni. Kim oni mogą być?

- A jak myślisz?

- Saraceni. - Vincent roześmiał się z przymusem. - Tacy sami Saraceni, jak wszyscy inni, tyle że bardziej obłąkani. Widziałeś zresztą kiedy jakiegoś normalnego?

Edward spojrzał na niego bez słowa. W głębi hełmu błyszczały jasne oczy.

No tak, Vincent wzruszył w duchu ramionami, przebywał u nich w niewoli tak długo, że na pewno przyzwyczał się do dziwactw niewiernych. Dopiero co przecież powrócił...

De Rionne wciąż zapominał, że jego przyjaciel nie jest już tym samym dawnym Edwardem, hulaką i swawolnikiem, jakiego znał i lubił. Zachowuje się, jakby na świecie miał przebywać tylko przez chwilę. Jakby wyrwał się z piekła i miał tam wkrótce powrócić. Potrząsnął głową.

- Nigdy nie spotkałem się - rzekł - ze zwyczajem zabierania zwłok zabitych wrogów, szczególnie na pustyni. Swoich może tak, ale obcych? A ty?

Swansen nie odpowiedział. Zsiadł z konia, zdjął z głowy zawój, hełm zawiesił na łąku siodła. Uważnie przyglądał się krwawym bryzgom, potem zatoczył duże koło, uważnie patrząc pod nogi. - Jest jeszcze coś dziwniejszego niż brak trupów - oświadczył po powrocie.

- Co odkryłeś?

- Właśnie nic. Dalej nie ma żadnych śladów. Urywają się w tym miejscu. Jeszcze

dziwniejsze, że nie ma tropów pościgu, zupełnie jakby Saraceni go zaniechali, nie ma też śladów bitwy... Jedyne co jest, to rozchodzące się bryzgi krwi. Tak jakby ktoś próbował wymalować posoką gwiazdę na piasku. Albo jakby kapała gdzieś z wysoka, układając się w ten sposób. Trzeba to jak najszybciej sprawdzić.

Vincent poczuł przeszywający go mimo upału dreszcz. - To dość niepokojące, delikatnie rzecz ujmując. Dlatego radziłbym poczekać na resztę oddziału, nie wiadomo przecież... W końcu mieliśmy zbadać, co zaszło i jeśli się da, przyjść tamtym w sukurs, a nie dać się wyróżnić jak cieleńta.

- Zostań tutaj - przerwał mu Edward. - Ja rozejrzę się po okolicy. Przypuszczam, że nie ma już komu iść na odsiecz.

- Chcesz, jedź. Ale to może być niebezpieczne.

- Życie jest niebezpieczne. - Swansen wskoczył w siodło i nie oglądając się ruszył przed siebie. - Kiedy pozostali dotrą, nie ruszajcie się stąd! - zawołał jeszcze, zanim puścił wierzchowca w galop.

Vincent został sam. Z odrazą rozglądał się po pustyni. Co w niej tak urzeka niektórych, iż nie chcą wracać do ojczyzny? Niby nienawidzą bezkresnych połaci piasku, a w istocie żyć bez nich nie mogą. Gdyby jemu przesłano wieść, że ma darowane winy i może wracać do kraju, nie zastanawiałby się ani chwili. Westchnął przeciągle, zerknął z niechęcią w stronę słońca i znowu poprawił materiał na hełmie. Co za kraj! Za dnia upał, że jaja w piachu można zagotować, zaś w nocy przejmujący mróz. Jak w ogóle jakiegokolwiek stworzenia mogą przeżyć w tych warunkach. On bez pomocy umarłby pewnie pierwszego dnia. Kie tylko zresztą on. Radzili sobie wyłącznie dzięki temu, iż Edward z niesamowitym wyczuciem potrafił odnaleźć oazy, a w ostateczności dostrzec, gdzie w piachu znajdują się wodne wysięki, z których można napić się za pomocą trzcinowej rurki. Zupełnie jakby wychował się na pustyni, a nie w chłodnym fiordzie. Jakże zmienił się przez te parę lat. Rozmyślenia przerwał tętent kopyt i okrzyk.

- Hej, de Rionne, a gdzie podziałeś Swansena? Grupa jeźdźców osadziła konie wokół de Rionne. Tym, który wołał, był Jan de Morges. Teraz podjechał powoli bliżej, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w ślady na piachu.

- Co to jest?

- Nie widzisz? Krew.

Jan zeskoczył z konia, zbliżył się do najbliższej czarnej smugi i wyciągnął dłoń.

- Ja bym tego nie ruszał - powstrzymał go głos Vincenta.

- Dlaczego?

- Nie wiem - de Rionne wzruszył ramionami - ale dałbym spokój. Niedobrze jest ruszać posokę niewiadomego pochodzenia. Pamiętaj, gdzie jesteśmy.

De Morges spojrział na niego wyzywająco i dotknął krwawego rozprysku. Potem potarł palce. - Krew jak krew - oznajmił. - Szczerniała już i zaschła, ale to tylko krew? Gdzie Edward?

- Pojechał na rekonesans. Pewnie zatoczy spore koło, zanim wróci. Brak jest śladów prowadzących gdziekolwiek z tego miejsca. Postanowił to sprawdzić. Mamy na niego poczekać.

- Jak to brak śladów?! - odezwał się poirytowanym głosem Konrad von Wallheim. - Rozpłynęli się w powietrzu, czy jak? Poza tym powinien poczekać i zasięgnąć naszego zdania w tej kwestii. Czekać na mnie, powiedział? - drwiąco naśladował głos Edwarda. - Prawie jak udzielny książę.

Vincent nie zdołał dotąd polubić nadętego hrabiego. Zdaje się, że nikt go za bardzo nie lubił, nawet własna żona, która z ulgą wypchnęła go do Palestyny, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

- To od zasięgania zdania w każdej kwestii - odparł - nasza krucjata tak się rozwlekła! Nie w ostatku dzięki twojemu księciu. Robi wszystko, żeby przejąć dowodzenie, tyle że nadaje się do tego jak...

- Panowie, proszę o spokój - de Morges zagroził drogę Wallheimowi, który szykował się czynnie bronić honoru swego pana. - Będziecie się klócić i bić po powrocie. Tutaj nie jesteśmy sługami naszych jaśnie poróżnionych królów i książąt. Przypominam, iż przed wyruszeniem zaprzysięgliśmy sobie pokój i braterstwo. Udawajcie przynajmniej, że was to przyrzeczenie w ogóle coś obchodzi.

Konrad wycofał się, łypiąc złowrogo na Vincenta. Nieznośny upał bardzo niekorzystnie działał na zmysły. Przy palącym słońcu o wiele łatwiej o wybuch złości niż w chłodnym cieniu karczmy.

- Taak - rzucił Piotr z Telford. - Wystarczy, że panowie baronowie na chwilę zejną się w jednym miejscu i już zaczynają się zachowywać zupełnie jak ich władcy.

- Ty, Piotrze, nie dolewaj oliwy do ognia! - de Morges pogroził pięścią. - Ciesz się, że twój Ryszard jest taki święty...

- Święty to on nie jest, nie drwij sobie - uśmiechnął się Telford. - Powiem więcej, kiedy tak już rozmawiamy. Straszna z niego świnia i, jak powiadają, poniekąd pederasta. Ale wozem jest przednim i gdyby nie on, Saladyn dawno zjadłby całe pozostałe tałatajstwo.

- Kogo nazywasz tałatajstwem?! - poderwał się Kurt von Landberg. - A nasz cesarz

świętej pamięci to co, psu wypadł spod ogona?

- Pax, panowie, pax! - wrzasnął de Morges. - Czy wy naprawdę nie potraficie normalnie ze sobą rozmawiać?! Toż łatwiej wam się było porozumieć, gdyśmy gnili w wieży.

Powietrze poza jej murami tak źle na was działa? A ty, Piotrze, zamknąłbyś lepiej twarz, żeby ci jej słońce nazbyt nie wysuszyło, miast obrażać wszystkich dookoła.

- Nie pozwolę się znieważać byle, byle... - Von Landberg nie mógł znaleźć słów.

Telford czekał na jego odpowiedź z prowokującym uśmiechem.

- Wiecie, czym górują nad krzyżowcami Saraceni? - rozległ się cichy głos. To Edward wrócił ze zwiadu. Spojrzeli na niego, jakby zobaczyli ducha.

- Jak to zrobiłeś, że znowu cię nie zauważyliśmy? - De Morges nie krył podejrzliwości. - Wyrastasz zawsze jak spod ziemi.

- To nietrudne - roześmiał się Edward. - Tokujecie niczym stado głuszców, niewierni mają wiele wad, ale kiedy potrzeba, potrafią zachowywać się tak cicho i czujnie, że nikt nie jest w stanie ich podejść.

- A ty co tak wychwalasz pogan? - Piotr z Telford skrzywił się z niechęcią. - Możeś przeszedł na islam, będąc w ichniej niewoli?

Swansen nie odpowiedział, spojrzał tylko przeciągle na Anglika. Ten zmieszał się, ale nie opuścił wzroku.

- Mamy większy problem niż wasze swary - oznajmił po chwili Edward. - Znalazłem tych, których szukamy. Tam - wskazał ręką na zachód. - Przynajmniej sędzę, że to oni, bo doprawdy trudno stwierdzić z całą pewnością. Ktoś lub coś zawlokło ich tam i zważyło na kupę. Nie ma tego zresztą wiele.

Młodziutki graf Werner von Watzenrode wymiotował prosto na koński kark. Pozostali patrzyli z mieszaniną odrazy i przerażenia na walające się po ziemi szczątki. W upale nieznośny odór przyprawiał o mdłości nawet nawykłych do takich woni rycerzy.

- Z kości został wyspany szpik - odezwał się Edward. - Sprawdziłem. Czaszki rozłupane, nie ma mózgów, a reszta... Jak sami widzicie, zostali rozsiekani na drobne kawałki. I te wnętrzości...

- Na rany Chrystusa! - jęknął Piotr Telford. - Toż wszystko rozwłócone, jakby ktoś się tarzał we flakach! - Wskazał pokrwawione resztki ubrań i pancerzy. - Wygląda na to, że są tutaj nie tylko nasi rycerze... To mi wygląda na saraceński hełm, to na burnus. I to... i to... - wskazywał po kolei. - Wszystko razem pomieszane.

- Właśnie - Wallheim zasłonił twarz przed przykrym podmuchem wiatru. - To

niepokoi mnie najbardziej. Dotąd...

- Będziemy tak stać czy ich pochowamy? - przerwał Vincent.

- Razem z Saracenami? - oburzył się Konrad. - Toż to by było...

- A co? - przerwał znowu de Rionne. - Jak chcesz odróżnić wszystkie kości?

A pochówek Kościół nakazuje! Zresztą, czy to hańba pochować wroga? Ksiądz nawet mówi: „Miłujcie nieprzyjacioły swoje...” Diabli - zaklął nagle. - Ale też co ich tak poszatkowało i pożarło? Inni Saraceni?!

- Nie wierzę - stwierdził de Morges. - Podłe to plemię, ale wszak nie są trupojadami! Nigdy dotąd tego nie robili.

- Tym bardziej, że jak widać sami ich wojownicy padli ofiarą tego, kto to uczynił - poparł go Piotr.

- Zdałoby się zebrać szczątki, pokazać królowi i biskupowi - odezwał się nieśmiało Werner. - A i pogrzebać w poświęconej ziemi, nie zaś tutaj...

- Milcz, bratanku - ofuknął go Konrad. - Mądrzejsi od ciebie mogą zabierać głos, nie ty, gołowąsie. Weź lepiej jakąś szmatę i przetrzyj konia. Jak wymiocina zaschnie, niczym jej nie ruszysz.

Werner zamilkł spłoszony, ale niespodziewanie poparł go Edward: - Graf ma rację, Konradzie - machnięciem ręki uciszył protesty. - Jest młody, ale rozsądku nie można mu odmówić. Trzeba to pokazać, tylko nie od razu naszym wodzom, ale przede wszystkim medykom od szpitalników. Niechby powiedzieli, co o tym myślą.

- Mamy się zatem wlec przez pustynię z tym całym smrodem, żeby ucieszyć paru konowałów? - Von Landberg splunął. - Ja sobie ich na koń włożyć nie dam.

- Nie marnuj wody - warknął Jan de Morges, wskazując na błyskawicznie parującą plwocinę. - Edward dobrze mówi. Nie chcesz brać trucheł, nikt cię nie zmusza. Ale nie nazywaj smrodem trupów chrześcijańskich, by i ciebie ktoś tak nie nazwał.

Von Landberg ze zdziwieniem spojrzał na Jana, który zazwyczaj był bardzo spokojny i mimo szorstkiego sposobu bycia mało skory do zwady. Czym go tak uraził? - Dobrze już - mruknął ugodowo.

„Wielkie to szczęście”, rzekł kiedyś w przytomności Kurta jeden z angielskich rycerzy, który pojedynkował się z Janem, „że Bóg dał takiemu siłaczowi i fehmistrzowi w miarę łagodne usposobienie. Inaczej byście mnie już nie oglądali. Mocarny jest bodaj jak sam król Ryszard”.

Von Landberg nie zamierzał sprawdzać granic cierpliwości Jana. Na pewno nie teraz.

XVII

Montferrat upił mały łyk z napelnionego po brzegi pucharu. Na jego twarzy pojawił się niechętny grymas. - Może uznasz mnie za zupełnego profana, Balianie - zwrócił się do przyjaciela - jednakże uważam, że wina z Francji nie umywają się nawet do tych, które wytwarzamy sami lub sprowadzamy z Cypru.

Balian się uśmiechnął. - Nie mów tego nigdy w towarzystwie francuskich krzyżowców. Mogłoby to zaognić nasze i tak napięte stosunki. Oni gotowi oddać życie za swoje trunki. Ja, oczywiście, zgadzam się z tobą w zupełności. Tyle posmaku słonecznego światła, ile jest w naszych winach, nie znajdziesz w żadnych innych. Muszę ci się jednakowoż przyznać, iż od czasu do czasu lubię skosztować czegoś nowego. Szczególnie przypadły mi do gustu czerwone wina niemieckie. Szkoda, że trudno je obecnie dostać.

- A ja pozostanę przy swoim, nie masz jak wschodnie winorośle. A przy tym...

Przerwało mu wejście pokojowca.

- Czego chcesz, Gobert? Przecież nakazałem, by nam nie przeszkadzać?

- Wybaczcie, panie. Przybył posłaniec od biskupa Beauvais. Ponoć sprawa jest bardzo ważna.

- Daj go tutaj.

Gobert zniknął. Po chwili pojawił się zapowiedziany człowiek.

- Ach, to ty, Janie. Co ważnego masz do przekazania?

- Jego eminencja prosi was, szlachetny panie, o jak najrychlejsze przybycie.

- Stało się coś? - zaniepokoił się Konrad.

- Nie, panie, nic złego. Przyszło do biskupa dwóch Saracenów prosić o chrzest.

Pan z Montferratu zmarszczył brwi. - Niech ich zatem ochrzci! Czy to pierwszy albo ostatni raz? Cóż mi do tego?

- Jego eminencja bardzo nalega, abyście niezwłocznie się u niego zjawili, panie.

- Dlaczego?

- Tego mi nie wyjawiał.

- Zgoda - westchnął Konrad. - Wracaj i powiedz, że niebawem przyjdę razem z panem Balianem.

- Pomyślałem, że wybuchł u ciebie pożar, Filipie - zawołał od progu Montferrat - albo dościgło cię jakieś inne nieszczęście, skoro tak pilnie życzyłeś sobie mnie ujrzeć!

Biskup rozłożył ręce w szerokim geście. - Witaj, przyjacielu. I ciebie chętnie widzę,

drogi Balianie. Nie miejcie do mnie pretensji o to niewczesne wezwanie. Gdy jednak wysłuchacie sprawy, zrozumiecie, co mną powodowało-wskazał dłonią środek izby, gdzie stało dwóch ludzi w strojach, w jakich zwykli chodzić nomadzi. Widać było w ich twarzach zmęczenie.

- Ci dwaj niewierni odbyli bardzo długą drogę, aby przybyć do mnie z prośbą o chrzest...

- To wiem - wpadł mu w słowo Konrad. - Jednakże nie zdarza się to aż tak rzadko, aby mnie zawiadamiać o każdym takim wypadku.

- Usiądźcie - biskup gestem powstrzymał dalsze słowa przyjaciela. - Wysłuchajcie tego, co mają do powiedzenia nasi goście. Jak wiesz, z reguły o chrzest proszą muzułmańscy mieszkańcy naszych miast, a czynią to bądź ze strachu, bądź dla uzyskania korzyści. Ci dwaj natomiast wydają się szczerze nawróceni, powiadają zaś zadziwiające rzeczy o okolicznościach tego nawrócenia.

- Sami niech mówią - wtrącił Balian. - Znają naszą mowę?

- Znają. Może gadają trochę śmiesznie, jak to Saraceni, ale znają.

Konrad spojrział surowo na Arabów. - Mówcie.

Obaj skłonili mu się nisko. Odezwał się wyższy: - Moje imię Muhammad ibn Fachr, zaś towarzyszy mi brat mój, Abdul. Byliśmy niegdyś wojownikami w wojsku Saladyna. Stawaliśmy przeciwko wam pod Hittinem i jeszcze wcześniej. Zapewne nadal służylibyśmy sułtanowi, gdyby Abdula nie spotkało nieszczęście... - zamilkł na chwilę.

Konrad z Balianem niecierpliwie oczekiwali na dalszy ciąg opowieści. Po chwili Saracen podjął: - Zdarzyło się tak, iż na mego brata Bóg zesłał szaleństwo. Musiał odejść ze służby naszego emira, a mnie zezwolono na porzucenie jej, bym mógł się nim zająć, jako że Abdul nie ma własnej rodziny ani nikogo bliskiego, kto by się podjął opieki, mnie wyjąwszy. Zamieszkaliśmy pod miastem Aj-la, wiodąc żywot ubogi i trudny. Nie będę się wam, szlachetni panowie, uskarżał. Tyle powiem, że pewnego dnia zawitał do nas pielgrzym. Zmierzał do Jerozolimy, do grobu Chrystusa...

- Przez Ajlę? - spytał z niedowierzaniem Balian. - Toż to jak w powiedzeniu: „Do piekiel wstąpił, po drodze mu było!”. Nie łiesz aby, człowieku?

- Słuchaj dalej - biskup niecierpliwie strzepnął dłonią.

- Także nas to zdziwiło - ciągnął Muhammad - gdyż od tamtej strony, od Egiptu, czasem przychodzą chrześcijanie, ale ci, których wy zwiecie Koptami, zaś nasz gość był bez wątpienia Frankiem. Tyle wam rzeknę, iż od pierwszej chwili jakby rzucił na mnie urok! Wszak powinienem go wygnąć spod swego dachu, a ja miast tego nakarmiłem go, napoiłem

i dałem mu nocleg.

Konrad uważnie przyglądał się mówiącemu. W jego twarzy było coś dziwnie znajomego, z oczu bił żarliwy blask. Gdzieś już widział takie spojrzenie. Tylko gdzie?

- Zaczął nauczać. Właściwie od razu winienem udać się do kadiego, donieść, by przysłał strażę, albo samemu nawet doprowadzić pielgrzymy przed jego oblicze. Nie mogłem jednak. Było coś zniewalającego w owym człeku. Słuchałem jego nauk wpierw niezbyt chętnie, potem nagle zrozumiałem, że mówi do mnie o rzeczach, które całe życie drzemały w głębi mej duszy. Nie to jednak mnie przekonało ostatecznie - zerknął w bok, tam gdzie stał Abdul. - Spójrzcie sami, szlachetnie urodzeni. Mój szalony brat odzyskał zmysły. Nie stało się to w jednej chwili, nie został uzdrowiony jednym gestem czy słowem. Jednakże i on słuchał nauk pielgrzymy. Najpierw nic nie zauważyłem, lecz po jakimś czasie zacząłem dostrzegać, jak uzdrawiający wpływ ma na niego nasz gość!

- Słyszycie? - zawołał biskup Beauvais. - Dotknął go palec Boży.

- Lecz jeśli chcieliście chrztu - rzekł podejrzliwie Konrad - mogliście poprosić o tę przysługę tamtego człowieka.

- Musielibyśmy wtedy tak czy inaczej uchodzić z Aji. Wiecie wszak, że muzułmanom pod karą gardła nie wolno porzucać wiary Proroka.

- Rozumiem. To bardzo poruszająca historia, ale dlaczego przybyliście właśnie tutaj?

Na twarzy Saracena odmalowała się przykrość. - Wiem, że nie ufasz do końca moim słowom, panie. Mnie samemu czasem trudno uwierzyć, jak szybko pielgrzym przekonał nas do nowej wiary... Zapewne nie zwracalibyśmy głowy tak ważnym osobom, lecz ostatecznie życzenie naszego gościa było wyraźne...

- Ostateczne życzenie? - Balian wydał wargi. - Nie żyje?

- Zapewne już nie żyje. Został pojmany przez strażników, kiedy udał się na bazar poczynić zakupy na dalszą drogę, nie wiem, pewnie czuł zbliżające się nieszczęście, bo dzień wcześniej rzekł nam, byśmy, gdy jego zabraknie, a zechcemy przyjąć chrzest, udali się tutaj, opowiedzieli swoją historię i poprosili, aby - jeśli to możliwe - naszym chrzestnym ojcem został sam król Jerozolimy...

Konrad poderwał się.

- Nie masz go! Korona Królestwa Jerozolimskiego pozostaje w skarbcu! Muhammad patrzył spokojnie.

- Nasz pielgrzym twierdził, że według proroctwa niejakiego Joachima niebawem król nadejdzie - odparł. - Dlatego przyszliśmy po radę do biskupa. A on rzekł nam, że to wy, markizie Montferrat, macie największą możliwość zostania królem, a jest to tylko kwestia dni. -

Padł na kolana, pociągnął za sobą brata. - Dlatego błagamy cię, byś pomógł nam wypełnić ostatnią wolę pielgrzyma! Wszak sam wiesz, jaki to ciężki grzech zlekceważyć takie życzenie!

Montferrat zaczął przechadzać się po komnacie. - Joachimowe prorocstwo... Kto by pomyślał, że znają je nawet w tak odległych stronach... Lecz dlaczego akurat król ma wam asystować przy chrzcie? Dlaczego pielgrzym tak sobie życzył?

- Nie wiem, panie. - Muhammad wodził za nim wzrokiem. - Może chciał, by jego historię poznał ktoś znaczny? Ktoś, kto ją przekaże innym i utrwali dla przyszłych pokoleń.

Konrad zatrzymał się przed klęczącymi. - Wstańcie. Zgadzam się, będę chrzestnym ojcem jednego z was. Drugi dostanie mojego druha, Baliana z Ibelinu.

Saraceni rzucili mu się do kolan. - Dzięki wam, szlachetny panie!

- Wstańcie, powtarzam! Jak zwał się ten pielgrzym? Jakiego był rodu?

Muhammad zwrócił na niego swe gorejące oczy. - Kazał się zwać Ubogim. Nie chciał nam zdradzić swego miana. Raz tylko słyszałem, jak modlił się głośno, kiedy myślał, że jest sam w chacie. Rzekł wtedy: „I miej w opiece sługę swego, Gilberta”.

Konrad skinął głową.

- Dobrze. Zostawcie nas teraz samych.

- Zgłóście się do mnie jutro - powiedział biskup. - Wyznaczę termin chrztu.

- Wierzysz w tę opowieść? - zapytał Balian po chwili milczenia.

Montferrat wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Brzmi tak nieprawdopodobnie, że może być prawdziwa.

- A ja uważam, że Saraceni mówili prawdę - odezwał się biskup. - Widzieliście ogień w oczach tego człowieka?

- Widzieliśmy, Filipie. Jednakże taki ogień może zwiastować nie tylko żarliwość wiary.

- Ty jak zawsze wątpisz we wszystko. Dlaczego w takim razie wyraziłeś zgodę, by im służyć przy chrzcie?

Konrad parsknął przez nos. - Tylko dlatego, że wątpię we wszystko, doszedłem do tego, kim jestem i kim będę. Gdybym żywił zaufanie do każdego, już dawno miałbym ze dwie pięćdziesiąt ziem nad sobą albo moje kości białaby wśród piasków. Chcą się Saraceni ochrzcić, co mi to szkodzi? Wybrali mnie, to może i dobrze. Trzeba tylko odpowiednio nagłośnić sprawę. Zawsze to będzie świadczyło na moją korzyść, zatka gęby niechętnym. Skoro do mnie, a nie do kogo innego przychodzą poganie po nawrócenie, to niechybny znak

pomazania przez Najwyższego - roześmiał się. - Lusignanów zaleje nagła krew!

- Tak - zawtórował mu Balian. - Gwidon pewnie zje ze złości swoją pustą sakwę. Oj, przyjacielu, zasłużyłeś sobie solennie na jego nienawiść.

XVIII

Brat Gustawus spojrział znad kupy kości na wyczekujących rycerzy.

- Jestem w służbie zakonu joannitów od lat dwudziestu z górą, a przez cały ten czas w Ziemi Świętej. Widziałem rany zadawane przez wojowników sobie nawzajem, widziałem ślady najwymyślniejszych tortur, oglądałem szczątki zabitych i nadgryzionych przez lwy czy inne dzikie zwierzęta. Ale żeby coś takiego...

- Potrafisz powiedzieć, bracie, co mogło ich zabić? Gustawus wzruszył ramionami. Ujął leżącą na wierzchu dłoń z fragmentem przedramienia. - Doprawdy nie wiem - oznajmił po chwili, ponuro się w nią wpatrując. - To nie wygląda na żadne zwierzę, które bym znał. Ale mówicie, że wnętrzności były rozwleczone?

- Jakby ktoś w nich się tarzał - przyświadczył Vincent.

- Czy to jakaś wskazówka?

- Właściwie nie - Gustawus zamyślił się na chwilę. - Chociaż, z drugiej strony... Jestem tutaj już dwadzieścia lat i wiele widziałem...

- To już słyszeliśmy - przerwał mu Telford.

- I wiele widziałem - powtórzył z naciskiem lekarz - a także wiele słyszałem. Wśród pogan powszechne są wierzenia w duchy i demony, przez nich nazywane...

- Dżinami czy tam innymi iblisami - wpadł mu w słowo Vincent. - Wiemy, zakonniku, niektórzy z nas też przebywają tutaj ładnych parę lat.

- Między tymi dżinami są złe i dobre - ciągnął niezrażony Gustawus - a Iblis czy Azazel jest władcą tych złych. Ale są jeszcze upadłe istoty, tak zwane ghule, żywiące się ludzkim mięsem, ponoć bardzo silne, o wielkich, pełnych zębów gębach... Jednakże z waszych słów wynika, że coś porwało ludzi i przeniosło kawał drogi. Ghule nie są do tego zdolne. To musiało być co innego... Coś więcej niż sam ghul...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał podejrzliwie Vincent.

- Niech Bóg uchwala, żebym wierzył w pogańskie gusła - lekarz przeżegnał się. - Jednak - zniżył głos do szeptu - nie jesteście pierwszymi, którzy przywożą podobne znalezisko.

- Co?!

- I to odkryte w podobnych okolicznościach - na ziemi krew, bryzgi dokoła

w kształcie gwiazdy czy promieni, jakby krew kapła z bardzo wysoka, zupełny brak innych śladów. I zwał członków gdzieś dalej.

- Myślałem, że to jednak Saraceni...

- Tego nie uczynił żaden człowiek - pokręcił głową Gustawus. - Stawiam na to moją reputację najbieglejszego medyka w zakonie.

- Więc kto lub co ich pożarło?

Lekarz rozłożył ręce w bezradnym geście.

Dwie ladacznice z rozdzierającym wrzaskiem tarzały się po ziemi, targając się bez litości za włosy. Pomiedzy kramami wzbijał się wzniecony awanturą kurz. Nadbiegający strażnicy przystanęli, chłonąc z zachwytem widowisko. Chcieli dobrze się napatrzeć, zanim aresztują rozzarte kobiety.

- Najgorsza jest awantura, drodzy panowie - odezwał się patrzący z niesmakiem na zajście Jan de Morges. - Jak publicznie na rynku jedna kurwa powie drugiej „ty kurwo”. No już - krzyknął na pacholców. - Ruszyć się, psie wiary!

Strażnicy z niechęcią przerwali spektakl. Wrzaski obu aresztowanych było słyhać jeszcze przez długi czas. Obrzucały siebie nawzajem i strażników takimi słowy, że de Morges kręcił z podziwem głową. - Żeby też byle dziwka klęła soczyściej od pasowanego rycerza - westchnął. - Świat w istocie schodzi na psy... Toż nawet mój świętej pamięci dziad nie potrafił z siebie wydobyć takich tonów, chociaż jak powiadają, dawniejsi ludzie bardziej bywali krzepcy i w rękach, i w gębie. A tu, drodzy moi, mamy żywy obraz naszych czasów. Tylko ubolewać, powiadam wam, tylko ubolewać.

- Teraz musimy omówić sprawę z królem - przerwał jego rozważania Edward. - To wszystko wymaga wyjaśnienia.

- Z którym królem? - spytał uszczypliwym tonem Konrad. - Bo mamy pewien, chociaż niewielki, przyznaję, wybór. Chyba nie chcesz udać się do pana z Montferratu? Tym bardziej, że musielibyśmy przejechać kawał kraju.

- Dlaczego nie? - spytał wyzywająco Vincent. - Jeśli rada ma być dobra, warto nadłożyć drogi. To nawet twój imiennik. Czy czegoś mu brakuje?

- Dałbyś spokój - odparł von Wallheim. - Nie czas bronić wątpliwego honoru przyszłego króla Jerozolimy, tym bardziej, że na razie jest jeszcze tylko markizem.

- No tak - sapnął Jan. - Mogłem się tego po was spodziewać. Chcecie iść z tym do Ryszarda, prawda?

- Przecież to on właśnie nas wysłał - Edward machnął ręką, jakby odpędzał się od

natrętniej muchy. - Pewnie że możemy każdy zawiadomić któregoś z naszych książąt, zgodnie z upodobaniem albo wręcz zdając się na los. Jednakże według mnie im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej. Wyobrażacie sobie, jakie spory i spekulacje spowodują nasze doniesienia? Już tam każdy z nich postara się to wykorzystać po swojemu. A ucierpi na tym, jak zwykle, proste rycerstwo. Powtarzam raz jeszcze: Ryszard nas wysłał, z nim winniśmy się naradzić.

- Wysłał to wysłał, wykonaliśmy zadanie, czyż nie? Strasznie dużo zaczęłeś nagle mówić, Swansen, milczku jeden. Jakoś mi się to nie podoba. Bez obawy, już tam Telford przekaze mu, co trzeba. A sprawa zdaje się poważniejsza, niż można było sądzić na początku. Ja Ryszarda nie lubię, nie będę tego ukrywał i iść do niego nie chcę.

- Czemu? - Milczący dotąd Werner von Watzenrode odważył się zabrać głos. - To wielki wojownik i znakomity wódz, a przy tym...

- Tyle - wpadł mu w słowo Jan - że z rozumem u niego bywa nie najlepiej. Zakuty ma łeb jak rzadko, prosto mówiąc. Ostatnio, jak powiadają, wpadł na pomysł, by rozstrzygnąć całą wojnę pojedynkiem z Saladynem... Głupie, prawda? Dobrze, że baronowie się sprzeciwili, bo mielibyśmy może niezgorszą, ale bardzo ryzykowną zabawę. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby Ryszard dał sobie obciąć w pojedynku swoją durną głowę?

- Dobrze jednakże, że nie ma tu z nami Telforda - zauważył cierpko Edward. - Po twoich słowach mielibyśmy pojedynek zaraz i na miejscu, jak nic. Sam różnie mówi o swoim panu, ale innym lżyć go nie pozwala, nie wiem jak wy, aleja udam się do Ryszarda właśnie. To, według mnie przynajmniej, jedyny słuszny wybór w sytuacji, kiedy nie mamy właściwie żadnego wyboru. Chyba iż ktoś ma inną propozycję. Ale rozsądną, a nie taką, żeby znowu się pokłócić.

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

- No właśnie. Tak przypuszczałem. Wy zróbcie, jak chcecie - mruknął w stronę Konrada i Francuzów, a potem zwrócił się do Wenera: - Bądź łaskaw zawiadomić Kurta. Ja się rozmówię z Piotrem.

- Witam drogich rycerzy i przyjaciół - Ryszard wydawał się być w doskonałym humorze. - Rad jestem, że właśnie mnie postanowiliście obdarzyć zaufaniem, choć zapewne poniektórych kusilo, by pominąć tego, przez kogo spędziliście ładnych kilka dni w lochu. Trzeba było się przemóc, nieprawdaż? Wiem już, wiem doskonale, z czym przychodzie.

- Telford ma stanowczo za długi jęzor - warknął Konrad von Wallheim. - Stanowczo. Trzeba by mu go przy okazji przykrócić.

Nieoczekiwanie Lwie Serce uderzył go w plecy z takim rozmachem, że hrabiemu zabrakło tchu.

- Nie bocz się na niego, przyjacielu. Oszczędził wam opowiadania wszystkiego i niepotrzebnej straty czasu. Zresztą - twarz mu zmierzchła - i tak nie było to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Chodźcie za mną w podziemia, przedstawię wam kogoś.

W miarę jak schodzili w głąb lochów, odczuwali coraz większy niepokój.

- Kogo takiego chcesz nam pokazać w tych cuchnących katakumbach, królu? - spytał nieufnie Kurt von Landberg. - Co to za postać?

- Cierpliwości, drodzy panowie, zaraz będziemy na miejscu.

Na samym końcu korytarza strażnik otworzył żelazne drzwiczki. Ryszard wszedł pierwszy, tuż za nim w niewielkiej celi stłoczyli się pozostali.

- Co za smród! - de Morges zatkał nos.

- W końcu to lochy - wzruszył ramionami Ryszard. - Czego innego można się spodziewać? A tutaj jest Michał, giermek zaginionego niedawno Edwina de Champes - wskazał na ludzki strzępek skulony na słomie w kącie.

- Ponoć obaj zaginęli! - Vincent był zdumiony. - Porwani przez Saracenów.

Ryszard pokiwał głową. - Tak zostało ogłoszone, jednak... Posłuchajcie, co ma do powiedzenia Michał.

Zbliżył się do leżącego, pochylił nad nim. - Gdzie jest twój pan, Michale? - zapytał łagodnie.

Więzień podskoczył, zerwał się na równe nogi i zaczął trząść niczym w febrze. - Porwany... - wychrypiał - Porwany i pozarty... - bełkotał przez chwilę niezrozumiale, i nagle oświadczył czystym głosem: - Nie zabiłem swego pana, przysięgam na Boga i Przenajświętszą... - znowu niezrozumiały bełkot, po czym wychrypiał: - Spadł na nas demon straszny i porwał w powietrze... Ptak ognisty... Jąłem się miotać w jego objęciach i tyle pamiętam, że wypadł mu z rozżarzonych pazurów i uderzył o zie... - przewrócił białkami oczu, zrobił się sztywny i upadł ciężko na plecy.

- Niczego więcej się od niego nie dowiemy - Ryszard patrzył z niechęcią na więźnia. - Ścigali arabskiego szpiega, który podkraść się do obozu - wyjaśnił. - Michał twierdzi, że o parę staj drogi zaatakował ich demon. Opis jak ulał pasuje do ifryta, w którym poganie upatrują jednego ze sług diabła pustyni. Zresztą ponoć ifryt porwał i ścigającego i ściganego. To by się zgadzało, bo na miejscu znaleziono kości dwóch ludzi oraz strzępy arabskiego burnusa. Najsrozsze tortury, jakim ten tutaj został poddany jako podejrzany o udział

w zamordowaniu Edwina, nie skłoniły go do zmiany zeznań. A zapewniam was, iż moi oprawcy biegli są w swym rzemiośle nad podziw.

- Wierzysz, panie, w majaczenia tego szaleńca? - von Wallheim skrzywił się. - Toż to do niczego niepodobne brednie.

Ryszard przyjrzał się uważnie hrabiemu. - W Ziemi Świętej większość czasu przebywamy na zielonych pasmach ziemi obiecanej - odpowiedział powoli - żyznej i przyjaznej. Jednakże tak naprawdę znajdujemy się wśród pustyni. Cóż o niej wiemy? W istocie rzeczy nic. A co możemy powiedzieć o zamieszkujących ją stworzeniach? Też niewiele. Mówią o mnie, że mam zakuty łeb, wiem o tym. Może i prawda. Ale na tyle zostaje w nim rozumu, by nie odrzucać wszystkiego, czego nie potrafię pojąć. Czy szatan nie może przybrać dowolnej postaci? Czyż nie może wcielić się w istotę z bajęd pogańskich? Czyż Bóg nie może wystawiać naszej wiary na próbę wszelkimi sposobami? To nie pierwszy czy drugi podobny przypadek. Ledwo udaje się utrzymać tajemnicę. Toż by było, gdyby rycerstwo wpadło w panikę! Koniec krucjaty, ot co! Dlatego sprawę trzeba dokładnie zbadać.

- Jak, miłościwy panie? Nie ma żadnych wskazówek. Ryszard wzruszył ramionami. - Wskazówki należy znaleźć. Trzeba jechać na pustynię i szukać do skutku. Nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy. A wam, panowie? To będzie bardzo poufna misja. Ci, którzy się jej podejmą, mogą liczyć na królewską wdzięczność - uśmiechnął się. - Zaś wdzięczność królów to wielka rzecz. A teraz żegnam was. Przygotujcie się do drogi. - Uważnie przyjrzał się Edwardowi, który ze zmarszczonym czołem obserwował władcę, stojąc bez ruchu, chociaż pozostali tłoczyli się już w drzwiach. - Przyjdź do mnie wieczorem - powiedział cicho. - Jeśli się nie mylę, masz mi coś do powiedzenia. Swansen bez słowa skinął głową.

XIX

- Signor Bartolomeo, wybaczenie, panie, że przeszkadzam, ale pan Lorenzo czeka na posłuchanie - lokaj stanął w kornej postawie przy drzwiach.

- Prosić, durniu! Na co jeszcze czekasz? Prosić! Wszedł młody mężczyzna o żywych ciemnych oczach i lekko nalanej twarzy.

- Witaj, don Bartolomeo.

- Bądź pozdrowiony, Lorenzo. Z czym przychodzisz? Przybyły rozejrzał się uważnie, zniżył głos: - Był u mnie człowiek... Wiesz, signor, od kogo?

- Możesz mówić śmiało. W tym domu ściany są głuche, a mury grube. Był u ciebie asasyn od Starca. Czego chciał?

- Są już gotowi. Czekają tylko na nasz znak. Bartolomeo wyprostował się, oparł

wygodnie. – Kiedy masz się z nim zobaczyć ponownie?

- Jutro.

- Doskonale, niech robią swoje, gdy tylko nadarzy się okazja. I niech ten zabójca przekaze jeszcze raz swemu panu, że jeżeli potem chociaż najmniejszy cień podejrzenia padnie na nas, może pożegnać się z resztą zapłaty.

- To chyba niepotrzebne, don Bartolomeo, ośmielę się zauważyć. To może go tylko rozdrażnić. Sinan wie przecież, jak to trzeba rozegrać. Nie pierwszy raz świadczy podobne usługi, wszak właśnie z tego się jego sekta utrzymuje.

- Może masz rację w tej sprawie, Lorenzo - Bartolomeo uśmiechnął się. - A może nie - nagle spoważniał. - Jednakże nie waż się nigdy więcej - rzekł groźnie - wypowiadać nie proszony o sprawach dotyczących naszych interesów! Tutaj musi rządzić jedna głowa! Jeśli ty nią kiedyś zostaniesz, będziesz czynił po swojemu. Lecz jak na razie, Rada złożyła moc decydowania w moje ręce - znowu rozjaśnił oblicze. - Jednakowoż uczyn w tej sprawie, jak ci rozsądek i wyczucie nakazują.

Lorenzo otarł ukradkiem pot z czoła. Bartolomeo bywał w gniewie straszny. Dla interesantów greczny i układny kupiec, właściciel sporej floty okrętów, stateczny i budzący zaufanie, dla swoich ludzi mógł być równie niebezpieczny jak skorpion ukryty w bucie. Gdzieś w tym pomieszczeniu jest podobno zapadnia prowadząca do miejskich kanałów i basenu portowego. Nieraz wyławiano przy nabrzeżu tych, którzy się narazili na jego gniew. Być może stoi właśnie teraz na jej klapie, mając pod stopami kilkunastometrową przepaść. Przeszył go dreszcz.

- Powiedz mi, Lorenzo, czy w głębi ducha i szczerze wierzysz w przepowiednie Joachima? Przecie to w głównej mierze przez jego wieszczona podjęliśmy działania.

Boże kochany, co na to odrzec? Młody kupiec gorączkowo poszukiwał w głowie właściwych słów. Każda odpowiedź może być zła i każda może być dobra. To pewnie kolejna próba. Za każdym razem Bartolomeo dawał mu jakieś zadanie do wykonania albo kwestię do przemyślenia. Ta jednak była wyjątkowo trudna i mogła okazać się zdradliwa.

- Sam nie wiem, panie - powiedział ostrożnie. - Rozum mówi, żeby nie ufać takim prorokom, ale rozsądek nie zawsze ma rację. Żyjemy w Ziemi Świętej, która widziała więcej cudów niż jakakolwiek inna kraina na świecie. Pamiętam, że ten sam Joachim przepowiadał Ryszardowi szybki upadek Saladyna. Widać doskonale, jak to się sprawdziło. Jednakże skoro to następne prorocstwo już i jest i zaczyna żyć w ludzkich umysłach, chyba trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki, choćby na wszelki wypadek... Żeby odsunąć zagrożenie, a najlepiej wyciągnąć jeszcze korzyści.

Bartolomeo milczał dość długo, ważąc słowa Lorenza. - Doskonale, chłopcze - powiedział w końcu. - Według naszych kalkulacji, w owej przepowiedni, czy jak tę gadaninę nazwać, chodzi o obecnego władcę Tyru, markiza Montferrat. Zaś jego panowanie nad całą Palestyną byłoby dla naszych faktorii katastrofą. Nie jest nam tutaj potrzebny silny monarcha. Żaden samowolny pan nie będzie się rozpierał na tronie jerozolimskim na naszą szkodę. Trzeba tak to zrobić, żebyśmy sami tam posadzili odpowiedniego człowieka. Brutalna prawda jest taka, że zgładzimy każdego silnego władcę, jaki zechce włożyć na skronie jerozolimską koronę. Twoja odpowiedź jest prawidłowa.

Lorenzo odetchnął z ulgą. Przeszedł kolejną próbę.

Bartolomeo siedział wpatrzony uważnie w jego twarz. Ten młokos może niebawem stać się niebezpieczny. Zbyt bystry jest i rzutki, żeby w pewnym momencie nie pomyśleć o przejęciu władzy. Trzeba będzie w przyszłości coś z tym fantem zrobić.

Dwie postaci, nachylone ku sobie, siedziały przy mdłym świetle kaganka.

- Zasiałeś w moim sercu niepokój, panie Swansen - król wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż izby. - Skoro ty nie masz pełnego zaufania do swoich towarzyszy, jakże ja mogę je mieć?

Edward wodził wzrokiem za Ryszardem. - Mówiłem, miłościwy panie, to nie jest tak. Może są kłótlivi i często trudno z nimi wytrzymać, ale to prawdziwi wojownicy i dla honoru daliby się rozsiekać na drobne kawałki, Nawet ten gbur von Landberg. Mój brak pewności wynika raczej stąd, iż to przesądni ludzie, jak zresztą my wszyscy tutaj.

A sam wiesz, że nad pustynią krąży coś, co może wzbudzić przerażenie w najmężniejszym sercu.

Ryszard zatrzymał się, spojrzał mu prosto w oczy. - Ty wiesz coś więcej! Mam rację?

- Jeżeli nawet, miłościwy panie, i tak nie mogę nic powiedzieć. Ale naprawdę wiem niewiele. Mniej, niżbym chciał, możesz mi wierzyć.

- Ale czegoś oczekujesz ode mnie?

Swansen również powstał, znalazł się twarzą w twarz z królem. - Pomocy.

- Uczynię, co tylko będę mógł, tylko wytłumacz dokładnie, o co chodzi. Kiedy i gdzie mam dać tę pomoc.

- Żebym to ja wiedział! Na tym polega problem. Nie mam pojęcia, co lub kogo napotkamy w głębi pustyni.

- Jak w takim razie mam być pomocny? - zniecierpliwił się Ryszard. - Masz jakiś pomysł?

- Mam, panie. Ale to będzie przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Śmiertelnie niebezpieczne.

Ryszard się uśmiechnął. - Lubię takie przedsięwzięcia. Powinieneś to wiedzieć. Im niebezpieczeństwo większe, tym bardziej mnie kusi.

Swansen poważnie skinął głową. - To będzie wręcz olbrzymie.

- Mów nareszcie, o co ci chodzi, bo stracę cierpliwość!

- Komu możesz w pełni zaufać, królu?

- To głupie i niepotrzebne pytanie, nikomu, jak każdy monarcha.

- Tak myślałem. Zatem nie widzę innej drogi. Musisz osobiście...

Znowu usiedli i pochylili ku sobie.

Abd al-fladżib unosił się nad ziemią. Malikowi wydawało się, że zdołał już do tego przywyknąć, lecz ilekroć mędrzec to robił, czuł jak zimno spływa mu z karku w dół pleców. Chrząknął lekko. Al-Hadżib otworzył oczy. Natychmiast miękko opadł na poduszki.

- Nadciąga - powiedział. - Dlatego cię wezwałem.

- Skąd... - książę nie dokończył pytania. Przyzwyczał się już, że czcigodny Abd wie i dostrzega więcej niż inni. Pytanie go „skąd wiesz” nie miało więcej sensu niż zapytanie wiatru „dlaczego wiejesz”. Trzeba przyjąć, że tak jest i koniec.

- Przygotuj ludzi, Murisz. Najwyższa pora zacząć działać - zamknął na chwilę oczy. - On jest bardzo potężny. Zyskałem już pewność, że to nie zwykły ifryt lecz ten, co do którego od początku żywiłem podejrzenia. To musi być Tir, wielki książę piekła.

- Niestety - szepnął książę.

- Niestety? - Al-Hadżib uśmiechnął się lekko. - Czyżby najdzielniejszy z wiernych bał się piekielnego ducha?

- Oczywiście, że tak - odparł opryskliwie al-Adil. - Musiałbym być głupcem, żeby nie odczuwać strachu.

- Boisz się - rzekł poważnie mędrzec. - To dobrze, chłopcze, niepotrzebny mi odważny szaleniec, ale rozważny wojownik o mężnym sercu i jasnym umyśle.

- Czy możesz wreszcie wyjawić, jakie zadanie jest mi przeznaczone?

- Teraz już tak. Ty uczynisz rzecz najważniejszą ze wszystkich, oczywiście wyjąwszy to, co mnie przypadło w udziale. Teraz mamy południe. Kiedy nadejdzie wieczór, nadciągnie i on. Wtedy weźmiesz ze sobą Fatmę, wyjedziesz na północną stronę naszej kryjówki i uczynisz, co powiem...

- Allah! - szepnął ze zgrozą przewodnik karawany. - Nigdy dotąd nie oglądał takich śladów nawałnicy!

Naga skała, równa i gładka jak stół, lśniła czarnym połyskiem w ostatnich promieniach słońca, na której stał młody mężczyzna urzeczony widokiem.

- Widywałem bazaltowe wylewiska, synu - ciągnął przewodnik - ale tylko na wschodzie, w głębi morderczej pustyni, a nie w miejscu, gdzie zwyczajne diuny układają się na obraz morskich fal. Jakaż wściekła siła musiała tutaj działać, by rozwiać tysiące tysięcy pudów piachu!

- Omińmy to miejsce szerokim łukiem, ojcze. To była zapewne ta świetlista luna, którą widzieliśmy nad ranem. Wygląda jakby któryś z szejtanów postawił tutaj swą pieczęć. A może sam Azazel...

- Milcz, głupi! Tego imienia nie wolno wymawiać pod własnym dachem w bezpiecznym domostwie, a cóż dopiero wśród pustyni.

- Dobrze, żeśmy pojechali przodem. Toż by dopiero było, gdyby kupcy zobaczyli coś podobnego! Chcieliby jak nic zawracać z drogi. A tak poprowadzimy ich dookoła. Mądry jesteś, ojcze.

- Ja jestem jedynie ostrożny, mój synu. Naucz się tego. Jeśli kiedyś, prowadząc karawanę, ujrysz nieznanne zjawisko, nie mów nic, nie snuj domysłów przy ludziach. Zawsze wtedy należy, nie wzbudzając podejrzeń, pojechać przodem i sprawdzić, czy gdzieś czai się prawdziwe zagrożenie, czy też omamiły nas tylko niewinne pustynne widziadła.

- Domyślasz się, ojcze, co mogło uczynić podobne spustoszenie?

- Wolę nawet nie zgadywać.

Nagle oczy rozszerzyły mu się przerażeniem.

- Uciekaj, chłopcze! Uciekaj natychmiast!

Młodszy mężczyzna podążył za jego spojrzeniem. To, co zobaczył, sprawiło, że nogi miał poderwać go do ucieczki, stały się ciężkie jak z ołowiu, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu.

- To - wykrztusił - to przecież... ghul!

- Uchodź, głupcze... Ja go...

Krótki urywany krzyk, po nim przerażające, przeciągłe rżenie. Starszy z mężczyzn zwałił się na ziemię ze zmiądzonym karkiem. Dopiero teraz jego syn podbiegł w kierunku wielbłądów, lecz spłoszone zwierzęta gnały już z całych sił w głąb pustyni. Tymczasem potwór porzucił starego przewodnika i cicho niby duch zaczął ścigać następną ofiarę. Z obnażonych we wściekłym grymasie ogromnych zębisk ściekała cuchnąca ślina.

- Allah - zawołał przerażony człowiek, z trudem utrzymując równowagę na śliskim bazalcie. - Ratuj mnie, Panie!

W tej chwili pazury potwora dosięgły jego głowy, orząc wśród włosów głębokie krwawe bruzdy. Zaraz potem mordercza łapa przejechała przez gardło nieszczęśnika. Syn przewodnika zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków bluzgając krwią, po czym legł bezwładnie na czarnej skale.

- Uspokój się, maleńka.

Fatma szerokimi ze strachu oczami wpatrywała się w lunę, na której tle linia horyzontu odcinała się wyraźnie od czerni nieba. Siedziała na koniu, przytulona plecami do brata. Drżała na całym ciele, a z jej piersi co chwila wyrывało się rozpaczliwe łkanie.

- Ty też, Antares - ostro skarcił wiercącego się konia Malik. - Nie pora na fochy! Ledwie usiedzieć można w siodle! - Mocno przycisnął do siebie siostrę. - Zaraz pognamy przed siebie, kochana - powiedział. - Jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem i wozilem cię przed sobą na starej Fachrze. Dobra to była kobyłka, spokojna i rozważna, nie to co ten diabeł pod nami. Ale ona nie potrafiłaby ująć takiemu niebezpieczeństwu.

Uważnie śledził narastającą lunę. Była już tak intensywna, że zwieńczenia skalistych pagórków odcinały się na jej tle ostro, jakby ktoś wykroił je nożem. - Jeszcze chwileczkę - mruzczał uspokajająco. - Musimy poczekać, aż zabłyśnie płomień. Dopiero wtedy zaczniemy uciekać. Tak kazał czcigodny al-Hadžib. Musimy uczynić tak, aby w pościgu za nami demon znalazł się właśnie w tym miejscu. Zrobimy jeszcze, co do nas należy, a potem będziemy mogli spokojnie wrócić do domu.

Możemy wrócić, pomyślał z goryczą. Jeżeli mędrcomi powiedzie się to, co zamierzył. Jeśli nie... Wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

- Nie lękaj się, Patmo - czuł drżenie przytulonego do niego ciała. - Nie pozostawię cię własnemu losowi.

Siostra przyłgnęła do niego mocniej. Jej serce biło w szalonym rytmie.

- Cicho, maleńka. Wszystko będzie dobrze. Nie na darmo Jusuf poświęcił dla tej sprawy swoje życie.

Drgnął. Czy to pierwszy błysk ognia, czy jakaś zabłąkana spadająca gwiazda?

- Allah akbar - szepnął.

Nie! To był na pewno blask diabelskiego płomienia!

- Naprzód, Antares! W twoich kopytach nasze ocalenie!

Abd al-Hadžib otworzył oczy.

- Przychodzisz więc na wezwanie, synu szejtana? - powiedział. - Zatem przybywaj - na jego pomarszczonej, pobladłej twarzy zagościł uśmiech. - Chodź, zły duchu. Przekonamy się, który z nas jest silniejszy.

Wycie nawałnicy docierało nawet tu, głęboko pod ziemię. Jeśli coś się nie uda, za chwilę po okolicznych skałach i pagórkach nie pozostanie najmniejszy nawet ślad. Zostaną zrównane z ziemią, a po niedługim czasie wiatr naniesie na nie warstwę piasku. Za jakiś czas nikt nie pozna, że ta część pustyni wyglądała jeszcze nie tak dawno zupełnie inaczej. Musi się udać!

Al-Hadžib klęknął jak do modlitwy. Bóg dopomoże słusznej sprawie.

XX

- Jak ja nienawidzę pustyni! - Jan de Morges z obrzydzeniem spoglądał w rozgwieżdżone niebo. Otulił się szczelniej derką, odwrócił plecami do towarzyszy i marudził dalej: - Że też zachciało mi się z własnej, nieprzymuszonej woli pchać do takiego piekła. A ostrzegała słodka pani de Morges: „Gdzie będziesz laźł, skończony ośle, toż nie na twój dumny łeb włóczyć się po krańcach świata. Zostaw to młodemu”, mówiła. „W ciepłym kącie przy kochającej żoneczce byś posiedział”. Tak ci do mnie czule przemawiała, gdy na wyprawę ruszała.

- Nie bierz tego do siebie, Janie - odparł Vincent - ale miałem wszak zaszczyt poznać twoją uroczą żonkę. Dawno temu, zanim jeszcze wygnano mnie z kraju, kiedy jeszcze była młodsza i poniekąd łagodniejszego usposobienia. Gdyby to była moja niewiasta, powiadam ci, i wierzaj mi, druhu, na słowo, jeśliby kto zaproponował mi udział w tak szalonej wyprawie ja ta kruczata, nie wahałbym się ani chwili, jeno z miejsca i bez zwłoki tego ponurego zwiastuna wycalowawszy po gębie, z radością opuściłbym domowe pielesze. Ciesz się jeno, że te twoje domowe delicje nie zechciały z tobą wyruszyć, jak to miewają we zwyczaju inne damy, choćby słodka pani Gertruda - zerknął przelotnie na Kurta - a nawet królowe. Wtedy zapewne nie narzekałbyś na okrutną pustynię, ale rwałbyś się na podobne wyprawy, bo tylko tutaj mógłbyś znaleźć wytchnienie od rozkoszy domowego pożycia.

- A ty co mi tu będziesz powiadał?! - De Morges podniósł się i stanął w groźnej postawie nad Vincentem. Obserwujący tę scenę Werner wstrzymał oddech. Dziwił się tylko spokojowi samego de Rionne'a. - Co ty możesz wiedzieć o moim pożyciu z żoną? Kto upoważnił cię do wydawania sądów na ten temat?! - pochylił się nad bezbronnym, leżącym na wznak towarzyszem. - I to takich prawdziwych sądów na dodatek - nagle usiadł obok

Vincenta, wyciągnął w jego stronę pękaty bukłak. - Napijmy się wszyscy za zdrowie mojej ukochanej Zuzanny, oby moje oczy nigdy już nie ujrzały jej nadobnej postaci...

De Rionne łyknął solidną porcję trunku, po czym rzucił bukłak Edwardowi.

- Miłych snów, panowie - powiedział.

- Niech ta noc będzie spokojna i cicha - zawtórował Swansen, przekazując naczynie następnemu.

Po chwili wszyscy spali. Poza kręgiem ogniska, kilkadziesiąt kroków od obozu czuwał jedynie młody Werner von Watzenrode, któremu przypadła pierwsza straż. Patrzył w ciemną otchłań pustyni, myśląc o wielkiej przygodzie, w jakiej miał zaszczyt uczestniczyć. Mimo protestów wuja, który chciał mu wyjednać u króla zwolnienie z rozkazu, uparł się pojechać z rycerzami na niebezpieczną wędrowkę w głąb pustyni.

„Obiecałem twojej matce, że będę o ciebie dbał i niech mnie piorun strzeli, jeżeli nie dotrzymam słowa!”, wrzasnął von Wallheim, kiedy Werner oznajmił mu swoją wolę.

Wspomnienie czerwonej ze złości fizjonomii wuja zaczęła powoli przesłaniać dużo przyjemniejsza twarz Heleny di Marco, córki możnego patrycjusza z Genui. Obiecała czekać na jego powrót z wyprawy krzyżowej, niezależnie od tego, ile lat miałyby trwać. Westchnął ciężko. I on przyrzekł jej wierność, a Bóg widzi jak trudno dotrzymać przysięgi w rozbuchanym rozwiązłością świecie Wschodu...

- Niech mnie diabli, Wernerze, jeżeli nie myślisz w tej chwili o kobiecie.

Graf drgnął zaskoczony. Obok niego przysiadł niepostrzeżenie Vincent.

- Skąd wiecie, baronie?... - zaczerwienił się.

- Ten wyraz twarzy, blask oczu - de Rionne roześmiał się cicho. - I nie tytułuj mnie baronem. Banicie nie przystoją tytuły. Wszyscyśmy na krucjacie winni nazywać się braćmi, ale sam widzisz, jak to wygląda, nawet w naszej niewielkiej grupce wzajemne niechęci biorą górę nad przesłaniem papieskim, które jest oznajmiane na początku każdej wyprawy i powtarzane potem przy każdej okazji.

Werner bez słowa pokiwał głową. Po dłuższej chwili zapytał z wahaniem: - Nie ufasz mi, że zrezygnowałeś z wypoczynku? Dam jednak radę sam pełnić wartę.

- To nie to, chłopcze. Po prostu nie mogę zasnąć. Od paru dni takie miewam sny, że wolę w ogóle nie spać.

- Wierzysz w sny?

- Na ogół nie bardzo, ale kiedy zjawia się w nich mój ojczulek, to znak, że trzeba uważać. Nigdy nie był osobą, do której szczerze by mówiono przy spotkaniu „dobrze cię widzieć”. A teraz twoje drugie pytanie.

- Skąd wiesz, że mam jeszcze jakieś?

Vincent przypatrywał się rozmówcy z dziwnym uśmiechem. - Jeżeli chodzi o Edwarda - rzekł - tak naprawdę wiem o nim niewiele więcej niż inni. Kiedyś był moim serdecznym druhem. Sam, z własnej woli opuścił swój kraj, inaczej niż ja... Ponoć jest potomkiem wygasłej dynastii Skjoldungów, choć uparcie temu przeczy. Przybyliśmy z pielgrzymką do Ziemi Świętej jeszcze za poprzedniego papieża. Jak już wiesz, kilka lat przed nową krucjatą Swansen popadł w niewolę saraceńską, po przegranej bitwie. Jak udało mu się zbiec, sam słyszałeś, chociaż cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Jest jakiś inny, obcy... Zmienił się. Ale co tam - ożywił się nagle - nie będziemy rozprawiać o ponurym Wikingu. Opowiedz mi lepiej o swojej damie serca...

Mdła poświata gwiazd litościwie ukryła rumieńce na twarzy Wenera. Miał ochotę wykręcić się od odpowiedzi, jednakże przeważyła w końcu chęć podzielenia się z kimś wielkim uczuciem. - Jest piękna jak te światełka nad nami. Łagodna i delikatna na podobieństwo włoskiego nieba. Ciepła niby tamtejsze słońce, które, ku mojej zazdrości, ma zaszczyt codziennie oglądać jej cudowną postać. Przy tym w jej ciemnych oczach płonie ogień gorętszy niż ów codzienny żar, czyniący pustynię tak straszliwym miejscem. Jednakże dobry to płomień, nie zabija, lecz daje życie, nie upał niesie, lecz ukojenie. A dłonie... Takie małe i aksamitne, są jak wyrzeźbione z gładkiego alabastru... Sam dobry Bóg stworzył je tylko po to, by radowały ludzkie oczy. To Jego wprawne dłuto wydobyciło z cennego tworzywa wyjątkową, niepowtarzalną urodę. Wreszcie stopy drobne i kształtne. Gdy stąpa, z zachwyconej ziemi zdają się wydobywać dźwięki cudowne niczym westchnienie harfy...

- Poeta z ciebie, chłopcze - mruknął z podziwem de Rionne. - Gdybym ja tak potrafił przemawiać, swego czasu hrabianka Elwira de Brugge byłaby moją, a Judyta Monaglian może by się dwa razy zastanowiła przed wyjazdem... Lecz mój język zawsze był raczej plugawy niczym obozowa dziewczka. Zabierzesz oczywiście tę italską pannę do swoich włości, by pokazać ją matce?

Werner otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymało go syknięcie Vincenta: - Óóó... Słyszę jakiś dziwny szmer. Biegnij obudzić Edwarda...

Graf pospieszył spełnić polecenie, a de Rionne pobiegł kilkanaście kroków przed siebie, po czym przypadł do ziemi, nasłuchując.

- No i co tak pełzasz w piachu, jak jakiś robal! - usłyszał nad głową gromki, znajomy głos. - To nie licuje z honorem rodziny de Rionne!

- Ojciec?! - wyszeptał zdumiony Vincent. - Znowu ty...?

- Zgadza się, chłopcze, znowu ja. I niech mnie diabli, jeżeli mi się to podoba!

Vincent odzyskał już nieco przytomności umysłu. - Zgiń przepadnij! - skrzyżował palce tak, jak go uczyła w dzieciństwie piastunka.

- Daj spokój - zjawa skrzywiła się z niesmakiem. - Żeby rycerz uciekał się do babskich guseł... nie spodziewałem się przyłapać mojego syna na czymś podobnym.

- Zaraz przybiegną tu ludzie! Zobaczą cię.

- Nie przypuszczam. Znajdujemy się w tak zwanym bezczasie. Świat wokół zamarł, tylko my dwaj... Jakby to powiedzieć... nieważne! W każdym razie nikt nie przyjdzie. A gdyby nawet, i tak mnie nie zobaczy. Jestem tu tylko dla ciebie.

- Czego chcesz? Mów w końcu i idź sobie!

- Nie cieszysz się ze spotkania ze starym ojcem?

- Nie kpij. To ostatnia rzecz, z której bym się cieszył. Gdyby nie twoje podłe machinacje, nie siedziałbym teraz w Ziemi Świętej, tylko radował i korzystał z życia!

- Wiesz doskonale, że to, co czyniłem, robiłem wyłącznie dla dobra rodziny...

- Szydzisz sobie ze mnie, ojcze! Dla dobra rodziny sprowadziłeś obce wojska na kraj? Dla dobra rodziny spiskowałeś z angielskim Henrykiem? Dla dobra rodziny dokonałeś rzezi w Montesse? Pieśni już o tym układają! To przez ciebie pozbawiono nas ziemi, godności i wygnano z ojczyzny! To za twoją sprawą żaden de Rionne nie ma prawa przekroczyć granic kraju pod karą gardła! Matka zmarła ze zgrzyoty, a nieszczęsny Gotfryd skończył w wieży! Reszta tuła się po świecie, bo tobie zachciało się wojować z samym królem!

- Jakoś nie przypominam sobie, żebyś bardzo protestował, kiedy zyskiwaliśmy na władzy i znaczeniu. Prawdę powiedziawszy nie pamiętam, żebyś w ogóle protestował, wręcz przeciwnie: wydawałeś się wtedy bardzo rad! A co do Montesse, nie zrobiłem tego sam, nieprawdaż? A może pamięć cię zawodzi?

Vincent opuścił głowę. - Byłem młody i głupi. To mnie oczywiście nie tłumaczy, ale z nas dwóch to ty powinieneś być rozsądniejszy! Powinieneś wiedzieć, kiedy trzeba się zatrzymać. Przesadziłeś, chcąc decydować, kto ma zasiąść na tronie!

Duch wzruszył ramionami. - Teraz to nieistotne. Nie odwróci się biegu czasu, chociaż szkoda... Wiesz, dlaczego przychodzę dzisiaj do ciebie? Chcę cię ostrzec, synu. Zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem, bo jesteś do mnie najbardziej podobny...

- Nie jestem do ciebie podobny! Jedynie omotałeś mnie swego czasu i tyle! Wiesz - Vincent mówił teraz przez zaciśnięte zęby - czasem żałuję, że nie żyjesz, bo sam chętnie bym cię zabił! Nienawidzę cię!

Stary de Rionne uśmiechnął się krzywo. - Niewdzięczny z ciebie pacholek, ale jakoś mnie to nie dziwi. Przyszedłem ci oznajmić, że zginiesz. Taka zjawia jak ja raczej rzadko przynosi dobre wieści. I tym razem nie jest inaczej. Byłem ostatnimi czasy w różnych miejscach, widziałem wiele ciemnych sprawek, słyszałem wiele rozmów - grymas na twarzy ducha poszerzył się. - Kilka znacznych osób udało mi się poważnie przestraszyć. Byłem nawet u tego, którego zważ Starcem z Gór, gościłem u samego sułtana, że o pomniejszych władkach nie wspomnę. Nawet nie przypuszczasz, jakie to może być interesujące, los takiej potępionej zjawy. Odczuwam, prawda, nieustanne cierpienie, o jakim wy, żyjący, nie możecie mieć pojęcia, ale dzięki temu, iż nie dano mi się oderwać od tego świata, mam możliwość przyjść dzisiaj do ciebie. I powiedzieć „zginiesz”... Uważaj. Próbuj odwrócić los. To zawsze możliwe. Chociaż, kiedy pomyślę o wszystkich knujących panach, tych bardziej i mniej możnych szlachetnie urodzonych szalbierzach czy przebiegłych kupczykach... Nie masz wielkich szans. Właściwie nie masz żadnych, mówiąc uczciwie. Sprawa, w jaką się teraz zamotałeś, to okrutne bagno. A maczają w nim palce tacy ludzie, że trudno w to uwierzyć nawet upiorowi.

- Powiedz więcej, skoro już mnie postanowiłeś dręczyć! Niech wiem, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo.

- Ono zawsze nadchodzi z najmniej i zarazem z najbardziej spodziewanej strony. Zginiesz, synu.

Ocknął się z twarzą w piachu. Wstał i trzykrotnie uczynił znak krzyża. Nie cierpiał tych pojawiających się nagle snów, w których przychodził ojciec. - Zgiń, przepadnij - wymamrotał.

- Słyszałeś coś? - Edward, jak zwykle, zjawił się niespodziewanie. - Z której strony?

Vincent bez słowa wskazał w kierunku wschodzącego księżyca. Swansen posunął się tam bezszelestnie, po chwili zniknął w ciemnościach.

- Co słyszałeś? - szepnął Werner, który nadszedł zaraz za Edwardem razem z Janem de Morges i wujem, niedługo po nich przybiegł Telford, dopinając pas z mieczem.

De Rionne wzruszył ramionami. - Zaraz wróci Edward - mruknął. - Jeżeli to było cokolwiek z tej ziemi, już on to znajdzie. Gdzie Landberg?

- Został przy koniach.

Nagle rozległ się okrzyk. Drgnęli.

- Co to było? - De Morges rzucił się w stronę obozowiska. - To stamtąd!

Wszyscy poszli w jego ślady. Werner obejrzał się jeszcze tam, gdzie podążył Edward. Wolałby, żeby Norman był w tej chwili na miejscu. Przy nim czuł się jakoś dziwnie

bezpieczny. Okrzyk, który rozległ się powtórnie, był jeszcze głośniejszy i pełen bólu. - Boże, bądź miłościw - mruknął, puszczając się pędem za innymi.

- Jesteś, Swansen! - zawołał z ulgą de Morges. - Myślałem, że i ciebie dopadło!

Edward zbliżył się do ogniska. Rycerze musieli być czymś porządnie przestraszeni, bo wrzucili na żer płomieniom prawie cały zapas drewna i znaleziony po drodze susz. Z boku stał młody graf Watzenrode i wymiotował.

- Chłopak ma słaby żołądek - zauważył Piotr z Telford. - Co znajdziemy jakiegoś trupa, od razu rzyga.

Jego lekki ton skrywał w sobie jednak ogromny strach. W powietrzu dawało się wyczuć niesamowite napięcie.

- Co się stało? Czy to Kurt? - Edward wskazał postać leżącą na ziemi.

- Tak, Swansen, to Kurt! - zgrzytnął zębami Konrad von Wallheim. - A raczej to, co z niego zostało. Podczas kiedy ty uganiałeś się po pustyni diabli wiedzą za czym, coś tutaj zarżnęło Landberga!

- Zarżnęło to mało powiedziane - wtrącił się Vincent. - To coś nie bardzo chyba potrafiło poradzić sobie z kolczugą. Wszyscy wiecie, że Kurt zawsze łąził w pełnym pancerzu, trzeba czy nie. Nawet nogawic nie zdejmował. To przeklęte coś wycisnęło go przez oczka kolczugi! Sam zobacz!

Edward pochylił się nad ciałem. Widok w istocie był ohydny. Zmiażdżone, pomieszane z odzieniem ciało zostało zmacerowane w trudny do opisanego sposób.

- Kiedyśmy nadbiegli - mówił de Rionne - owa bestia oblizywała Kurta. Powiadam ci, mało nie oszalałem na ten widok! Łapami go dusiła i lizała to, co wypływało na zewnątrz! Rany Chrystusa, jak on straszliwie krzyczał! Dopiero kiedy zajechała go pazurami po głowie, przestał! Swansen rozejrzał się czujnie dookoła. - Gdzie ta bestia?

- Uciekła, kiedy Jan rzucił się na nią z mieczem, nie, nie uciekła, to złe określenie. Oddaliła się... Tam - Vincent wskazał ręką. - Płynęła w powietrzu szybko, ale jakoś tak niechętnie i wciąż się na nas oglądała. Przysięgłbym, że w jarzących się czerwono ślepiach widziałem oskome... Okropny widok. Kosmata jak niedźwiedź, łapy do samej ziemi, gęba pełna zębów, jak mówił Gustawus i wielkie szpony...

Edward podjął z ogniska płonąca gałąź, poszedł we wskazanym kierunku, uważnie patrząc pod nogi.

- Ghul - powiedział głośno. - Ale nie płynął w powietrzu, jak ci się wydawało. Pozostały wyraźne ślady.

- Ghul? - podchwycił Konrad. - To przecież tylko miejscowe gusła! Kapelan...

- Sam widziałeś! - wpadł mu w słowo de Rionne. - To nie był stwór z tego świata! To nie było żadne znane nam zwierzę! Edwardzie, myślisz, że coś takiego pożarło wtedy naszych i Arabów?

- To niemożliwe. - Edward pokręcił głową. - Ghul jest za słaby, by samodzielnie dokonać takiej rzezi. Te stwory najczęściej żyją na cmentarzach i pożerają trupy. Można je czasem spotkać przy drogach, gdzie czyhają na samotnych wędrowców. Jednakże nie słyszałem, żeby same grasowały w głębi pustyni... Ten zaś musiał podążać za nami od początku, czekając na okazję.

Werner zbliżył się do nich. Starał się nie patrzeć na to, co jeszcze niedawno było Kurtem von Landberg. - Skąd się biorą takie potwory? - spytał drżącym głosem. - Co za moc potrafi przywołać je do życia?

- Według jednych są to potępione demony, upadłe dzinny czy ifryty, skazane na istnienie w tej żalostnej postaci, napadające na ludzi i żywiące się ich mięsem albo wygrzebujące spod ziemi trupy. Inna opowieść mówi, iż wykluwają się z jaj zapłodnionych przez samego diabła. Ale ich pochodzenie może być jeszcze inne. Wystarczy bowiem, jak powiadają, że matka, rodząc w ukryciu, nie zawiąże pępowiny noworodkowi - odparł Edward. - Potem zakopie trupa byle gdzie. A kiedy zdarzy się tak, że głodny ghul wydobędzie z ziemi takie nieszczęsne dziecko, może przez tę niezawiazaną pępowinę tchnąć w nie cząstkę swego nieczystego ducha i powołać do potwornego istnienia następną, podobną sobie poczwara... Lecz ghule nie są w stanie wychować same takiego młodego stwora. Przywołują wtedy o wiele potężniejszego ducha, żeby...

- Skąd tyle wiesz? - przerwał Piotr Telford. - To podejrzane. Mocno podejrzane. A poza tym to bzdury. Bajdurzenie. Coś zabiło Kurta, zgadza się, ale żeby zaraz opowiadać nam jakieś pogańskie bajdy?!

- Mów dalej, Swansen - rzekł Konrad. - Skoro natknęliśmy się na rzecz niewytłumaczalną, każda droga do prawdy jest dobra! Co z tym duchem?

- Jak powiedziałem, ghul nie może sam wychować dziecka. Oddaje je wtedy słudze Azazela, złemu ifrytowi. Dokąd ów zajmuje się młodym ghulem, stanowiąc zaiste morderczą parę. Apetyt obu staje się wręcz nienasycony. Póki młody potwór nie urośnie i nie stanie się samodzielny, korzystają z każdej okazji, aby nasycić głód i zaspokoić żądzę zemsty. - Uważnie przyjrzał się zmasakrowanym zwłokom. - Głód i żądzę zemsty - powtórzył. - Ten musiał być jeszcze młody, skoro nie potrafił rozerwać koleczugi. I skoro uszedł bez łupu. Stara, silna poczwara stoczyłaby z nami bój. A niezmiernie trudno jest ukatrupić ghula. O ile

wiem, można tego dokonać tylko w wyjątkowych okolicznościach.

- Po co to wszystko mówisz? - podejrzliwie zapytał Telford. - Chcesz nam coś dać do zrozumienia?

- Nic, Piotrze, zupełnie nic.

- Tak w ogóle widziałeś coś, zanim poczwara ukatrupiła Kurta? - zainteresował się Vincent. - Zupełnie o tym zapomnieliśmy! I nic dziwnego.

- To był jakiś człowiek. Zbrojny. Oddalił się w wielkim pośpiechu, konno. Jesteśmy śledzeni, czego można było się przecież spodziewać.

- A niech go ten ghul pożre! - mruknął de Morges. - Kimkolwiek jest. A teraz trzeba jakoś pogrzebać nieszczęsnego Landberga. Mieliśmy szukać śladów, a nie tracić towarzyszy.

- Mieliśmy szukać śladów - odezwał się de Rionne - i chyba właśnie coś znaleźliśmy, nie uważasz?

Potworny upał dawał się we znaki nawet Edwardowi. Wyglądało na to, że i jego zmorzył sen, gdyż jechał z pochyloną głową, kołysząc nią w rytm końskich kroków. Wierzchowce wlokły się noga za nogą, umęczone bezlitosnymi promieniami słońca na równi z jeźdźcami.

Kiedy wreszcie będzie ta oaza?, pomyślał Vincent, przebudziwszy się, gdy jego klacz potknęła się na wystającym kamieniu. Przyjdzie nam szeznać z braku wody, jeżeli Swansen się pomylił...

Podjechał do towarzysza, szturchnął go w bok. - Nie śpij, Edwardzie - powiedział. - Bo przegapisz znaki.

- Nie śpię. - Swansen spojrzał na niego nieoczekiwanie byстрым wzrokiem.

- Masz jeszcze trochę wody? Ja swoją dawno wypilem. Edward bez słowa podał mu bukłak.

- Prawie pełen - rzekł de Rionne z nieukrywanyм podziwem. - Jak ty to robisz?

- Kwestia przyzwyczajenia.

- Wiesz, szkoda mi Landberga. Drażnił mnie, to prawda, ale i tak go szkoda... Był jednym z nielicznych Niemców, którzy nie rozleźli się jak owce bez pasterza po śmierci Barbarossy. Gdyby się cesarz nie utopił, inaczej by wyglądała ta wyprawa.

- Gdybyśmy się wciąż nie kłócili między sobą w Królestwie Jerozolimskim, nie byłoby potrzeby zwoływać nowej krucjaty.

- A ty byś nie spędził paru lat w niewoli, wiem. Powiedz mi coś więcej o tych pustynnych duchach. Jak to jest z wychowywaniem ghula przez ifryta?

Edward poprawił się w siodle. - Różnie o tym mówią. Jest taka legenda, że dotąd ifryt będzie mordował, dokąd nie znajdzie rodziców młodego ghula. Kiedy spada na jakiś lud nieszczęście, kiedy na pustyni zaczynają ginąć ludzie, kiedy znajduje się na piasku bryzgi krwi, to znak. Znak, iż jakaś kobieta z plemienia zabiła swoje dziecko i zły duch jej poszukuje. Nie tylko jej zresztą, ale także ojca dziecka. I nie spocznie, dopóki nie dokona dzieła zemsty. Oboje rodzice powinni zginąć, a musi ich zgładzić ifryt. Dopiero wtedy ghul może stać się dorosły. Podobno są sposoby, aby ujarzmić demona, jednakże trzeba spełnić pewne warunki. To bardzo niebezpieczne i ponoć nikt tego nie robi, gdyż o wiele prościej wydać ich pomście ifryta. Ale to tylko legenda. Chociaż... Po tym, co widzieliśmy, czy nie byłoby słusznie zacząć wreszcie wierzyć w podobne gadki?

- Straszne są opowieści tutejszych ludów.

- Straszne, Vincencie? Może i tak, ale są również piękne. Zważ, czyż ifryt nie jest narzędziem sprawiedliwości? Choć to z natury zły duch, w jakiś sposób służy jednak słusznej sprawie.

- Może masz rację. Ale ten potwór był sam.

- Sam - przytaknął Edward. - Na nasze szczęście. Inaczej wyglądalibyśmy równie żałośnie, co znalezione przez nas poprzednio zwal potrzaskanych ciał. Ale to wcale nie oznacza, że będzie nam zawsze dopisywać. Kurta wszak opuściło.

Milczeli dłuższą chwilę.

- Ten człowiek cały czas jedzie za nami - powiedział Edward - on...

- Musi być szalony - przerwał de Rionne. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie włóczy się sam po pustyni. Ale, ale - zreflektował się nagle. - Chciałeś mi coś powiedzieć, prawda?

Swansen zmarszczył brwi, wyraźnie namyślając się, co odrzec. W chwili słabości omal nie wyjawiał przyjacielowi tajemnicy. - To nieważne. Na wszystko przyjdzie czas. A on niech jedzie za nami, skoro taka jego wola. Nigdy nie wiadomo, czy w pewnym momencie na coś się nie przyda...

- Uważam, że powinniśmy zawrócić! Zaginiemy bez śladu i tyle z tego będzie - Konrad von Wallheim ze złością cisnął patyk w ognisko. Oaza, której poszukiwali, okazała się brudnym bajorem porośniętym dookoła wyschłymi do cna kolczastymi krzewami. - Za czym się uganiamy po tej pustyni? Za duchami?

- Rozumiem, hrabio, że przemawia przez ciebie troska o młodego grafa, a nie lęk o własną skórę - odparł de Morges. - Ale spytaj jego samego, czy również chce wrócić. Nie chce, widzisz jak kręci głową? Nie uchronisz go przed niebezpieczeństwami, chowając pod

szatą jak małe dziecko. Zabrałeś chłopca na wyprawę krzyżową nie po to, żeby grzał rzyć przy obozowych kuchniach. Ma teraz chłopak szansę zasłużyć się wielkiemu władcy. To może być sporo warte.

- O ile ten wielki władca pożyje na tyle długo, żeby owe zasługi wynagrodzić! Nigdy nie wiadomo, czy za dzień, za godzinę nie przyjdzie wieść o jego zgonie, bo pcha się w każdą awanturę i rzuca do każdej bitki - rzucił zgryźliwie Konrad. - Jest jeszcze pytanie, czy my sami dożyjemy tego, żeby skorzystać z owoców jego wdzięczności.

- Człowiek nie zna dnia ani godziny. Ale pamiętaj o maksymie: *Quidquid agis prudenter agas, fit suum et respice finem*. Skoro coś zaczęliśmy, dokończmy tego jak na rycerzy przystało. A ty zamieniasz się w jęczącą babę!

- Gdybyśmy byli w obozie - rzekł spokojnie Konrad - wyzwiałbym cię na ubitą ziemię. Poczekaj, aż wrócimy.

- Gdybyśmy byli w obozie - odparł Jan - nigdy nie powiedziałbym do ciebie takich słów. Ale jeżeli będziesz chciał konieczne bić się po powrocie, służę swoją osobą. Choć nie przypuszczam, żeby to miało wielki sens. Uważam, że powinniśmy być ze sobą szczerzy, zamiast dbać o pozory i koić urażoną ambicję. Powiedziałem, co myślę, a zauważ, iż nie zarzuciłem ci tchórzostwa, tylko nadmierną troskę o Wenera, który sam doskonale potrafi zadbać o siebie. Von Wallheim skinął tylko głową, przyjmując do wiadomości słowa towarzysza.

- Mój Boże - szepnął Vincent do Piotra. - Jeszcze kilka dni temu skoczyliby sobie do gardeł! Jakże zmieniliśmy się wszyscy przez ten krótki czas. Nawet Konrad. Wyobrażasz sobie, jakie piekło by dawniej rozpętał? Co za zmiana...

- Nie wiem tylko, czy na dobre. Rycerz nie powinien rozmyślać nad niebezpieczeństwem. Powinien iść naprzód i walczyć.

- Jak twój król? Najpierw czynić, potem myśleć!?

- To o wiele łatwiejsze. I poniekąd przyjemniejsze, nie uważasz?

Tłumiąc śmiech Vincent skinął swemu rozmówcy.

- Od dzisiaj - Edward wyprostował nogi, usiłując ogrzać stopy przy niewielkim płomieniu - nie powinniśmy chodzić samotnie nawet za potrzebą. Zawsze parami.

- Nie musisz nam tego mówić, sami wiemy. Ciekaw jestem swoją drogą, jak sobie radzi ten, kto za nami podąża. A może jest po prostu sprzymierzeńcem ghula.

Swansen skrzywił się, kręcąc przecząco głową. - Piotrze, ghule nie mewają innych sprzymierzeńców poza ifrytami. To stworzenia nieszczęsne i pogardzane przez wszystkie inne duchy czy potwory. Przymierze z demonem pustyni jest rzeczą wyjątkową w ich życiu. A ten,

kto nas śledzi, z pustynnymi duchami i upiorami nie ma nic wspólnego. To człowiek i mógłby paść łupem ghula, gdyby nie...

- Gdyby nie co? - podchwycił de Morges.

- Nieważne.

- Dlaczego nie chcesz mówić?

- Bo to nie ma znaczenia.

- Jednak...

- Powiedziałem! Jeśli będę wiedział o czymś, co jest ważne, na pewno was powiadomię!

- Jak sobie chcesz - wzruszył ramionami Jan. - Mnie tylko dziwi, z jaką łatwością przyjęliśmy do wiadomości, że mamy do czynienia z jakimiś gmulami i diabli wiedzą czym jeszcze.

- A mnie zastanawia - powiedział powoli Piotr z Telford - ile wie król. Odniosłem wrażenie, że on sam w tej sprawie głęboko wierzy w udział sił nie z tego świata.

- Słuszna uwaga - rzekł Konrad. - Myślę, że Ryszard wie o wiele więcej niż możemy przypuszczać. I uważam, że ten, kto nas szpieguje to jego wysłannik. Takie zabezpieczenie. Gdyby nam się coś przytrafiło, stanowi niejako odwód. Jeśli nas nie stanie, on ma rozkaz wracać z wieściami.

- Tyle, że na razie to on jest w większym niebezpieczeństwie. Może nawet nie wiedzieć, że gmul krąży w okolicy.

- Na pewno wie, że coś się dzieje - trzeźwo stwierdził Telford. - Przecież nie mógł przegapić pochówku Kurta, prawda Swansen? Powiedz, Wikingu, a może ty...

- Panowie - wpadł mu w słowo Vincent. - Uważam, że to tylko jałowe rozważania. Skoro nie możemy się napić i najeść do syta, przynajmniej spróbujmy pospać. Kolejność wart odwrotna niż wczoraj, tak? No to dobrej nocy.

Pochwycił wdzięczne spojrzenie Edwarda. Pomyślał, że najgorsze bywają pytania bez odpowiedzi albo te niezadane. To, które przerwał, zawisło w powietrzu jakąś dziwną zasłoną nieufności, oddzielając Swansena od pozostałych. Za dużo widział, zbyt dużo wie. Ludzie nie lubią takich jak on.

XXI

Sinan zerwał się na równe nogi. Pot spływał mu po plecach grubym strumieniem. Rozejrzał się po komnacie, zalanej sinym światłem księżyca. Oczywiście nie dostrzegł nikogo. Złudne cienie rzucane przez bladą poświatę pozostawały całkowicie nieruchome. -

Przepadnij, zjawo piekielna - wycedził, czyniąc na piersi skomplikowany znak. - Zostaw mnie już w spokoju. Czy przychodzisz na jawie, czy tylko we śnie, odejdz, gdzie twoje miejsce.

Chyba, pomyślał jednocześnie, że to miejsce jest przy mnie właśnie.

- Czy ktoś cię nasłał, czy sam cię przywołałem, niespokojny duchu? Odpowiedz albo odejdz.

Pytanie, rzucone w ciemność, pozostało bez echa.

- Odejdz! - powtórzył głośniejszym głosem. - Albo sprowadzę na ciebie stwory ciemności!

Przysięgłby, że w uszach, gdzieś na granicy świadomości, zadźwięczał drwiący chichot.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że ta noc upłynęła spokojnie - Jan de Morges przeciągnął się i wzdygnął. Tutejsze gwałtownie wstające poranki były takie inne od leniwego budzenia się przyrody ze snu, do jakiego przywykł w domu. Wciąż nie mógł się przyzwycząić. Rozejrzał się dookoła. Obrzydliwa kamienista pustynia... Wstrętne miejsce! Chociaż z drugiej strony, kiedy pomyślał, że nadejdzie dzień, kiedy będzie mógł porzucić tę suchą, okrutną ziemię, opanowywała go dziwna nostalgia, napotkał łagodne spojrzenie błękitnych oczu Wenera, uśmiechnął się do niego szeroko. Chłopak odpowiedział nieśmiałym skrzywieniem warg. Jak dziewczyna, pomyślał Jan. Zawlekli nieszczęśnika na to bezludzie, oderwali od domu, od zabaw młodości. A powinien teraz siedzieć gdzieś w Austrii w swoim majątku i zastanawiać się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem, pójść do stajni obejrzeć ulubionego wierzchowca, uszczypnąć w pośladek kuchenną dziewczkę... Zamiast tego budzi się na twardej ziemi i zastanawia, czy dożyje wieczora.

- Powiem wam - Jan potarł odrętwiały kark - że bezsens naszej wyprawy wydaje mi się dzisiaj równie wielki, jak wczoraj hrabiemu von Wallheim. Mieliśmy znaleźć jakieś wskazówki i chyba znaleźliśmy. Ten potwór, który ukatrupił Kurta... Czego my jeszcze szukamy?

Piotr z Telford przysiadł przy nim. - Przypominasz mi w tym momencie mojego króla, Janie, nigdy nie wiadomo, kiedy odmieni mu się nastrój, kiedy zaprzeczy temu, co mówił jeszcze przed chwilą. Dlatego nazywają go *Oc-e-No*, Tak i Nie. A ty jednak wczoraj wyraziłeś zdanie wręcz przeciwne. Chyba że źle usłyszałem.

- Dobrze usłyszałeś. Ale nie spałem pół nocy. Nasłuchiwałem czy coś się nie dzieje, czy nie pełźnie tu jakieś paskudztwo. Jeżeli mamy cokolwiek znaleźć, musimy wiedzieć, czego szukać! Tutaj nikt nam tego nie powie.

- Chcesz wracać?

- Sam nie wiem. Ale coraz bardziej mnie to wszystko niepokoi.

- Niepewność? Czyżbym słyszał niepewność w twoim głosie? Nie przypuszczałem, że dożyję takiej chwili!

- Nie drażnij się ze mną. Piotrze. Ty jesteś za tym, żeby iść głębiej w pustynię?

- Nie możemy iść dalej - rozległ się nieoczekiwanie głos Edwarda.

- Swansen! - De Morges rzucił mu niechętnie spojrzenie. - Za to skradanie się ktoś cię kiedyś ustrzeli, nie możesz podejść normalnie, jak człowiek? I dlaczego nie możemy ruszać dalej?

- Nomadzi - padła krótka odpowiedź.

- Co znaczy nomadzi? Możesz wyjaśnić?

- Beduini. Przed nami jest jakieś plemię. Liczne, mają wielu wojowników, nie chcemy się chyba na nich natknąć, prawda?

- Skąd wiesz, że tam są? - spytał podejrzliwie Jan. - I w jakiej sile? Pustynny jastrząb przyniósł ci wiadomość?

- Znalazłem ślady. Zrobiłem rekonesans.

- Sam? Mielіśmy się nie poruszać samotnie. Edward spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

- No dobrze, zgoda - de Morges uniósł ręce, jakby się poddawał. - Ty wiesz lepiej jak tutaj jest. A gdzie Vincent? Nie widzę go.

- Pojechał na zachód, sprawdzić, czy droga jest wolna.

- Nie możemy pojechać po własnych śladach?

- A masz ochotę napotkać jeszcze raz tego ghula?

- Zaraz - wtrącił się z boku Konrad von Wallheim. - Skąd wiesz, że on tam ciągle się pęta?

Edward zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Rozumiem - powiedział powoli hrabia. - Ten przeklęty stwór pastwi się nad ciałem nieszczęsnego Kurta. Źre naszego towarzysza! O ile już go nie pożarł! Zakopaliśmy go płytko, bo nas popędzałeś. Te kilka kamieni, którymi przykryliśmy mogiłę to dla ghula nic! Tego chciałeś? Zatrzymać go tam? Źe też od razu na to nie wpadłem! To dlatego tak spokojnie sam pojechałeś zrobić rozpoznanie i wysłałeś de Rionne'a. Powinniśmy cię...

- Uspokój się, wuju - Werner położył mu rękę na ramieniu. - Tak widocznie trzeba było zrobić. Musimy zaufać panu Swansenowi.

- Dziękuję, grafie - skinął głową Edward. - Masz rację, tak było trzeba, żeby zatrzymać z dala może nie tylko ghula. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, mieliśmy sporo

szczęścia, że był sam. Jednakże nie liczyłbym na to, że jego uczta potrwa zbyt długo. Zdaje się, że to nie jest zwykły potwór.

- Znowu zagadki. Możesz być mniej tajemniczy? Edward westchnął ciężko.

- Skoro tego żądasz. Piotrze. Lecz nie jestem pewien... Mogę się tylko domyślać.

- Nie szkodzi. Podziel się swoimi domysłami.

- Myślę, że któryś z naszych rycerzy...

Przerwał mu krzyk Wenera: - Vincent! Vincent pędzi ile tchu w koniu! Coś się musiało stać!

Rzeczywiście gnał co sił. Jego klacz wyciągnęła się jak struna, prawie szorując brzuchem po ziemi. Krzyczał. Jeszcze nim zdążyli pojąć, co woła, dopadli wierzchowców.

Dobrze, że przynajmniej zdążyliśmy je z rana napoić w tej kałuży, przeleciało przez głowę młodemu Wenerowi.

Rzucił dookoła spojrzeniem. Wszyscy już siedzieli w siodłach z wyjątkiem Jana, który dopinał popręg.

- Saraceni! - doleciał krzyk Vincenta. - Niewierni! W konie! - Po chwili wpadł między nich. - Za mną!

Posłusznie popędzili za nim, od razu zmuszając zwierzęta do galopu. Wener obejrzał się wypatrując wrogów. Rzeczywiście ujrzał kurzawę, jaką wzbicić mógł tylko liczny pościg. Rozróżnić można było drobne figurki jeźdźców. Spojrzał w bok. - Z lewej! - zawołał. - Z lewej!

Samotna postać po skosie zbliżała się ku nim w szaleńczym cwale.

- Zwolnić! Zaczekajcie na niego! - rozległ się okrzyk Swansena.

No tak, pomyślał Wener, teraz przyda się każdy zbrojny, nieważne czy nas tylko szpiegował, pilnował, czy był wrogiem. W obliczu niewiernych nie czas na dociekania.

Powstrzymali nieco wierzchowce. Tamten błyskawicznie zmniejszył dzielącą ich odległość.

- Co za ścigły pod nim podjezdek - mruknął z podziwem Jan de Morges. - Jak błyskawica...

- Naprzód! - rozległ się okrzyk, kiedy przybysz dołączył do grupy.

Znowu runęli pędem do przodu.

- Ciągną od północy! - zawołał nowo przybyły.

Głos wydał się Vincentowi znajomy, jednakże nie potrafił go w tej chwili dopasować do osoby. - Od zachodu i południa też! - odpowiedział.

Na próżno próbował dostrzec rysy tego człowieka. Toneły w fałdach okręconego

wokół hełmu zawoju, teraz furkoczącego bezładnie, rozwiewanego gorącym wichrem cwału. Widać było tylko jasne oczy o twardym wyrazie. Te oczy też już kiedyś widział, należały do...

Potrząsnął głową, nie, to niemożliwe!

Gorący pęd suchego jak turecki pieprz powietrza wciskał się w każdą szczelinę w okryciu. Wzniecana niespokojnymi podmuchami pustynnego wiatru kurzawa znajdowała nieomylnie drogę, siekąc bezlitośnie wszystkie odkryte miejsca. Hełmy, tak dobrze chroniące w bitwie przed potężnymi ciosami mieczy, były bezradne wobec maleńkich ziaren na pozór bezsilnego piasku. Gnali przez długi czas, oglądając się co chwila za siebie. Pościg pozostawał w podobnej jak na początku odległości za nimi, zdawało się tylko, że ścigających jest coraz więcej.

- Spójrzcie, oskrzydlają nas półksiężycem ze wszystkich stron! - zawołał Konrad von Wallheim. - Zostaje nam tylko droga na wprost!

O ile tam też ktoś nie czeka, pomyślał Werner. Gdyby przyszło do walki, nie przebijemy się, nie ma mowy... Przed oczami stanęła mu śliczna buzia Heleny di Marco. Szkoda będzie ginąć nie zaznawszy z nią rozkoszy.

- Konie! - krzyknął Vincent. - Niebawem ustaną! Musimy zwolnić!

Jego klacz, nie napojona w oazie razem z innymi końmi, już dawno zaczęła chrapać z wysiłku. A teraz potknęła się raz i drugi, nic im nie przyjdzie z zajeżdżonych wierzchowców.

- Popędzaj! - odkrzyknął de Morges. - Popędzaj! Teraz nie możemy stanąć!

Vincent zerknął w bok, gdzie podążał nowo przybyły. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Rumak niósł go lekko, jakby szaleńczy bieg dopiero się rozpoczął.

- Królewski koń - mruknął z podziwem. Poklepał swoje zwierzę po karku. - Pokaż, kochana, że nie jesteś gorsza, daj z siebie, ile tylko zdołasz...

Klacz jakby zrozumiała, co mówi. Rzuciła łbem i przyspieszyła. - Moja kochana - szepnęła. - Moja dzielna... Po chwili znów stękała z wysiłku.

- Nie bój się, nie dam cię zajeździć - zaczął ściągać wodze.

Trudno. Skoro trzeba umrzeć, zginie w walce. Może uda się położyć kilku Saracenów. Może choć trochę opóźni pościg.

- Stać, stać! - rozległ się w tym momencie krzyk. De Morges uniósł się w strzemionach. - Pościg ustał.

Z niedowierzaniem patrzyli tam, gdzie kłęby piachu powoli opadały.

- Dlaczego? Dlaczego stanęli?

Edward bez słowa wyciągnął rękę w kierunku, w którym uciekali. Nad horyzontem lśniła krwawa luna.

- Coś płonie? - De Morges oblizwał spieczone wargi. - Ale przecież tam nic nie ma, nie może być! Tylko piach i skały. Jak wszędzie...

Przed oczami stanęły mu podobne luny na drodze krucjaty. Chociażby na Cyprze, kiedy w imię Boga palili wsie i kościoły.

- Tam nic nie ma - potwierdził Swansen. - A jednak coś płonie.

- Byłeś tu kiedyś?

Edward potrząsnął przecząco głową. - Nie.

- Co robimy?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć. Dopiero po chwili tajemniczy przybysz uczynił dłonią szeroki gest. - Są wszędzie dookoła - dobiegł spod zawoju niski, melodyjny głos. - Mamy tylko jedną drogę. Przed siebie. I tam pojedziemy!

- A kimże ty jesteś, przybłodo, żeby nam rozkazywać?! - zapienił się z wściekłości Konrad. - Nawet nie znamy twojej twarzy ani zawołania!

Jego słowom towarzyszył pomruk aprobaty. Zamaskowany sięgnął do materii misternie zawiniętej wokół głowy. - Teraz to już żadna tajemnica - odparł.

Powoli zdejmował warstwy materiału. Po chwili błysnęło spod niego żelazo. Zdjął hełm, odrzucił kolczy kaptur.

- Wasza królewska mość - jęknął Piotr. - Wy tutaj?!

- Rany boskie! - szepnął Werner. - Matko Chrystusowa!

- Co tu robisz, królu? - spytał podejrzliwie Konrad. - A więc to ty cały czas podążałeś naszym śladem. Nie ufasz nam?

Na twarzy Ryszarda odbiło się zakłopotanie, jednakże natychmiast ustąpiło miejsca zwykłej pewności siebie.

- Wybaczcie, panowie. Ale sami powinniście to pojąć. Anglik, dwóch Austriaków, dwóch Francuzów, nawet świętej pamięci Niemiec i na dodatek dziwny Wiking... Cały krucjatosy bestiariusz. To, że po pobycie w wieży nadal cały czas trzymacie się razem, jakoś mnie nie uspokajało...

- Narazasz się na niebezpieczeństwo! - powiedział z wyrzutem Piotr. - Zostawiłeś wojska... Bez ciebie wyprawa spełznie na niczym. Przecież mogłeś zginąć, choćby i zeszłej nocy! Na tej pustyni dzieją się rzeczy dziwne i straszne!

- Rzeczy dziwne i straszne dzieją się wszędzie - odparł Ryszard. - A umrzeć też mogę wszędzie. Szczególnie we własnym namiocie. Od ciosu sztyletem, od trucizny... A co do

wyprawy, trwa nadal. Wojska wyruszyły pod Jerozolimę. W pochodzie potrzebny nie jestem, Gwidon chociaż tyle powinien...

- Musimy coś zdecydować - przerwał Swansen. - Nie czas na czczą gadaninę.

- Nie wydajesz się zdziwiony obecnością króla, Wikingu - w głosie Jana brzmiała podejrzliwość. - Wiedziałeś? Edward wzruszył ramionami. - Z tego, co słyszałem o angielskim władcy - odparł wymijająco - nie należy się niczemu dziwić.

Ryszard spojrział dziwnie na Swansena, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Co to może być za łuna? - zastanawiał się Vincent. - Piasek przecież nie płonie.

- Będziemy mieli okazję to sprawdzić - odezwał się Telford. - Patrzcie, pościg znowu rusza!

- W konie!

Zdumieni patrzyli na olbrzymi płomień wyrastający wprost z potężnej skały. Właściwie nie była to skała, ale prawdziwa góra na środku pustyni. Z obu jej stron biegł rząd skalistych, ostro zwieńczonych pagórków.

- Tu powinno być zupełnie płasko! Nie miałem pojęcia, że w tym miejscu, w sercu pustyni są jakieś góry! W dodatku ogniste. O ile wiem, góry są tam! - Vincent wskazał na północ. Przetarł oczy ze zdumienia. Popatrzył na Edwarda. - A ty wiesz coś o tym?

Swansen jedynie wzruszył ramionami. Ten gest mógł oznaczać wszystko. Im głębiej zapuszczali się w te mordercze równiny, tym bardziej towarzysz wydawał mu się tajemniczy.

Wierzchowce stały z opuszczonymi nisko łbami, u kresu wytrzymałości.

- Mnie bardziej zastanawia - spytał Piotr - dlaczego Saraceni znowu przerwali pościg?

- A po co się będą śpieszyć? - skrzywił się zjadliwie de Morges. - Mają nas. Są wszędzie. Ogarnęli nas półkolem i czekają spokojnie, aż zupełnie osłabniemy.

- Niech konie się nieco wydyszą - mruknął Ryszard - będziemy się przebijać.

- Nie damy rady!

- No to zginiemy! Kogoś strach obleciał?

- Jest jeszcze jedna droga - odezwał się Swansen.

- Jak to?

Edward wyciągnął przed siebie rękę. - Tam jest wąwóz, a na jego końcu znajdziemy wejście do jaskiń. Tam powinna być woda i łatwiej się bronić...

- Chcesz jechać tam, skąd strzela ten płomień? - zdumiał się Konrad von Wallheim. - A jeżeli to jakieś diabelskie nasienie?

- Byłeś tu już kiedyś, prawda? - spytał jednocześnie Vincent. - A mówiłeś, że nic nie

wiesz!

- Słyszałem o tym miejscu - odparł Swansen.

- Czyli jednak wiesz więcej, niż chcesz przyznać! - Jan przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- Jedziemy - zdecydował Ryszard. - Nawet jeśli przyjdzie nam szczeznąć, to cóż za różnica gdzie. A nuż się uda... Poza tym Edward ma rację. Łatwiej będzie się bronić wśród skał aniżeli na otwartej przestrzeni.

- Tylko ten płomień...

- Mnie też on niepokoi. Ale nie widzę innej drogi.

- On się nie poddaje wiatrowi, zauważyliście? Dmucha wszak mocno, a on płonie równo jak świeca w kościele...

- Nie czas się nad tym zastanawiać. Jedziemy.

Nie śpiesząc się ruszyli w stronę wąskiego przejścia wśród skał. Konrad spojrzął za siebie. Saraceni stali jak przedtem.

- Czuję się niczym zwierzyna na polowaniu z nagonką!

- Nie tylko ty, von Wallheim. Wszyscy się tak czujemy. Więcej, jestem przekonany, że ci Arabowie to nagonka. Zupełnie jakby mieli zagnać nas w to właśnie miejsce.

- Patrzcie! - Jan wskazał skały. - Ktoś tam jest. Przed wąskim przejściem stała jakaś postać. W miarę jak się zbliżali, stawało się jasne, że nie jest to ludzka istota. Długie, sięgające ziemi łapy, zakończone potężnymi pazurami, zjeżona sierść, jarzące się szkarłatem ślepia.

Słyszać było, jak Werner ze świstem wciąga powietrze. - Ghul... To musi być ghul!

Jechali coraz wolniej. Ghul otworzył paszczę i zawył. Potępieńczy głos odbił się od skał, splątał z gorącym wiatrem i rozszedł echem nad okolicą.

- Ma zaschłą krew na mordzie - powiedział przez zaciśnięte zęby Konrad. - Pewnie miał ostatnio niezłą ucztę! Może to jeszcze posoka nieszczęsnego Landberga!

- I co teraz? Zagradza nam wjazd. Konie się płoszą.

- Diabelskie pomiotło, żeby go diabli wzięli! - zaklął Ryszard. Zeskoczył z wierzchowca, wy dobył miecz. Jego potężna postać zdawała się lekko płynąć nad kamieniami, kiedy ostrożnie zbliżał się do bestii.

- Szalony jak zawsze - mruknął Jan do Vincenta. Napotkał jego nieprzytomne spojrzenie. - Człowieku, gdzie ty właściwie patrzysz? Ghul jest tam, po prawej stronie!

- Ojciec - wymamrotał Vincent.

- O czym ty mówisz, człowieku?

Lecz de Rionne nie słuchał. Na skale, z drugiej strony wjazdu do wąwozu, siedział ojciec. Patrzył na niego z tym swoim drwiącym i prowokującym uśmiechem, który był przyczyną większości pojedynków, jakie odbył w życiu. Kiwał głową z politowaniem. Vincent potrząsnął głową, ale obraz nie chciał zniknąć.

Tymczasem Ryszard zbliżał się do ghula. - Ścierwo - warczał. - Przekłęte paskudztwo! Zejdź mi z drogi, bo rozplątam mieczem.

Ghul ryknął przeciągle. Ryszard przyspieszył kroku. Wtedy niespodziewanie poczwara pisnęła żałośnie. Król przystanął zaskoczony, a ghul opadł łapami na piach. Zakwilił cienkim, prawie dziecięcym głosikiem. Sprawiał w tym momencie wrażenie istoty zupełnie bezbronnej. Po chwili wstał, odsunął się na bok. Z całej jego postaci wydawało się bić przygnębienie. Wściekły, czerwony blask ślepi przybladł, stojąca dotąd na sztorc sierść wygładziła się nieco, z pyska pociekła strużka śliny.

- Teraz chyba nic nie zrobi - zawołał król, nie spuszczać wzroku z potwora. - Przejeżdżajcie.

Posłusznie zaczęli się przedzierać przez zwał kamieni utrudniający dojście do wąwozu. Konie boczyły się i parskaly, ale szły posłusznie.

Kiedy mijali ghula, Werner przyjrzał mu się uważnie. Z wrażenia stracił na chwilę oddech. - Wuju! - trącił strzemień Konrada. - Ten potwór płakał... Widziałeś? Patrzył na króla i płakał... Łzy ciekły mu jak groch!

- Cicho, chłopcze. Jeśli przecucie mnie nie myli, zobaczymy jeszcze dziwniejsze rzeczy...

- Zginiesz, mój synu - powiedział ojciec do Vincenta. - Ostrzegam cię. W końcu zginiesz.

De Rionne zacisnął mocno powieki. Czy on stał się szalony, czy to świat zwariował? Rzucił okiem w bok. Skala była pusta.

- Udało się - odetchnął z ulgą de Morges. - Myślałem, że będzie gorąco...

- Tam - Ryszard zsiadał z konia. - Do tej jaskini! Pobiegli ile sił w nogach. Jaskinia okazała się wejściem do dużego korytarza.

- Ciekawe, czy to natura czy ludzka robota - zastanawiał się Vincent.

- Cicho, coś słyszę!

Z głębi rzeczywiście dobiegały jakieś głosy i kroki.

- Wracamy!

Nagle na zewnątrz zaroilo się od białych burnusów.

- No to nas mają - mruknął Ryszard. - Zamknęli potrzask. Musieli czekać ukryci

w skalnych załomach.

W ciemności zaśniły iskierki pochodni.

- Rycerze - powiedział jakiś głos. - Nie stawiajcie oporu, a przysięgam, że nie stanie wam się krzywda!

Ryszard rzucił sceptyczne spojrzenie na tłum arabskich żołnierzy na zewnątrz i mnogość pochodni wewnątrz.

- Stawiać opór - parsknął. - Nawet ja nie jestem tak szalony!

- Panie, tylko nie pokazuj twarzy - ostrzegł Telford. - Ktoś może cię rozpoznać. Zawiń się szczelniej. Powiemy, żeś ranny, jeśli kto zapyta.

- Poddajemy się! - zawołał Edward.

Podszedł do nich drobny człowiek o smagłej twarzy w towarzystwie rosnącego Araba.

- Czego chcesz, brudny Greku? - spytał z pogardą w głosie Piotr.

- Pogański sługus!

- Broń i pancerze pozostawcie tutaj. Ludzie tego, kto chce was widzieć, zabiorą je. Potem chodźcie za mną.

XXII

Greki zakrzętały się przy dzbanach. - Wina? A może zwykłej źródlanej wody? Mamy tu nawet przednie piwo.

- Jak cię zwa, Gryfonie? - spytał Vincent.

- Co cię obchodzi imię takiego zdrajcy? - rzucił się von Wallheim.

- Nie każdy, kto służy Saracenom jest od razu zdrajcą - rzekł cicho Swansen. - Grecy często obejmują u nich urzędy z ojca na syna.

- A ty co tak za nim obstajesz?

- Nie obstaję za nim, bo go nie znam. Jednakże skoro de Rionne chce poznać jego miano, nie mam nic przeciwko temu. Nie pojmuję, czemu tobie to wadzi.

- Wiking ma rację - wtrącił Ryszard spod swojego zawoju. - Cóż ci to szkodzi?

- Jak cię zatem zowią? - ponowił pytanie Vincent.

- Leonidas, syn Christosa.

- Podaj nam wody, Leonidasie.

- Wolałbym wina - zaprotestował de Morges. - Skoro mam wybór...

- Napijemy się wody - powtórzył z naciskiem de Rionne. - Wino czy piwo mogłoby nam zaszkodzić. Zbyt łatwo ukryć w nich smak innych substancji.

- Ale po co ktoś miałby was truć? - zamachał rękami Grek. - Możecie mi zaufać.

- Podaj wodę!

Pili długo. Wysuszone ciała domagały się wilgoci.

- Dobrze - Vincent oderwał usta od dzbana. - A teraz powiedz, po co nas tu przyprowadziłeś.

- Musicie się rozebrać, abym mógł sprawdzić, czy w waszych szatach nie pozostała w ukryciu jakaś broń.

- Mamy się obnażać przed tobą? - uniósł się Jan. - Nie ma takiej potrzeby. Jestem gotów dać rycerskie słowo, że jestem bezbronny!

- Rozkazy mojego pana są wyraźne. Jeżeli nie poddacie się im dobrowolnie, będę musiał wezwać straż.

De Morges nagle znalazł się przy nim. Mocarna dłoń chwyciła Leonidasa pod brodę i bez wysiłku uniosła nad ziemię. Grek bezradnie zamachał w powietrzu nogami.

- A wiesz, psie, że wystarczy, bym rękę ścisnął w pięść, żeby przetrącić ci brudny kark?

- Puść go, Janie - powiedział spokojnie Piotr. - Nie ma sensu stawiać oporu. Pierwszy się rozdzieję dla przykładu.

Jan niechętnie postawił Greka, który natychmiast zaczął rozcierać obolałą szyję.

- Ciesz się, panie, że nie krzyknął - mruknął. - Byłoby po was.

- Mam może być ci wdzięczny? - Jan roześmiał się, choć darmo było szukać w tym śmiechu śladów wesołości.

- Wdzięczny? Nie. Choć winieneś docenić mój uczynek.

- On docenia - wtrącił niecierpliwie Vincent. - Naprawdę docenia. A ty, jak każdy Gryfon, chciałbyś, by traktować cię jak równego uczciwym rycerzom. Kończmy już to żalosne przedstawienie.

Zrzucili ubrania, stanęli nad nimi zupełnie nago, jedynie Ryszard nie odwinął zawoju z twarzy. Leonidas spojrzał pytająco.

- Uważasz, sługusie, że mogłem coś ukryć w tym pasku materiału?

- Nie trzeba wiele - odparł Grek. - Czasem wystarczy struna do lutni albo cienki jedwabny sznurek, by zabić... Muszę i to sprawdzić - wyciągnął rękę, lecz natychmiast znalazła się w żelaznym uścisku. Leonidas syknął z bólu.

- Tylko spróbuj - wycodził Ryszard - a nie zważając na nic roztlukę cię o ścianę. Rozgniotę jak pluskwę, nie nadużywaj naszej cierpliwości! Nie mam żadnej garyty w ukryciu. Rycerz nie posługuje się takimi narzędziami, w odróżnieniu od asasynów albo was, greckie psy!

- Jednak będę musiał zawiadomić o tym mojego mocodawcę, nie będzie zadowolony.
- Zawiadamiaj, kogo chcesz! A teraz rób dalej, co masz do zrobienia.
- Odziejcie się zatem. Zaprowadzę was na wyznaczone miejsce.

Przemierzali kręte korytarze, czując na sobie baczne spojrzenia strażników ukrytych w niewielkich wykuszach. Mały Grek gdzieś się zapodział, kiedy przechodzili przez dużą, wykutą w kształt elipsy salę. Teraz towarzyszyli im tylko arabscy strażnicy. Wreszcie doszli do celu. Eskorta zniknęła równie nagle, jak przedtem Grek.

Jaskinia była ogromna. Po drodze przebytej w krętych, ciasnych korytarzach wydawała się dziełem giganta. Rozświetlona łuczycami ujawniała fantazyjne kształty, jakie tylko przyroda potrafi stworzyć.

Stali zbici w ciasną gromadkę, rozglądając się czujnie i ciekawie dookoła. Na okazałych galeriach rząd biało odzianych strażników, uzbrojonych w łuki i długie miecze wyglądał jak ozdoba.

- Co to za miejsce? - zastanawiał się Konrad.

- To musi być jakaś ich tajna siedziba - odparł de Morges. - A my jesteśmy zawsze tacy zdziwieni, że potrafią się nagle pojawić jak spod ziemi na środku pustyni. Mnie bardziej zastanawia ten dziwny odgłos. Słyszę go od samego początku, jak tylko tu weszliśmy. Szum... Nie, bardziej przypomina chyba syczenie rozjuszonego węża...

Nagle gdzieś z góry zabrzmiał krótki okrzyk, a wokół nich zawrzało. Z bocznych, ukrytych w skalnych załomach korytarzy wysypał się rój Arabów w ciemnoczerwonych burnusach.

- Ku mnie! - zahuczał potężny głos Ryszarda. - Drogo sprzedamy skórę!

- Bez gwałtownych ruchów - zawołał jednocześnie Edward. - Gdyby chcieli nas zgładzić, wystarczyłoby wydać rozkaz łucznikom na galerii!

- Królu - syknął Piotr Telford. - Nie ujawniaj się! Zasłoń szczelniej twarz i przygnij karku! Postawa cię zdradza!

Zostali błyskawicznie otoczeni. Patrzyły na nich wrogie oczy, światło łuczycyw igrało iskierkami w obnażonych ostrzach i bogato zdobionej oprawie broni.

- Musi przyboczną straż jakiegoś możnego Saracena - mruknął Ryszard. - Tośmy wpadli. U nich co pan, to większy władca i zachowuje się jak sam sułtan.

Trwali tak naprzeciwko siebie. Rycerze w napięciu śledzili każdy ruch przeciwników. Zdawało się, że jeszcze chwila, a wywiąże się walka na śmierć i życie. Zamiast tego usłyszeli spokojny głos mówiący coś po arabsku. Zbrojni w mgnieniu oka przerwali z jednej strony

pierścień, tworząc na tym odcinku krótki szpaler, na jego końcu ukazała się postać w bogato zdobionych szkarłatnych szatach, z twarzą osłoniętą zawojem.

- Mówilem - znowu odezwał się Ryszard. - Jakiś szalony szejk.

Przybyły spojrzał w jego stronę. Przenikliwe czarne oczy błyszczały równie mocno, jak klejnoty, którymi przetkane było jego odzienie. - Szalony szejk? - odezwał się, zabawnie kalecząc normandzki język. - Podobno ktoś mnie kiedyś tak nazywał. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze młody i prawdziwie szalony. Gdybym takim pozostał, czyż przeżylibyście choć sekundę? Czyż pozwoliłbym giaurom oddychać tym samym powietrzem, co ja?

- Kim jesteś? - spytał Piotr, uprzedzając następne odezwanie się Ryszarda.

- Kim jestem? - roześmiał się tamten, odsłaniając twarz. - Powiedz im, synu Swana - zwrócił się do Edwarda. - Nie licuje mi opowiadać się niewiernym.

- To Malik al-Adil - Swansen pochylił lekko głowę. - Salam allejkum, panie.

- Książę Malik, brat Saladyna - szepnął Jan de Morges. - Racja, żeśmy wpadli.

- Allejkum salam - uprzejmie odpowiedział Malik. - Bądź pozdrowiony ibn Suanie.

I wy bądźcie pozdrowieni, frankońscy wojownicy. Pokój wam pod moim dachem.

Napięcie, do tej pory wręcz namacalnie wyczuwalne, nieco zelżało.

- Ibn Suan - wycedził de Morges, mierząc Edwarda wściekłym spojrzeniem. - Dobry znajomy tego poganina, czyż nie? Swansen, ty...

- Nie pora teraz na wyjaśnienia - przerwał mu Vincent. - Pokój wam, powiedział książę Safadyn. Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

- Jesteście bezpieczni - powtórzył za nim książę. - Nawet ten, który kryje twarz w zawojach burnusa - wbił spojrzenie w Ryszarda. - Jakby był zbójcą, a nie prawym wojownikiem.

Król wziął oddech, jednakże Telford pociągnął go energicznie za rękę. - Milcz! Jesteśmy w jego władzy! - szepnął, a głośniej powiedział: - nasz towarzysz doznał rany twarzy. Dlatego jego głowa jest tak szczelnie omotana.

- To go rzeczywiście tłumaczy. Mogę przywołać mego medyka, żeby obejrzał ranę.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział szybko Piotr. - Została opatrzona jak należy.

- Co to za nieustanny syk, panie? - Jan de Morges starał się odwrócić uwagę od Ryszarda. - Czyżby pośrodku pustyni szumiał podziemny wodospad?

Al-Adil odwrócił spojrzenie od króla.

- Syk? - spytał. - Tak, ten syk... Jest bezustanny i męczący niczym brzęczenie roju os przy drzwiach domostwa. Lecz nie jest to woda, Janie de Morges. Tak, znam wasze imiona, nie bądź zdziwiony. Postrzegacie mojego brata są wszędzie i wiedzą wszystko. Prawie

wszystko - znowu obrzucił spojrzeniem lekko zgarbioną, zamaskowaną postać w środku grupy. - A ten syk... Powiedziałem, że to nie woda, a rzecz można, coś wręcz przeciwnego, na pewno widzieliście olbrzymi płomień nad skałą przy wejściu do jaskiń. Właśnie jego głos dociera aż tutaj. To uwięziony demon, ten, który porывał waszych i naszych ludzi...

- Ifryt! - Konrad otworzył szeroko oczy. - A więc to prawda! One istnieją!

- Ifryt? - Malik zmarszczył brwi. - Nie, to coś o wiele straszniejszego. My także na początku sądziliśmy, że to zwykły ifryt-mściciel, może nieco potężniejszy niż o nim zazwyczaj powiadają. Jednakże ten duch okazał się wielokroć groźniejszy. Ifryta można bowiem uwięzić, przegnać, uczynić zeń nawet posłusznego dżinna, w ostateczności zniszczyć. Lecz ów tryskający ogniem ze szczytu skały to sam Tir, zwany też Sprawcą Śmiertelnych Wypadków, krwiożerczy syn Eblisa, którego wasze Pismo zwie Azazelem!

- Jezu Chryste! - Konrad przeżegnał się szybko. - Boże, bądź miłościw.

W tej samej chwili rozległ się straszliwy ryk. Był tak potężny, że lita skała, na której stali zdawała się tańczyć pod ich stopami.

- Dość! - krzyknął al-Adil. - Żadnych modlitw! Żadnych znaków wiary! Uśpiony przez naszych derwiszów demon gotów się przebudzić! A wtedy nastanie sądny dzień dla was, Frankowie, dla mojego ludu i wszystkich na Ziemi!

- Trudno w to uwierzyć - mruknął Jan de Morges. - Nie to, żebym wątpił w istnienie demonów. Jednakowoż...

- Mój brat, Salah ad-Din, przez was nazywany Saladynem, także nie mógł dopuścić do swego trzeźwego i światłego umysłu istnienia podobnych bestii. Dopiero gdy sam go ujrzał, kiedy cudem uszedł ze szponów Tira, tylko dzięki poświęceniu swoich żołnierzy, uwierzył. Widzicie sami, że zamiast walczyć i próbować was wygnać z Palestyny, musieliśmy poświęcić czas i siły na usidlenie tego demona.

- Jak wam się to udało? - spytał Edward.

- Nie było to łatwe, ibn Suanie - uśmiechnął się Malik. - Do końca mieliśmy jeszcze nadzieję, że to tylko bardzo silny ifryt, dokąd nie nadleciał z zachodu i święty mąż Abd al-Madžib ostatecznie nie rozpoznał w nim przeklętego syna Eblisa! Walka była straszna. Zdołaliśmy go uwięzić tylko dlatego, iż nie spodziewał się oporu, a tym bardziej tego z jakimi duchowymi siłami tu przybyłem! Ilu sprowadziłem kapłanów! Teraz można go nawet zobaczyć. Jesteście ciekawi? Na pewno. Wy, frankońscy najeźdźcy, jesteście bardzo ciekawi, nawet jeżeli zagraża to waszemu życiu. Nawet jeśli miałoby to przynieść zgubę waszym duszom. Może dlatego jesteście takim groźnym przeciwnikiem - dodał ciszej. - Chodźcie za mną.

Kordon strażników stał się jeszcze szczelniejszy, ostrza mieczy pochyliły się, gotowe w każdej chwili zadać mordercze ciosy.

- Książę - powiedział Swansen. - Ta ostrożność jest niepotrzebna. Ręką własną głową za każdego z tych ludzi. To prawi rycerze. Jeśli przysięgną, że nie narażą cię na niebezpieczeństwo, dotrzymają słowa.

Al-Adil zatrzymał się. - Wierzę, ibn Suanie. Wierzę tylko dlatego, że ty dajesz świadectwo. Niech przysięgną, a każę swoim żołnierzom schować broń.

- Nie dam słowa niewiernemu! - zawołał Konrad von Wallheim. - To byłaby hańba.

Malik zgrzytnął zębami. - Hańbą jest pogarda okazywana wrogom, hrabio! Ale jak chcecie.

- Konradzie - powiedział z naciskiem Vincent. - Dasz słowo. Chyba że masz ochotę wlec za sobą całe to arabskie wojsko i narażać się na sztych przy byle kichnięciu! Oni tylko czekają na okazję, nie zauważyłeś? Jakby to delikatnie powiedzieć: chyba nie za bardzo nas lubią. Tańczymy nad przepaścią na cieniutkiej nici.

- Wszyscy damy słowo - odezwał się cicho głos spod zawoju skrywającego Ryszarda.

- Wszyscy! De Rionne ma rację. Nic nam nie przyjdzie z zabicia al-Adila.

Malik zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym skinął z zadowoleniem głową.

- W takim razie zgoda.

Zwrócił się do dowódcy straży, wydając krótki rozkaz. Tamten spojrzał zdziwiony, ale zaraz krzyknął coś chrapliwie, natychmiast wokół krzyżowców zrobiło się pusto. Pozostało tylko kilku ludzi przy osobie księcia.

- Chodźmy.

- Skąd znasz księcia? - Vincent szturchnął Edwarda.

- To właśnie u niego znalazłem się w niewoli. To on sam zwolnił mnie na słowo.

- Zwolnił cię na słowo? - Jan de Morges dosłyszał ich rozmowę. - Dlaczego? Coraz mniej mi się podobasz, Swansen! Mówiłeś przecież, że zbiegłeś!

- Wszystkiego dowiecie się we właściwym czasie - Malik machnął niecierpliwie ręką, nie odwracając się. - Teraz nie pora na rozmowy.

- Ma słuch jak sowa - szepnął z podziwem Werner.

- Raczej jak pustynny skoczek. - Książę odwrócił się i nieoczekiwanie uśmiechnął do grafa. - To trafniejsze porównanie. W końcu siedzimy w podziemnej norze.

Korytarz okazał się kręty i długi, najwyraźniej wykuty ludzkimi rękami. Był tak wąski, że musieli podążać jeden za drugim, zawadzając ramionami o ściany.

Jan de Morges oddychał ciężko.

- Nie cierpię takich krecich nor - mrucał. - Czuję, jakbym miał się za chwilę udusić. Jakby te ściany waliły się na mnie.

- Nie myśl o tym - poradził z tyłu Konrad. - Nie opowiadaj, będzie ci łatwiej.

- Łatwiej mi, kiedy sobie ponarzeka! Nauczyłem się tego od mojej cudownej małżonki. Jej też narzekanie sprawiało wyraźną ulgę. I wielką przyjemność. Albo mi się zdaje, albo robi się coraz cieplej. I narasta ten niesamowity syk.

- Zaraz będziemy na miejscu - dobiegł z przodu głos księcia.

Rzeczywiście, po chwili weszli do sporych rozmiarów pieczary. Malik wskazał im następne przejście. - Tędy. Tylko żadnych głośnych rozmów! Najlepiej w ogóle nic nie mówcie!

Wyszli na wysoką galerię. Owionął ich gorący podmuch. Ostrożnie zbliżyli się do kamiennej balustrady biegnącej wzdłuż przepaścistego brzegu jaskini, bodaj jeszcze większej niż ta, w której spotkali księcia.

- Rany bo... - Jan w ostatniej chwili zakrył sobie usta, pomny na ostrzeżenie Malika. - Co to jest?

Pośrodku jaskini wznosił się słup ognia, ginąc wysoko w sklepieniu. Ściany płomienistej kolumny bezustannie falowały i strzępiły się, jakby wewnątrz walczyły ze sobą olbrzymie siły. Dookoła niej, na dnie, wirowały białe kręgi, układając się w fantazyjne wzory. W tym miejscu wszechobecny syk zamienił się w odgłos podobny do łopotania tysiąca flag na silnym wietrze.

- Czy to jakieś zaczarowane kwiaty? - spytał szeptem Werner, wskazując na białe kształty. - Cóż to za piękny widok!

- Patrz uważnie - odparł Edward. - Wtedy zobaczysz... Werner wyteżył wzrok. Zdumienie odebrało mu mowę.

- To ludzie - wykrztusił przechylony daleko za balustradę Vincent. - To wirujący ludzie w białych, rozwianych szatach!

- Tak, panie de Rionne - skinął głową Malik al-Adil. - To ludzie. Derwisze.

- Ale... nie rozumiem...

- To właśnie ich taniec usypia demona. Oni pomagają zsyłać mu sny. Gdybyś się przyjrzał uważnie, dostrzegłbyś, że ich postaci układają się w kształty niebieskich konstelacji na przemian z wzorem słonecznych promieni i pięcioramiennej gwiazdy.

- Ilu ich tam jest? Stu? Więcej?

- Dokładnie stu czterdziestu czterech. To liczba magiczna, związana z wzorem

pentagramu. I nie pytajcie mnie znowu, dlaczego. Nie znam się na demonach.

- Myślałem, że mam pojęcie o zwyczajach tego kraju. - Vincent zmarszczył brwi. - Ale nie słyszałem nigdy o czymś podobnym. O takich grupowych tańcach kapłanów.

- Nikt nie słyszał, bo nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Nigdy wcześniej żebrzący mnisi nie czynili podobnych zabiegów.

- Długo tak mogą? To chyba męczące.

- Zdziwiłbyś się, jak długo. Jednak na wypadek, gdy któryś zasłabnie, w pogotowiu czekają inni, by go natychmiast zastąpić. Taniec nie może zostać przerwany...

- Niesamowite - mruknął Jan de Morges. - A ten płomień, czy to właśnie... - zawiesił głos.

- To właśnie Tir, a raczej jego ognista natura. Widzieliście go wystrzelającego w niebo nad skałami, jest i tutaj, a jak głęboko sięga w głąb ziemi, tego nikt nie wie i niech lepiej wiedzieć nie chce.

- Ależ tu upał! - Piotr Telford otarł spocone czoło. - Chodźmy już.

Nie przyznałby się nawet sam przed sobą, że to co widział, wzbudziło w nim uczucie przerażenia. Od ognistej kolumny biła jakaś pierwotna siła, zła moc.

Tak musi wyglądać obcowanie z diabłem, przeleciało mu przez głowę.

- Chodźmy - zgodził się Konrad. Rycerze skwapliwie skorzystali z propozycji.

- Przejdziemy z powrotem do głównej pieczary - powiedział Malik.

Czekały na nich zastawione jadłem stoły, jednakże żaden z rycerzy nie odczuwał głodu. Leżeli na wygodnych posłaniach, obserwując się wzajemnie. Swansen żuł daktyla, de Morges z wyrazem zamyślenia na twarzy bawił się kurzym udem. Malik oddalił się wezwany przez jednego z dowódców straży.

- Robi wrażenie, prawda, panowie krzyżowcy? - odezwał się spod swojego zawoju Ryszard. - Odebrało wam apetyt? Ja tam bym coś przetrącił, gdybym mógł ściągnąć tę szmatę z głowy.

- A ja - Jan de Morges spojrzał na trzymane w ręku udko, odrzucił je, potem wbił wzrok w Edwarda - zastanawiam się, jaka w tym wszystkim jest rola naszego towarzysza Swansena. Nie podoba mi się jego zażyłość z saraceńskim księciem. I zaufanie, jakie tamten mu okazuje. Czy nie zaczęliście się zastanawiać, komu on właściwie służy? Bo ja nie mam już wątpliwości. No co, ibn Suan, bo tak cię tutaj nazywają, prawda? Nic nie powiesz? Komu służysz?

- Słusznej sprawie - Edward sięgnął po kolejnego daktyla.

Jan chwycił go za rękę. - To znaczy?

- Dowiesz się w swoim czasie. - Kiedy?

- Zaraz - rozległ się głos Malika. - Hatim - zwrócił się do przybocznego. -
Przyprowadź ją!

Książę spoczął na bogato zdobionych poduszkach. - Wiem, że wy. Frankowie, zwykliście jadać na siedząco. Ja jednak wolę w tym względzie nasze obyczaje. Zanim Hatim przyprowadzi dziewczynę, wyjaśnię wam pewną kwestię. Albo nie. Opowiem coś. Słyszeliście o tym, jak rodzą się ghule?

- Coś nam Swansen wspominał - odparł de Morges. - O noworodku z pępownią i podobnych bzdurach.

- Ja też kiedyś myślałem, że to bzdury, bajki, którymi straszy się dzieci. Ale posłuchajcie mojej baśni. W pewnym kraju trwała wieczna wojna. Nie, nie wojna domowa, ale walka z najeźdźcami. Lud żyjący na tej ziemi miłował pokój i był gotów wiele poświęcić, aby go uzyskać. Rządził tym państwem mądry i szlachetny władca, mający liczną rodzinę. Jak to w rodzinie, jedni lubili się bardziej, inni mniej, miał wrogów, ale i ulubieńców, braci i siostry. Jeden z tych braci, aby osiągnąć pokój z najeźdźcami, ofiarował się ożenić z bliską krewną jednego z ich królów, choć obca mu była obyczajami i pochodzeniem. Wyuczył się nawet jej języka, choć brzmiał dla niego niczym krakanie kruka. Chciał ją posiąść jako prawowity małżonek, choć budziła w nim niechęć, by nie rzec obrzydzenie...

- Wybacz, książę, ale miałaś opowiedzieć baśń. A ty mówisz nam o tym, jak zamierzałeś pojąć za żonę siostrę króla Ryszarda. A poza tym ona wcale ciebie nie chciała, o ile wiem...

- Nie przerywaj mi, panie de Rionne! Jego starania spełzły na niczym, bo najeźdźcy pokoju nie chcieli. Wspierał więc dalej swego królewskiego brata w walce, licząc na poparcie sprawiedliwych niebios. Miał książę siostrę piękną jak poranek wstający nad lazurowym morzem. Ta dziewczyna postanowiła, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, dokona czynu śmiałego, lecz okrutnego, aby uwolnić swój naród. Znała legendę o tym, jak ghule powstają z ciała martwego noworodka, jak ifryty opiekują się nimi, jak straszna jest ich zemsta. Podążała wszędzie za swoimi wojującymi braćmi, a oni, żywiąc do niej wielkie przywiązanie, brali to tylko za objaw miłości i nie potrafili jej odmówić. Aż nadszedł ten dzień, na który czekała. Francuski król Filip wylądował w Tyrze. Wojsko najeźdźców ogarnęło obóz, gdzie dziewczyna przebywała w namiocie swego brata. Została wydana na pastwę obcych. Tak właśnie miało być. Liczyła, że nie ważą się jej tknąć brudne żołdackie dłonie, że znaleziona w królewskim namiocie trafi w ręce także królewskie, nie pomyliła się. Na rozkaz Filipa

odesłano ją na Cypr. Tu część krzyżowców walczyła ze zdrazieckim Izaakiem Komnenosem, znienawidzonym jednak przez muzułmanów i chrześcijan, najznamienitszy z frankońskich wodzów uczynił z niej swoją nałożnicę. Lecz szybko, nasyciwszy się niewinnością, stracił do niej serce, kazał iść precz. Dziewczyna odeszła wraz z wierną służką i pewnym przeklętym mułłą. Była już brzemienna. Z rybakami przyплыnęli do wybrzeży Palestyny. Błąkała się długo po szarpanym wojną kraju i poza jego granicami, zanim trafiła z powrotem do swoich. Lecz wówczas nie było już po niej znać ciąży. Początkowo nikt niczego się nie domyślał. Ale wraz z nią pojawił się straszny demon. Wielki i potężny ifryt o nim powiadano...

Przerwało mu wejście Hatima. Prowadził ze sobą niewiastę z zasłoniętą muzułmańskim obyczajem twarzą. Słaniała się na nogach tak bardzo, że żołnierz musiał ją podtrzymywać. Malik wstał z posłania, szybkim krokiem podszedł i zerwał jej z twarzy jaszmak. Ukryła twarz w dłoniach, jednak księżę siłą je oderwał.

- Fatma - powiedział łagodnie. - To krzyżowcy. Nie zgorszy ich widok odkrytego kobiecego lica.

Zwrócił się do rycerzy: - To Fatma, moja ukochana siostra. I ukochana siostra Saladyna - zmrużył oczy, przyglądając się zakrytej twarzy Ryszarda. - Poznajesz ją, królu? Na pewno poznajesz. Przecież na Cyprze była twoją nałożnicą!

Oprócz Edwarda wszyscy zerwali się z miejsc, skupiając w gromadzie. Czekali na atak. Zamiast tego usłyszeli śmiech Malika. - Frankowie - zawołał. - Od samego początku wiem, kto ukrywa się pod tą szmatą! Mielicie mnie za głupca? Gdyby chodziło tylko o jego śmierć, dawno i z wielką przyjemnością bym go zabił, mimo że cenię w nim waleczne serce i duszę prawdziwego wojownika, mimo że przy układach siadywaliśmy przy wspólnym stole! Niestety, rzecz jest bardziej skomplikowana... Siadajcie spokojnie i słuchajcie.

Jeszcze nie wierząc do końca zapewnieniu księcia, niechętnie wrócili na miejsca. Ryszard z wyraźną ulgą zdjął z głowy zwój materiału, natychmiast sięgnął po najbliższej stojący dzban. - Wino - mruknął. - Tutaj wino, a przedtem jeszcze proponował nam je Grek... Przecież Prorok zabrania...

- Nam zabrania - odparł al-Adil - choć wielu spośród nas lekceważy zakazy Koranu. Jednakże ten poczęstunek jest dla was.

Teraz dopiero powstał Swansen, chwiejnym krokiem ruszył w stronę dziewczyny. Powstrzymało go groźne spojrzenie księcia. Ociągając się, wrócił na swoje miejsce. Vincent patrzył zdziwiony. Zdawało się, że nikt poza nim nie zwrócił uwagi na to zdarzenie.

- Fatma! - Malik spojrzał na siostrę. - Opowiedz, co zrobiłaś?

Dziewczyna zaczęła niewyraźnie bełkotać.

- Mów w ich języku! Nie kalaj naszej mowy opowieścią o swej zbrodni!

Spojrzała nieprzytomnie, ale słowa brata dotarły do niej, bo wymamrotała: - Taki był malutki... Moje dziecko... Zabiłam moje dziecko... - siadła na ziemi, zaczęła się kiwać w przód i w tył. - Tak płakał... Może był głodny... nie przytuliłam, bo muła zabronił. Zostawiłam i poszłam. Wróciłam, kiedy księżyc stał już wysoko. Muła mówił, że do tej pory umrze, ale żył jeszcze. Kwilił cichutko, jak mały kotek... Więc znowu odeszłam... A mleko płynęło z piersi... Nie dałam, nie nakarmiłam... A później, w ciemności...

- Przestań! - krzyknął de Morges. - Nie męcz jej! Malik zmrużył oczy i zagryzł wargi. - Najechaliście mój kraj, pogrążyliście go w wojnie. Wasz król zhańbił moją ukochaną siostrę! Gdybym miał wymieniać krzywdy, których od was doznaliśmy, nocy by nie starczyło. Więc nie każ mi teraz przestać! Ja musiałem tej historii wysłuchać i wy też musicie! Mów, Fatma! Mów, co zrobiłaś potem!

- Chcieliśmy uczynić tak, żeby ghule na pewno znalazły truchełko. Jest pod Damaszkiem taki cmentarz... Przekłete miejsce, upiory przychodzą tam każdej nocy. Zakopałam maleństwo przy świeżym grobie... Uciekłam... Zrobiłam wszystko, jak kazał muła... Poświęciłam swoją rodzinę. Swój lud wydałam na pastwę demona, by wybił także jego wrogów... Jak mówił muła?... Żeby inni byli wolni... - z oczu popłynęły jej łzy.

De Rionne zerknął na Edwarda. Siedział z zaciśniętymi pięściami, oczy mu wyraźnie zwilgotniały. Wyglądało na to, że panuje nad sobą ostatkiem sił. O co w tym może chodzić?

- Ów muła nawkładał jej w głowę takich bredni. Towarzyszył jej przez cały czas, udając przywiązanego opiekuna. Rozerwaliśmy go końmi - powiedział Malik po chwili milczenia, po czym westchnął. - Na mękach wyznał, że karmił się brudnym złotem Bizancjum. Tak... Basileus z Konstantynopola ma długie ręce, a was nienawidzi na równi z nami. Nie tylko on jeden zresztą. Zainteresowanych mogło być więcej stron, choćby Izaak Komnenos, któremu król Ryszard po zwycięstwie założył na szyję złotą obrozę, a na przeguby złote kajdany. Są jeszcze miejscowi panowie patrzący krzywo na wzrost potęgi angielskiego monarchy, są wreszcie i kupcy... Prawdy nie dojdiesz. A ty, królu, teraz już chyba wiesz wszystko - zwrócił złe spojrzenie na Ryszarda. - Jesteś ojcem tego ghula, który pozbawiony w tej chwili opieki swojego demona krąży pośród okolicznych skał! Jesteś jedyną osobą, poza jego rodzicielką, jakiej nie może zgładzić bez pomocy opiekuńczego ducha!

- To dlatego nie rzucił się na ciebie przy wejściu do jaskiń! - zawołał Konrad.

- To dlatego płakał... - rozległ się szept.

Malik zerknął bystro w stronę Wenera. - Płakał, powiadasz, młody Franku? Królu Ryszardzie - oznajmił. - Powiniennem cię jednak wydać na pastwę Tirowi! Siadaj teraz! Nie prowokuj mnie, żebym nie dał znaku łucznikom!

- Swansen - rzucił zdławionym głosem de Morges. - Ty nas tu przywiodłeś... Nas i króla! Wiedziałeś o wszystkim! Po co w ogóle wracałeś od niewiernych?

- Ibn Suan wypełnił tylko swoje zadanie - odpowiedział Malik, uprzedzając Edwarda. - Miał tutaj przyprowadzić króla Ryszarda i kilku frankońskich rycerzy, żeby wysłuchali posłania mego brata.

- No tak - mruknął Ryszard, sięgając po kielich. - To dlatego przyszedł do mnie i naopowiadał dziwnych rzeczy, zasiał niepokój... Żeby mnie wyciągnąć na pustynię.

- To dlatego snułeś opowieści o ghulach i ifrytach. Żeby nas na to wszystko jakoś przygotować - rzekł Konrad.

- To dlatego tak upierałeś się, żeby iść do angielskiego króla - dodał Vincent. - Teraz rozumiem.

- Ty zdrajco! - wrzasnął Jan. - Zabiję cię! - zerwał się i dopadł Edwarda. Mocarne żylaste dłonie zacisnęły się na gardle Normana. Swansen zaczął charczeć. Jednakże po chwili ucisk zelżał.

- Zostaw go - powiedział spokojnie Ryszard, bez wysiłku odrywając ręce Jana od szyi Swansena. - Co zrobił, to zrobił. Nie pora teraz na dokonywanie sądu.

Vincent spojrział zaskoczony. Skąd tyle opanowania u znanego z gwałtowności króla? Czyżby czuł się winny?

- Czego chcesz, al-Adil? - Ryszard odwrócił głowę w stronę księcia. Wciąż trzymał ręce de Morgesa w niedźwiedzim uścisku.

- Niczego. Wasze dotychczasowe spotkania, królu niewiernych, choć przyjazne, niech pójdą w zapomnienie za to, co uczyniłeś. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy smażylibyście się na pustyni związani w kij, czekając na śmierć. Mam posłanie od samego sułtana.

- W takim razie czego chce Saladyn?

- Zanim odpowiem na to pytanie, udamy się do świętego męża...

- Zanim udamy się tam czy gdzie indziej - przerwał mu Jan de Morges - chcę wyzwąć twojego szpiega, Swansena czy tam ibn Suana, jak go w swoim plugawym narzeczu nazwaliście, na ubitą ziemię. Tu i teraz! Chyba że nie chcesz uszanować rycerskiego obyczaju.

Malik spojrział pytająco na Edwarda. Ten skinął głową. - Wyzwał mnie. Od tego nie ma odwołania. Tylko on sam może zaniechać pojedynku.

- Na pewno nie zaniecham!

- W takim razie - rzekł Malik - nie mam nic przeciwko temu obyczajowi. I my rozstrzygamy podobne spory walką. Jeśli tak trzeba, zgoda. Widzę, że obaj tego potrzebujecie. Tu i teraz! Każę przynieść broń.

- Janie - powiedział Vincent - to nie najlepsza pora...

- Tu i teraz! - powtórzył z uporem de Morges. - Zabiję tego sługusa niewiernych!

Konrad von Wallheim ze zmarszczonym czołem spoglądał na towarzysza. Kto by pomyślał, że znany z łagodnego usposobienia Jan ujawni tak krwiożercze oblicze. Ryszard, Vincent, Piotr, on wreszcie. Ale Jan? Okrutne okoliczności wyzwalały okrutną naturę człowieka. Widać, że de Morges chce po prostu kogoś zaszlachtować, a kogo, to już mniej istotne. Padło na Swansena.

XXIII

Pierwszy cios Jan zadał na próbę. Szybkie, niedbałe cięcie ześliznęło się po zasłonie, natychmiast musiał sparować błyskawiczny sztych mierzony w szyję.

- Nieźle - wymamrotał. - Poduczyłeś się ich sztuki... Edward nie odezwał się. Czujnie śledził poczynania przeciwnika. De Morges niespodziewanie przerzucił miecz do lewej dłoni i zrobił nagły wypad. Swansen zatańczył w szybkim obrocie. Ostrze o włos minęło pierś. Gdyby miał pancerz, pozwoliłby ześliznąć się klindze po zbroi i sam zadał mordercze pchnięcie, nie pora jednak na rozważania. Potężny cios prowadzony od dołu na lewe biodro ledwie zdążył odbić niską paradą. Uderzenie było tak potężne, że miecz zadrżał w dłoni. Rzucił się do przodu, pokrywając przeciwnika błyskawicznymi cięciami i sztychami. Patrzącym zdawało się, że lada chwila któryś cios musi przebić się przez obronę Jana. Ten zaś, błyskawicznie parując uderzenia, cofał się przed furią ataku, aż w końcu za plecami poczuł skalę.

- Koniec zabawy - mruknął.

Niespodziewanie szybkim zwodem uniknął kolejnego ciosu, walącego na skos od lewa wprost na głowę, odepchnął się mocno od ściany, żeby zanurkować pod młynkującym ostrzem. W ułamku sekundy znalazł się za plecami przeciwnika. Jednakże Edward nie dał się zaskoczyć. Sparował płytkie pchnięcie, zatrzymał klingę Jana ma swoim ostrzu i korzystając z rozpędu nadanego starciem, zaatakował łokciem.

To był błąd. Jan skorzystał z okazji. Łokieć wylądował na jego potężnej piersi, co nie zrobiło na rycerzu większego wrażenia, po czym chwycił rękę Swansena w potężny uścisk, pociągnął ku sobie, a kiedy ten próbował przeciwstawić się ogromnej sile, energicznie go

odepchnął. Edward zatoczył się, usiłując odzyskać równowagę. Kątem oka zobaczył rozmazaną w morderczym pędzie klingę, ostatnim wysiłkiem zdołał postawić zasłonę. Cięcie było potężne. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że ktoś może tak silnie bić mieczem. Przełamująca zasłonę siła uderzenia spowodowała, iż ostrze własnej broni cięło go w podudzie. Jęknął przeciągle, opadając na kolana. Upuszczony miecz brzęknął o kamienie. Z niedowierzaniem spojrzął w dół. Krew z rozplątanej nogi płynęła silnym strumieniem. Uniósł wzrok, nad nim stał Jan de Morges, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

- Spodziewałeś się, zdrajco, że uratują cię sztuczki Saracenów? - powiedział mrużąc oczy. - Ja też zdążyłem ich trochę poznać. A teraz żegnaj... Może spotkamy się w piekle - zawinął nad głową mieczem.

Swansen bez zmrużenia powiek patrzył mu prosto w twarz. Broń nabrała niepowstrzymanego pędu zmierzając wprost ku obnażonej szyi. W ostatniej chwili Edward odruchowo przymknął oczy.

Nagle rozległ się brzęk metalu i wściekły głos Jana: - De Rionne, nie wtrącaj się! A może ty też jesteś z nimi w zмовie?

Vincent zablokował cios, trzymając oburącz miecz upuszczony przez Swansena. Jan, zaskoczony obrotem sprawy, opuścił ostrze. De Rionne poczerwieniał na twarzy. Konrad, Piotr i Werner zerwali się na równe nogi. Tylko księżę Malik siedział spokojnie, wpatrzony w strugę krwi uchodzącej z uda Edwarda.

- Za takie słowa powinienem cię zabić, de Morges - wycharczał wściekle Vincent. - Uwierz mi, że sam chętnie posłałbym Edwarda w zaświaty, jeśli zdradził. Jeśli! Słyszysz?!

Jan potrząsnął głową. - O co ci chodzi? Sam słyszałeś! Trzeba go zabić jak wściekłego psa!

- Nie pozwolę go zarznąć jak wieprza, zanim nie dowiemy się wszystkiego! Rzuć miecz i przestań się zachowywać, jakbyśmy byli w słodkiej Francji! W tym kraju nie wszystko jest takie, jakim się wydaje. Nie zauważyłeś?

Jan skrzywił się niechętnie, lecz odłożył broń. - Może zbyt krótko tu jestem - odparł. - Nie tak, jak ty, banito. Ale zdrada ma tylko jedno oblicze. Dobrze, de Rionne. Poniecham go na razie, ale tylko w imię naszej przyjaźni. Z żadnych innych względów!

Malik zawołał coś po arabsku. Natychmiast nadbiegło kilku ludzi, unosząc ze sobą broczącego krwią Swansena.

- Zajmie się nim mój najlepszy lekarz - rzekł księżę z wyraźną troską w głosie. - Jest biegły w swym rzemiośle, więc mam nadzieję, że zdoła zatamować krew. To paskudna rana. Jesteś niespotykany silny i szybki, panie de Morges.

- Moja siła i zwinność są niczym w porównaniu z przymiotami króla Ryszarda - odparł Jan. - I nie jest to czcze gadanie. To wielki wojownik i prawy mąż.

Malik obrzucił Ryszarda niechętnym spojrzeniem. - O jego sile wiele słyszałem, a nawet sam miałem okazję ją podziwiać. Lecz nie mów mi o prawości. Takich prostych wojowników jak ty cenię bardziej. Nie spodziewam się, byś był zdolny do czynów, jakimi zasłynął ten władca. Jak choćby rozkaz porozrzynania brzuchów tysiącom jeńcom, by sprawdzić, czy nie połknęli złota... Taka chciwość dopomina się kary!

Jan zacisnął wargi. Spojrzał na króla. Ten, jak gdyby nigdy nic, łapczywie ogryzał solidny kawał mięsiwa. De Morges czekał chwilę, aż Ryszard coś odpowie. Na próżno. Jego obojętność była wręcz przerażająca.

- To król - wymruczał w końcu rycerz. - Nie przystoi mi osądzać jego poczynań.

- Ale mnie przystoi - odrzekł Malik. - Dość o tym. Chodźcie za mną. Święty mąż czeka, a jego czas jest drogi.

- Giaurzy... Przybyliście niszczyć i rabować? - Głos starca skrzypiał niczym źle naoliwiona oś wozu. Siedział z zamkniętymi oczyma na drewnianym podwyższeniu. Długa siwa broda opadała aż na miękkie atlasowe trzewiki.

- Przybywamy w pokoju - odpowiedział Ryszard. Starzec uchylił powieki. Spojrzały na nich wodniste oczy o nieoczekiwanie ostrym wyrazie. - Giaurzy - powtórzył. - Przybyliście niszczyć i rabować...

- Przybywamy... - Ryszard podniósł głos, ale przerwał mu Malik: - Czcigodny Abd al-Hadžib nie rozumie waszej mowy. Słowa, które wypowiedział są jedynymi, jakie zna, a nauczył się ich podobno jeszcze za czasów pierwszej waszej wielkiej wyprawy na nasze ziemie. Będę tłumaczył to, co chce wam przekazać.

Zwrócił się do starca. Chwilę rozmawiali. Widać było, że dumny książę okazuje tamtemu wielki szacunek, wręcz uniżoność. Werner przyglądał się scenie, chłonąc każdy szczegół. Tak jak przedtem wraz z innymi odczuwał zło płynące od ognistego słupa w wielkiej jaskini, tak teraz czuł, iż ten stary i na pozór bezradny człowiek jest w istocie rzeczy kimś potężnym, wyrastającym ponad zwykłą ludzką miarę. Zerknął na wuja. Konrad przygryzł wargi, usilnie nad czymś rozmyślając. Krok dalej Piotr z nieobecny spojrzeniem masował policzki. De Rionne wraz z Vincentem stali z tyłu, nie widział ich, jednak był pewien, że i oni ulegli dziwnemu nastrojowi tego miejsca.

- Czcigodny al-Hadžib - zwrócił się do krzyżowców Malik - pyta, czy jesteście gotowi przysiąc, że to, o czym za chwilę usłyszycie, nie wyjdzie poza tę komnatę.

- Jesteśmy - odpowiedział Ryszard. - Przysięgamy.
- Chcę to usłyszeć od wszystkich. Rycerze po kolei złożyli przysięgę.
- W takim razie, słuchajcie.

Al-Hadžib wbił przenikliwy wzrok w księcia. Malik odetchnął głęboko, przymknął powieki. W miarę jak starzec mówił, księżę zdawał się zasypiać, wyglądało to tak, jakby jedynie jego monotony głos był obecny na tym świecie, a duch unosił się gdzieś w przestworzach.

- Opowiem wam o hańbie królewskiej krwi. Opowiem, dlaczego nieopatrzny uczynek okrutnego króla i zrozczonej dziewczki uwolnił spod ziemi straszego demona. Nie uszanowałeś, Ryszardzie, cnoty siostry sułtana. Splugawiłeś swoim gjaurzym nasieniem jej dziewicze łono. Chciało nieszczęsne dziewczę uratować swój lud, chciało, by najeźdźcy zostali pognębieni. To wiecie, bo rzekł wam już o tym księżę. Powiedziano jej, że dla dziecięcia szlachetnego pochodzenia zjawi się mściciel potężny, zdolny wyrząć najeźdźców, choć jego ofiarą padnie także plemię, z którego ona sama pochodzi... Że nie zmoże go żadna ludzka siła. Lecz nie wiedziała, że gdy podobną zbrodnię popełni córka królewskiego rodu, kiedy wyda na pastwę ghulom zrodzone z podwójnie królewskiej krwi dziecko, nie nadleci do niego zwykły ognisty duch, ale sam szejtan przyśle swego ukochanego syna... To on w postaci ifryta żywi siebie i dziecko trupami ofiar. Z każdym dniem staje się silniejszy i okrutniejszy. Aż nadejdzie taki czas, że nie wystarczy mu tylko odnaleźć i zgładzić grzesznych rodziców. Gdy już urośnie w siłę, nie spocznie, dokąd nie wytepi ludów, z których pochodzą. A kiedy dokona tej rzezi, przyjdzie czas na całą resztę ludzi... I nie będzie baczył, czy to Kurdowie czy frankońscy siepacze... Nie zostawi w spokoju innych ludów islamu, innych ludów świata... To wielka tajemnica. Ci, którzy ją znają, nie zasną spokojnie, dokąd stąpają po przeklętej ziemi, dokąd Tir hula po pustynnych szlakach... A jeśli straszny demon wyrwie się z sennych omamów, które tu na niego zsyłamy, zdobędzie nowe siły i zwoła na pomoc swych piekielnych braci, synów Eblisa. Wezwie Awara, demona lubieżności, i Dasimę, władcę niezgody, i Suta - ojca kłamstwa. Rozpętają wielką burzę, a po niej na całej zamieszkaney Ziemi nastanie ciemność i wielki płacz.

- Przecież on mówi o końcu świata - szepnął Werner. - O Apokalipsie.
- Milcz, chłopcze - syknął Vincent. - I słuchaj!
- Chciała dziewczyna - ciągnął tymczasem starzec - poświęcić swą rodzinę, poświęcić całe plemię, wszystek lud kurdyjski, by inni mogli spokojnie żyć. Zły człowiek sączył jej do głowy jad pod pozorem wielkiej mądrości. Ten zły człowiek sam nie wiedział, jak straszną powołają do życia potęgę... Strzeżcie się. I niech ma się na bacności ten, który jest zdolny

ujarzmieć ludy pustyni! Niech ten, o którym powiadają prorocтва, że nadejdzie, by rządzić Wschodem i Zachodem, nie da się zwieść własnej pysze! Jest tylko jedna droga ratunku przed gniewem piekła. Lecz o tym opowie wam jego dostojność, ksiązę Malik.

Al-Hadžib zamknął oczy. Al-Adil drgnął jakby został dotknięty rozpalonym żelazem. Starzec coś do niego powiedział. Malik skinął głową, podszedł i ucałował wyschniętą dłoń.

- Musicie teraz wybaczyć, ale czcigodny mędrzec ma pilne zajęcia.

Jan rzucił zdziwione spojrzenie.

- A cóż on może mieć takiego pilnego do roboty? Taki staruszek...

- A jak myślisz, panie de Morges, kto zsyła Tirowi senne wizje?

- Byłem pewien, że to tamci tańczący derwisze...

- Oni tylko służą pomocą czcigodnemu Abd al-Hadžibowi... Są niezbędni, jednakże bez jego wiedzy i potęgi byłiby bezradni na podobieństwo dzieci błądzących pośród pustyni w ciemnościach. A jemu nie zostało zbyt wiele czasu.

Znowu spoczęli na wygodnych poduszkach. Tym razem nawet Ryszardowi nie dopisywał apetyt. Malik zmierzył go uważnym spojrzeniem. - Porozmawiamy teraz, jak to wszystko ułożyć. Przekażę posłanie od mego brata. I pamiętajcie po kres życia, że wszystko, co już zostało i zostanie powiedziane, jest tajemnicą.

- Nie trzeba nam tego przypominać - odrzekł Jan. - Powiedz tylko, ksiązę, czy ta dziewczyna, Fatma, naprawdę chciała poświęcić swoich ludzi, żeby tylko nas usunąć?

Młody Werner poczuł nagle, jakby w dusznym powietrzu przeleciał lodowaty podmuch. Zadrżał. Jakąż ulgą byłoby teraz uczynić znak krzyża albo zmówić modlitwę... Nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo może brakować tego, do czego przymuszano go od wczesnego dzieciństwa, a co wydawało się tylko zwykłym, często przykrym obowiązkiem...

Ryszard słuchał rozmowy wsparty na łokciu.

- Powiedz w końcu, czego chce ode mnie Saladyn - wtrącił. - Te wszystkie dociekania o ghulach i innych demonach zostawmy sobie na później. O ile zdołałem poznać sposoby działania twego brata, pragnie to całe zamieszanie obrócić na swoją korzyść. Jest sprytny jak każdy brudny Arab!

Malik zerwał się. W mgnieniu oka był przy królu. Chwytał go za szatę na piersi, szarpnął w górę. Krzyżowcy poderwali się również, ale przed działaniem powstrzymał ich szcęk oręża. W jaskini znowu zaroilo się od czerwonych burnusów. Strażnicy na galerii napięli luki.

Książę wbił pałające wściekłością spojrzenie prosto w źrenice Ryszarda. - Nie

nazywaj brudnym tego, kto przewyższa cię szlachetnością, tak jak wysokie góry przewyższają cuchnące bagno! I nie nazywaj zwykłym Arabem kogoś, kto pochodzi ze starożytnego ludu Kurdów! Gdyby nie wyraźne rozkazy mego brata, kazałbym cię dzisiaj wbić na krzyż, na nic nie zważając. Ciekaw jestem, czy zniósłbyś to równie dzielnie, jak prorok, którego nazywacie Synem najwyższego, a którego imienia nie wolno mi wymówić w plugawej bliskości Tira!

Ryszard zacisnął szczęki, złapał nadgarstek al-Adila, ścisnął. Malik skrzywił się z bólu, ale nie rozluźnił chwytu. De Morges obserwował go z podziwem, na własnej skórze przekonał się niedawno jaka moc drzemie w potężnym ciele angielskiego króla. A tymczasem ten szczupły Saracen nie zamierzał ustąpić, choć widać było, ile cierpienia kosztuje go mocowanie się z przeciwnikiem.

- Mógłbym cię teraz zabić - wycedził Ryszard. - Zanim twoi ruszyliby palcem, miałbyś skręcony kark!

- Zrób to! - wydyszał Malik. - Uczyń tak, a nie zdążysz nawet powstać na nogi! Zabij mnie, a moi ludzie zarzną twoich towarzyszy i ciebie. I niech szejtan bierze wszystko!

Ryszard puścił smagłą rękę księcia. Z powrotem opadł na poduszki i sięgnął po jęczmienny placek, zupełnie jakby nic się nie stało.

Malik wrócił na swoje miejsce.

- Mój brat - zaczął - Salah ad-Din Jusuf ibn Ajjub, śle swojemu królewskiemu wrogowi pozdrowienie. Mój brat pragnie, aby między tobą a nim nastał pokój i porozumienie. Pragnie, abyś zawarł z nim honorowy układ i odszedł wraz ze swym wojskiem, pozostawiając w spokoju ziemię nie należącą do ciebie ani króla Francji, ani cesarza Niemiec, ani żadnego innego narodu, który najechał nasze dziedziny.

- Nie rozumiem - wyszeptał pobladyłymi wargami Vincent. - Saladyń nie szuka pomsty za to, co spotkało jego siostrę?

- On, panie de Rionne - odparł Malik - jest nie tylko sułtanem, wielkim władcą i wodzem. Jest także mędrce. Nie szuka pomsty, bo to, co uczyniła Fatma, uczyniła z własnej woli i zły owoc jej poczynań nie powinien spaść na cudzą głowę, choćby ta głowa po tysiącokroć zasłużyła na karę za swe uczynki.

- Mów dalej - przerwał niecierpliwie Ryszard. - Przecież nie sprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, żebym usłyszał, jak Saladyń mi przebacza! Z tego, co zrozumiałem, oczekuje, że odejdę z Palestyny, tak?

- Dobrze rozumiałeś.

- Nie rozumiem tylko, co mu to da?! Nawet gdybym wrócił do Europy, zawsze zostanie tu Konrad z Montferratu, różni książęta, baronowie i mnóstwo wojska!

- Jeśli nawet zostaną, poradzimy sobie z nimi. To ty masz odejść!

Krzyżowcy słuchali tej wymiany zdań z coraz większym zdumieniem. To było coś, co wymykało się ich zdolności pojmowania rzeczywistości.

- Dlaczego? - dopytywał się uparcie Ryszard. - Czemu ja?

- Dlatego! - Malik wskazał przejście do sąsiedniej jaskini. - Dlatego, że tam jest Tir! Dlatego, że jeśli się zdoła uwolnić, dokona dzieła zniszczenia!

- A jeżeli obiecuję opuścić Ziemię Świętą?

- Wtedy dopiero powiem, jakim sposobem można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce!

- Powiedz mi, dlaczego tak bardzo upieracie się przy moim odejściu?! - Ryszard nie dawał za wygraną.

- Powiem dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Uwolnię Tira! - w oczach Malika zalśniło szaleństwo.

- Lepsze to niż...

- Niż co?

- Dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

- Chcę się zastanowić.

- Oczywiście. Jeśli życzysz sobie zostać sam, Hatim zaprowadzi cię do mojej kwatery. Tam będziesz miał spokój.

- Nie ma potrzeby. Pragnę tylko jeszcze rzucić okiem na tego demona.

- Jak chcesz, giaurze.

Ryszard nie zabawił długo. Wrócił z mocno skwaszoną miną. - Albo mi się zdaje, albo ów płomień jest coraz większy.

- Czcigodny mędrzec słabnie - powiedział cicho Malik.

- Mówiłem, że nie zostało mu wiele czasu.

- Zgoda, Saracenie. - Ryszard odzyskał zwykły wigor. - Powiedz, co mam zrobić.

- Najpierw przysięga. Odejdiesz ze swoimi wojskami, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Przedtem zawrzenie z sułtanem rozejm na warunkach, jakie on poda!

- Przesadziłeś - zachnął się Ryszard. - Na to nie mogę się zgodzić.

Malik patrzył na niego nieodgadnionym spojrzeniem. - Dobrze. Pozostanemy rozejmie. Jakoś się dogadamy co do warunków, nie czas na targi. Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Na co?

- Na tego, którego imienia nie mogę tutaj wymówić... Malik roześmiał się. - Na coś, co cenisz naprawdę!

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Wiążącej przysięgi.

Ryszard zaciął zęby. - Wystarczy, że dałem słowo. W obliczu tego, co nam zagraża nie zamierzam nim szastać ot tak sobie! Musisz mi uwierzyć. Tak jak ja wierzę, że po wszystkim nie rozkażesz nas po prostu wyciąć.

Książę długo wpatrywał się w jego twarz. - Niech będzie. Teraz twoi wojownicy. Po kolei zaręczycie słowem honoru, że dopilnujecie, aby nasz układ został dotrzymany!

- Znowu - jęknął Konrad. - Toż przed chwilą dawaliśmy słowo.

- Bez ociągania! - popędził ich Ryszard.

- Tak - powiedział Malik, kiedy skończyli. - Właśnie dlatego was wszystkich tutaj potrzebowałem, nie tylko jako świadków, ale też zobowiązanych do przeprowadzenia tego, co uzgodnimy. Jeżeli nie dotrzymacie przyrzeczeń, utwierdźcie mnie tylko w moim mniemaniu o was, chrześcijanie. A teraz do rzeczy - niecierpliwie strzepnął palcami, powstrzymując protest von Wallheima. - Mogę wyjawić, jaka jest droga ratunku. W jeden tylko sposób można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce przy boku Azazela.

- Mów - rzekł niecierpliwie Ryszard. - Niech to się wreszcie wyjaśni.

- Ghula musi zabić własną ręką ten, który go spłodził. Tylko on spośród ludzi jest w stanie zgładzić młodego ghula, pozostającego pod opieką demona, nikt inny. Gdy tego dokona, ciało bestii winno zostać spalone w ogniu jego opiekuna, nie muszę chyba wyjaśniać, że w przypadkach, kiedy rzecz dotyczy zwykłych ludzi, nie ma o tym mowy, gdyż nikt nie zadaje sobie trudu, by ifryta usidlić w postaci płomienia. O wiele prościej i bezpieczniej wydać mu rodziców na żer i przebłaganie. Tym razem mamy jednak do czynienia z Tirem. Ten, jak sami słyszeliście, niczym się nie zadowoli. A skoro został uspiony, jest możliwość spełnienia drugiego warunku...

Ryszard aż skręcił się ze złości. - Podstępem wydarłeś ode mnie przyrzeczenie, że odejdę, Saracenie! - zawołał tak głośno, że echo oddało jego słowa wielokrotnym pogłosem. - Potrzebujecie mnie tak czy inaczej! Bez znaczenia, zostanę czy nie! Tak mnie podejść! Ty podły Arabie!

Malik spokojnie zniósł wybuch. - Spójrz na to z drugiej strony - odparł z lekkim uśmiechem. - Cóż stałoby na przeszkodzie wykorzystać cię do zgładzenia ghula, a potem po prostu zarżnąć?

Ryszard zastanowił się. - Prawda - rzekł z pewnym zaskoczeniem. - Dlaczego zatem Saladyń chce się ze mną ułożyć, zamiast doprowadzić podstęp do końca?

- Pamiętaj o jednym, władco. W naszych okropnych czasach musi znaleźć się też miejsce na honor. Salah ad-Din podziwia twoje męstwo i biegłość wojenną. Pamięta też o twoich szlachetnych uczynkach, nie tylko o zbrodniach. A poza tym, skoro masz wypełnić pierwszy warunek, musimy zapewnić ci bezpieczeństwo, nie przypuszczam, że byłbyś skłonny poświęcić się dla czyjegoś dobra, nawet twoich własnych poddanych.

Król uśmiechnął się i skłonił głowę. - To jestem w stanie przyjąć jako wytłumaczenie. Ale wiem, że jest coś jeszcze, nie wiem co, ale jest. Teraz mniejsza o to. Mam zabić tego ghulę, tak? A gdzie on teraz przebywa? Pewnie umknął w pustynię i szukaj wiatru w polu.

- Mylisz się. Czeka na zewnątrz, tam gdzie go widziałeś po raz ostatni, nie ruszy się stąd, dokąd przebywał w jednym miejscu z Fatmą.

- Przedtem wyglądało na to, że się mnie okropnie boi. Gotów jeszcze uciec.

- Przed tobą może tak, ale nie przed matką. Wyrodna, bo wyrodna, ale to jego macierz. Ona przywołała ghulę. Do niej podejdzie na pewno. I raczej nie spróbuje się bronić. Będziesz miał dość czasu, żeby zrobić swoje.

- To jest... - szepnął Werner - To jest takie podłe. Znakomity słuch nie zawiódł księcia i tym razem. - Tak, młody krzyżowcu, masz słuszność! To jest podłe. Jak wszystko, co łączy się z tą sprawą. Podłe jak nasze ugody z wami! Podłe jak uczynki władców! Pławimy się w podłości, oddychamy nią, jest nam konieczna do życia! Dlatego pamiętaj, młodzieńcze, jeżeli w twoim życiu ktokolwiek zaoferuje ci sprawowanie władzy, bez chwili wahania pluń mu w oczy! Pójdź do stajen i dosiądź najściglejszego bachmata! Niech pęd powietrza wywieje z twojej głowy wszelkie mrzonki o rządzeniu! Wierz mi, że gdybym mógł pokierować swoim życiem raz jeszcze, wiedząc to, co wiem teraz, przyłączyłbym się do któregoś z pustynnych plemion jako prosty wojownik. Może wtedy nie byłoby chwil, żebym czuł obrzydzenie do samego siebie...

Werner słuchał przemowy z otwartymi ustami. Malik chciał powiedzieć coś jeszcze, jednakże w tym momencie Ryszard ziewnął ostentacyjnie. - Przestańmy już bić jęzorami. Dawaj tę dziewczynę. Tylko na postronku. Szalona jest i nie wiadomo, co jej do głowy strzeli. Nie mam chęci uganiać się i za nią, i za ghulem!

Malik poczerwieniał ze złości. Jego smagła twarz stała się prawie czarna. - Zgoda! - To, co wydobyło się spomiędzy jego zaciśniętych zębów w niczym nie przypominało ludzkiego głosu. - Niech zbrodnia idzie do zbrodni, a upodlenie do upodlenia. Pamiętaj tylko, giaurze, że ten ghul powstał z twego nasienia. To twoja krew! Oby ci ręka nie zdrząła!

- Nie zadrzy - roześmiał się beztrosko Ryszard.

- Jeszcze jedno na koniec. Musisz coś wiedzieć, nie wyobrażaj sobie, że gdybyś odmówił złożenia przysięgi, wyjawilibym sposób odesłania Tira do piekła. Domyślasz się, dlaczego mnie właśnie Saladyn zlecił to zadanie?

- Domyślam albo nie. Sam mi powiedz.

- Bo wie, że nie wahałbym się ani chwili, żeby uwolnić demona. Tyle szaleństwa jeszcze we mnie pozostało z dawnych lat.

Ryszard skinął obojętnie głową.

- Oczywiście. Chodźmy już. Moi panowie - zwrócił się do krzyżowców - niebawem wrócę i będziemy mogli opuścić to przekłete miejsce.

Werner wstał, powoli podszedł do Malika. Natychmiast między nim a księciem znalazł się strażnik z obnażonym mieczem. Al-Adil odsunął żołnierza. - Czego chcesz, młody rycerzu?

- Chciałbym to zobaczyć - nieśmiało odparł chłopiec. Malik nachmurzył się, ale zaraz na jego twarzy zagościł życzliwy uśmiech.

- To może być najgorsze wspomnienie w twoim życiu. Na pewno tego chcesz?

- Chcę zobaczyć, jak wyglądają owoce podłości.

- No cóż, młody panie, to może być rzeczywiście pouczające. Ktoś jeszcze? - spytał głośniejsze.

Pozostali odwrócili wzrok, tylko de Morges się odezwał: - Sam mówiłeś, że ghul walczył nie będzie. Jak zechcę zobaczyć przy pracy rzeźników, odwiedzę miejskie jatki...

Ryszard rzucił mu groźne spojrzenie.

- Uważaj, Janie - Piotr z Telford uniósł się - byś nie miał dziś drugiego pojedynku!

- Daj spokój - mruknął de Morges. - Nie masz większych zmartwień?

- W takim razie chodźmy. Młody graf ze mną, a król z Hatimem. Oddamy mu jego własny miecz na tę okazję.

XXIV

Werner wrócił w takim stanie, że Konrad zaczął mieć obawy, czy nie zadano mu gdzieś po drodze trucizny. Był blady, spocony i trząsał się jak w febrze.

- Co się stało, chłopcze? Mów!

Werner bez słowa wskazał na dzban. Vincent natychmiast podskoczył z naczyniem. Młody von Watzenrode pił długo, nie zważając na strugi spływające mu po policzkach, na szyję i za kołnierz.

- To... - wyjąkał - ...było potworne!

- Mów, co się stało? Król żyje?

- Żyje... Jak ja go nienawidzę, wuju! To nie człowiek! To bestia, nie wiem, czy nie gorsza od demonów pustyni!

- Cicho, chłopcze - Konrad pogłodził go po włosach. - Nie trzeba tak mówić. Opowiedz, co widziałeś...

Graf uspokajał się powoli. Wino zaczęło działać, otepiając nieco zmysły. - Kiedyśmy dotarli do wysokiej grotty na górze, nad wejściem do jaskiń - zaczął - król z niewiastą był już na zewnątrz. Tak jak chciał, uwiązana była na postronku, a on ciągnął ją za sobą. Niecierpliwy był, jak zawsze. Kiedy próbowała się opierać, szarpał mocniej, tak że padała. Książę Malik na ten widok zaczął chrapliwie oddychać. Położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął tak mocno, że zem zajęczał. Pewnie ślad palców długo tam zostanie. Uszli kilka kroków, słyszałem, jak księżniczka jęczy żałośnie, potem podnosi głos. Wśród tych skał słychać nawet szept. To brzmiało, jakby coś nucila. Jakąś kołysankę dla dziecka w tym ich dziwnym języku. Wtedy pojawił się ghul. Ale w niczym nie przypominał tej bestii, którą widzieliśmy nad ciałem nieszczęsnego Kurta czy przy wjeździe tutaj... Przybliżał się powoli i ostrożnie, piszcząc niczym zagubione w lesie szczenię... Widać było, jak ciągnie go do matki, a jednocześnie czuje śmiertelne przerażenie... Ryszard zatrzymał się i czekał. A Fatma poszła do przodu, wyciągając ręce... Tak matka wyciągała do mnie ramiona, gdym był dziecięciem... - głos mu się załamał, odchrząknął i mówił dalej: - Byłaby pewnie pobiegła, gdyby nie postronek. Król szarpnął, ona padła na kolana. Cały czas wyciągała ręce i mówiła do potwora. A ten podchodził coraz bliżej. Wzrok miał wbity w jej twarz, a z oczu leciały mu takie łzy jak wtedy, gdyśmy go mijali. A król czekał... Ghul podszedł blisko, bliźutko, prawie na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na Ryszarda. I nagle przypadł do ziemi. Myślałem, iż zaatakuje wbrew temu, co powiedział książę Malik. Ale nie... Widzieliście kiedyś psa dopraszającego się łaski pana? Ten ghul właśnie tak pełzał. Prosił... Łasił się... A król stał bez ruchu. Tylko przygarbił się lekko, nie spuszczać z niego spojrzenia... - przez chwilę Werner oddychał ciężko. Wzrok miał zamglony, jakby patrzył gdzieś w dal. - Ghul podpełzł powoli do Fatmy, jakby u niej szukał schronienia. A ona... otoczyła go ramionami i próbowała kołysać wielkie cielsko... Przez cały czas śpiewała. Ryszard uczynił krok. Bestia natychmiast odwróciła na niego czujne oczy. Widzieliście jej oczy, są takie, jakby jarzyły się w nich piekielne węgle. Ale teraz były jakieś smutne, by nie rzec ludzkie. Ja... ja nie dałbym rady uderzyć kogoś, kto tak patrzy...

- Uspokój się, synu - zamruczał Konrad. - Poczwarę trzeba było zabić. Przypomnij

sobie nieszczęsnego Kurta.

- Wiem! Ja mówię jedynie, że nie dałbym rady. Książę Malik patrzył tylko i milczał. A król nagle szarpnął powrozem tak mocno, że nieszczęsna niewiasta padła na plecy, a potem ciął z całej siły, jak to on potrafi... Powalił ghula i rąbał go w zapamiętaniu jeszcze długo, a Fatma płakała... Jak ona strasznie szlochała... - w oczach Wenera pojawiły się łzy.

- Uspokój się - powtórzył Konrad. - Nie powinienem pozwolić ci iść tam, gdzie obawiali się udać o wiele bardziej doświadczeni rycerze...

- Król to zwierzę! - Werner przygryzł wargi.- Co ja mówię, zwierzę! Toż pies nawet się obejrzy na swoje łajno. A on tylko splunął na trupa, rzucił sznur i odszedł. A przecież ghul wyszedł z jego łędźwi! Obrzydliwa poczwara, zgoda, ale miała w sobie jego krew! Przecież żył z tą księżniczką, dzielił z nią łożę! Na nią też nawet nie spojrzał. Brzydzą się twoim królem, panie Telford! Brzydzą się!

- No co, Piotrze - spytał Vincent. - Nie chcesz wyzwąć na ubitą ziemię grafa von Watzenrode?

Piotr machnął ręką. - Moim zdaniem - powiedział - to miejsce sprawia, że zaczynamy się dziwnie zachowywać. To zło, które tam, niedaleko sięga korzeni ziemi, działa również na nas. Pomyślcie tylko. Jan, człowiek nad wyraz spokojny i wyrozumiały, wyjąwszy oczywiście te sytuacje, kiedy zajmuje się uczeniem miejskich straży odpowiednich manier, o mało nie zaszlachtował bezbronnego już Swansena. Ja sam w tamtej chwili bardzo pragnąłem zobaczyć, jak odcina mu głowę, choć wiercie mi, nie jest to widok, za którym normalnie nadzwyczaj mocno tęsknię. Nawet Vincent... Stanął w obronie przyjaciela dopiero w ostatniej chwili. Przyznaj, de Rionne, musiałeś się przełamać?

Vincent tylko skinął głową.

- Nawet król - ciągnął dalej Telford - choć źle o nim myślicie, w zwyczajnym czasie nie czyni takich rzeczy... Chociaż do niego trzeba przykładać nieco inną miarę. Stać go na wszystko. Zda mi się, że tylko Werner jest jak zawsze.

- On - mruknął de Rionne - jest jeszcze czystego serca. Poza tym szczerze i mocno zakochany. To zawsze chroni przed złem.

- Ty też jesteś zakochany - roześmiał się Piotr - w mojej kuzynce, pięknej Judycie.

- To co innego, drogi Telfordzie. Ja nie mam tak kryształowej młodzieńczej duszy...

W tej chwili nadszedł Ryszard w towarzystwie Malika i Hatima. - Twarde życie miała bestia - zawołał z zadowoleniem. - Ledwo z niej duszę wyгнаłem. O ile to diabelstwo miało jakąś duszę! Możemy wracać do swoich. Paganie też się stąd wynoszą. Wzięli truchło ghula i gdzieś zanieśli. Mają go spalić co rychlej. Podobno po wrzuceniu ciała poczwary do ognia

demona dzieją się straszne rzeczy, dlatego trzeba uciekać.

- A kto to zrobi? Ktoś się poświęci?

- Hatim - odparł krótko Malik. - Śpieszmy się. Święty mąż słabnie z każdą godziną. Jeśli jego zabraknie, cały trud pójdzie na marne. Dostaniecie świeże konie, przydam wam eskortę, żebyście nie byli niepokojeni przez ludy pustyni i jedźcie w swoją stronę. My zaś ruszymy w swoją. I oby nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały. Vincent wstał z poduszek, lekko skłonił się księciu.

- Życzysz sobie czegoś, panie de Rionne?

- Chcę porozmawiać z Edwardem. Jeżeli jeszcze żyje.

- Żyje. Medyk twierdzi, że nie ma większego niebezpieczeństwa. Udało mu się załatać poprzecinane żyły.

- Chcesz gadać ze zdrajcą, de Rionne?! - zaperzył się de Morges.

- Posłuchaj, Janie! Nie nazywaj go tak pochopnie zdrajcą. Znam go od lat i nie wierzę...

- Zdrajcą? - przerwał mu Malik. - Wiedz, że to on został zdradzony. Kiedy popadł w niewolę, jego przełożony, którego był, jak to się u was mówi, wasalem, pożalował marnego grosza na jego wykupienie! Choć gdy go ogarnęliśmy z oddziałem, wypełniał ważną misję dla tamtego, a walczył jak rozżarty i wygłodniały lew. Czy istnieje gorsza zdrada, niż kiedy pan porzuci wiernego sługę? A to, że sprowadził tutaj was i króla, uczynił pozostając wiernym swemu sumieniu. Zgodził się dopiero, gdy zapewniłem, że nikomu włos z głowy nie spadnie. I zrobił to, żeby ratować nas wszystkich, nazywasz to zdradą?

Jan milczał z ponurą miną. - Ale służy Saracenom - burknął w końcu.

- Idź - rzekł Ryszard. - I powiedz mu, żeby wracał. Ja nie pożaluję pieniędzy na okup. Zaraz omówię sprawę z księciem.

- Nie ma czego omawiać - odparł Malik. - Ibn Suan jest już wolnym człowiekiem. Okupił wolność własną krwią. Tak czy inaczej musi odbyć podróż przez pustynię, bo tu przecież zostać nie może. Czy pojedzie w kolebce między końmi z wami, czy z nami - bez różnicy, niech wraca do swoich. Możesz do niego pójść, panie de Rionne.

Edward leżał w niewielkim pomieszczeniu, do którego wiódł dość szeroki jak na tutejsze warunki korytarz. Przy jego łożu siedziała jakaś kobieca postać, na widok Vincenta natychmiast podniosła się i uciekła, zasłaniając twarz.

- Wielu rzeczy o tobie jeszcze nie wiem. Wikingu - rzekł de Rionne, odprowadzając kobietę wzrokiem.

Swansen uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Blady jesteś. Sporo krwi ci uszło.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Choć pewnie i ty masz mnie za zdrajcę.

Vincent rozejrzał się, podjął ciężki zydziel i przystawił do łóżka. - Nie wiem, co o tym myśleć, prosto mówiąc. Król w każdym razie nie zdaje się żywić do ciebie urazy. Wybaczył ci. Powiedział, że możesz wracać z nami, nawet okup chciał zapłacić...

- Wybaczył mi? - Edward uniósł się, lecz zaraz opadł z powrotem. - Co mi wybaczył? To, że przez jego pochutliwość i lekkomyślność stworzony został potwór? Gdyby okazał tej dziewczynie choć trochę uczucia, myślisz, że zdobyłaby się na ten czyn? Nie znasz kobiet? Ale on ją wyrzucił jak zwykłą ścierkę... Jak...? Jak...? Jakby była zwykłą obozową zdzirą, a nie córą królewskiego rodu - umilkł, ciężko dysząc. Był tak osłabiony, że te kilka zdań głośniejszych wypowiedzianych bardzo wyczerpało go.

- Co ty tak obstajesz za dziewczką? Bo to pierwsza czy ostatnia, którą Ryszard cisnął?

Edward nie słuchał go. - Żebyś wiedział, jaka była piękna - mówił w rozmarzeniu. - Po raz pierwszy widziałem ją bez zasłony na twarzy na samym początku niewoli... Przypadkiem naszedłem ją przy pałacowej fontannie. Mało mnie za to nie rozsiekli. Ona wybroniła. Chcieli wypalić oczy, nie dała... Saladyn i Malik bardzo ją kochali, dali się ubłagać. Tylko dzięki niej przeżyłem...

Vincent zamyślił się. To dziwne zachowanie, kiedy Edward zobaczył Fatmę, te łzy w oczach, kiedy skończyła opowieść...

- Swansen - położył rękę na ramieniu rannego - nie mów mi tylko, że ty ją... że ją...

- Kochałem, tak - szepnął chory. - Wciąż kocham. Jak siostrę, jak najcenniejszy skarb, nigdy bym się nie poważył pomyśleć o niej jak mężczyzna o kobiecie. To by było jak świętokradztwo. A Ryszard pierwsze, co zrobił, to splugawił ją! Potraktował niczym sukę! Bo sam jest jako pies! Taki robi, co mu karze natura, i dalej nie patrzy!

- Sama wepchnęła mu się w rękę.

- To go tłumaczy?

Vincent zastanowił się. - Nie każ mi tego osądzać, nie wiem. Że z niego podlec, każdy powie. Ale i znakomity wódz... Wiesz, co się wydarzyło, kiedy tu leżałeś?

- Domyślałem się. Nie chcę, żebyś opowiadał.

- Powiedz mi, Edwardzie, dlaczego sułtan tak nastaje na odejście Ryszarda? Właśnie jego?

Swansen przymknął na chwilę oczy, ważył coś w sobie. - Dobrze, powiem ci. Przez wzgląd na naszą przyjaźń. Ale nikomu tego nie powtarzaj, zgoda?

- Mam ci przysiąc? - roześmiał się de Rionne. - Mogę. To byłby dzisiaj już trzeci raz.

- Nie chcę przysięgi. Wystarczy zwykłe słowo. Teraz to już i tak bez znaczenia, bo król zaprzysiągł porzucić wyprawę. Nie chcę jednak, by wiedział. Urósłby jeszcze bardziej w dumę. Pycha kiedyś go rozsadzi.

- Możesz być pewien, że nikomu nie powiem.

- Wiesz, dlaczego zostaliście zaprzysiężeni do milczenia o tych wydarzeniach i o wszystkim, czego się mogliście dowiedzieć?

- Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Wcale, prawdę rzekłszy. Za wiele się działo. Pewnie dlatego, żeby nikt z naszych nie dowiedział się o układzie i całej tej historii. Byłaby awantura, jeszcze by zmusili Ryszarda do zaniechania układu.

- Niezupełnie, przyjacielu. Przebywasz na tej ziemi tak samo długo jak ja. Poznałeś ją. Wiesz, jak przesądni są tutejsi ludzie. To wszystko ma być tajemnicą nie tylko dla wojsk krzyżowych, ale przede wszystkim dla Arabów. Krzyżowcy i tak by pewnie do końca nie uwierzyli. A gdyby nawet, nie miałyby to takiego znaczenia, bo Ryszard i tak by odpłynął. Sułtanowi chodzi przede wszystkim o to, żeby jego poddani nic nie wiedzieli.

Vincent spojrział na Swansena z niedowierzaniem. Czyżby majaczył? - O czym ty mówisz? Skoro król się wyniesie, to dla Saracenów przecież zwycięstwo, nieważne, jaką drogą do niego doszli!

- Widzisz, jest przepowiednia mnicha Joachima. Teraz krąży wśród wszystkich arabskich plemion. Że nadejdzie od zachodu wielki król, pan panów, i obejmie we władanie cały świat. Powiadają, że będzie on w boju nieśmiertelny. Żadna strzała go nie zabije... Ryszard jak ulał do tego pasuje. Sam wiesz najlepiej, ile razy cało wychodził z najgorszych opresji. Jak pcha się do każdej walki.

Vincent wzruszył ramionami. - Radzi sobie, bo jest nadzwyczaj silny, biegły w fechtunku i ma wyborny pancerz. A śmiertelny jest jak wszyscy. Mało to razy widziałem, jak broczył juchą, bo mu strzały poraniły ciało? Wracał z bitki naszpikowany jak jeź igłami. Zbroja nie puszczała, choć groty wchodziły aż pod przesywanicę i haratały skórę...

- Ale oni tego nie wiedzą. Właśnie tak się rodzą legendy i prorocтва. To dlatego Ryszard jest taki groźny. I dlatego Saladyn postanowił wykorzystać to nieszczęście, które na nich spadło, aby się go pozbyć. Dlatego nie poprosił jawnie o pomoc, choć byłoby to prostsze i łatwiejsze do uzyskania. Ryszard zapewne zgodziłby się na podobną awanturę, żeby potem trubadurzy mieli o czym śpiewać.

De Rionne pokiwał głową. - Ale dlaczego nie kazał go potem po prostu zabić? Z tego, co zauważyłem, Malik uczyniłby to bez wahania...

- Saladyn jest człowiekiem honoru... - zaczął Edward, ale przerwał mu głos dobiegający od wejścia: - Mój brat jest przede wszystkim człowiekiem wielkiej mądrości. - To był Malik al-Adil. - Gdyby nie obawiał się konsekwencji, wasz król byłby już tak samo martwy jak ghul, którego zabił.

- Poruszasz się równie cicho, jak Edward - zauważył z podziwem Vincent.

- To umiejętność niezbędna dla przeżycia na pustyni. Ibn Suanie, mam nadzieję, że wiesz, co czynisz, powierzając temu giaurowi naszą największą tajemnicę...

- Nikomu nie powtórzy. Stawiam na to moje zbawienie...

- Skoro tak... No cóż, panie de Rionne... nie należy popełniać błędu i składać wszystkiego na karb honoru. Salah ad-Din zwyczajnie obawiał się, że martwy król może być równie niebezpieczny jak żywy. Martwi bohaterowie legend są wielkim zagrożeniem. Zważ przykład tego, którego chwalicie i pod którego imieniem prowadzicie krucjatę. Zaś kiedy Anglik odejdzie, będzie wyglądało jakby wojnę przegrał, a głupie bajanie samo się skończy. Gdzieś z waszych krajów przybyły prorocтва zatruwające umysły moich poddanych i niech tam sobie wracają. Mnich Joachim, wieszczący wielkie przepowiednie, o przyszłości wie równie mało, co ostatni żebrak przy drodze do meczetu. Ale skoro posiał ziarno niepokoju, skoro zakiełkowało, należy je wyrwać z serc i umysłów jak najrychlej. Zaś mądry władca potrafi wykorzystać każdą sposobność. Umie z beznadziejnej na pozór sytuacji wyciągnąć korzyść i obrócić niepowodzenie na swoje dobro. Tak właśnie uczynił sułtan, nie tylko wyratował nas przed upadkiem w przepaść piekielną, ale także poskromił najgroźniejszego przeciwnika.

- Ale inni pozostaną. Jest Konrad z Montferratu, wielki i bezwzględny wojownik.

- Konrad - parsknął pogardliwie Malik. - Są tacy, co właśnie w nim upatrują króla z przepowiedni, nie obawiaj się. Z wszystkimi innymi sobie poradzimy, nie tak, to inaczej. Powtarzam ci, nie możemy sobie tylko pozwolić na prorocstwo związane z Ryszardem!

- A nikt z twoich ludzi, którzy tu są, nie piśnie słówka?

- Oni wszyscy, poza moimi przybocznymi, zostają na miejscu do końca.

- Na zatracenie...

- Na zatracenie, panie de Rionne. Razem z derwiszami i czcigodnym al-Hadżibem. Sami wybrali. Tu nie pozostanie nawet kamień, zaginie po tych skałach wszelki ślad. - Spojrzal uważnie na Swansena. - Możesz jechać ze swoimi.

- Wiem.

- Każę przysposobić co trzeba do drogi - Malik odwrócił się do wyjścia.

- Książę - zatrzymał go głos Edwarda. - Mam prośbę.

- Spełnię każdą.

- Chcę jechać z tobą.

Vincent drgnął zaskoczony. - Co ty mówisz, oszalałeś?!

- Nie wtrącaj się, de Rionne! Chcę odjechać z wami - powtórzył.

Al-Adil zmarszczył czoło. - Ona jest szalona, ibn Suan, wiesz przecież. Nie odzyska zmysłów. A gdyby nawet... Cóż ci z tego przyjdzie? Dałbym ci ją za żonę, tylko po co? To nigdy już nie będzie słodka, urocza Fatma. Nic nie będzie takie jak dawniej.

- Chcę z wami - powtórzył z uporem Edward. - Nie potrafię już żyć tak, jak kiedyś... Pokochałem nie tylko Fatmę. Pokochałem też pustynię i życie na niej.

Kąciki warg księcia lekko drgnęły. - Zatem zgoda. Będzie to dla nas zaszczyt, giaurze, mieć cię u swego boku.

Vincent wstrzymał oddech. Bał się zakłócić tę rozmowę najmniejszym zbędnym gestem.

XXV

- Mówiłem, że zdrajca! - stwierdził z zadowoleniem de Morges. - Moje na wierzchu. Porzucił nas dla niewiernych!

Werner spojrzął za siebie, gdzie w oddali majaczyły skały. Krwawa luna rozświetlała granatowe niebo. Poczul koło serca dziwne ukłucie. Ta przygoda była straszna, potworna wręcz, ale wiedział, że gdzieś tam zostawił część siebie. Przez krótki czas miał możliwość ujrzeć wielką i podłość i równie wielką szlachetność.

- Nie zostanę tutaj - odezwał się Konrad - ani chwili dłużej niż potrzeba. Wracam do Austrii.

- Nie dziwię się - rzekł Piotr. - Tyle strasznych przeżyć...

- Źle mnie zrozumiałeś, panie Telford. Pojąłem coś bardzo ważnego, nie mam ochoty więcej zabijać tych, których nazywamy poganami. W jednej chwili straciłem pewność, kto ma tutaj słusność...

Ryszard zatarł ręce. Nie zwracał uwagi na rozmowy swoich towarzyszy. W jego głowie dojrzewały nowe plany. - Oblegniemy Jerozolimę, trochę tam postoiemy, żeby nie było gadania. Już ja tak będę dowodzić, aby trzeba było szybko odstąpić. Albo lepiej powierzmy dowództwo radzie. Szkoda, że nie ma Filipa. Z nim, jakby zaczął się wtrącać, w tydzień byłoby po całej sprawie. A potem do domu! Zrobię nareszcie porządek z kochanym braciszkiem. A zresztą jeszcze zobaczę, co przyjdzie uczynić.

Patrzy już w przyszłość, pomyślał Vincent. Święta Ziemia, wyprawa krzyżowa,

krwawy trud, przestały mieć dla niego znaczenie. Pewnie dlatego jest takim strasznym przeciwnikiem. Zawsze patrzy przed siebie, nie rozpamiętuje, nie ma wyrzutów sumienia. Uśmiechnął się do swoich myśli.

- Przypomniało ci się coś zabawnego? - trącił go Piotr. - Podziel się. Po tym wszystkim sam chętnie się pośmieję.

- Zabawnego? Boja wiem... Trochę. Przypomniałem sobie minę twojego króla, kiedy Malik rzekł mu na pożegnanie, żeby następnym razem uważał, gdzie tryska nasieniem.

Piotr zacisnął wagi, jednakże po chwili nie wytrzymał. - Prawda - roześmiał się. - Warto było to zobaczyć. Wracasz z nami? Twoja banicja już się skończyła. Ryszard wyjedna ci uchylene wyroku.

Vincent potrząsnął głową. - Nie wiem. Muszę się jeszcze zastanowić. - Przypomniał sobie ostatnie słowa Edwarda. - Nie potrafię już chyba żyć tak, jak dawniej...

Przerwał mu upiorny błysk, jakby nagle zapłonęło tysiąc słońc, potem doleciał straszliwy huk. Spłoszone konie zaczęły stawać dęba. Ledwo je mogli uspokoić. Na wszelki wypadek pokładli się na ziemi i zmusili do tego wierzchowce. Co jeszcze się zdarzy? niebawem nadleciał podmuch powietrza, niosąc wielkie kłęby piachu. Zdawało się, że nawałnica rozsiecze ciało do kości. Trwało to jedynie kilka chwil, lecz im wydawało się, iż ciągnie się jak wiek cały.

Kiedy zapanowała wreszcie cisza, zaczęli się niemrawo zbierać. Ryszard kłął, wypluwając piasek. - Wreszcie. Wrzucili to obrzydliwe cielsko do ognia. Mam nadzieję, że tę diabelską dziewczkę też weń cisnęli! Przekłeta niech będzie za to, do czego mnie przez nią zmuszono!

Vincent spojrzał znacząco na Piotra. - Wiesz, Telford - powiedział. - Ja jednak zostanę. Nie mam czego szukać w Europie, czy to będzie Francja czy Anglia...

- Kiedy odejdziemy, Arabowie nie omieszkają wyzyskać przewagi. Łatwo tu będzie stracić życie.

- Być może. Jeśli nawet... Co komu pisane... - zamyślił się. W uszach zahuczały słowa ojca. Kiedy opuszczali tajemnicze skały, znowu go zobaczył, siedzącego na kamieniu w tym samym miejscu co przedtem. „Zginiesz”, rzekł. „Powiadam po raz trzeci. Czego byś nie uczynił, zginiesz”. Westchnął ciężko. Jeśli tak... Tu czy w rodzinnym kraju... Co za różnica. Krew wszędzie ma tę samą barwę. - Tylko jedno mogłoby zmienić moją decyzję. Wtedy stanąłbym do walki z przeznaczeniem. Ale to niemożliwe, nie da się zawrócić biegu czasu tęsknymi wspomnieniami.

Piotr przyjrzał mu się uważnie. - Wciąż o niej myślisz, prawda? O Judycie?

- Niełatwo wyrwać z serca uczucie, nawet jeśli jest ono beznadziejne, nawet jeśli rozsądek mówi, że wszystko przeminęło.

- Taką właśnie miłość lubią opiewać trubadurzy - Telford spojrział w piach pod stopami. - Jednakże dla zwykłych ludzi to nie jest...

Przerwał mu okrzyk Wenera. Pobiegli do niego.

- Co się znowu stało? - spytał niecierpliwie Ryszard. Teraz każda chwila zwłoki wydawała mu się niewybaczalną stratą.

- To Wallheim!

Młody graf podtrzymał opadającą bezwładnie głowę wuja. Na ustach Konrada pojawiła się krew. Twarz stała się wyraźnie biała, bladość przebiła się nawet przez mocną opaleniznę.

- Co mu, Wenerze?

- Nie wiem. Padł jak my wszyscy i wstał razem ze mną. Nagle upadł bez zmysłów, próbując dosięść konia.

Oblicze nieprzytomnego nabrało teraz granatowej barwy.

- To serce - mruknął Ryszard. - Krew go zadusiła, nic tutaj nie pomożemy. Połóż go, chłopcze, tak by głowa spoczywała równo z ciałem. Podłóż tylko rąbek płaszcza.

Wener złożył wuja na ziemi, poderwał się i dopadł wierzchowca.

- Sprowadzę lekarza od Saracenów! Nie mogli ujechać zbyt daleko!

- Wracaj, von Watzenrode! - zawołał za nim Ryszard. - Jemu już nic nie pomoże.

Graf nie słuchał. Dźgnął konia ostrogami, zmuszając go do galopu.

- Zaraz go dognam. - Ryszard z wykrzywioną złością twarzą wskoczył w siodło. - Nie ma czasu na...

- Niech jedzie - wodze królewskiego rumaka ściągnęła potężna dłoń Jana. - Przynajmniej tyle może uczynić.

- Puszczaj, de Morges! - Ryszard sięgnął do miecza. - Puszczaj, mówię!

- A co, zabijesz mnie, najjaśniejszy panie? Niewielu zostało przy tobie Francuzów po odjeździe naszego monarchy. Gdy pójdzie wieść, że mordujesz tych, co pozostali, odejdzie i reszta. A może zamierzasz ukatrupić nas wszystkich? Zapewne byłoby dla ciebie wygodne nie pozostawiać żadnych świadków niedawnych wydarzeń. A Wener powróci niebawem. Słusznie prawil, tamci nie mogli daleko ujechać. W końcu włoką ze sobą rannego.

- On ma rację, królu - odezwał się Piotr. - Pozwól chłopakowi zrobić, co uważa za słuszne. W czasie tej wyprawy wyrósł z niego prawy rycerz. A taki nie opuszcza przyjaciela w potrzebie. Tym bardziej własnego wuja.

Ryszard uspokoił się równie nagle, jak wpadł w gniew. - Sam nie wiem, co się ze mną dzieje - rzekł po chwili, wpatrując się w coraz mniejszą postać Wenera. - Wszak godzina czy nawet pół dnia nas nie zbawi. Chociaż to nie ma sensu. Spójrz, von Wallheim dogorywa.

- Szkoda, że nie ma z nami chociaż Swansena - Jan poskrobał się po głowie. - Przebywając u Saracenów pewnie poznał trochę ich tajemnic. Lekarzy mają przednich, to im trzeba przyznać.

- Przypominam ci - odparł Piotr - że rozplatałeś go własną ręką. Teraz nie narzekaj.

Kłęczący nad Konradem Vincent machnął niecierpliwie ręką. - Cicho bądźcie! On chce coś powiedzieć - pochylił się tak, że wargi hrabiego von Wallheim dotknęły jego policzka. - Tak, przyjacielu - odrzekł. - Stanie się, jak zechcesz. - Przez chwilę słuchał uważnie. - Werner pojechał po pomoc. Nie mów, że jest niepotrzebna! Niedługo wróci z medykiem. Trzymaj się Konradzie!

Von Wallheim odetchnął głęboko, potem powoli wypuścił powietrze.

- Wybaczcie mi wszystko, com wam uczynił złego - powiedział niespodziewanie głośno.

- I ty nam przebacz - odpowiedzieli zmieszani. Konrad uśmiechnął się, patrząc gasnącym wzrokiem w niebo.

- Szkoda, że nie będę mógł zobaczyć moich ukochanych gór - szepnął.

Vincent powstał, spojrział na towarzyszy. Bezwiednie tarł skórę policzka, rozmazując krew, która osiadła na niej, kiedy dotknęły go usta umierającego. - Koniec.

Ostatnią jego wolą było, aby Werner opuścił Ziemię Świętą najszybciej, jak to jest możliwe, nie czekając zakończenia krucjaty. Ryszard zacisnął wargi, schylił głowę.

- Niech tak się stanie. Rozwiążemy swoje sprawy bez jednego rycerza.

- Najpierw Kurt, teraz Konrad, nie wiadomo na pewno, czy Swansen wyżyje - Vincent w zamyśleniu przyglądał się zmarłemu. - Wszyscy w ciągu tak niedługiego czasu. Ciekawe, kto będzie następny...?

- A może już wystarczy? - Jan położył mu rękę na ramieniu. - Może złożyliśmy należytą daninę śmierci?

- Obawiam się, że ona jest nienasycona.

De Rionne odwrócił się w kierunku, z którego przyjechali.

Ech, ojciec, pomyślał, czyżby grot śmierci trafiał ludzi wokół mnie tylko dlatego, że to ja jestem skazany? Czy to możliwe?

- Nienasycona, powiadasz? - Ryszard w zamyśleniu wydał wargę. - To możliwe. Rzekłbym nawet, że pewne. Jednakże pamiętaj, iż ona karmi się życiem, nie może go

wszystkiego wytłuc, bo wtedy jej istnienie straciłoby sens. A zawsze jest wszak szansa znaleźć się wśród tych, których zostawia sobie na później. Trzeba w to wierzyć, a wtedy nie przyjdzie zniecka.

- Zamiast snuć takie rozważania - stwierdził trzeźwo Piotr - weźmy się lepiej za pochówek naszego przyjaciela. Trzeba naznosić kamieni.

- Nie! - Jan potrząsnął głową. - Zabierzemy go i pochowamy w poświęconej ziemi, nawet gdyby miał zacząć cuchnąć, trudno. Zasłużył na szacunek i chrześcijański pogrzeb.

- W takim razie jedźmy także po truchło Kurta - powiedział Vincent. - Też był naszym towarzyszem.

- Jeśli coś z niego zostało po uczcie ghula - Jan wstrząsnął się. - W co, szczerze mówiąc, wątpię.

- Diabli - zaklął Ryszard - czy wy macie dobrze w głowie? Marnować czas na bezużytecznego trupa, który...

- On - przerwał mu Piotr cichym głosem - oddał życie w twojej sprawie, najjaśniejszy panie, choć nie był wam nic winien.

Ryszard zamilkł, wpatrując się ponuro w ciało Konrada.

- Może masz rację. Może wszyscy macie rację. Ale ja muszę myśleć o sprawach państwowych i tutaj, i w Anglii. Wtedy wszystko inne przestaje się wydawać ważne.

- Czasem - rzekł Vincent - traci się rozeznanie. To wolno, bo każdy ma chwile słabości. Jednakże umiejętność dostrzeżenia błędu świadczy, jakim się jest człowiekiem.

- Filozof z ciebie - pokręcił głową król. - Nie spodziewałem się...

- Ja też, wasza wysokość, jeszcze parę dni temu nie spodziewałbym się u siebie takich myśli. A u ciebie takiej chwili zastanowienia nad sobą.

XXVI

Konrad z Montferratu wszedł do świetlicy, w której biskup Beauvais raczył się winem. Na jego widok duchowny zerwał się z miejsca.

Konrad otworzył ramiona.

- Witaj, Filipie! - zawołał. - Przyszedłem do ciebie w gościnę.

Biskup pochylił głowę. - Witaj, królu. Jestem zaszczycony wizytą waszej wysokości.

- Och, przestań, przyjacielu - obruszył się przybyły. - Dla ciebie nie jestem waszą wysokością, ale po staremu Konradem.

- To dobrze - uśmiechnął się duchowny. - To oznacza, że korona nie odebrała ci jeszcze rozumu.

- Zbyt długo na nią czekałem - odparł poważnie Konrad - abym nie pojął, iż to nie tylko splendor, ale również wielka odpowiedzialność. Nie byłem obłudny, gdy na wieść o powierzeniu mi władzy padłem na kolana prosząc Boga, by nie dawał mi berła, jeżeli nie jestem tego godny.

- A ja byłem przekonany, że to tylko gra z twojej strony.

- Nie tylko ty, jak mniemam. Wszyscy, którzy byli tego świadkami, zapewne myśleli podobnie. I to na dodatek w chwili, kiedy po raz pierwszy od wielu lat byłem naprawdę szczerzy.

- Lecz teraz widzę dziwny smutek na twojej twarzy. Przecież zostałeś wreszcie naszym królem! Ryszard przegrał nawet i to! Zapewne niebawem popłynie z powrotem do Europy, niech tam się teraz popisuje swoimi talentami. Zostaniemy wreszcie sami i samodzielnie będziemy sobie układać stosunki z Saracenami. Nareszcie! Dlaczego się smucisz?

- Mówiłem już. Brzemień władzy... Czyś kiedy pomyślał, jaki to ciężar? Nie mogę już sobie beztrudnie nakazać obrabować karawanę, posłać ludzi, by pomścili na kimś zniewagę, czy wreszcie wyzwać kogo na pojedynek. Jestem królem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo mam spętane ręce. Powinienem dawać przykład innym, a sam wiesz, jak to wygląda... Brać ze mnie przykład, też coś - roześmiał się gorzko.

Biskup wzruszył ramionami. - Zupełnie cię nie rozumiem. Widziałem w życiu paru władców, ale jakoś nie zauważyłem, żeby przejmowali się czymkolwiek, a już najmniej wymogami przyzwoitości, albo tym, czy ktoś patrzy na ich poczynania. Weź choćby francuskiego Filipa. Porzucił krucjatę zaraz po zdobyciu Akki, pozostawiając sprzymierzeńców w ciężkim położeniu. Było trochę szumu, ale szybko się skończyło. Teraz siedzi sobie wygodnie w kraju rządząc jak chce, i kopiąc solidny wilczy dół na przyjazd Ryszarda. Zgoda, zwykły rycerz musi pilnować, by nie stracić twarzy, szczególnie jeżeli poza honorem niewiele posiada. Ale jeśli zostanie królem, wtedy już inni zadbają o jego dobre samopoczucie. Im kto możniejszy, tym mniejsze znaczenie mają zasady i tym więcej można mu wybaczyć niegodziwości.

Konrad, myśląc o czym innym, powolnym ruchem nalał sobie wina. Uniósł puchar do ust, zatrzymał się jednak w pół ruchu. - Pewnie masz rację. Jednakże spójrz, co robię. Pod twoim dachem, zamiast pić swobodnie przedni trunek, zaczynam się zastanawiać, czy nie zawiera on przypadkiem trucizny - wychylił jednym haustem zawartość kielicha. - Przepraszam cię, Filipie.

- Nie masz powodu do przeprosin! Jako władca musisz zachowywać daleko idącą

ostrożność. Szczególnie wobec dotychczasowych przyjaciół. Wielu z tych, którzy wspierali cię na drodze do korony, teraz zaczną ci zazdrościć. Wszak każdy z wysoko urodzonych mógłby się o nią starać. A Gwidon...

- Lusignan zyskał Cypr - przerwał Konrad. - Więcej mu nie potrzeba. Dość tam będzie miał zachodu ze swymi włościami i nowymi poddanymi. Nie przed zawiścią innych drzę, przyjacielu. Boję się samego siebie, tego, co przyjdzie mi czynić.

- Musisz się otrząsnąć! Nie poznaję cię. Kiedy byłeś tylko markizem, wszystko wydawało się o wiele prostsze, a teraz...

Konrad machnął niecierpliwie ręką. - To minie - orzekł. - Ta niepewność. Może każdy musi to przeżyć? Jednakże ja nie przyszedłem do ciebie, by użalać się nad sobą.

- Tak myślę - uśmiechnął się biskup. - Powiedz w takim razie, co cię sprowadza?

- Rzecz wielce istotna, przynajmniej dla mnie. Chcę cię prosić o pomoc, by rozwiązać dręczący mnie problem.

- Uczynię, co tylko będzie w mojej mocy. Co cię dręczy, królu mój?

Konrad przez chwilę patrzył, zagryzając wargi.

Beauvais zastanawiał się, czego też może zażądać. - Co cię dręczy? - powtórzył, gdy milczenie się przeciągało. - Jak mogę ci ulżyć?

Konrad wybuchnął śmiechem. - Doskwiera mi głód, Filipie - zawołał. - A możesz ulżyć memu cierpieniu, dając mi po prostu obiad!

Biskup odetchnął z ulgą. - Czyżby w twoich piwnicach zabrakło produktów? - zapytał z poważną miną. - Słyszałem, że wszyscy królowie mają puste skarbcze, lecz nie przypuszczałem, żeby dotyczyło to także spiżarni! I to jeszcze przed oficjalną koronacją!

- Nie, mój drogi. Tu chodzi o zasadę *cherchez la femme*. Zawiniła moja piękna małżonka. Nie wiem, co ją dzisiaj ugryzło, ale kiedy weszła do kąpieli grubo przed południem, jeszcze jej nie opuściła. Służba nie dostała dyspozycji, a wszak ja nie będę wyręczał w obowiązkach małżonki. Zresztą nie znam się na tym. Dlatego przyszedłem do ciebie. Wiadomo, że w księżej kuchni zawsze jest znacznie więcej niż potrzeba.

Biskup zasmucił się. - Tak powiadają. Jednakże u mnie jest inaczej. Zjadłem już obiad, a co zostało, poszło do rozdania ubogim. Przykro mi. Ale jeśli zaczekasz cierpliwie kilka pacierzy, wydam rozkazy, by przygotowano dla ciebie godny posiłek.

- Nie trzeba, Filipie - uśmiechnął się Konrad. - Nie kłopotz się. Na jedno w takim razie wyjdzie, jeśli wrócę do domu i zaczekam, aż moja Izabela zbierze się z łaźni. Może zresztą już wzięła się do codziennych obowiązków. Spytam cię jeszcze tylko o coś i pójdę do siebie. Obiad obiadem, a prawda jest taka, że potrzebuję się poradzić kogoś w kilku

kwestiach. Wiesz, co mówią, prawda? Rycerze wysłani przez Ryszarda gdzieś na pustynię powrócili, choć mocno przetrzebieni, już jakiś czas temu, a nie wiadomo nadal, czego tam szukali i po co. Z reguły takie sprawy wychodzą na jaw, bo panowie nie zwykli trzymać języków na wodzy. Tutaj zaś cisza jak kamień w wodę. Tam musiało się wydarzyć coś, co zatkało im gęby, a zdaloby się dowiedzieć jakichś szczegółów. Jednakże to tylko jedna z wielu spraw. Przedtem nawet nie przypuszczałem, ile ich spoczywa na głowie władcy.

Izabela niechętnie okryła się prześcieradłem. Towarzysząca jej w łaźni Henrietta ze zdziwieniem dostrzegła zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu oczy.

- Co wam, pani? - złąkła się. - Dlaczego płaczecie? Takie szczęście na was spłynęło, a wy rozpaczacie? - Zerknęła tam, gdzie wspaniałe piersi królowej wyraźnie odcinały kształty w ciasnych objęciach lnu, a nabrzmiące od gorąca sutki zdawały się przebijać materię. - Taka jesteście piękna, że gdyby was mąż teraz zobaczył, nie dałby wam pewnie chwili spokoju dzisiejszej nocy, a ronicie łyzy?

Izabela przez chwilę patrzyła na nią bez słowa i nagle wybuchła niepohamowanym szlochem. Służąca najpierw skamieniała ze zdziwienia, potem przypadła do swojej pani. - Boże na niebie, co się stało? - objęła ją. - Polecę po pomoc. Po cyrulika... Może trzeba wam krwi upuścić? - Pobiegła w stronę wyjścia.

- Zostań! - Izabela wyciągnęła za nią rękę. - Nie waż się nikogo wołać! Wracaj zaraz.

Henrietta zatrzymała się przy drzwiach, z dłonią na klamce. Patrzyła pytająco na swą panią.

- To tylko taki nagły nastrój, nasze kobiece wapory. Nie ma powodu, żeby zawracać tym głowę komuś jeszcze.

- Lecz skąd to przyszło, moja pani? Ktoś wam powiedział coś przykrego? Wystarczy zawiadomić markiza... To znaczy króla, a on już odpłaci jak należy.

- Nie, moja droga. To nie ludzkie języki. Do oszczerstw i zawiści przywykłam. Co innego mnie martwi. Mam złe przeczucia...

- Lecz skąd? Dlaczego?

- A bo to człowiek wie, skąd i dlaczego nachodzą go złe myśli i przeczucia? W dodatku na pytanie każdy ksiądz odpowie ci inaczej. Jeden, że to Bóg przestrzega człowieka przed złem, drugi, że diabeł macza w tym swoje palce, a trzeci, że to nie ma żadnego znaczenia, a będzie, co Opatrzność ześle. Zapytaj jeno którego, czy potrafi dać dokładną i rzetelną odpowiedź, zaraz zaczną się wykręcać, gadać o wierze, o zaufaniu, Bożej łasce... - westchnęła ciężko, usiadła na wilgotnej od pary ławie.

- Widzisz, Henrietto, nagle, w pewnej chwili, poczułam się tak, jakbym straciła kogoś bliskiego.

- Ech, pani - zawołała służąca z ulgą. - Pewnie nachodzi na was comiesięczne cierpienie. Wtedy, zdarza się, bije na lica war, a w sercu rośnie niepokój. To nic, to tylko drobne niedyspozycje! Wiem to dobrze, bo sama wtedy nie nadaję się do życia.

Izabela uśmiechnęła się z przymusem.

- Zapewne masz rację, moja droga. Że też o tym od razu nie pomyślałam. A zamiast tego przypominają mi się głupie przepowiednie - otrząsnęła się. - Idź już. Pora najwyższa podawać posiłek. Zarządź, co trzeba, w kuchni!

Odetchnęła. Szczęście jednak, że Konrad nie ma dorosłego syna. Wtedy jej niepokój byłby jeszcze większy. Ileż to już razy śniła twarz starej Saracenki, jej martwy uśmiech i poźółkłe, starte przez wiek pieńki zębów... Za każdym razem budzi się z krzykiem, a następnego dnia nie może pozbierać, spędza całe dni na jałowych czynnościach, irytując ukochanego męża. Zajmij się domem, Izabelo, powiedziała sama do siebie. Przecież nie masz czym się trapić!

Idąc z powrotem do domu, Konrad rozmyślał o niezbędnych działaniach na najbliższą przyszłość. Miał nadzieję, że wizyta u biskupa rozjaśni nieco jego umysł. W końcu tłumaczenie się brakiem obiadu tylko dziecko mogło uznać za prawdziwy powód odwiedzin. Jednakże Filip okazał się albo mało domyślny, albo zwyczajnie chciał uniknąć udzielania rad, a co za tym idzie - odpowiedzialności za decyzje. Czyżby to jednak była prawda, iż władcy nie mają przyjaciół?

Do tej pory był przekonany, że przynajmniej biskup Beauvais żywi do niego szczerą i bezinteresowną przywiązaną. Lecz dziś odniósł wrażenie, że i on tylko patrzy, jakie by można korzyści wyciągnąć z faktu pozostawania w bliskich stosunkach z władcą Królestwa Jerozolimskiego. Roześmiał się w duchu. Co za zuchwałość zwać ten skrawek ziemi mianem królestwa. Właściwszym określeniem byłoby Państwo Akkonskie! I być może tak je przezwał potomni. Jerozolima w rękach pogan i nie zanoszą się, by miało być w najbliższym czasie inaczej, nawet koronacja ma się odbyć nie w jego ukochanym Tyrze, ale w Akce, jak sobie tego życzy król Anglików. A dopóki Ryszard przebywa w Ziemi Świętej, trzeba go głaskać, obłaskawiać, ulegać... Może nawet konieczne będzie przygiąć karku i udać się do Askalonu, do obozu krzyżowców.

Upragniona korona ma nieoczekiwanie gorzki smak! Przedtem, kiedy trzeba było działać zdecydowanie czy nawet brutalnie, najczęściej nie zastanawiał się ani chwili, tylko

czynił, co uznał za najlepsze dla siebie, choćby miało oznaczać zbrodnię. A dzisiaj czuje, jakby Bóg odebrał mu wolę. Czy stąd wynikają słynne wahania i sprzeczne decyzje Ryszarda? Czy i on odczuwa w ten sposób ciężar władzy? Jeśli będzie okazja, trzeba go o to zapytać.

Nie, głupcze, skarcił się natychmiast za tę myśl. Nie daj Boże, by to przeniknęło na zewnątrz. Król nie może myśleć w ten sposób, nie może okazywać swojej bezradności! Król musi być silny, tak muszą o nim sądzić poddani, inaczej można bardzo szybko pozbyć się korony, nawet wraz z głową.

Mijani ludzie patrzyli na niego i przez niego. Kiedy podążał, jak oni, pieszo ulicami miasta, czymże się różnił od zwykłych jego mieszkańców? Majestat nie jest człowiekowi przypisany. Gdy króla przybrać w łachmany, będzie wyglądał jak każdy żebrak i jak każdego innego żebraka będą go traktowali przechodnie.

Wzrok Konrada zatrzymał się na przygarbionej postaci proszalnego dziada klęczącego pod murem. Gdyby go obmyć, wręczyć berło i ozdobić skronie diademem, klękano by przed nim tak samo, jak przed szlachetnie urodzonym monarchą.

Rzucił do drewnianego pojemnika kilka miedziaków.

- Niech was Bóg błogosławi, panie, za ten dar - wymamrotał żebrak.

Dawniej dostałbyś sztukę złota, gdybym miał taki kaprys, myślał Konrad. Jednakże to dla ciebie byłby zbyt wielki majątek, co mogłoby cię łatwo doprowadzić do zguby. Zapilbyś się na śmierć albo, co gorsza, ktoś by cię zabił, aby posiąść twoje pieniądze. Dary, szczególnie bogate dary, trzeba wręczać z taką samą rozwagą, jak sprawować sądy. Stać by mnie było odmienić twój los, lecz czy mam prawo wtrącać się do boskich wyroków? Pokręcił głową.

Snując takie rozważania i poddając się im, zapewne nie zostanie dobrym władcą. Trzeba się nauczyć pozbywać myśli, które zaczęły mu przychodzić do głowy, kiedy Henryk z Szampanii przywiózł radosną nowinę.

- Panie - rozmyślenia przerwał mu z boku czyjś głos. - Zaczekajcie, panie.

Obejrzał się. Znajoma postać, po chwili zza rogu pojawiła się druga, też znana.

- Dobrze, że cię widzimy, panie.

- Muhammad, Abdul, to wy?

Sam się sobie dziwił, że tak go uradował widok tych dwóch nowo ochrzczonych ludzi. Przerwali mu gorzkie refleksje, oto pewnie powód.

- To znaczy, Szymonie i Janie. - Natychmiast przypomniał sobie imiona, jakie niedawno otrzymali na chrzcie. - Co tutaj robicie? Mieliście się przygotowywać do drogi.

Czeka na was ziemia, którą otrzymaliście ode mnie w darze.

Szymon, dawniej zwany Muhammadem, uczynił szeroki gest ręką. - Nie inaczej, nasz dobrodzieju. Jednakże Abdul... To znaczy Jan, przypomniał sobie o czymś. Zrugalem go już należycie za niedopatrzenie, ale trzeba mu wybaczyć takie sprawki. Wszak niedawno jeszcze był niespełna rozumu.

- No, co tam? - Konrad łaskawie skinął dłonią. - Mówcie.

- Przejdźmy do cienia. - Muhammad-Szymon wskazał wykusz pod murem najbliższego domu. - Upał staje się nieznośny.

- Myślałem - zaśmiał się Montferrat, idąc za nimi - że kto jak kto, ale wy, Saraceni, przywykliście do takich warunków.

- Należy unikać przebywania na słońcu - odparł poważnie Szymon - jeżeli to tylko możliwe. To jedna z zasad przetrwania, jakie się u nas wpaja każdemu dziecku.

- Dobrze już, nie musisz mi tego objaśniać. Też żyję na tej ziemi. Powiedz lepiej, co za nowiny dla mnie macie.

Abdul-Jan bez słowa podał mu pergamin.

- Co to jest? - Konrad zmarszczył brwi.

- Pismo owego pielgrzyma, który nawrócił nas na prawdziwą wiarę - padła odpowiedź. - My nie wiemy, co w nim stoi, bo obca nam sztuka czytania, jednakże wy, chrzestny ojciec, na pewno ją posiadliście...

- Posiadłem, oczywiście. Mija czas królów niepiśmiennych, jak choćby wielki Karol. W dzisiejszych czasach władca nie może zdać się na innych w podobnych sprawach, niewiedza zaczyna być grzechem, a nie cnotą, jak do tej pory - nagle zdał sobie sprawę, że przemawia do ludzi, których to najprawdopodobniej niewiele obchodzi. Rozpostarł zwój.

- Co to jest? - spytał bardziej zdziwiony niż rozgniewany. - Kpicie sobie ze mnie? Co to ma znaczyć? Tu nie ma nawet jednej litery! Czysta karta!

W tej chwili poczuł obok siebie ruch. Zanim zdążył zrozumieć, co się stało, chłodne ostrze przeszło mu pierś. Ujrzał gorejące oczy Muhammada naprzeciwko swoich. Dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie widział podobne spojrzenie. Tamten wysłannik Sinana z diademem tak patrzył...

- Morderco - wykrztusił. - Szymonie... Muhammadzie...

- Imię moje brzmi Mehmet! - dobitnie wypowiedanym słowom towarzyszyło ponowne pchnięcie. - A to zapłata za zło, które wyrządziłeś i mogłeś jeszcze wyrządzić!

Przecież miał mnie zabić syn, przeleciało Konradowi przez głowę, a nie jakiś Saracen... W tej chwili przyszło zrozumienie. Zabił go syn... Stara wiedźma miała rację.

- Gwałt! - zawołał ostatkiem sił. - Ratujcie...

Za trzecim razem sztylet zagłębił się w samym sercu. Konrad nie słyszał już tumultu, jaki powstał wokół nich.

XXVII

Edward, pólsiedząc na łożu, ponuro wpatrywał się w swędzącą nieznośnie nogę. W zasięgu ręki na stoliku leżały owoce, ciasta, stał nawet dzban z winem. Tuż obok miejscowy kadi mówił coś szybko do al-Adila w narzeczu, którego Swansen nie znał, wymachując przy tym rękami. Musiało też chodzić o trunek, gdyż co chwila pokazywał na dzban.

- To moja rzecz - powiedział stanowczo Malik. - On nie jest niewolnikiem, ale mile widzianym gościem! Nie pozwolę, by pętały nas bezsensowne prawa. Jemu religia nie zabrania spożywania sfermentowanych winogron, a mój lekarz nawet orzekł, że czerwone wino może mieć ożywczy wpływ na jego ciało. Zapewniam cię, duchowny ojczy, że jeśli medyk uzna, iż przydatna w kuracji jest wieprzowina, nie zawaham się ani chwili, żeby sprowadzić do naszej kuchni owo nieczyste zwierzę. Poza tym, gdyby Allah miał karać za spożywanie sfermentowanych owoców, ilu spośród jego wyznawców łamiących zakaz musiałby potępić! Niebo byłoby puste jak przedsionek świątyni w noc ramadanu.

Kadi poczerwieniał z gniewu i zaczął mówić szybciej, jeszcze gwałtowniej wymachując rękami.

- Przestań już szwargotać jak stary Zendza i mów po ludzku - zniecierpliwiał się książę.
- Sam rozumiem z tego piąte przez dziesiąte, a ibn Suan też ma prawo wiedzieć, o co go oskarżasz.

- Dobrze, wasza wysokość - duchowny uniósł dumnie głowę. - Żądam natychmiastowego usunięcia tego gjaura z terenu mojej jurysdykcji. Nie pozwolę, by jakiś niewierny kalał naszą świętą ziemię swoimi brudnymi stopami, by spożywał w mojej obecności zakazane napoje, a już na pewno nieczyste potrawy! Tym razem to Malik poczerwieniał z gniewu.

- Jakim prawem - wycodził - włączasz ten pałac do swoich kompetencji? To siedziba książąt i ja tu rządę, nie ty!

- Sułtan aktem swej łaskawości nadał mi władzę duchową nad całą tą ziemią. A pałac został włączony do zabudowań świątynnych. To ty, książę, jesteś tu gościem, a nie ja - wydobyl z rękawa postrzępiony na brzegach zwitek.

- Oto moje prawo! Słowo jego wysokości Salah ad-Dina! Nie powiedziałem nic, gdy

sprowadziłeś szaloną, skażoną grzechem dziewczynę. Nie protestowałem, kiedy rozłokowałeś wojsko. Lecz ten gjaur przelał czarę mej cierpliwości. Żądam, byś go natychmiast usunął!

- Ten gjaur - odparł spokojnie Malik - oddał wielkie przysługi mnie i sułtanowi. Gdyby nie jego ofiarność, być może nie miałbyś już możliwości podnoszenia głosu na mnie czy kogo innego.

- To już sprawa tylko między wami, książę. Ja żądam, aby go usunąć!

Malik zmrużył oczy. - Skoro mój brat nadał ci prawo do użytkowania tego pałacu, chcę to zobaczyć na własne oczy. Pokaż papier.

Kadi z triumfującą miną podał al-Adilowi pismo. Ten nawet go nie rozwinął. Mocne, zwinne palce wykonały kilka szybkich ruchów i na mozaikę posadzki spłynęły białe strzępy. Kadi oniemiał.

- Widzisz, święty mężu - powiedział bardzo spokojnie Malik. - Twoje prawa do tego miejsca właśnie uległy zawieszeniu, a może nawet unieważnieniu, nie uczyniłbym tego, gdybyś mnie nie zmusił. Ten człowiek musi mieć najlepszą opiekę, a nie znam lepszych lekarzy niż tu, w Baalbeku. Ostatnią rzeczą, jaką zamierzam uczynić, to narażanie zdrowia i życia ibn Suana! Dopiero niedawno odzyskał zmysły po gorętwie, która się wdała od rany. Nie mam zamiaru znów go stracić!

- Natychmiast - kadi odzyskał głos - wyślę człowieka, aby zawiadomił sułtana o twoim zuchwalstwie!

Żwawo ruszył ku wyjściu.

- Zaczekaj - zatrzymał go głos księcia.

Kadi przystanął, patrząc z nadzieją. Czyżby groźba interwencji Saladyna poskutkowała?

- Zapomniałeś o czymś, święty mężu.

- O czym?

- Po pierwsze zapomniałeś dodać na końcu swojej groźby słów „wasza wysokość”, co stanowi dla mnie obelgę, gdyż przywykłem, by tak się do mnie zwracano; po drugie - pokłonić się przed wyjściem. Nawet stan najwyższego wzburzenia nie usprawiedliwia takich uchybień!

Kadi tylko łypnął wściekle i wybiegł.

- Szkoda, że ten tutaj nie podlega mojej władzy - westchnął Malik. - Z przyjemnością zrobiłbym z nim porządek.

- Narażasz się dla mnie, książę - mruknął Edward. - Salah ad-Din może się na ciebie rozgniewać.

- Do sułtana zaraz wyślę odpowiednie pismo w tej sprawie. Nie obawiaj się! Gdyby miał zwracać uwagę na takie drobiazgi, musiałby mnie już dawno kazać zabić, a przynajmniej wygnać. Jeszcze jeden obrażony kadi, nawet zarządzający wielką świątynią, to doprawdy nic wielkiego. Szczególnie po tym, co ostatnio przeżyliśmy - nagle głos mu stwardniał: - Nikt, nawet sam Prorok, nie zabroni mi dochować wiary przyjacielowi!

- W ustach muzułmanina to brzmi jak bluźnierstwo - szepnęła Swansen.

- Widzisz, ibn Suan, ktoś musi zachować zdrowy rozsądek i dbać o odpowiednie proporcje. Widziałeś tego szaleńca. Takich zjadłych wyznawców wiary jest u nas wielu. Zbyt wielu. Nie tylko wy macie swoich fanatyków, którzy w imię Boga dokonają każdej zbrodni i splamią się każdą podłością. Strach pomyśleć, co by było, gdyby uzyskali większy wpływ na rządy. Wyobrażasz sobie takiego kadiego, który ma możliwość decydować o życiu i śmierci albo co gorsza, o wojnie lub pokoju? Oni bez wahania posłaliby każdego wojownika na pewną śmierć, tak jak to czynią izmailici Starca z Gór, byle tylko kogoś zgładzić, trzeba czy nie trzeba, zawinił czy był bez winy. Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, że religijni szaleńcy nie zyskają władzy. To by sprawiło, iż wszystko czego dokonaliśmy, my i nasi przodkowie, poszłoby na marne. - Z roztargnieniem spojrzął na owoce, wziął figę i zaczął ją podrzucać. - Chcą nami rządzić - powiedział cicho. - Chcą, żeby władza sułtana była podporządkowana ich dążeniom. A najgorsze jest to, że kiedyś może im się udać. Mogą zająć takie okoliczności, kiedy nasi duchowni przywódcy przejmą rządy, a wtedy wszystkie te kraje spłyną krwią.

- Naprawdę tak by się to skończyło?

- A czy ty byś chciał, aby w twoim rodzinnym kraju sprawowali niepodzielną władzę wasi biskupi? No właśnie, ibn Suanie. Zamętu jest dosyć, kiedy tylko mieszają się do spraw państwowych. Zdać na nich rządy, to jak powierzyć ster galery dziecięcym dłoniom, jakby zamieszkać w jaskini pełnej jadowitych węży. - Odłożył owoc. - Dość o tym. Zapewne chciałbyś zobaczyć się z Fatmą.

Na twarzy Edwarda odmalował się ból. - Ostatnio, kiedy mnie zobaczyła, płakała, nie wiem, czy przestraszyła ją moja postać, czy krew sącząca się spod bandaży. Dobrze, że straciłem wtedy przytomność, nie wiem, jak bym przeżył ten widok, nie chcę jej przysparzać dodatkowych cierpień. Dość ją spotkało nieszczęścia.

- Czasem trzeba wielkiego bólu, żeby odzyskać równowagę ducha - odparł z dziwnym uśmiechem księżę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie jest już szalona?

- Tego nie wiem do końca. Wydaje się, że odzyskała zmysły w kilka dni po tym, jak

dotarliśmy do Baalbeku. Widziałem, iż bardzo troskliwie się tobą zajmuje podczas choroby. Do nikogo nie wyrzekła wtedy ani słowa, a jednak odniosłem wrażenie, jakby wracało do niej życie.

- Po tym wszystkim... To wydaje się niemożliwe.

- Czy wciąż ją kochasz?

Swansen przymknął oczy. - Jak własną duszę - jego głos nabrał miękkości. - Może nawet bardziej niż własną duszę.

Malik położył mu rękę na ramieniu, lekko uściśnął. Edward otworzył oczy. Ujrzał w źrenicach księcia nieoczekiwanie ciepły blask. Dumny Saracen, patrzący na wszystkich z góry, dla wrogów mający w oczach tylko stal, potrafił patrzeć jak zwykły, życzliwy człowiek. Zawsze zdumiewało Swansena, ile w tym władczyim człowieku kryje się zwyczajnych, ludzkich tonów. Jakie jeszcze tajemnice kryje wewnątrz tego Ajjubidy?

- Teraz zaśnij, przyjacielu. - odezwał się książę łagodnym tonem. - Kiedy się zbudzisz, być może ona będzie przy tobie - podał mu puchar, w którym wino zaprawione jakąś substancją burzyło się lekko.

- Co to?

- Chyba nie sądzisz, że podaję ci truciznę? To lek. Sprowadzi uzdrawiający sen.

Edward upił łyk. Napój miał przyjemny, korzenny smak.

- A Fatma? - spytał czując ogarniającą go senność.

- Jeszcze zdążysz się nią nacieszyć. Ja teraz muszę wyjechać, ale niebawem powrócę. Mam nadzieję, że zastanę cię w lepszym zdrowiu.

XXVIII

Służący kończyli ładować dolny pokład galeonu. Na nabrzeżu ostatni podróżni żegnali się z bliskimi.

- Wernerze - powiedział Jan. - Mam nadzieję, że to, czego doświadczyłeś, wystarczy ci na całe życie. Nie będziesz się więcej porywać na podobne wyprawy.

- Nie wiem, doprawdy - uśmiechnął się smutno graf. - Teraz, kiedy mam wyjechać, czuję, jakby moje serce miało się rozedrzeć na dwoje. Z jednej strony pragnę zobaczyć mą ukochaną Helenę, poślubić ją i zabrać do domu, lecz z drugiej... Tyle przeżyć, tyle chwil strachu i chwały. W końcu mój stryj położył tu kości.

- Zaczny był z niego człowiek, choć ciężki w pożyciu. Vincent energicznie szturchnął Jana w bok. - Zaczny był i na tym poprzestańmy. - Ujął Wenera za ramiona. - Przez cały czas na ciebie patrzyłem, chłopcze - rzekł - i podziwiałem cię. Tak, tak, nie protestuj i nie płoń się

jak zawstydzona dziewica. Podziwiałem cię, powtarzam. Zawsze byłem raczej słabego zdania o waszym narodzie, ale odkąd spotkałem ciebie... Nie wiem, może jesteś wyjątkiem. Ja, będąc w twoich latach, myślałem jeno o tym, gdzie by się zabawić, wywołać burdę i nie w ostatku utoczyć komu trochę krwi. Zaś ty... Jakby to rzec...? Były chwile, kiedy zachowywałeś się bardziej po rycersku niż większość znanych mi wojowników, bez urazy, de Morges. Jan tylko machnął ręką.

- Prawie gadasz - mruknął. - Nie ma co. Przyznać muszę, sam się zawstydziłem, kiedy młody graf poszedł zobaczyć śmierć ghula. Mnie włos się jeżył na samą myśl o tym, co tam się dokona, a on poszedł jak w dym. Dobrze już, Wernerze, więcej nic nie powiem. Wiemy wszyscy, jaki z ciebie skromny młodzieniec - rozejrzał się na wszystkie strony. - Ciekawość, gdzie też podziwiał się Piotr. Miał przecież przyjść pożegnać grafa - spojrzął w stronę miasta. - Pewnie znowu gdzieś zapił albo zabawił z dziewczkami.

- A właśnie że nie, de Morges! - rozległ się nagle tuż przy nim znajomy, wesoły głos. - Jednakże zatrzymała mnie ważna sprawa.

- Skradasz się zupełnie jak Swansen - roześmiał się Jan. - Uważaj, żebyś podobnie nie skończył.

- Co komu pisane - zawtórował mu śmiechem Telford. Spoważniał, patrząc na Wenera. - Mam coś dla ciebie, von Watzenrode - wyciągnął przed siebie podłużny przedmiot owinięty w czarny, bogato haftowany jedwab.

- Co to? - Werner wziął podarunek.

Niecierpliwie zaczął odwijać materię. Po chwili oczom rycerzy ukazała się zdobiona kamieniami i złotem pochwa, załśniła pyszna głowica, zwieńczona wielkim rubinem.

- To królewski dar - szepnął Vincent.

- Królewski, to prawda, bo od króla pochodzi. Ryszard prosi, byś przyjął ten miecz na pamiątkę. Z oczywistych względów nie mógł sam przybyć, jednakże moimi ustami przekazuje ci, że jest zaszczycony, mogąc się pochwalić znajomością z najdzielniejszymi poddanymi cesarza Austrii. Ja mogę się tylko przyłączyć do jego zdania.

Wernerowi ze wzruszenia drżały dłonie, nieporadnie zaczął owijać z powrotem miecz, nieskładnie mamrocząc podziękowanie.

- Uważaj, chłopcze. - Telford znowu rozjaśnił twarz uśmiechem. - Ten jedwab jest bodaj nie mniej cenny od samego miecza. Wyszyty został złotą i srebrną nicią daleko na Wschodzie. Jest o wiele więcej wart niżli tutejsze tkaniny. Podobno w tamtych stronach hodują dużo szlachetniejsze odmiany jedwabników niż te, z których słyną Bejrut czy Tyr. Będziesz miał godny podarunek dla swojej panny di Marco. Oczywiście, jeżeli jeszcze na

ciebie czeka!

Nachmurzony Von Watzenrode zmarszczył czoło. - Czy chcesz rzec, Piotrze, że wątpisz w cnotę i wierność mojej ukochanej? Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Będę musiał...

Telford z rozmachem klepnął go w plecy, przerywając dalszy ciąg groźby: - A czy ty jeszcze nie nauczyłeś się, jak należy na ogół traktować moje gadanie? Na mnie nie ma sensu ani się gniewać, ani wyzywać na pojedynki z byle powodu, za każde słowo. Ja, mój Wernerze, z zasady wątpię w wierność kobiet, szczególnie jeśli zostawia się je same na dłuższy czas, a przemawia teraz moimi ustami nie zgorzknienie, ale doświadczenie. Jednakże, przyznaję, bywa, iż niewiasty potrafią mnie zaskoczyć swoim postępowaniem w tych sprawach. - Spojrzał uważnie na Vincenta. - Zgadzasz się ze mną?

- Nie wiem - wzruszył ramionami de Rionne. - Nie mam tak wielkiej praktyki w tym względzie, żebym mógł powiedzieć coś mądrego.

- Tak... - Piotr uśmiechnął się. - Porozmawiamy o tym jeszcze dzisiaj wieczora... albo raczej jutrzejszego ranka. Wtedy powinieneś już wiedzieć więcej na ten temat.

- Co masz na myśli?

- A, to będzie niespodzianka, drogi przyjacielu. Dowiesz się, kiedy przyjdzie czas.

De Morges zastrzygł uszami. - Niespodzianka? Co ty knujesz, Piotrze?

- Zaraz muszę coś knuć?

- Musisz, znam cię. Uchyl chociaż rąbka tajemnicy.

- Sam zobaczysz. Kiedy tylko odpłynie okręt Wenera. Młody graf zmrużył lekko oczy. - Chyba zostanę, nie chcę, żeby mnie coś ominęło.

- O nie! Obiecaliśmy twojemu wujowi, że wyprawimy cię do domu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Ale pozwól na bok, szepnę ci na ucho to i owo.

Odeszli kilka kroków, na próżno Jan de Morges próbował podsłuchać jakieś słowo. W porcie panował zbyt wielki zgiełk, a Piotr mówił bardzo cicho. Oczy Wenera, w miarę jak słuchał, rozszerzały się ze zdumienia, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. - Tak - powiedział, podchodząc do Vincenta. - Pozwól, że uściskę ci rękę i złożę gratulacje.

- Czego? - zdziwił się de Rionne.

- Czego mu gratulujesz? - spytał równocześnie Jan.

- O tym sam się przekona w odpowiedniej porze.

- Gadasz zupełnie jak Telford - zniecierpliwził się de Morges. - Kiedy nadejdzie pora! Jaka pora? Ja, ze swej strony, kiedy tylko ta krypa zniknie za horyzontem, zamierzam uczciwie spić się na intencję twego pomyślnego powrotu do ojczyzny. O ile wiem, Vincent

zamierzał zrobić to samo.

- Nie inaczej - przytaknął de Rionne. - Dziś tawerny i gospody zahuczą od naszych głosów, a karczmarze obłowią się za wsze czasy.

- Nie bądź tego taki pewien - roześmiał się Werner. - Nie nalegajcie, nie mogę powiedzieć nic więcej. Zresztą na mnie już pora. Widzicie? Kapitan wzywa wszystkich na pokład. Bywajcie.

Po kolei brali go w ramiona.

- I ty nam bywaj! Nigdy o tobie nie zapomnimy.

- Zajrzyjcie do mnie, jeśli Bóg was kiedy zawiedzie na ziemie cesarza Austrii. Mój dom zawsze będzie waszym domem. A ty, Vincencie, jeśli kiedy jeszcze spotkasz Swansena, rzeknij mu, że podziwiałem go i podziwiać będę. Rzadko kto potrafi pogodzić obowiązek wobec przeciwnika i powinność względem swoich z takim honorem, jak on to uczynił.

Po chwili sprawnie przeskoczył z trapu na pokład. Uniósł nad głowę dar Ryszarda.

- Panie Telford. Pozdrów ode mnie swojego króla! Podziękuj mu za wszystko. Jednak drzemią w nim ludzkie uczucia, choć czasem trudno w to uwierzyć!

- W ustach tego młodzika - mruknął de Morges - to brzmi prawie jak komplement.

- Niech cię Bóg prowadzi - zawołał Vincent. - Ucałuj od nas swoją Helenę!

- Nie omieszkam, de Rionne. Po sto razy od każdego - roześmiał się radośnie. - Czasu będziemy mieli dość!

- Może wstąpimy jednak czegoś się napić? I zjeść, bo diablo zgłodniałem - Jan tęsknym wzrokiem patrzył na mijaną gospodę. - Tutaj przyrządzają doskonałą baraninę w ziołach, mają też wyśmienite wina.

- Idziemy! - twardo obstawał przy swoim Piotr. - Gdybyśmy cię posłuchali, nie dotarlibyśmy na miejsce przed południem. Jutrzejszym, rzecz jasna.

- De Rionne - jęknął Jan. - Wesprzyj mnie choć ty.

- Słuchaj, Telford - Vincent zatrzymał się. - Wszelakich tajemnic mam dosyć na dłuższy czas. Powiem więcej, wystarczy mi ich w zupełności do końca życia!

- Mnie też - przyświadczył skwapliwie Jan.

- Powiedz, o co chodzi, albo idź swoją drogą, a nam pozwól utopić smutki w trunku, nieważne czy będzie to wykwiniony burgund czy zwykły włoski sikacz. Jutro chcę wstać z potwornym bólem głowy i otepiałą pamięcią.

Piotr gwałtownie zamachał rękami. - Toż zostało jeszcze tylko kilka kroków do moich kwater! Nie możecie wytrzymać bez wina nawet pół pacierza?

- Nie możemy - odparł zdecydowanie Jan. - Ja w każdym razie na pewno!

- A ja z kolei nie mogę przyprowadzić was późną nocą, ślaniających się na nogach i cuchnących wińskiem!

- Co ty chcesz nam pokazać?

- Raczej kogo, powinieneś zapytać, Vincencie. Chodźcie wreszcie. Widać już bramę mojego domu.

Posłusznie powlekli się za nim. Vincent z burzą myśli w głowie, a Jan mamrocząc pod nosem przekleństwa.

W sieni panował miły chłód. De Rionne wciągnął powietrze, z przyjemnością łowiąc w nozdrza charakterystyczne zapachy domostwa. Prawie tak samo pachniało w gospodarczych pomieszczeniach jego rodzinnego zamku, gdy zbliżała się pora obiadu.

- Służba zaprowadzi was do sali jadalnej - powiedział Piotr. - Ja zaraz tam przyjdę.

Zniknął za załomem korytarza. Vincent z Janem podążali za służącym. De Rionne przypomniał sobie drogę w ciasnych korytarzach jaskini. Tam też na końcu czekała niespodzianka. Miał nadzieję, że ta tutaj nie będzie tak brzemienna w skutki.

W jadalni de Morges natychmiast sięgnął po stojący na stole bogato zdobiony dzban. - Pusty - zajrzał do środka z wyrazem niesmaku na twarzy. - Powiedz mi, po co trzymać w jadalni puste naczynia? Po co je w ogóle trzymać?

Dziwni są ci Anglicy - zerknął na służącego, stojącego pod ścianą w oczekiwaniu na polecenia. Rzucił mu dzban z taką siłą, że pacholek zatoczył się do tyłu. - Na co czekasz, bęcwale? Bierz to i biegnij do piwnicy po wino!

- Ależ to ozdoba, panie - zaprotestował pacholek. - Z tego się nie pije. Powiadają, że ta amfora należała niegdyś do króla, którego imię jest już dzisiaj zapomniane...

- Milcz, bo stracę cierpliwość! - Jan groźnie zmarszczył brwi. - Mówię ci jeszcze raz, de Rionne, dziwaki z tych Anglików. Telford też ma swoje za uszami. Że też mu się chce zbierać takie starocie. Ozdoba, też coś! Jeśli nawet, napełnij ją czym prędzej winem, pachółku. Tylko dobrego przynieś, a nie jakiegoś sikacza jak ostatnio!

Gdy tylko chłopak zniknął, otworzyły się boczne drzwi.

- Robisz więcej hałasu niż hufiec pancernych jeźdźców w pełnym galopie, Janie - Piotr wszedł pierwszy, za nim wsunęła się niewieścia postać. - Zachowuj się przy damie!

Jan zerwał się na równe nogi. Tracił Vincenta. - Widzisz to co ja? Bo ja nie bardzo wierzę w to, co widzę. Omam, czy jak? Przecież nie wychyliłem jeszcze dzisiaj ani kwarty!

De Rionne przelknął głośno ślinę. Wpatrywał się w przybyłą prawie nie oddychając, jakby się bał, że najłżejsze tchnienie spłoszy ją jak senną wizję. Jeżeli de Morges nie wierzył własnym oczom, to co on miał powiedzieć?

- Witajcie, szlachetni panowie - odezwała się kobieta wysokim, melodyjnym głosem. - Nie poznajecie starych przyjaciół?

Vincent potrząsnął głową. - Judyto! - zawołał otwierając ramiona. - Wróciłaś!

Omiał nie dodał „do mnie”. Powstrzymał się jednak. Może kuzynka Telforda przybyła załatwić jakieś swoje sprawy? Może złożyła nowe ślubowanie i właśnie je wypełnia? To, że tu stoi, wcale nie musi oznaczać powrotu do niego. Tym bardziej, że teraz - zamiast paść w jego objęcia - usiadła, odgradzając się od niego blatem stołu. Powoli opuścił ręce. Spojrzał na Piotra. Ten, stanąwszy za plecami Judyty, uśmiechnął się i lekko przymrużył oko. - Panie de Morges - rzekł. - Chodźmy do zbrojowni. Zobaczysz piękny pancerz, który dostałem w darze od mojej kuzynki. Jan, nie reagując, bez słowa gapił się na Judytę.

- No, chodź już! - Piotr podszedł do niego.

- A daj mi spokój - szarpnął się de Morges. - Co to, kolczugi w życiu nie widziałem? - Znowu wlepił wzrok w panią Monaghan.

- Takiej nie widziałeś - powiedział z naciskiem Piotr. - Zapewniam cię. To naprawdę przednia kolczuga! Muzułmanie powiadają o takich dziełach, że musiał je wykonać sam biblijny Dawid, król Judy i Izraela. W Koranie ponoć jest opowieść o tym, jak Allah osobiście wyuczył go tej sztuki - ukradkiem szturchnął Jana. - Chcesz ją usłyszeć? To pójdźmy, nie będę przecież zanudzał podobnymi sprawami Judyty, prawda? Ani Vincenta, który na pewno słyszał ją tysiąc razy.

- Tak, tak - drgnął de Morges. - Kolczuga, powiadasz? Chodźmy zatem.

Vincent usiadł. Z przyjemnością wpatrywał się w regularne rysy Judyty, obserwował pukle ciemnych włosów spływających na smukłą szyję. - Co cię sprowadza z powrotem do Ziemi Świętej? Czyżby jakieś zadawnione sprawy?

Patrzyła na niego długo, bez słowa. Z obojętną miną i ogromnym niepokojem w sercu czekał, co powie.

- Tak, zadawnione sprawy - odezwała się w końcu. - Dokładniej jedna zadawniona sprawa. Wygrałeś, de Rionne. Przysięgałam sobie, że nie chcę cię więcej znać, ale w końcu wygrałeś! Chciałam cię początkowo przetrzymać w niepewności, ale nie potrafię, powiem więc od razu całą prawdę. Nie mam tutaj żadnych innych spraw poza tobą.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że nagle jego postać wyrosła tuż przy niej. Po chwili wahania zatopiła się w pierwszym, wyśnionym przez oboje pocałunku.

XXIX

- To Sinan! - Balian z Ibelinu krążył po komnacie. Wyglądał jak lew zamknięty

w ciasnej klatce.

- Zapewne Sinan - przytaknął biskup Beauvais.

- Nie zapewne, a na pewno. Abdul, ten któremu usłużyłem do chrztu, na torturach wyznał, kto jest jego mocodawcą! Szkoda, że strażę zarabiała tego drugiego, Muhammada. Od niego też można by się czegoś dowiedzieć.

Zapłakana Izabela siedziała w kącie.

- Przepowiedziała wróżycha, że syn go zabije - wymamrotała. - Ostrzegałam, ale tylko się śmiał. Nie chciał wierzyć...

- Pani - biskup spojrział na nią z niepokojem. - Co ci się jawi w tej rozpaczce? Konrad nie miał syna! Jedynym jego dzieckiem jest Maria, wasza córka. A poza tym zamordował go przecież Saracen, przeklęty izmailicki sekciarz!

- A jednak zabił go syn, zgodnie z przepowiednią!

- Co ty mówisz, Izabelo?! - Balian był równie zaniepokojony jak biskup. - Trzeba posłać po medyka, niechby podał ci jakieś zioła na sen! Tracisz zmysły.

- Zaraz - powstrzymał go Beauvais. - Ona przecież ma rację. Wszak ów Muhammad niewiele przed zabójstwem stał się jego synem. Chrzestnym tylko, to prawda, ale synem!

- Rzeczywiście. - Balian zmarszczył brwi. - A czy to ma teraz jakieś znaczenie?

- Nie przypuszczam. Jednakże trzeba by się przyjrzeć bliżej tej wiedźmie, skoro udziela takich trafnych wróżb.

- O ile zdążyłem przez te lata poznać Konrada, on już się jej bliżej przyjrzał. Poza tym chcesz się teraz zajmować gusłami? Staruchę, jeżeli jeszcze żyje, wyda się katu.

- Racja. Nasz nieodżałowany przyjaciel pozostawił nas niczym sieroty we mgle.

Izabela znowu zaczęła szlochać. Przez twarz Baliana przeleciał niecierpliwy grymas. - Co znowu, królowo?

- Nie musicie się fatygować. Balian ma rację. Mój świętej pamięci małżonek kazał ją zgładzić. Myślał, że się nie dowiem, ale Karima nawiedziła mnie we śnie. Pokazała straszne rany. Miała takie czarne, przepaściste oczy...

- Sen mara - Balian nie krył zniecierpliwienia. - Gdybym miał się opierać na snach, miast zbierać fakty, daleko bym nie ujechał.

Izabela potrząsnęła głową. - Sprawdziłam. Karima rzeczywiście została zabita. Wiem, że kazał to zrobić Konrad.

- To świadczy tylko o słuszności jego wyboru na władcę Królestwa Jerozolimskiego. Zawsze działał szybko i zdecydowanie, nawet w sprawach małej wagi. Lecz teraz trzeba pomyśleć o jego następcy. A wszak tylko ten, kto pojmie za żonę królewską wdowę może

liczyć na poparcie...

- Jeszcze trup mojego męża dobrze nie ostygł - krzyknęła nabrzmiałym bólem i oburzeniem głosem - a wy już przemyśliwujecie, komu mnie sprzedać?!

- Pani - powiedział uspokajającym tonem biskup. - Jesteś królową, a to zobowiązuje, nie można zostawić państwa samemu sobie i oddać się rozpacz. Konrad przyznałby nam słuszność; sam w takiej sytuacji postąpiłby podobnie.

- To wstrętne! Nienawidzę was wszystkich! - wybiegła z pokoju.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Przejdzie jej - mruknął biskup. - Niewiasta musi należycie opłakać męża.

- Kogo byś zaproponował, Filipie? - Balian sięgnął po puchar z winem.

- Henryk z Szampanii wydaje się najodpowiedniejszy. Ma zawołanie wśród rycerstwa i mir u włoskich kupców. A także, co okazuje się naraz bardzo ważne, nie zadarł dotąd z asasynami. Nie spodziewałem się po tych piekielnikach aż takiego sprytu!

- Henryk, powiadasz... Tak, to może być dobry wybór. Zaś co do asasynów... Zastanawiałem się, jak wykorzystać śmierć Konrada. Niechby się jeszcze nam przysłużył, zanim spocznie w grobie.

- Co masz na myśli?

- Trzeba rozpuścić pogłoski, że do jego morderstwa przyłożył ręki Ryszard. Im angielski król będzie miał słabszą pozycję, tym lepiej dla nas.

Biskup skubnął wargę.

- Nie wiem tylko, czy ktoś w to uwierzy. Takie działanie, mimo wszystko, nie leży w naturze Anglika.

- Kropla draży skałę, a słowo umyśli. Dość powtórzyć kłamstwo sto razy, aby dla wielu stało się prawdą. Jeśli powtórzysz je tysiąc razy, uwierzą wszyscy. A czy ty sam jesteś całkiem i do końca przekonany, że Ryszard jest w tej sprawie zupełnie czysty i poza podejrzeniem? Przebywa już w Palestynie jakiś czas. Zaprzyjaźnił się nawet i wiele razy spotykał z al-Adilem. Konia z rzędem temu, kto dowiedzie niezbitcie jego niewinności!

Biskup przyglądał się uważnie Balianowi.

Ten człowiek jest jak skorpion. Trudno go dostrzec, ale kąsać potrafi dotkliwie i śmiertelnie. Nie nadaje się na króla, ale może mieć przemożny wpływ na jego wybór. Jeszcze wysoko zajdzie, oczywiście jeśli pożyje wystarczająco długo.

XXX

- Dokonało się, co się dokonać miało. Czego jeszcze chcesz, panie Lorenzo?

Kupiec, zamiast odpowiedzi, rzucił zapieczętowany pergamin.

- Co mi tu przynosisz? - Sinan gniewnie podrzucił głową.

- Czytaj, szejku. Dowiesz się, jak daremny był cały nasz trud.

- Nasz?! - Starzec z Gór spojrzał drwiąco. - Wyście się nadmiernie nie natrudzili. To ja zabiłem Konrada to moi ludzie ponieśli ofiarę. Że przy tej sposobności zemściłem się za rabunek, to rzecz druga i najmniej doprawdy istotna. Zapewne koniec końców wydobyłbym od Montferrata zadośćuczynienie za straty i krzywdy. Gdybym miał zabijać wszystkich, którzy się narażają na mój gniew, żywa noga by nie pozostała w całej Palestynie.

- Przeczytaj pismo, szejku. To raport postrzegacza, którego udało nam się umieścić na dworze Saladyna.

Sinan złamał pieczęć. Towarzyszyło mu dziwne przekonanie, że coś jest nie w porządku. Ci kupcy stają się bardziej niebezpieczni niż krzyżowcy i Ajjubidzi razem wzięci. Trzeba będzie koniecznie coś z tym zrobić. Szybko przeleciał wzrokiem rzędy liter.

- Nie rozumiem, don Lorenzo. Z raportu wynika jasno, że wszystko zostało wykonane jak należy. A że na Saladynie śmierć Konrada nie zrobiła wrażenia? Ten śmierdzący Kurd to wytrawny gracz, nigdy nie pokaże po sobie wzburzenia.

- Jednakże przepowiednia... Pamiętaj o proroctwie, Raszidzie. Ono w tym wszystkim może okazać się najważniejsze. Saladyn podążył inną, sobie tylko, i może al-Adilowi, znaną drogą. Tak jakby dla nich wieszczanie Joachima nie dotyczyło Montferrata, ale zupełnie kogoś innego.

- Wiesz doskonale, że było ono jasne! Nastanie na tej ziemi człek wyszły z lędźwi ludów Zachodu, który posiadzie córę królewskiego rodu panującego w tej ziemi i sam zostanie władcą w Świętej Ziemi. On zostanie królem świata, niepokonanym w boju, prawie nieśmiertelnym i tak dalej, i tak dalej. Czyż nie pojawił się Konrad, czyż nie pojął za żonę Izabeli, mającej jedyne słuszne prawa do korony? Czy nie uszedł wiele razy śmierci, a w walce zawsze okazywał się straszny? Kto bardziej niż on pasuje do prorocтва? Nie rozumiem, co prawda, dlaczego tak się uwzięliście na niego właśnie, ale dokąd płacicie, a wasze dążenia nie stoją w sprzeczności z moimi, nie jest to coś, co spędzałoby mi sen z powiek.

- Och, szejku - zawołał z uśmiechem kupiec - wytłumaczenie jest bardzo proste. Jeżeli nie wiesz, o co w sprawie chodzi, zastanów się, komu z niej zysk. Mamy nawet w Europie taką sentencję prawniczą. Brzmi ona: „Komu korzyść”. Widzisz, najbardziej podejrzany popełnienia zbrodni jest ten, komu przyniesie ona pożądane skutki. Taki jest człowiek. Jeśli tylko poczuje trochę złota od razu mówi sobie *video meliora proboque, deteriora sequor*.

- Co to znaczy? - zniecierpliwiał się Starzec z Gór. - To jakiś nieznan mi język. Możesz mówić zrozumiale?

- To łacina. Język naszych kapłanów i prawników. To dlatego, że używamy go w sprawach wagi państwowej, a nasze prawo wywodzi się z Rzymu, nazywają nas Łacinnikami. To, co powiedziałem, znaczy „widzę i pochwalam rzecz lepszą, dążę jednak do gorszej”. Tak zawsze postępuje człowiek, kiedy ma wybór między dobrem a korzyścią.

Sinan roześmiał się. - Też mi objawiłeś mądrość, panie Lorenzo! To wie każde dziecko.

- Co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Czy naprawdę nie dostrzegłeś, jaka dla nas wypływa korzyść ze śmierci Montferrata?

- Masz mnie za głupca? Oczywiście, że wiem! On zawsze popierał genueńczyków przeciwko wam, czyż nie? To mogłoby was pozbawić lwiej części dochodu, gdyby objął rządy.

Kupiec pokręcił głową. - To nie jest tak. Możemy się z Genuą czy Wenecją zwalczać, możemy prowadzić wojny, zabijać się i wyniszczać. Jednakże jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. To się nazywa rozwijanie interesów. Nasze faktorie zwalczają się, ale zawsze dochodzimy w końcu do porozumienia. Prowadzimy każdy własną politykę, mimo to istnieją między nami tajne układy. Nie może pozostać na świecie tylko jedna kupiecka gildia, tylko jedna potęga dyktująca wszystkim dookoła warunki. To prędko by doprowadziło do upadku takiej siły. Konrad miał plany, by wyżenać nas wszystkich z Palestyny, z Cypru i zamknąć nam szlaki na Wschód. Jako pan świata, jak chciała przepowiednia, byłby do tego zdolny. Nikt z nas nie zyskałby na tym, a wszyscy ponieśliby niepowetowane straty. Dlatego postanowiliśmy usunąć go z drogi.

- A ja myślę - zmrużył oczy Sinan - iż chodzi jeszcze o co innego. Z tego, co powiedziałeś, wyłonił się obraz wstrząsający nawet mną, choć zwyczajny jestem wszelkich podłości! Podejrzewam, że wy wszyscy, genueńczycy, weneccjanie, pizańczycy, prowadzicie od dawna wspólną grę. To właśnie wy chcecie zapanować nad światem, posługując się cudzymi rękami, takimi jak moje! Jesteście gotowi sprzedać nawet swoich ziomków, żeby osiągnąć cel. Konrad zapewne byłby zbyt trudny do okiełznania. Nie zdziwiłbym się, gdybyście teraz na tronie zechcieli osadzić kogoś bardziej sobie powolnego, jak choćby diuka Henryka szampańskiego! Czy wiesz, że gdybym szepnął słówko o waszej roli w sprawie, mielibyście nieliczne kłopoty? Nie obawiaj się! Zapłaciliście, więc zgodnie z umową biorę wszystko na siebie. Ale miałbym szczerą ochotę rzec komu trzeba to i owo. A teraz powiedz, kogo mam znowu zabić? Może samego Ryszarda albo nawet Saladyna?

Lorenzo spojrział zaskoczony.

- Zgadłem, prawda? - Sinan zbliżył ku rozmówcy twarz. - Mów, z czym przybywasz! Nic się przede mną nie ukryje, pamiętaj o tym! Kogo chcecie, żebym teraz zgładził? Kto zagraża waszym interesom?

Pizańczyk obliznął nerwowo wargi. - Owo proroctwo... Uważamy, że nie dotyczyło ono wcale Konrada, jak nam się zdawało. To znaczy Konrad nie jest jedyną osobą, do której pasują słowa Joachima. Masz wiele słuszności w swych podejrzeniach. Tym człowiekiem z proroctwa może być Ryszard!

Starzec drgnął. - Poczekaj, don Lorenzo. Wielki to rycerz, zgoda. W boju niepokonany. W tym pasuje jak ulał do słów wieszczka. Jednakże nie poślubił przecież księżniczki z tej ziemi!

- Daliśmy się zwięść znaczeniu słów, szejku. W proroctwie jest mowa, że ją posiadzie! To niekoniecznie oznacza ślub, zgadzasz się? No właśnie. A na dworze Saladyna działy się ostatnimi czasy dziwne rzeczy. Niedługo przed przybyciem Ryszarda do Palestyny wydarzyło się coś, co uszło naszej uwadze, nie wiemy wszystkiego dokładnie, jednak można przypuszczać, że zaszło coś między królem Anglików a siostrą sułtana. W dodatku, jak się okazuje. Arabowie dorobili się swojej wersji tego samego proroctwa. To dlatego Saladyna nie poruszyła wiadomości o Konradzie! Rozumiesz? Oni od początku uznali, iż wieszczanie dotyczyło Ryszarda!

- Przestań gadać już o proroctwach! - zniecierpliwiał się Sinan. - Sam przecież nie wierzysz w te bzdury!

- Nie doceniasz roli takich przepowiedni. Ciemne umysły łatwo im się poddają, co jest zawsze bardzo niebezpieczne.

- Mam zatem nakazać zamordować Anglika? Teraz on zagraża przepływowi złota w waszych kantorach?

Lorenzo skinął tylko głową. Sinan przymknął oczy.

- To by sporo kosztowało. Dużo więcej niż w przypadku Montferrata.

- Wiemy, szejku. Stać nas na wielkie poświęcenia. Starzec z Gór powstał. Lorenzo poszedł w jego ślady.

- Ile? - spytał.

- Zobaczymy. Takie przedsięwzięcie wymagałoby wielkich ofiar, nie wiem, czy stać na to nawet was, bogacze. Dość o tym! - uciął protest kupca. - Nie jesteśmy na targu! Teraz udaj się do swojej kwatery. I nie próbuj wychodzić z sypialni po nocy. Mogłoby cię spotkać jakieś nieszczęście. Rano przyślę kogoś po ciebie, dokończymy rozmowy.

Pizańczyk skłonił się lekko i wyszedł.

- Słyszałeś, Hamdan?

- Każde słowo. - Dowódca pojawił się jak spod ziemi. - Co zamierzasz zrobić?

- Najpierw pozbędziesz się tego kupczyka. Za dużo mówi, jak na zaufanego posłańca.

Zbyt wiele wiadomości można od niego wydobyć, jeżeli tylko pozwolić, by się zaczął puszyć niczym paw.

- Jak każesz, panie.

- Tak zresztą doradza ten, który go przysłał, sam rezydent kupieckiej rady Pizy. Gdyby nieszczęsny Lorenzo wiedział, jakie jest ostatnie zdanie w liście jego pryncypała, prędzej udałby się z nim do Saladyna lub Ryszarda niż do mnie.

- Musiał się czymś narazić. Bartolomeo to przebiegły i okrutny człowiek, lecz nie zabija bez potrzeby.

- Konrada zabił. Ale kto by za nimi trafił? Może się Lorenzo naraził, a może nie. Dokąd płacą, a ich zamierzenia nie pozostają w sprzeczności z naszymi interesami, nie zamierzam się nad tym głębiej zastanawiać. Rano zdasz mi sprawę z wykonania rozkazów.

Hamdan stał, patrząc z uwagą w oczy Sinana.

- O co chcesz zapytać?

- O to, czego się jeszcze nie dowiedziałem. Czy zamierzasz zgładzić Ryszarda?

- Tylko wtedy, jeżeli sięgnie po koronę Królestwa Jerozolimskiego. Bo to by oznaczało, że te wszystkie proroctwa są jednak coś warte, a dla nas stałby się naprawdę groźny. Jednakże zbyt wiele stron pragnie śmierci tego człowieka, nawet ten brudny Grek Izaak Komnenos słał do mnie z propozycją pozbycia się króla. Co tam Komnenos! Sam cesarz z Konstantynopola jest gotów słono zapłacić za jego głowę. I on widać czegoś się bardzo przestraszył. Proroctwa... Tylko prawdziwe wizje są cokolwiek warte, ale one mówią o tym, co było i co jest, a nie co będzie. A proroctwa to jeno mierzwa i plewy na wietrze dziejów.

- Naprawdę nie dajesz im wiary, szejku? Wszyscy dookoła są pod ich przemożnym wpływem.

- To bardzo dobrze, niech al-Adil albo i sam Saladyn uganiają się po pustyni, jak to czynili ostatnio, niech Anglik zastanawia się, czy i skąd padnie cios. Gdy nasi wrogowie walczą ze sobą, dla nas z tego tylko radość.

- Ale nie zaprzeczyłeś, że podejmiesz się próby zabicia Ryszarda.

- To tylko słowa. Powtarzam, jeśli będzie taka potrzeba, nie zawaham się tego uczynić, ale na własny rachunek, a nie na zlecenie jakichś kramarzy. Zaś teraz nie zamierzam

gasić wrzenia, które wywołują wokół Ryszarda baronowie do spółki z kupcami. Posadzają swojego króla o zabicie Konrada. Wielu na rękę takie oskarżenia, a ci, co dają temu wiarę, są ślepyimi głupcami, którzy nie widzą, że śmierć Montferrata bardzo nie w porę była dla Ryszarda. Powtarzał ostatnio często, że chce wracać do swojego kraju. Łatwiej byłoby mu zakończyć wyprawę, gdyby mógł tu zostawić nie lubianego co prawda, ale silnego i sprawnego władcę. A poza tym wokół Krzyżowca dzieje się coś, czego nie rozumiem... Jeszcze nie rozumiem. Czuję to zawsze, kiedy sięgam wizją ku jego osobie. Jakby otaczał go cień, coraz gęściejszy i bardziej ponury niż najczarniejsze sny. Podobny cień zalega wokół Saladyna. Zresztą sultana także oskarżają o przyłożenie ręki do śmierci jerozolimskiego władcy. Głupcy! Ani król Franków, ani sultan nie mieli ostatnio głowy do zajmowania się osobą Konrada. Zaszły jakieś wydarzenia, które umknęły nie tylko szpiegom kupców, ale nawet naszym. To niepokoi mnie najbardziej - przekrzywił głowę jak ptak bacznie obserwujący otoczenie. - A teraz zostaw mnie już samego. Muszę oddać się rozmyśleniom i modlitwie.

Hamdan odwrócił się. Jego szerokie plecy wypełniły prawie całą przestrzeń drzwi. Na twarzy Sinana zagościł zagadkowy uśmiech. Hamdan... Zapewne to jednak on będzie tym, który przyśle kiedyś, może całkiem niedługo, zaprzysiężonego zabójcę. Jednakże czy uda mu się przejąć władzę w al-Kahf? Jeśli dogada się z opiekunem asasynów, Saikiem, pewnie tak. Lecz to, na szczęście, nie będzie już zmartwienie Starca z Gór.

XXXI

Delikatny poblask oliwnej lampy rozpływał się w przyjaznym mroku.

Zupełnie jak wtedy, pomyślał Swansen, kiedy stara piastunka dodawała żółtego barwnika do kotła z tkaninami. Czarne i groźne dno wielkiego naczynia zaczynało wyglądać niby aksamitna morska toń u dalekich południowych brzegów. Gdy był dzieckiem, ów kocioł do farbowania wydawał się przedsionkiem piekła, taki był wielki i ciemny. Jednakże kiedy rozchodziły się w nim promienie światła, stawał się ciepły i przyjazny... Teraz mrok wokoło też był taki.

- Jestem szczęśliwy - powiedział głośno. - Jestem naprawdę szczęśliwy po raz pierwszy, odkąd przybyłem do Ziemi Świętej.

Ruch poza granicą światła. Po chwili pojawiła się jasna dłoń trzymająca bogato zdobiony puchar.

- Napij się, Zahr. To wino z korzeniami na gojenie. Czasem żałuję, że Prorok zabronił nam go spożywać. Podobno daje zapomnienie.

- Na bardzo krótko. To tylko złuda zapomnienia, nazwałaś mnie Zahr... Jak kiedyś, nigdy nie chciałaś powiedzieć, dlaczego nadałaś mi to imię.

- Zahr. - W jej głosie był uśmiech. - Przewalałam cię Kwiatem i miałam rację. Jesteś jak złudny obraz na pustyni albo jak kwiat właśnie, niby na wyciągnięcie ręki, lecz równocześnie daleki i nieosiągalny. Można go zerwać, jednakże szkoda niszczyć delikatnego życia. Pokochałam cię, giaurze, ale moja miłość musiała pozostać ukryta głęboko w sercu, nie mogłam cię wziąć w dłonie, przytulić do piersi, nie pozbawiając jednocześnie życia. Ani Jusuf, ani Malik nie przebaczyliby, gdybym obdarzyła uczuciem niewiernego, na dobitkę jeńca. A kiedy już mogłam jawnie pokochać, kiedy al-Adil zaczął cię naprawdę cenić i mógłby nam wyjednać u sułtana łaski, zjawił się ten przeklęty mułła.

- Lecz teraz jest inaczej, ukochana, nie ma mułły, nie ma piekielnych poczwar. A ksiązę Malik obiecał poprosić Saladyna o zezwolenie na nasz związek. Jeśli będzie trzeba, przyjmę waszą wiarę.

W kręgu światła pojawiła się jej twarz. Ze szczeliny w zasłonie patrzyły badawczo okolone długimi rzęsami ciemne oczy. - Chciałbyś mnie pojąć po tym wszystkim? Zhańbioną i zbrukaną złem? Spójrz dookoła. Wiesz, ile pogardy nas czeka od ludzi? Krzyżowiec i Saracenka!

- To nieważne - powiedział z mocą. - Jeśli trzeba będzie, osiadziemy na pustkowiu. Na Boga! Wolę pasać owce jak prosty góral, niżli żyć w świecie, gdzie urodzenie i wyznawana wiara mają świadczyć o człowieku!

- Twoje słowa nie pasują do tej ziemi, Zahr. Nie pasują zresztą do żadnego kraju, są sprzeczne z tym, co dzieje się na całym świecie. Urodzenie i wiara... Dla ludzi jedynie te rzeczy mają znaczenie. Oczywiście jeszcze bogactwo.

- Ale nie dla mnie. Ja myślę tylko o twoim i moim szczęściu. Chcę twojego dobra, a resztę świata niech dia...

Zakryła mu usta dłonią. - Nie wymawiaj imienia nieczystych sił - szepnęła. - Wciąż krążą zbyt blisko mnie, by je przyzywać.

- Co ty mówisz? - spytał również szeptem. - Zło odeszło.

- Nie do końca, kochany. Ono nigdy nie odchodzi do końca.

Uniósł się na łokciu, spojrzał czujnie. - Fatmo, coś się dzieje? Powiedz!

- Kocham cię.

- I dlatego jestem szczęśliwy. Lecz wyczuwam w tobie coś... jakiś niepokój.

- Kocham cię - powtórzyła. - Jednakże nie mogę dać ci szczęścia.

- Dla mnie szczęściem jest, że odzyskałaś zmysły! Posmutniała, zapatrzyła się

w równy płomień lampy.

- Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem. Po tym wszystkim, co mnie spotkało, co zrobiłam... Mój grzech jest tym większy, im bardziej gorliwe było poświęcenie. Nie wolno dążyć do dobra za pomocą złych uczynków. Zbyt późno to zrozumiałam. Jedno zło może urodzić tylko następną krzywdę.

- To minęło - wyciągnął do niej rękę. - Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Pogłaskała go po twarzy. - Zbliża się północ - odparła pozornie bez związku. - Czas, kiedy Ziemia odwraca twarz od ożywiających promieni słońca, a zwraca ku najczarniejszym czeluściom pustki, gdzie czają się ciemne moce...

- Fatmo - przestraszył się, że znowu ogarnia ją szaleństwo. - Wróć do mnie, nie odpływaj na drugą stronę!

- Nie odpływam - głos miała suchy i pewny. - Jest jednak coś, co powinienesz wiedzieć. Zło nie odeszło. Ono chce powrócić, odrodzić się we mnie powtórnie!

Poczuł przebiegający po plecach dreszcz.

- To niemożliwe!

- A jednak przychodzi do mnie każdej nocy. Spójrz tam, poza wąty krąg światła. Czai się, czekając na chwilę słabości. Jeśli dobrze wyteżysz wzrok, ujrzysz krwawe spojrzenie ghula! Potwora, który wyszedł z mojego łona. Mojego dziecka... - dodała ciszej. - Mojego nieszczęśliwego synka, płonącego teraz w ogniu piekielnym. Jego ciało i duszę trawi istota równie nieszczęsna jak on.

Milczał, próbując zebrać myśli. W jej słowach nie było opętania. Głos czysty, w niczym niepodobny do upiornego zawodzenia w tamtym czasie, gdy oczy dziewczyny błyszczały obłędem.

- Wtedy, na cmentarzu - ciągnęła - wróciłam do niego. Nie wytrzymałam, wyrwałam się z uścisku muły, choć próbował mnie powstrzymać za wszelką cenę... noworodek nie żył już. Zrobił się siny i zimny, ale ja próbowałam go karmić. Wycisnęłam z piersi kilka kropel mleka, wlałam w martwe, zeszywniałe usteczka... - głos jej się załamał. - Gdybym wiedziała... Muła przybiegł za mną. Natychmiast wypłukał wodą usta małego, obmył go dokładnie, żeby matczyny zapach nie odstraszył potworów... Potem go zakopał. Powiadają, że mleko matki może ghula uzdrowić, choć nie wiem, co to naprawdę znaczy... Może po prostu prawdziwą śmierć? Jednakże podać mu je należy, kiedy już stanie się poczwara. A ja dałam je mojemu truchełku... Na darmo, było albo zbyt wcześnie, albo zbyt późno, w każdym razie zupełnie nie w czas. Wraz z tym mlekiem, dałam mu duszę... nie potrzebował jej, stała się tylko źródłem strasznej udreki.

- Boże - szepnął Edward - bądź miłościw...

- A teraz biedactwo usiłuje powrócić, ciągnie zaś ze sobą tego demona! Każdej nocy jest bliżej, za każdym razem kosmate ręce wyciągają się po mnie.

- Kochana, to tylko strach. To jedynie ślad koszmaru, jaki przeżyłaś.

- To coś więcej, Zahr! - Nagle spomiędzy fałd szaty wydobyła sztylet. Szybkim ruchem położyła go na łóżku, obok ręki Swansena.

- Co robisz?

- To dla bezpieczeństwa, kochany. Jeśli przyjdzie potwór, będziesz musiał... - zawiesiła głos, patrząc w jakiś punkt poza kręgiem światła. Zastanawiał się, czy krzyknąć, jednakże powstrzymała go myśl, że wzywając pomoc może tylko pogorszyć jej stan.

- Ja nie oszalałam! Obłąd byłby w tej chwili zbawieniem. Bardzo bym chciała, żeby to po prostu wróciła choroba. Nie, Zahr, niebawem sam zobaczysz... Dziś... Dziś szpony złych wspomnień mogą zechcieć sięgnąć po moją duszę, wejść w moje ciało. Musisz mi przysiąc, że zabijesz mnie, gdy tylko to dostrzeżesz! Nie zniosę dłużej takich męczarni!

- Nie zrobię tego! Nie potrafię cię zabić.

- Musisz! Sam zobacz!

Zerwała jaszczak z twarzy, nie dalej niż kilka godzin wcześniej ukazała mu na chwilę oblicze, ponieważ nalegał i błagał. Była piękna jak dawniej. W tamtej minucie... Lecz teraz cera nabrała barwy ziemi, pod oczami pojawiły się ciemne kręgi, a na policzkach głębokie bruzdy, jakby postarzała się co najmniej dwadzieścia lat.

Wygląda niczym szalona wiedźma wieszcząca nieszczęście, nadleciała niechciana myśl. Stłumił ją w sobie.

- Jestem sunnitką, kochany. Moja religia zabrania samobójstwa. Dlatego chcę, żebyś ty zadał mi śmierć!

- Nigdy!

- Jeśli zrobię to sama, zostanę przeklęta. A z twojej strony będzie to akt łaski, uwierz mi! On nadchodzi, wyraźnie słyszę jego oddech... Błagam cię, najmiłszy, zlituj się nade mną! Pchnij, kiedy przyjdzie, kiedy tylko go zobaczysz... Albo lepiej zrób to już teraz!

- Nie! Nie! Nie! To wszystko tylko twoja imaginacja!

- Tak mówisz? - znów stała się opanowana. - To spójrz na lampę.

Równy dotąd płomień zachwiał się niespodziewanie i przygasł. Z ciemności, do tej pory miękkiej i ciepłej, napłynęła fala chłodu, wywołująca nieokreślony, paniczny lęk.

A może, pomyślał z nadzieją, to tylko jej szaleństwo tak wpływa na moje zmysły?

- Idzie - szepnęła wysiłonym głosem. - Może dziś właśnie nadszedł ten dzień... ta

noc... On chce powrócić...

Swansen zadrżał. Nagle przestało mu się zdawać, że Fatma znowu oszalała. Zło rzeczywiście zdawało się czaić tam, gdzie nie sięgało światło. A ono przygasalo coraz bardziej, bezlitośnie wchłaniane przez groźny, coraz bliższy cień.

- Przybywa - szeptała Fatma. - Przeklęty wyciąga ręce do potępionej, by unieść ją w miłosnym uścisku. Chodź do mnie, luby.

Uniósł się na łokciu, przekonany, że mówi do niego, jednakże ona wpatrywała się w ciemność. Wyteżył wzrok.

Boże, czy w istocie dostrzegł jarzące się oczy, czy to tylko złudzenie?

- Przyjdź, miłości moja, zabierz mnie...

- Fatmo - powiedział głośno. - Jestem przy tobie.

Odwróciła się do niego. W poczerńiałej twarzy wywrócone białkami ku górze oczy zdawały się obiecywać wieczne potępienie. - Zabij mnie - wyrzęziła. - Inaczej wszystko zacznie się od nowa!

- Nie!

Znowu zwróciła oblicze w stronę cienia. - Witaj, mój panie, twoja niewolnica jest gotowa...

- Fatmo! - zawołał. - Na pomoc! Niech ktoś tu przyjdzie! Na pomoc!

- Zabij mnie, błagam! Nie wołaj, bo nikt cię nie usłyszy! Nikt nie przybiegnie! Zabij! - To był głos dawnej Fatmy. Natychmiast zastąpił go upiorny skrzek: - Jestem twoja, panie. Dziś nie będę się bronić. Dziś nie pomoże modlitwa, wiem to... Kiedy na niebie nie świeci nawet księżyc, a gwiazdy kryją się za burymi kłębowcami chmur, Allah odwraca swój wzrok od potępionych!

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - Edward uczynił znak krzyża.

„Jeśli kiedyś napotkasz szatana na swej drodze”, zabrzmiały mu w uszach słowa brata Hugona od cystersów, „pamiętaj o tej modlitwie. Pozdrowieniu Anielskim. To egzorcyzm najprostszy ze wszystkich, ale zarazem nadzwyczaj skuteczny... Powtórz go co najmniej trzy razy. Im więcej, tym lepiej, ale przynajmniej trzy razy. Jeśli nie zmusisz złych sił do ucieczki, powstrzymasz je choć na chwilę.”

- Zdrowaś Mario, łaski pełna - zaczął - Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami i błogosławiony owoc Twego łona.

Fatma zwróciła w jego stronę ściągniętą wściekłym grymasem twarz. - Milcz - zachrypiała. Edward wbił w nią gorejące spojrzenie.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami

i błogosławiony owoc Twego łona...

Fatmą szarpnął spazm, jakby w jej ciało wbił się rozpalony grot włóczni.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...

- Milcz!

- ...błogosławionaś między niewiastami...

Przyskoczyła do niego. Wywrócone białkami oczy patrzyły na wskroś, przesywały duszę niesłychanym bólem. Z nieoczekiwaną siłą uderzyła go w skroń.

- ...i błogosławiony... Znów potężne uderzenie.

Panie, daj siłę swojemu marnemu słudze, pomyślał.

- ...owoc - zanim stracił przytomność, zdołał jednak dokończyć - Twego łona...

- Zdrowaś Mario... - zaszepotały jeszcze posłuszne w ostatnich błyskach świadomości wargi. Ogarnęła go ciemność rozjaśniana jedynie bladymi błyskami, jakby gwiazdy uciekały gdzieś w tajemne rejony, pozostawiając po sobie smętną pustkę.

Czy tak wygląda śmierć?

To była ostatnia myśl. Jeszcze tylko w uszach zabrzmiało potępieńcze wycie, ale nie wzbudziło niepokoju. Strach pozostał tam, gdzie ciało. Daleko w dole, w innym świecie.

Pan z Tobą... Pan z Tobą... Czy jesteś przy mnie, Panie? Jak brzmi twe prawdziwe imię? Bóg, Allah, Adonai, Jahwe... Czy ktoś to wie?

Pan z Tobą, Fatmo...

Porażający blask wtargnął w głąb czaszki. Natychmiast zamknął oczy. Światłość niebieska ma ponoć przechodzić ludzkie wyobrażenie, ale czy ma też wywoływać tak wielki ból? Nieprzytomne myśli przelatywały przez głowę niczym spłoszone ptaki. Ostrożnie uchylił powieki. Światło nadal nieznośnie kłuło znużone źrenice. Dobry Boże, zlituj się nad grzesznikiem, przyjmij go i utul na swym łonie...

- Budzi się wreszcie.

Znajomy głos, mówiący zrozumiałym, choć obcym językiem. Nie tak powinno się mówić w chrześcijańskim raju, chyba że to mahometanie mają rację co do jedynej słuszności swojej wiary...

- Może nam powie, co się właściwie wydarzyło.

Drugi głos także był znajomy. To nie raj, Edwardzie, rzekł sobie w duchu. Jesteś z powrotem na podłym świecie, gdzie sprawiedliwi cierpią męki, a szubrawcy opływają w dostatki.

Myśli zaczęły się układać z powrotem w swoje zawile, lecz zrozumiałe wzory.

- Książę - szepnął, nie otwierając oczu. - Skąd wziął się tutaj sułtan? Miał być daleko...

- Byłeś nieprzytomny tak długo, że Salah ad-Din zdążył już przybyć na pogrzeb Fatmy.

- Nie żyje? Ghazala nie żyje?

Przeszywający serce błysk przypomnienia niedawnych wydarzeń. Miłość wróciła więc tylko na chwilę, żeby przelecieć przez jego życie jak spadająca gwiazda. Po co w takim razie on sam ma żyć? W jakim celu dobry Bóg zachował go w ziemskiej powłoce?

- Nie żyje, przyjacielu, nasza piękna Ghazala odeszła. Zabiła się.

- Co się stało?

Głos Malika był łagodny, choć można było w nim wyczuć pewne zniecierpliwienie. - Liczyłem na to, że ty nam powiesz. Gdy tu weszliśmy, leżałeś bez zmysłów, a Fatma dogorywała ze sztyletem w piersi.

Nie zważając na ból, otworzył oczy. Niewyraźne, zamazane postacie nabrały ostrości. Zaczął dostrzegać szczegóły, rozpoznawać twarze. Boże, Saladyn wyglądał na kilkadziesiąt lat starszego niż kiedy go widział ostatni raz. Jęknął, przypominając sobie postarzałą nagle twarz Fatmy.

Al-Adil pochylił się nad nim, delikatnie dotknął jego policzka. - Co tu się wydarzyło, giaurze? - spytał. - Co strasznego zaszło, że twoje włosy w ciągu jednej nocy stały się białe niczym mleko? Opowiesz?

Białe włosy... Osiwiał? Cóż z tego? Dlaczego raczej nie pękło mu serce?

- Opowiesz?

- Opowiem, książę. Lecz nie zaraz. Muszę zebrać myśli, muszę w samotności pokonać w sobie to, co mnie teraz dusi.

Saladyn trącił brata w ramię. - Chodźmy. Ibn Suan potrzebuje spokoju. Będzie czas rozdrapywać jego rany. Jest jeszcze wiele do zrobienia, a mnie pozostało tak mało czasu. Czuję, jak życie wycieka ze mnie z każdą chwilą.

Malik obrzucił spojrzeniem wychudłą postać Edwarda. Uśmiechnął się smutno. - Zaraz przyjdzie do ciebie lekarz, mój nieszczęsny przyjacielu. Wybrałeś życie wśród nas, żeby wreszcie dogonić szczęście, a zamiast zyskałeś starczą siwiznę. Niezbadane są wyroki Allaha i tylko on wie, dlaczego doświadcza nas jako owego nieszczęsnego Ajjuba, przez was i Żydów zwanego Hiobem.

Ma rację, pomyślał Swansen. Doświadczasz mnie, Panie, jak Hioba. Czy chcesz mi coś dać do zrozumienia, czy to tylko ślepy los wybrał mnie sobie za cel okrutnych drwin?

Zamknął oczy. Nagle ze wszystkich sił zapragnął pozostać sam.

- Chodź już - powtórzył Saladyn. - Niech trawi swoje nieszczęście w samotności, jak wojownikowi przystało. Z pewnością nie chce, by ktoś oglądał jego ły. My zaś musimy podjąć działania. Doszły mnie słuchy, że Ryszard zamierza pozostać w Palestynie do czasu, który chrześcijanie nazywają Wielkanocą. Trzeba przypomnieć królowi o jego przysięgach.

- Książę... - Malika zatrzymał w drzwiach słaby głos Edwarda.

- Słucham, przyjacielu.

- Czy możesz podejść bliżej, panie?

Saladyn ruchem brody wskazał łożo chorego. - Idź, wysłuchaj go. Czekam na ciebie w błękitnej sali.

- Czego sobie życzysz, ibn Suanie?

Swansen uniósł się z wysiłkiem na łokciu. - Sama sobie zadała śmierć. Czy ona... Czy będzie przeklęta? Tak się tego obawiała...

Malik zagryzł wargi. - Wszystko w ręku Allaha. To On ją osądzi, a nie ci, co mianują się Jego zastępcami na Ziemi.

- A pochówek? Kadi nie będzie się sprzeciwiał?

- Pogrzebiemy ją, jak na królewską córę przystało! - w oczach księcia pojawiły się złe błyski. - I żaden duchowny nie ma prawa się w to wtrącać. Inaczej polecą głowy!

Swansen opadł z powrotem na poduszki. - Mam jeszcze jedną prośbę, książę.

- Każda zostanie spełniona.

Ranny westchnął ciężko. - Kiedy wydobrzeję, chcę wrócić do swoich. Tutaj wszystko mi będzie o niej przypominać.

Malik drgnął zaskoczony, ale skinął głową. - Skoro sobie tego życzysz... Jednakże pozostawisz pustkę w moim sercu, giaurze, giaurze. Przemyśl to jeszcze - spojrzał na siwe włosy Edwarda. - Teraz przemawia przez ciebie żal i gorycz. Zostań. U nas będziesz traktowany jak książę. A co cię czeka u twoich? Jeśli nawet dasz radę jeszcze dosiąść konia - z powątpiewaniem zerknął na obandażowaną nogę - nigdy nie staniesz się kimś więcej niż zwykłym wojownikiem.

- Ani nie dam rady wspiąć się na siodło - odparł Edward dziwnym, nagle dźwięcznym głosem - ani nie zamierzam nawet tego próbować. Obrąłem już dalszą drogę swego życia. Pokochałem całym sercem wyznawców Allaha, choć przybywając do Świętej Ziemi zamierzałem was tylko zwalczać i zabijać. Przy was, Saraceni, zrozumiałem, że Bóg jest jeden dla wszystkich. Wy idziecie do boju z jego imieniem na ustach i my spinamy wierzchowce do szarży w imię Boże - zamilkł, zbierając myśli. - Tak, w imię Boże. I w imię

tego samego Boga chcę wrócić do swoich. Tam moje miejsce. Zrozumiałem, iż nie można żyć jedną nogą w waszym, a drugą w naszym świecie. Dlatego pozwól mi odejść.

Al-Adil uśmiechnął się do niego. - Kiedy tylko zechcesz, przyjacielu. Jednakże wiedz, że zawsze możesz powrócić i zostaniesz powitany z otwartymi rękami. Tu będziesz u siebie.

Edward ze smutkiem potrząsnął głową. - *Mimo niewielkiej siły pająk wybudował dom, żeby mieć własne schronienie, a ja mu zazdroszczę ojczyzny. Robak może zamieszkać choćby w swoim cieple, a ja nie mam ani domu, ani przyjaciela.*

- To al-Ahnaf - mruknął książę. - Poeta ludzi bezdomnych i włóczęgów, nie przypuszczałem, że znasz jego wiersze.

- W takiej niewoli jak twoja człowiek miewa dużo czasu. Trzeba go czymś zająć. Te wersy utkwiły mi w pamięci, bo poruszyły moje serce. I ja jestem słabszy od pająka.

- Uczynisz, jak chcesz - Malik położył rękę na ramieniu Swansena. - Powtarzam jednak, zawsze znajdziesz u mnie schronienie. Mam posiadłości w Zajordanii i w al-Dżazirze. Tam mnie znajdziesz, gdy Saladyn zejdzie z tego świata.

- Nie chcesz zająć jego miejsca?

- Nie - w głosie Malika zabrzmiało zdecydowanie. - Chcę wreszcie odpocząć. Nie będę walczył o władzę, jeśli mnie do tego nie zmuszą inni swoimi głupimi czynkami.

- Zmuszą - Edward położył swoją dłoń na dłoni księcia. - *Wielbilbym życie, gdyby było spokojnym snem nocy, lecz ono jest niespokojnym, pełnym lęku snem.*

- To z kolei wersy z Ar-Radiego, prawda? - westchnął ciężko książę. - Możesz mieć słuszość, nie będzie mi dane odpocząć spokojnie ani przez chwilę. Saladyn spłodził siedemnastu synów, a władzę ma przejąć Ali al-Afdal, najstarszy i bodaj najmniejszego spośród nich rozumu. Może być różnie.

- Najważniejsze to pozostać sobą. Pozwól, że jeszcze raz zacytuję ar-Radiego: „Jeśli ze swoją duszą nie jesteś w przyjaźni, to między ludźmi również nie znajdziesz przyjaciół”.

Al-Adil kiwnął głową. - Najważniejsze pozostać sobą... tak. Życzysz sobie czegoś jeszcze?

- Tylko jednego. W czasie pogrzebu... - Edward z trudem zdławił rodzący się gardle szloch. - W czasie pogrzebu, książę, połam o kamień nagrobny mój miecz i wrzuć do dołu. Nie będzie mi już potrzebny, niech na zawsze pozostanie przy tej, przy której zostawiłem serce.

XXXII

Blask wschodzącego słońca przesączał się przez ażurową kratownicę okna. Vincent

obserwował jeden z promieni pełznący w stronę łoża.

- O czym myślisz? - spytała Judyta. Położyła mu głowę na ramieniu. Podciągnęła nieco prześcieradło, skrywając pod nim alabastrowe ramię.

- Piękne budowle potrafią stawiać muzułmanie - odparł. - Choćby ten pałac. Jest wspaniały, mimo że w dużej części zrujnowany po tym, jak nasze wojska zdobyły miasto. U Saracenów przeplata się fantazja Wschodu z przepychem Bizancjum i naszą surowością.

- A ja nie lubię tego kraju - wstrząsnęła się. - Uciekłam stąd, bo czułam, jak zaczynam się dusić. Gdyby nie ty, nigdy w życiu nie dałabym się namówić na powtórny podróż. Wolę miękką wilgoć mojego Monaghan. Tutaj mam wrażenie, że w wyprazonym powietrzu skóra wysuszy się i popęka, albo, co gorsza, pokryją ją zmarszczki.

Roześmiał się i mocniej przygarnął ukochaną. Spojrzała mu prosto w oczy. Pocałował ją w czoło.

- Mnie też tak się zdawało - powiedział. - Byłem przekonany o swojej niechęci do Palestyny, dokąd nie poznałem bliżej ludzi pustyni i tych z naszych, którzy niegdyś postanowili tu osiąść. Myślałem o gorących piaskach z wielką odrazą, dokąd nie przeżyłem tego... - urwał, poważniejąc w jednej chwili.

- Ten wzrok - powiedziała. - Znowu patrzysz tak, jakbyś widział otchłań piekielną.

Uniósł się na łokciu. Głowa Judyty zsunęła się po wydatnym bicepsie i spoczęła na poduszce.

- Ja widziałem piekło - rzekł cicho, lecz dobitnie. - Widziałem... czułem prawdziwe, czyste zło obok siebie. Patrzyłem na wywołane nim szaleństwo. Potem już nie można pozostać tym samym człowiekiem.

- Czy to dlatego również w Piotrze dostrzegłam zmianę? Co wyście właściwie widzieli?

- Nie mogę ci rzec. Teraz wiąże mnie przysięga. Jednakże kiedyś nadejdzie czas, kiedy przestanie mieć ona znaczenie. Wtedy wszystko opowiem, nie wcześniej.

Nagle wydał się jej wielki i groźny, wręcz nieodgadniony w zamiarach. Gdyby chciał, mógłby ją zmiażdżyć jednym ruchem ręki. W tym dziwnym kraju zapewne uszłoby mu to nawet płazem. Z jednej strony czuła pewien lęk, z drugiej rodziła się w niej przekorna chęć okiełznania tego żywiołu. Uderzyła go lekko drobną pięścią.

- Rozbudzasz we mnie coraz większe zainteresowanie tą sprawą! Czy nie wiesz, że taka niewyjaśniona tajemnica może doprowadzić niewiastę do śmierci? Prawdziwa kobieta w obliczu tajemnicy umiera z ciekawości!

- Nie dam ci umrzeć! Ani z ciekawości, ani z żadnego innego powodu, nie pozwolę,

żebyś mi jeszcze kiedyś uciekła!

- Czyżbyś zamierzał przywiązać mnie do siebie? - spojrzała zalotnie.

- Nawet przykuć łańcuchem!

- Nie wiesz, że łatwiej posiąść ciało kobiety niżli duszę? - spojrzenie Judyty stawało się coraz bardziej prowokujące.

- Diabli - mruknął Vincent, czując rodzące się w nim nowe siły. - Zachowuję się jak młodzieniaszek, którego jurność przerasta wszystko, co można sobie wyobrazić - gwałtownym ruchem odrzucił prześcieradło. - Jesteś piękna - szepnął.

Z zafascynowaniem przyglądał się ciężkim, lecz jędrnym piersiom, niżej płaski brzuch, krągłe biodra z cudownym trójkątnym wcięciem owego cienia, który obiecywał nieziemską rozkosz, kształtne uda płynnie przechodzące w smukłe łydki i drobne stopy. Zerknął na twarz Judyty. Śledziła go spod półprzymkniętych powiek, a na jej ustach błąkał się ów lekki uśmiech, sprawiający, że mężczyzna traci głowę i rzuca się w odmęty namiętności.

Przypadł do ciemnoróżowych, napiętych brodawek. Były pachnące i delikatne niczym wewnątrz miękkiego kwiatu. Westchnęła, podając je do przodu. W uchylonych ustach, między perłową bielą zębów węzowym ruchem zafalował koniuszek języka.

- Tak - szepnęła. - Tęskniłam za tobą, kochany... Zanurzył się między gościnne wydmy piersi. – Mogłabyś użyźnić sobą najbardziej jałową pustynię - zamruczał. - Tyle życia, tyle niepokonanego żadnymi trudnościami życia...

Schodził coraz niżej, łakomie chłonąc każdy fragment gładkiej skóry. Z cichym jękiem rozchyliła nogi, pozwalając, by jego wargi wtargnęły w najbardziej tajemnicze miejsca.

A mówią, że tylko miejscowe kobiety potrafią świadczyć miłość i prawdziwie zadowolić mężczyznę, pomyślał.

Poczuł na włosach rozedrgane palce. Przyciskała do siebie jego głowę, żeby za chwilę lekko ją odepchnąć. Ta gra sprawiła, że pulsowanie w lędźwiach stało się prawie nie do zniesienia. Ujęła jego policzki, pokierowała twarz ku górze. Teraz miał przed sobą jej rozmarzone, zmatowiałe od przyjemności oczy. Mocno przycisnęła swoje wargi do jego ust, języki spotkały się w połowie drogi, by toczyć rozkoszne zmagania, przenikające dreszczami całe ciało.

- Pachniesz teraz mną - szepnęła, odrywając się na chwilę.

- To cudowny zapach - odpowiedział równie cicho. - Najwspanialszy na świecie.

Znowu zamknęli się w pocałunku. Dłoń Vincenta znalazła się za jej plecami nisko, tam gdzie uda łączą się z pośladkami. Przyciągnął ją do siebie.

- Chcę zasiać w tobie nowe życie - patrzył jej prosto w oczy.
 - Czy to rozsądne? - Na chwilę odzyskała pełnię zmysłów, spojrzała spłoszona.
 - A czy rozsądny był twój powrót do Palestyny? - odpowiedział pytaniem.
- Westchnęła, oddając się całkowicie we władanie namiętności.

- Wciąż nie mogę się tobą nasycić - oznajmił tonem skargi.

Za oknem wstał już jasny dzień, z miasta dobiegały odgłosy codziennego życia.

- Przecież upłynęło trochę czasu, odkąd wróciłaś, a mnie wciąż nie jest dosyć?

- To mnie przekonuje dowodnie - uśmiech rozjaśnił twarz Judyty - że byłeś mi rzeczywiście wierny.

- Nie ma kobiet poza tobą - odparł poważnie. - Tobie musi być wierny każdy, na kogo rzucisz urok miłości.

- Miłość - zmarszczyła brwi. - Jak z nią jest? Popatrz, królowa Izabela podobno kochała swojego męża. Mówią, że mała nie umarła, gdy przysłała wieść o zgonie Montferrata. A jednak nie minęły trzy dni, jak zaręczyła się z Henrykiem. Tydzień nie upłynął, a wjechali uroczyście do Tym! Gdzie się podziała jej wielka miłość? Jak nazwać taką niewiaستę?

- Nie osądzaj jej zbyt surowo, Judyto. Z tego, co o niej wiem, to nieszczęsne stworzenie. W dwudziestym pierwszym roku życia po raz trzeci została wydana za mąż. Najpierw musiała się rozstać z Onufrym z Toronu, bo baronowie zagrozili buntem, jeśli tego nie uczyni. Przyłgnęła sercem do Konrada, urodziła mu dziecko, a niebawem został zamordowany. Teraz Henryk z Szampanii... Przecież nie wychodzi za niego z własnej woli. Czyni to dla dobra królestwa.

- Ja nigdy bym się nie zgodziła oddalić od ukochanego!

- Dlatego, nie obraż się, nie zostaniesz nigdy królową.

- Przy tobie na pewno - roześmiała się. - Byłbyś pierwszym znanym mi królem bez ziemi. Królem wygnańcem.

Dostrzegła na jego twarzy wyraz przykrości. - Przepraszam, kochany - przytuliła się do niego. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie gniewam się, Judyto, nie sprawiłaś mi przykrości przypomnieniem, zem banita. To coś zupełnie innego...

- Co takiego, powiedz?

- Kiedy indziej. Dziś nie potrafiłbym znaleźć słów, które oddałyby to, co jest we mnie.

Ojciec... Już o nim zapomniał, przestała brzmieć w uszach ponura wieszczba. A dzisiejszej nocy znowu przyszedł... Trzeba zażyć jak najwięcej szczęścia, dopóki można,

zanim nadejdzie godzina przeznaczenia.

- Nie za dużo tajemnic? - wydeła z oburzeniem wargi.

- Co zrobić, taki los.

- Naprawdę się zmieniłeś. Zapamiętałam cię jako uroczego i ujmującego, ale zawsze lekkoducha, a zastałam poważnego męża. Stałeś się jeszcze twardszy niż przedtem, ale zarazem jakiś dziwnie delikatny, nie to, żebyś nabrał dwornych manier - przekornie przekrzywiła głowę. - O nie! Idę o zakład, że kiedy się przypniesz do dzbana, nie popuścisz, dokąd nie będzie próżny. A jeśli chwycisz w dłonie kawał mięsiwa, wgrzysz się w nie jak wygłodniały wilk, nie bacząc na tłuszcz spływający po brodzie. Jednak gdzieś w tobie znajduję coś... jak by to nazwać... głębszego? Tak, głębszego, to chyba odpowiednie słowo.

- To bardzo źle?

- Nie, dlaczego? Teraz podobasz mi się o wiele bardziej. Jesteś tajemniczy. Mówiłam przecież, że my, kobiety, kochamy takie tajemnice, choć żyć nam nie dają, jeśli nie możemy ich zgłębić.

- Wy, kobiety, jesteście bardzo dziwnymi istotami. Bywają chwile, kiedy zastanawiam się, czy Bóg rzeczywiście stworzył Ewę z żebra Adama. A jeśli tak było w istocie, to musiało być zaiste bardzo niesforne żebro. Z pewnością Adam odczuwał z jego strony wiele dolegliwości.

Roześmieli się jednocześnie.

- Jestem szczęśliwa po raz pierwszy od tamtego dnia, gdy wyjechałam.

- A ja jestem szczęśliwy po raz pierwszy, odkąd sięgnę pamięcią.

- Nie chcę się z tobą więcej rozstawać.

- Ja nie chciałem tego nigdy. To ty wybrałaś swoją drogę, porzucając mnie.

- Jakże ja niewiele wtedy rozumiałam. Jakże mało znałam siebie samą! I ciebie, jak widzę.

Przygarnął ją mocno.

- Chcę, żeby to trwało wiecznie.

W tej chwili rozległo się łomotanie do drzwi.

- Saraceni u bram Jary! - zawołał Piotr. - Jan przed chwilą przyniósł wiadomość! Pośpiesz się, de Rionne, wyruszamy na odsiecz jeszcze przed południem!

Vincent spojrział na Judytę. Leżała wpatrzona w sufit, z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami. - Idź, kochany - powiedziała po chwili. - Obowiązek wzywa.

- Dość już mam obowiązków. Chcę zostać z tobą.

- A jednak pójdziesz. Jeśli zrobisz inaczej, stracisz szacunek do samego siebie.

- Ty też straciłabyś do mnie szacunek. Tylko tyle mam na świecie, ile w sobie dumy, ile siły w pięści i wierności w sercu.

Ojcie, westchnął w duchu, czy nadchodzi ten czas? Czy dochodzę już do kresu drogi?

XXXIII

- To istny demon - szepnął z niedowierzaniem Nasir, patrząc na szczupłe szeregi wojsk krzyżowców.

- Mówiłeś coś? - Rakim odwrócił się do niego.

- To nie może być człowiek - powiedział głośniejszym głosem Nasir. - Że wyparł nas z Jafy, to mogę zrozumieć. Zostaliśmy wtedy zupełnie zaskoczeni, wojsko zajęte rabunkiem zawsze łatwo rozbić. Jednakże to, co widzę przed sobą, w żaden sposób nie jest podobne do prawdy. Oni muszą uprawiać czary. Inaczej nie odważyliby się stanąć taką garstką przeciwko naszej potędze.

- Nie martw się tak. I my nie jesteśmy gorsi. Spójrz na moją nogę. Nie boli, nie dolega, mogę na niej stanąć. Co prawda kolano nadal mam nieruchome, ale to drobiazg, jeśli mogę wziąć udział w walce, dosiąść konia!

Jego oczy błyszczały gorączką i podnieceniem, mówił szybko, trochę niewyraźnie.

- To nie czary, Rakim. To zwyczajna sztuczka biegłego medyka. Kiedy drikawie przestaną działać, stokrotnie odcierpisz odzyskaną sprawność. Teraz zda ci się, że możesz góry przenosić, ale jutro...

- Nieważne. Jeśli tylko mogę wziąć miecz do ręki i chociaż przez godzinę utrzymać się w siodle, reszta nie ma znaczenia. Chcę tylko jeszcze raz w życiu pójść do bitwy, a jeśli przeżyję, pojedę obejrzeć strzeliste minarety Damaszku. Potem mogę spokojnie umrzeć.

Malik wracał z ponurą miną. Saladyn nie musiał pytać, żeby odgadnąć, jaki był wynik rozmowy.

- Rzekł mi, że ma zupełnie spętane ręce - rzucił przez zaciśnięte zęby al-Adil. - Jego baronowie nie pozwalają mu odejść, grożąc buntem, nie może spełnić przysięgi, nie narażając się na hańbę w oczach swoich. Czeka nas dzisiaj bitwa.

- Wiarołomny chrześcijański pies! - warknął Saladyn. - Nie może spełnić przysięgi? Już to słyszałem. Zwyczajnie nie chce! Miał dość czasu przez te miesiące, żeby przeprowadzić sprawę, nawet wbrew swoim! Jest jak oni wszyscy! Pewnie jakiś ich biskup zwolnił go od słowa danego wyznawcy innej wiary! Daremny okazuje się cały trud, poświęcenie moje, twoje, starego mędrca i wszystkich, którzy oddali życie na pustyni.

- Prawdę o nim mówią, że nosi w sobie dwie sprzeczne natury. Mówi najpierw „tak”, żeby zaraz w tej samej sprawie zaprzeczyć swoim słowom i postanowieniom. Czyż jednak któryś z władców jest inny? Zawieramy układy tylko po to, żeby uzyskać trochę spokoju. A jeśli stają się dla nas zbyt uciążliwe, natychmiast o nich zapominamy.

- Dziś nie zamierzam rozmyślać nad naturą tego gajura ani nad istotą władzy! Nie dotrzymał słowa, jego sumienie niech się o to martwi. Zdołałeś się rozeznąć w siłach krzyżowców?

- Po tym jak przybyły pierwsze skąpe posiłki Franków, w mieście jest sprawnych może pół setki rycerzy, trochę łuczników, zamiast porządnej piechoty mają tam bandę jakichś niesfornych marynarzy. W dodatku dysponują dokładnie trzema końmi dla wszystkich, więc jazdy nie ma w ogóle! Ich pancerni będą musieli walczyć pieszo.

- Skąd masz tak dokładne wiadomości?

- Nasi ludzie myszkują, gdzie się da. Ryszard nie jest w stanie wszystkiego dopilnować. Źle zresztą wygląda, jakby zaczynała go dręczyć choroba. Martwię się. Podobną barwę twarzy miała Fatma, kiedy ją znalazłem z nożem w piersi.

- Ty też źle wyglądasz.

- Mnie po prostu znowu bierze błotna gorączka, niebawem nie będziesz miał ze mnie pożytku. A król angielski wychudł, poczerniał i najwyraźniej trawi go przypadłość duszy, a nie ciała.

- Może i jego, jak naszą siostrę, zaczął dręczyć demon?

- Może. Jednakże on nie podda się łatwo. Znasz go.

- Nie tak dobrze jak ty. O was nawet mówią, że się przyjaźnicie.

- Brednie. Ale poznałem go istotnie dość dobrze, dlatego wiem, co mówię. Tak czy inaczej, musimy dzisiaj podjąć bitwę. Będzie, co ma być.

- Musimy ją rozstrzygnąć jak najszybciej. Wezwał na pomoc silny hufiec, który minął już Cezareę. Jeśli nadciągnie, zanim zdołamy rozgromić chrześcijan, będzie za późno. Czas rozmów się skończył.

Ryszard uwijał się na koniu między szeregami wojska.

- Poprawić mi tamte kołki! - krzyknął, wskazując na rozpory od namiotów w białe ukośnie, aby utrudniać szarżę saraceńskiej jeździe. - Zbyt nisko się położyły po ostatniej szarży pogan!

- Tam nie ma nic do poprawiania - wściekły marynarz kłął pod nosem, posłusznie jednak wypełnił rozkaz.

Król popatrzył za nim. Wojsko musi mieć co robić w chwilach spokoju, nie może za

wiele myśleć. Inaczej zaczynają się pojawiać wątpliwości i strach, nie można patrzeć na przeważające siły wroga i nie rozważać, czy przetrwa się następne starcie, a to zawsze osłabia ducha. Wiech żołnierze lepiej będą wściekli na cokolwiek, choćby na swoich dowódców.

- Posprawdzać włócznie! Wasze życie jest w ich grotach! Wytrzymaliście siedem ataków niewiernych, niebawem pora będzie dać im należyłą odpowiedź. Kusznicy do przodu, łucznicy strzały w ziemię. Wypuście wszystko, co macie jak najszybciej, nie bawić się w żadne celowanie! Salwami tam, gdzie będzie największa gęstwa!

- Królu... - ktoś trącił jego strzemię.

Spojrzał w dół. Stali przy nim Jan de Morges z Vincentem. Pół kroku za nimi Piotr z Telford patrzył spode łba.

- Czego chcecie? Jestem teraz zajęty, na inne sprawy przyjdzie czas po bitwie.

- Był u ciebie książę Malik, na pewno o tym mówił. Ale i od nas uczciwość domaga się, skoro cię już widzimy, żebyśmy przypomnieli o złożonej przysiędze. Ta bitwa...

- Wynoście się! - uniósł się w strzemionach. - Sam o tym pamiętam! Do szeregu! Możecie dziękować Bogu, że mam zbyt mało ludzi, aby was ukarać za zuchwalstwo, bo inaczej wylądowalibyście w lochu!

Cofnęli się.

- Co wy na to? - Jan skrzywił się z niesmakiem. Vincent nie odpowiedział. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się przed siebie w jeden punkt, gdzieś między resztką kamiennego muru a rachitycznym krzewem. - Zostaw mnie w spokoju albo niech wreszcie umrę! - powiedział nagle dziwnym, łamiącym się głosem. - Ta niepewność mnie zabija!

Ojciec patrzył nieruchomym wzrokiem. Tym razem nie mówił nic, nie wykonał najmniejszego gestu. Stał i patrzył. Po chwili rozwiął się w kurzawie wzniesionej przez przechodzący oddział.

- Znowu coś zobaczyłeś? - Jan usiłował dostrzec to, co jego towarzysz.

Vincent odwrócił ku niemu nieprzytomne spojrzenie. - Nie chcę umierać. Nie teraz kiedy odnalazłem wreszcie swoje szczęście.

- Nie umrzesz, de Rionne. - Piotr stanął obok niego. - To nie jest twój dzień. I nie zwracaj uwagi na zjawy. Myślisz, że dręczą tylko ciebie?

- Ciebie też?

Telford uczynił szeroki gest. - Spytaj kogoś z tych ludzi dookoła, choćby naszego druha Jana. Idź do Saracenów i wypytaj ich wojowników. Przed bitwą, przed niebezpieczeństwem, każdego nawiedzają duchy i wizje. Zbyt wiele krwi i łez wsiąkło w tę ziemię, by nie przywoływać zjaw.

Vincent chciał go zapytać o coś jeszcze, lecz w tym momencie król zawrócił wierzchowca, klusem podjechał do nich. - Wybaczcie chwilę uniesienia, przyjaciele - odezwał się pojednawczym tonem. - Zbyt wiele się dzieje, za dużo mam na głowie... Chcę, żebyście podczas walki byli przy mnie.

- To dla nas wielki zaszczyt, najjaśniejszy panie. Ryszard rzucił podejrzliwe spojrzenie. - De Rionne, czyżbym dosłyszał w twoim głosie drwiące nuty?

- Nigdy bym się nie ośmielił...

- Och, nie opowiadaj! Ośmieliłbyś się, ośmielił! A swoją drogą, jakże ci się układa z piękną panią Monaghan? Tak, Vincencie, myślałeś, że zatrzymasz to w tajemnicy? Palestyna to tak naprawdę jedna wielka wioska. Wieści rozchodzą się nadspodziewanie szybko, czy tego chcesz, czy nie. Jak będzie, Piotrze, wydasz swoją kuzynkę za tego tutaj rycerza?

- Judyta - odparł Telford - zwykła decydować sama o swoim losie, nie pytając nikogo o zdanie. Jednak gdyby to zależało ode mnie, rozkazałbym jej związać się z Vincentem natychmiast i bez dyskusji.

Ryszard łaskawie skinął dłonią.

- Zatem i ja nie będę się sprzeciwiał. Choć, przyznam, liczyłem swego czasu na bardziej korzystny dla kraju mariaż tak możnej damy.

- Szarża! - rozległ się przeraźliwy krzyk. - Pogańska jazda!

Od strony wojsk Saladyna dobiegło przeraźliwe wycie dobywające się z gardeł setek gnających ile pary w koniach wojowników.

- Strzelcy! - Nad zgiełkiem poniósł się potężny głos Ryszarda: - Do dzieła.

Kapitan łuczników uniósł rękę. W jego ślady poszedł dowódca kuszników.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha! - zawołali prawie równocześnie. - W imię Boże, zaczynajcie!

Powietrze pociemniało od strzał. Czterystu ludzi z jękiem cięciw posyłało śmierć wysoko, jakby chcieli przebić sklepienie niebieskie i wreszcie zwrócić uwagę obojętnego Boga na to, co dzieje się pod jego stopami. Zaświstały grube bełty z kusz, żeby wgryźć się w ciała rozpędzonych ludzi i koni.

Vincent patrzył, jak chmura pocisków osiąga największą wysokość, zawisa na chwilę, a potem płynnie kieruje żelazne groty ku ziemi. Salwa była mordercza, spadła w sam środek szeregów jazdy. Powstał zamęt, zakwiczały trafione zwierzęta, żałośnie zakrzyczeli zabici i ranni.

A niebo znowu pokryło się długimi kreskami następnych pocisków.

Z daleka strzały angielskich łuczników mogły się wydawać niegroźne, wyglądały niby wyrzucone w górę patyczki, z których dzieci lubią układać różne figury. Jednakże Malik wiedział z własnego doświadczenia, jak były w istocie rzeczy groźne i ciężkie. Ileż to razy uratowała mu życie wyborna kolczuga, odziedziczona po ojcu, o której powiadano, że wyszła spod ręki samego Dawida. Ile razy z niedowierzaniem patrzył na solidnie opancerzonych wojowników przebitych takimi strzałami. Dołem kusznicy wypuszczali swoje mordercze bełty, przed którymi właściwie nie było skutecznej ochrony. Nawet solidna tarcza okazywała się zawodna, gdy taki pocisk przebijał ją wraz z dzierżącą osłonę ręką.

- Allah - szepnął. - Dzielnie sobie poczynają niewierni. Saladyn siał w bój jeden oddział jeźdźców za drugim.

Odbijali się od umocnień Franków jak fala od morskiego brzegu. I jak fala pozostawia na piasku nieszczęsne, umierające na powietrzu stworzenia, tak po każdej szarży na przedpolu leżało coraz więcej ciał.

Sułtan obserwował walkę z zaciśniętymi zębami. - Widzisz? - zbliżył się do brata. - Taka jest moc przepowiedni, takie skutki trawienia jej przez ciemne umysły. Nasi ludzie nie potrafią walczyć przeciwko Frankom z pełnym poświęceniem, dopóki w ich szeregach jest Ryszard! Nie wierzą, że można go pokonać, nawet mając tak miażdżącą przewagę!

- Przyznaj jednak, że tamci biją się jak natchnieni. Saladyn rzucił mu wściekłe spojrzenie, ścisnął kolanami konia.

- Teraz ty, emirze! - krzyknął do dowódcy jazdy z Bagdadu. - Niech cię Allah prowadzi!

- Poczekaj, zobacz. - Malik wskazał szeregi chrześcijan. - Ci szaleńcy chcą ruszyć do natarcia! Pieszko!

- Rycerze! - zawołał Ryszard. - I wy wszyscy dzielni żołnierze! Za mną! Niech Bóg nas poprowadzi!

Chciał uczynić znak krzyża, jednakże powstrzymała go jakaś siła. I znowu to uczucie duszności w piersiach, jak wśród skał, w chwilę po tym, kiedy zamordował ghulę. Nie przyznał się wtedy nikomu i nawet swojemu medykowi nie wspomniał o dolegliwościach, ale od powrotu z pamiętnej wyprawy przydarzało mu się to coraz częściej. Zupełnie jakby demon nie odszedł do końca, co więcej, jakby chciał powrócić, dopaść najgłębszych czeluści jego grzesznej duszy. - Naprzód! - zawołał z wysiłkiem. - Zmieciemy pogan w imię Boże.

W imię Boże lub szatańskie, dodał w myślach. W tej chwili dziwny bezwład nareszcie go opuścił. Znowu mógł z jasnym umysłem zająć się bitwą.

Pokłusował na czele żelaznego hufca. Rycerze maszerowali równym krokiem coraz szybciej, by wreszcie zacząć biec. Naprzeciw wyruszyły zastępy konnych wojowników.

- Rozbiją ich w pył - sapnął z zadowoleniem Saladyn. - Nikt nie dostoi takiej przewadze. Na nic się zda ich waleczność, skoro nie mogą nabrać pędu, a muszą pełznąć jak ostatni perski najemnik!

Malik nie odzywał się. W napięciu obserwował konnicę dopadającą zakutych w żelazo rycerzy. Powstał piekielny zamęt, pod niebo wzbił się wielki krzyk. Widać było Ryszarda uwijającego się wśród swoich, rozdającego potężne ciosy. Po każdym takim uderzeniu walił się na ziemię arabski wojownik.

- Mówiłem ci, że to demon, nie człowiek - dobiegło z tyłu.

Obejrzał się. Tam stali ci, których przyprowadził Nasir. Miejscowi.

- A ja ci mówię, że to zwyczajny człek. Trzeba mu tylko skóry pod zbroją namacać.

Ostatnie słowa wypowiedział żyłasty starszy mężczyzna. Książę z trudem poznał w nim dawnego dowódcę jazdy, Rakima. Zdziwił się. Słyszał przecież, że nie żyje.

- Milczcie - podjechał do nich.

- Panie, poślijcie nas do ataku - poprosił Rakim. - Nam nie straszny król giaurów!

Malik krytycznym spojrzeniem obrzucił zbieraninę ludzi w różnym wieku, uzbrojonych w najbardziej nieoczekiwaną broń, od frankońskich mieczy począwszy, na zwykłych siekierach i krótkich cepach skończywszy. Wszyscy jednak pewnie siedzieli w siodłach, a na twarzach malowała się żądza odwetu za doznane krzywdy. Starzy żołnierze, weterani, niektórzy walczyli jeszcze na długo przedtem, zanim on sam potrafił podnieść swój pierwszy miecz, Nasir umiał ocenić wartość wojownika i dobrać odpowiednich ludzi, najważniejsze, że pałą się do czynu. Zbyt długo ugniatał ich frankoński but, by przejmowali się jakimiś ciemnymi prorocत्वami.

- Poczekajcie - rzekł. - Jeśli to wszystko nadal będzie wyglądało tak jak teraz, z pewnością znajdziecie okazję do walki.

Na polu bitwy podniósł się krzyk. Malik natychmiast spojrzał w tamtą stronę. Ujrzał, jak pod wierzchowcem Ryszarda załamują się nogi, a król spada z siodła przez koński łeb.

To koniec, przeleciało mu przez głowę. Ulga, żal czy strach? Sam nie potrafił określić swoich uczuć w tej chwili. Koniec... Ale nie! Wokół Anglika powstało zamieszanie. Książę przysięgłby, że poznaje zwałistą postać Jana de Morges. A czy ci obok niego to nie Telford i Vincent? Na zbierającego się ciężko z ziemi Ryszarda runęła chmara Arabów, jednakże nim dotarli do leżącego, padali jak muchy pod błyskawicznymi ciosami mieczy. Ryszard wstał

wreszcie. Od razu stanął w postawie bojowej, a pierwszy muzułmanin, który nawinął mu się pod rękę, odleciał o dobre kilka metrów, rozplątany jak ryba.

- Stój! - wrzasnął Malik do brata. - Wstrzymaj walkę! Saladyn spojrzał pytająco.

- Jusuf, naprawdę chcesz, żeby on teraz zginął?

- Niech zdycha! Będzie wreszcie z tym koniec!

- A jeśli jednak jakimś cudem przeżyje? Spójrz, jak walczą niewierni! Jego legenda stanie się niemożliwa do pokonania. Nie wykrzeseasz z naszych ludzi zapалу! Zresztą nie godzi się tak po prostu dać go zaszlachtować!

- Masz rację - uspokoił się sułtan. - To nie byłoby godne władcy wszystkich Arabów.

Działaj zatem.

Malik odjechał wydać rozkazy. Saladyn spojrzał do tyłu.

- Nasir! - zawołał.

- Tak, panie.

- Weźmiesz swoich ludzi i obejdiesz miasto z boku. Kiedy tylko my tu z powrotem zaczniemy, uderz na jego załogę z flanki. Chcę wzbudzić popłoch na tyłach Franków. Widzę, że tylko w ten sposób jeszcze możemy zwyciężyć.

- Saraceni odступują!

Z zaskoczeniem patrzyli na cofające się oddziały.

- Czas był najwyższy. Już ledwie dycham - Jan oparł się na wbitym w ziemię mieczu.

- Dlaczego jednak zaprzestali walki właśnie teraz, gdy byli tak blisko zwycięstwa?

Odpowiedź nadeszła w tej samej chwili. Szeregi przeciwnika rozstały się.

- Co to ma znaczyć? Po co prowadzą te koniki?

Majestatycznym krokiem zbliżał się muzułmański dostojnik. Za nim dwóch koniuchów wiodło piękne wierzchowce arabskiej krwi.

- Poseł od księcia Malika al-Adila Abu Bakra do króla Franków, Ryszarda! - oznajmił wiodący poczet wezyr.

- Przepuścić ich - rozkazał Ryszard. - Czego chcesz?

- Mój pan, Malik al-Adil, przesyła ci pozdrowienie. Serce w nim zamarło, kiedy wypadłeś z siodła, lecz kazał mi wyrazić radość, że ujrzał cię zaraz w zdrowiu. Nie jest godnym monarchy wojować pieszo jak prosty żołnierz, przeto ofiaruje do twego użytku te dwa rumaki.

Wśród chrześcijan przeleciał pomruk podziwu. Ryszard spojrzał w kierunku wzgórze, z którego Saladyn dowodził bitwą. Rozpoznał smukłą postać Malika, skinął mu dłonią.

Zobaczył, jak niewielka z tej odległości postać również unosi rękę.

- Podziękuj swemu panu. To bardzo szlachetny gest, godny wielkiego pana.

- Książę Malik al-Adil - ciągnął dostojnik - prosił także, bym rzekł wam, jakie imiona noszą owe wierzchowce.

- Bardzo jestem ciekaw - król uśmiechnął się łaskawie.

- Ten siwy zowie się Tak, zaś kary Nie. Ich imiona brzmią Tak i Nie.

Ryszard zeszywniał, poczerwieniał, lecz pohamował się. Jeśli uniesie się gniewem, tym mocniej przylgnie do niego ten okropny przydomek. Już dostrzega na twarzach swoich ludzi złośliwe uśmieszki. - To wszystko? - wycodził.

- Mam powiedzieć jeszcze jedno.

- Mów i wracajmy do bitwy.

- Tego zupełnie nie rozumiem, jednakże tuszę, że dla ciebie, królu, owo posłanie będzie jasne. Otóż mam przekazać coś, co powiedział przed śmiercią czcigodny al-Madžib.

- Przejdźmy zatem na bok.

Ryszard ujął pod ramię emira, odprowadził go kilka kroków od rycerzy. - I mów ciszej. Co to za słowa?

- Mówiłem już, że tego nie pojmuję. Dosłownie Malik al-Adil powiedział tak: „Jeśli mego przyjaciela Ryszarda dręczy niepewność duszy lub, niech Allah broni, jakiś demon, niech zapamięta, co rzekł czcigodny mędrzec: „Stwory piekielne znają niejedną ścieżkę, by wydostać się na ten świat. Wystarczy raz pokazać im drogę i nie domknąć bramy. A każdy z nas klucz do tej bramy chowa we własnej duszy”. Czy rozumiesz, co chciał przez to powiedzieć?

Ryszard zagryzł wargi. - Rozumiem. Rozumiem to aż za dobrze.

Wezyr pokręcił z niedowierzaniem głową. Za starego sultana nie było takich tajemnic, takich rozmów między prawymi muzułmanami a gajurami. Dokąd zmierza ten świat?

Ryszard już siedział w siodle. - De Morges, Telford, de Rionne, do mnie!

Podeszli. Vincent krwawił z rozciętego głęboko lewego ramienia, jednakże z zaciśniętymi zębami znosił ból. Król zastanawiał się chwilę. - Janie - rzekł - weźmiesz Vincenta i wracaj z nim do miasta.

- Zostaniemy przy tobie - zaproponował de Rionne.

- Bez dyskusji! Dość już zrobiliście, ratując przed chwilą moje życie! Jesteś ranny, krew z ciebie ucieka, niebawem osłabniesz i jeszcze mi tutaj ciebie usieką!

- Ale...

- Dość, to rozkaz, wykonać go natychmiast, albo się rozgniewam! A już zły jestem

niczym szerszeń! Dar Malika kłuje gorzej niżli oset włożony pod kapotę! Tak mi wypomnieć, że dotąd nie dotrzymałem zobowiązania! Wysyłam razem z wami wszystkich rannych, którzy mogą pójść o własnych siłach. Opatrzą was i wzmocnicie załogę miasta, bo w polu jesteście teraz na nic.

Narastający zgiełk bitwy dotarł do uszu Nasira. Ludzie w oddziale czekali niecierpliwie na rozkaz do ataku. Mocniej ujął miecz. - Tam znowu zaczęli. Gotowi?

Rakim wysunął się przed szereg.

- Gotowi!

- W konie!

Wyskoczyli zza pagórka podobni pustynnemu wichrowi. Ujrzeni przed sobą przerażone twarze. Pozostawieni na straży miasta marynarze zostali całkowicie zaskoczeni.

- Allah akbar!

- Bij niewiernych!

Rakim dostrzegł nagle zbliżającą się od strony pola bitwy grupkę kilkunastu rycerzy.

- Nasir! - krzyknął, wskazując w tamtym kierunku.

Dowódca spojrzał. - Bierz swoją setkę i w nich! My tutaj rozbijemy tymczasem tych tchórzy!

Grupa zbrojnych, w której tylko Jan de Morges był cały, zatrzymała się.

- Saraceni! - krzyknął ktoś. - W krąg, panowie! W krąg!

Ledwie zdążyli uformować się w jaki taki szyk, a już spadła na nich konnica.

Rakim wznosił miecz nad głowę. - Wyciąć w pień niewiernych! Za naszą krzywdę!

Na rycerzy posypał się grad straszliwych ciosów. Wbrew zwyczajnej taktyce lekkiej jazdy Saracenów napastnicy nie zadowalali się rwaniem żelaznego szyku w kolejnych atakach, odskokach i doskokach. Jak ogary wczepione w uszy osaczonego dzika nie popuszczali zwarcia, jeden przez drugiego prac naprzód, by jak najprędzej dorwać się do krwi chrześcijan.

Krzyżowcy, choć znużeni całodziennym bojem i osłabieni ranami, stawiali zacięty opór, widząc, że walka idzie na śmierć i życie, że nie będzie brania jeńców. Wewnątrz koła hrabia Renald z Cherbourga uważnie rozglądał się dookoła. Teraz, gdy nie miał go kto podtrzymywać, klęczał na jednym kolanie, dzierżąc oburącz rękojeść miecza. Kiedy tylko dostrzegł jakąś lukę w zwartym kręgu towarzyszy, natychmiast prowadził tam morderczy sztych. Nagle poczuł uderzenie. Ktoś osunął się na niego, ciągnąc za sobą krwawy ślad. Któryś z rycerzy stracił życie, nie wiedział kto, nie miał czasu przyglądać się rozbitej ciężkim

toporem czaszce.

Opór krzyżowców słabł z każdą chwilą. Krąg walczących stawał się coraz szczuplejszy, gdy umierali jeden po drugim. W środku koła zaczynało brakować miejsca.

Rakim rzucał się na wrogów, rozdając potężne ciosy. Czuł, jakby mu ubyło dwadzieścia lat. Jeszcze chwila, jeszcze jeden wysilek i pięknie szyk niewiernych. Choćby nie wiem jak mieli wyborne pancerze, nie ostoją się przewadze! - Zabij! - krzyczał do swoich. - W imię Allaha, zabij!

Renald dźwignął się ciężko na mieczu, powstał z trudem. Miejsca było już tak mało, że trudno się było w środku okręgu ruszyć. Czuł krew ciekącą upartym strumykiem z rozplatanego biodra. - Przepuście - mruknął. - Ścisk taki, że nawet nie da rady się przewrócić, choćby człek obie nogi stracił.

Znalazł się między dwoma rycerzami. Zerknął na boki. Sławny Jan de Morges i nie mniej znany Vincent de Rionne. Nie żał ginąć w takim towarzystwie.

- Co, panie Cherbourg - wysapał Jan, zadając krótkie, potężne cięcie. - Pora chyba będzie umierać.

- Pora, panie de Morges!

Nagle gdzieś z przodu rozległy się krzyki. Atak Saracenów stracił nieco na zajadłości.

- Odsiecz! - zawołał de Rionne.

- Giaurzy! - wrzasnął ktoś.

Rakim naprędce zwrócił tam wzrok. Rzeczywiście nadciągał oddział z Ryszardem na czele. - Zgnieść mi tych tutaj! - wrzasnął wściekle. - Zdążymy, zanim dobiegną!

Saraceni na nowo podjęli atak.

Dziwnie umierać patrząc na nadciągający ratunek, przemknęło przez głowę Vincentowi. Muzułmanie jednym uderzeniem rozmiotli w pył zwartą do tej pory grupkę. Wzniósł tarczę, zasłaniając się przed ciosem ciężkiej klingi. Gdyby miał czas rozejrzeć się wkoło, zobaczyłby leżących pokotem towarzyszy. Ciemność nadeszła niespodziewanie wraz ze swą nieodłączną siostrą ciszą. Gdzieś w tej ciemności zamajaczyła twarz ojca. Tym razem jednak nie była to surowa, ściągnięta drwiącym grymasem maska. Z pewnym zdziwieniem Vincent dostrzegł na tej twarzy życzliwy uśmiech. Taki, jaki pamiętał z dzieciństwa, ze wspólnych zabaw na zamkowych błoniach.

Przyszedłeś po mnie...

Chciał to powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. Zresztą słowa nie były potrzebne. - Na którą stronę mnie zabierzesz?...

Rakim nawet nie spojrzął na leżących giaurów. Wywijając nad głową zakrzywionym

mieczem, gnał już w stronę, z której nadciągał Ryszard. - Zabiję cię, chrześcijański królu! Dziś moja dłoń jest niepokonana!

Ryszard patrzył na pędzących ku niemu Saracenów. Ten, który prowadził szarżę, wysforował się mocno do przodu. Król puścił wierzchowca w galop. Za nim pobiegli co sił piesi wojownicy. Rakim zakrzyknął radośnie, widząc, że zdobycz sama się pcha w ręce. Znaleźli się obok siebie. Wzniósł miecz do ciosu, lecz zamiast znajomego wstrząsu uderzenia poczuł dziwną słabość w ciele i nieoczekiwaną lekkość w ramieniu. Spojrzał w dół. Z rozerzniętego boku lała się krew. Zerknął na rękę. Zobaczył tylko krwawy kikut. Dłoń, wciąż ściskająca miecz, została gdzieś z tyłu. Przemógł osłabienie, obejrzał się. Gasnącym wzrokiem dostrzegł jeszcze, jak król niewiernych prze w głąb jego oddziału, obalając przed sobą ludzi i konie, nie zważając na niebezpieczeństwo.

- Miałeś rację, Nasir - szepnął. - To nie człowiek. To demon - zawisł na końskim karku, a potem powoli zsunął się na ziemię.

- To prawdziwy demon...

XXXIV

- Jak się czujesz, ibn Suanie? - Malik usiadł przy łożu chorego.

Wciąż nie mógł przyzwyczać się do mlecznobiałych włosów Edwarda.

- Oswoiłem się już z myślą, że ją straciłem. Jednakże ból pozostał... Błagała mnie, abym ją zabił, lecz ja myślałem, że to tylko objaw powracającego szaleństwa. Zresztą i tak bym nie mógł... Kiedy zadała mi cios, myślałem, iż koniec ze mną. Ledwie zdołałem dokończyć modlitwę.

- Może to ją powstrzymało przed poddaniem się mocy demona? Twoja wiara... Poświęciła się. Dla ciebie, dla mnie, dla nas wszystkich. Wiesz, że przegraliśmy bitwę?

Ryszard znowu jest górą. A nasi ludzie wykazują coraz mniej ochoty do walki i wyrzeczeń. Milczeli dłuższą chwilę.

- Codziennie - odezwał się Edward - znajduję u wezglowia czerwoną różę.

- Czerwona róża - uśmiechnął się z przymusem al-Adil. - Znak miłości.

- Czy coś ci o tym wiadomo, książę? Malik przecząco potrząsnął głową.

- Mogę się jedynie domyślać. Pamiętasz Szirin, służącą Fatmy?

- Tak. Pomagała lekarzowi opatrywać mnie po pojedynku z Janem de Morges.

- Dokąd moja siostra nie odzyskała zmysłów, to ona przy tobie czuwała. Widzisz, giaurze, otacza cię u nas miłość. Masz w sobie coś, co przyciąga, a Szirin to dobra dziewczyna. Chętnie wydam ją za ciebie, jeśli tylko zechcesz.

Swansen skrzywił się niechętnie, z bólem. - Zbyt świeże i bolesne są moje rany, żebym myślał o niewiastach.

- Nie ma lepszego balsamu na takie rany niż ciepło, jakie potrafi dać kochająca kobieta.

Edward milczał. Malik nie przerywał ciszy, czując, że tamten coś w sobie waży. Na jego twarzy znać było wielkie cierpienie.

- Jak rozumiem, król Ryszard nie zbiera się do wyjazdu? - spytał wreszcie Swansen.

- W tej chwili leży złożony chorobą. Powiadają, że to atak febry, ale sam nie wiem... Jak mi się zdaje, ujrzałem na nim przy ostatnim spotkaniu przed bitwą piętno demona.

- Czy to możliwe?

- Skoro usiłował powrócić przez Fatmę, może próbować i przez niego. Im wcześniej król opuści tę ziemię, tym lepiej dla niego i dla nas.

- A miał już być z tym spokój - szepnął Edward.

- Czcigodny al-Hadžib przestrzegał, nigdy nie wiadomo, jakie skutki przyniesie wywołanie piekielnych mocy. Można je pokonać, ale czy można zniszczyć, zepchnąć z powrotem w głąbie otchłani?

- A ty jak myślisz, panie?

- Skoro czcigodny mędrzec tego nie wiedział, jakże ja mam udzielić prawidłowej odpowiedzi? Nie wiem i wcale nie chcę się dowiedzieć.

Edward przymknął oczy. Malik przez chwilę wsłuchiwał się w jego równy oddech, potem, stąpając jak najciszej, poszedł w stronę wyjścia.

- Straciłam go po raz drugi. Tym razem na zawsze... - oczy Judyty były suche, twarz ściągnięta bólem.

- Dopadło go własne przekleństwo - Piotr patrzył na nią ze współczuciem. - Odkąd go poznałem, wciąż za nim chodziły dziwne myśli, niepokojące widziadła. Poszedłbym nawet o zakład, że kilka razy widziałem zarys cienia, który go dręczył.

- Biedak - szepnęła.

- Biedak - powtórzył jak echo. - Zginął jednak, jak na prawdziwego rycerza przystało. Choć był poważnie ranny, w chwili gdy ich grupkę rozbili Saraceni, własną ręką położył przynajmniej trzech lub czterech. Ilu usiekł przedtem, tego nikt nie zgadnie. Wokół miejsca, gdzie wrzała walka, leżał wieniec trupów.

- Wy, mężczyźni, wszystko ujmujecie tak prosto. Wam się zdaje, że wystarczy umrzeć z honorem, zabijając wrogów, żeby wszystko było jak należy.

- Wierz mi, kuzynko, to naprawdę nie jest tak, jak ci się może wydawać. Zaprawdę trudno jest odejść ze świata w sposób, jaki nakazuje honor. Czy wiesz, ile razy nachodzi rycerza strach? Nie wtedy wcale, kiedy trwa bitwa, bo wówczas po prostu czasu na myślenie nie staje. Dopiero potem, gdy rozpamiętujesz, ile razy śmierć przeszła mimo. I przedtem, kiedy wojenne doświadczenie podpowiada, jak zaraz podejdzie blisko. Im więcej walk człowiek ma za sobą, tym ciężiej się z nią pogodzić. I coraz większa chęć, by porzucić szeregi przed kolejnym starciem. A jeśli, jak Vincent, człek zostawi swoje serce przy dopiero co odzyskanej ukochanej, wtedy szaleństwem wydaje się każdy krok uczyniony w stronę najeżonych żelazem wrogich szeregów. Czy zdajesz sobie sprawę, ile hartu trzeba w sobie znaleźć, by przemoc taką słabość, nie ulec pokusie zadekowania się gdzieś z tyłu, przetrwania cudzym kosztem? Gnając ile tchu w piersiach z odsieczą widziałem, jak nasi towarzysze, otoczeni przez rozżartych pogan, padają po kolei. Jakże oni pięknie umierali! Jakby sam Bóg natchnął ich odwagą i świętym zapalem. Tak, Judyto, nie patrz na mnie z niedowierzaniem, nawet śmierć może być piękna. I wiedz, że pod Jafą każdy bohaterski czyn Vincent uczynił dla ciebie, mając przed oczami twoje lico, prosząc Boga o wszystko co najlepsze dla pani Monaghan, gdyby miał tam szczeznąć.

Zmarszczyła brwi, patrząc na niego z uwagą. - Mówisz o tym tak, jakbyś doświadczył podobnych uczuć. Jakbyś sam kiedykolwiek kochał. Ty, lekkoduch i sowizdrzał, co nigdzie miejsca nie zagrzał, serca nie zaczepił o nikogo.

- Jakbym nie kochał, powiadasz - twarz Piotra poszarzała. - Rzeczywiście, czym jest owa opiewana w pieśniach miłość, nie wiem. Wiem jeno, jak boli, gdy jej człek nie może w życiu odnaleźć.

- Zdumiewasz mnie. Takie słowa w twoich ustach?

- Zdumiewam i siebie, co dzień to bardziej. Straszno mi, kiedy patrzę, jak wszyscy dookoła umierają. Najpierw Kurt, potem Konrad, Wreszcie Vincent... Nawet mocarny Jan leży bez ducha w lazarecie i pewnie nie doczeka następnej pełni księżyca, a jeśli nawet przemoże śmierć, co mu pozostanie w życiu z takimi strasznymi ranami, jakie odniósł? Chyba już lepiej, by umarł. Chwała Panu, że choć Wenera zdołaliśmy wyekspediować do domu.

Zapadła cisza. Każde z nich pogrążyło się we własnych myślach.

- Trzeba się nauczyć żyć na nowo - powiedziała Judyta cicho, do siebie.

Piotr dosłyszał słowa, jednak zrozumiał je po swojemu.

- Muszę się też nauczyć umierać na nowo. Gdybyś widziała, jak oni ginęli - znowu wrócił pamięcią do czasu bitwy - jeden po drugim, podtrzymując się nawzajem i osłaniając tarczami tych, co osłabli. Biegliśmy ku nim ile sił, zbyt daleko jednak było. A oni ginęli bez

drgnienia powieką... Założę się o wszystko, co mam, że Jan wtedy jeszcze żartował po swojemu - wstał, podszedł do Judyty i przytulił ją mocno do piersi. - Zapłacz nad nimi, kuzynko, niech twe piękne oczy złożą ofiarę umarłym.

- Nie umiem płakać - odsunęła się nieco - wiesz przecież, nigdy nie umiałam.

- Nawet dla Vincenta de Rionne? Wygnańca z własnej ziemi, jednego z niewielu prawych ludzi, jakich w życiu poznałem? Gdyby przeżył tę bitwę, bez wahania rzuciłby wszystko, żeby spędzić przy tobie resztę dni. Porzuciłby każdą następną wyprawę, choćby miało to oznaczać niełaskę jakiegoś monarchy. Wiem to, Judyto, bo sam mi tak rzekł w drodze do Jafy.

- Dlaczego nie powiedział tego mnie?

- Widać nie był pewien siebie. Może się bał, że go zatrzymasz, a on nie będzie miał siły zerwać twych więzów, a nie chciał w potrzebie zostawić swoich towarzyszy.

- Żyłby jednak.

- Żyłby - westchnął Piotr. - Nieszczęsny Vincent zagrał z losem w kości o jeden raz za dużo.

- Panie, panie - do komnaty wpadł zdyszany pachołek. - Wzywają was czym prędzej do obozu. Ponoć z królem dzieje się coś niedobrego!

XXXV

- Jezu Chryste, zróbże coś, przekłety medyku - Piotr chwycił lekarza za brodę.

- Tu raczej księdza trzeba - bronił się przerażony człowiek. - Biskupa z egzorcyzmem!

- Parszywy Żyd nie będzie mnie pouczał o takich rzeczach! Egzorcystę sprowadzić? Krwi mu upuść, driakiew jakąś podaj! Nie widzisz, co się dzieje?

Twarz króla stała się prawie czarna, oczy wychodziły z orbit. - Arghhh... - wyrzęził. - Zabierz to ode mnie! - zakrzywione palce wyciągnęły się w kierunku składanego stolika, gdzie spoczywał osobisty ołtarzyk biskupa Salisbury.

- Co mam zabrać?

- Zabierz to! - Głos Ryszarda zdawał się wydobywać gdzieś z głębi ciała, nie z ust, był obcy i przerażający.

- Mam wziąć krucyfiks?

- Takhhh... - okropne rżenie. - Zabierz.

- Mówiłem, że tu trzeba waszych egzorcyzmów - lekarz skrzyżował palce od uroku.

- Wynoś się, parchu! - Piotr wypchnął go z namiotu, a na zewnątrz znowu targnął brodę nieszczęśnika. - A jeśli komu o tym wspomnisz, znajdę cię i zabiję! Przysięgam!

- A któż by mi uwierzył - mrucał medyk, odchodząc. - A nawet gdyby, obiliby najwyżej biednego Żyda, miast mu zapłacić za taką wieść...

Telford wrócił do środka. Ryszard nadal wskazywał rozkazująco w stronę ołtarza.

- O nie, szatanie. Tirze, czy jak tam ciebie zwa - zamruczał Piotr pod nosem. - O nie, nasienie Azazela. Tak łatwo nie będzie - powoli podszedł do stolika, ujął w dłonie krzyż.

- Wynieś go tak, żebym nie musiał nań patrzeć! - Ryszard oddychał chrapliwie.

- Tak, panie. Muszę jednak przejść mimo ciebie, nie zdenerwuj się. - Zasłaniając ciałem krucyfiks i odwracając tyłem do króla, w drodze ku wyjściu zbliżył się do łoża. - Tyle poświęcenia nie pójdzie na marne! - warknął. Odwrócił się nagle, przysunął wizerunek Ukrzyżowanego do twarzy monarchy.

Strasliwe wycie rozległo się w najdalszych zakątkach obozu.

- To ci febra dręczy króla - mruknął łucznik John, przewracając na drugi bok. - Szkoda go, nieprawdaż, Robercie?

- Ano szkoda - zgodził się jego sąsiad w namiocie i towarzysz w bitwie. - Tak, co ty poradzisz, człowieku? Nie on jeden w tym przeklętym kraju nabawił się błotnej gorączki. Ale jemu przynajmniej korę z chinowca podadzą. A między nami są tacy, co zdychają bez nijakiej pomocy.

- Co racja, to racja. A jednak go szkoda.

Ryszard uspokoił się. Leżał bezwładnie, ciężko dysząc. - Kara za grzechy - wybełkotał po chwili. - Bóg zsyła na mnie karę. Trzeba mnie będzie należycie wyegzorcyzmować, miał rację ów Żydek. Wołaj biskupa!

- Jakiego biskupa? Po co? Trzeba jak najszybciej opuścić Palestynę! Co mogą pomóc modlitwy klechów na tutejsze demony? Żaden z naszych księży Chrystusem nie jest, żeby z nimi coś wskórać. Żaden z nich nie jest nawet tak godzien szacunku jak tamten stary Saracen, co okiełznał złego ducha! A jeżeli egzorcyzmy tylko go rozeżlą?

- Jednakże sam widzisz, że krzyż mnie uleczył.

- Skąd wiesz, królu, na jak długo? Poza tym zaskoczyłem cię... czy też tego, co w tobie siedziało! Wszystko złe zaś dzieje się przez to, że nie dotrzymujesz przysięg!

- Co masz dokładnie na myśli, mówiąc o przysięgach? Nie dotrzymałem jednej. Tej danej Saladynowi. Ale to tylko kwestia czasu.

- Najpierw - Piotr mówił z tajoną pasją - nie dotrzymałeś przysięgi wierności swojej małżonce.

- Wielkie mi rzeczy! Czy ja jeden? Wyspowiadałem się ze wszystkiego i odbyłem pokutę.

- Pokutę?! Jak na razie, to inni odbywali za ciebie pokutę! Przez twoją lekkość Fatma zrodziła potwora! Gdybyś żył z królową Berengarią jak Bóg przykazał, nie byłoby tego. Że nie strzymałeś, jak dotąd, słowa sułtanowi, to już rzecz druga!

- Co ci o Berengarię! Czy kiedy kryłem, że jej nie kocham? Matka na siłę wepchnęła ją do mojej łóżnicy. A co do Saladyna, wiesz, że chciałem się wywiązać, ale mi nie dano po temu możliwości! Nie zawsze władca może postępować, jak serce czy sumienie dyktuje! Nie wolno mu nawet przestrzegać zobowiązań niczym prostemu rycerzowi! Myślisz, że mi z tym dobrze? Nie! Czasem czuję do siebie samego obrzydzenie.

- Wiem. Tylko dlatego wciąż przy tobie trwamy... A właściwie trwam. Bo pozostałych już nie ma. De Rionne zginął, de Morges dogorywa w lazarecie u szpitalników... A ty musisz wreszcie coś zdecydować, królu. Jeśli słusznie rozumiem, demon chce powrócić, a nie mogąc skorzystać już z ghula, próbuje przez jego rodzica. Ciekawe, czy i Fatma...

- Nie mów mi o tej dziewczce! Wołaj biskupa! Kiedy tylko uporam się ze sprawami, odpłynę. Do tej pory trza mi należytej ochrony duchowej!

- Ja zasię myślę...

Piotrowi przerwało wtargnięcie dowódcy straży. - Najjaśniejszy panie, pochwyciliśmy człowieka, który skradał się do obozu! Jak przypuszczam, to asasyn. Zapewne Starzec z Gór na ciebie teraz zagiął parol.

- Dawaj go tu, Willy. Sam przesłucham jeńca! Strażnik wyszedł, a po chwili do namiotu została wepchnięta mizerna postać w czarnym burnusie.

- Miał broń?

- Nic nie znaleźliśmy, nawet garoty ani koleców z jadem.

- To dziwne, nieuzbrojony asasyn?

- Nie jestem asasynem - odezwał się jeniec czystym językiem normandzkim, może z odrobinę jedynie orientalnym akcentem.

- Mam ci wierzyć na słowo?

- Po prostu każ odsłonić moją twarz.

Ryszard uczynił rozkazujący gest dłonią. Strażnik szarpnął burnus.

- Leonidas - szepnął Piotr. - Grek z jaskiń Safadyna.

- Leonidas - powiedział jednocześnie zdumiony Ryszard. - To naprawdę ty! Zostaw nas samych, Willy.

- Ale - strażnik usiłował protestować - ten tutaj chciał przecież...

- Wynoś się natychmiast! To nie asasyn. Nic złego nie chce mi zrobić, zresztą jest Telford. Poza tym znamy tego człowieka, gdybyś dotąd nie zauważył! Won!

Willy, kręcąc z niedowierzaniem głową, opuścił namiot.

- Z czym przybywasz, Leonidasie? - spytał Piotr.

- Nie nazywasz mnie już brudnym Grekiem i zdrajcą, jak wtedy gdyśmy się ostatnio spotkali?

- Od tamtej pory wiele się zmieniło, na świecie i we mnie.

- Wiem, panie. Człowiek zmienia się czasem szybciej niż pogoda w górach...

- Taki już los. Wolałbym jednak mieć swój dawny lekki umysł i beztroskę w sercu.

- Dojrzałeś, panie. To widać w twoich oczach, nie jesteś już beztroskim wiecznym młodzieńcem, stałeś się mężem.

- Skończcie te pogwarki - niecierpliwie przerwał Ryszard. - Mów, co masz do powiedzenia. Czas jest mi zbyt drogi.

- Gwałtowny jak zawsze - uśmiechnął się Grek. - Ale masz rację, królu. Czas jest drogi. Bywa on najdroższą rzeczą na świecie, osobliwie wtedy, kiedy jest go bardzo mało.

- Mówisz co trzeba, czy mam cię jednak wydać oprawcy?

Leonidas podrzucił dumnie głowę. - Ryzykowałem życie, żeby tu dotrzeć, docenił to i wykaż odrobinę cierpliwości. Zresztą posłanie moje jest krótkie. Przysłała mnie jego wysokość, szlachetny sułtan Salah ad-Din.

- To oczywiste.

- Nic nie jest oczywiste - na ustach Greka znowu zagościł uśmiech - oprócz narodzin i śmierci. Chociaż, jak sam mogłeś się przekonać na przykładzie ghula, czasem i śmierć nie jest sprawą oczywistą.

- Dobrze, dobrze, skończ z tymi mądrościami. Czego chce Saladyń?

- Księżniczka Fatma nie żyje.

- Tylko to masz mi do przekazania? Niewiele zaiste.

- Zabiła się własną ręką, kiedy ów straszny demon, który zdawał się być już z powrotem w otchłani, próbował ją opanować.

Ryszard drgnął, napotkał znaczące spojrzenie Telforda.

- Mów dalej - mruknął. - I siadaj.

- Dzięki, królu. Wielce jestem strudzony. Sułtan, a właściwie to książę Malik poddał mu tę myśl, podejrzewa, że i do ciebie może przyjść Tir... Jeżeli jeszcze nie przyszedł. Chce ci powiedzieć, jak się przed nim ustrzec.

- A jakież interes ma Saladyń, żeby mnie ratować? Przecież bezustannie powtarza, że zdradziecki pies!

- Taki, jak wszyscy rozsądni ludzie znający sprawę, królu. Ani on, ani ty, jak

przypuszczam, nie życzyście sobie przeżywać na nowo koszmaru. Tym razem, być może, jeszcze gorszego. Nie jest ważne, w jaki sposób i w czyjej postaci powróci bestia. Liczy się tylko to, że może to istotnie zrobić.

- To rozsądne, co mówi Grek - wtrącił Piotr.

- Ciebie nie pytam - odparował opryskliwie król. - Mów, Gryfonie.

- Jedynym ratunkiem, jedyną pewną rzeczą, jest odgrodzić się od demona wielką wodą... Tak mówią mędrcy.

- Ha, ha - Ryszard powiedział to bez cienia wesołości.

- Widzę, że Saladyn nie rezygnuje z wszelkich możliwych sposobów, by się mnie pozbyć! Mam jak najszybciej wsiąść na statek i odpłynąć? Mało sprytne.

Leonidas zachował kamienną twarz. - Jeśli to cię nie przekonuje, przekażę również przesłanie od kogo innego. Myślałem, że wykażesz odrobinę rozsądku i nie będę musiał, jednak...

- A kim jest ten drugi?

Leonidas oblizwał wargi. Wyglądał jak ktoś, kto ma się za chwilę rzucić w odmęty wzburzonych fal. - To Raszid ad-Din, szejik Sinan! - W ustach Greka imię wielkiego mistrza izmailitów zabrzmiało twardo i groźnie.

Piotr poderwał się, wyciągnął sztylet. - Nie ruszaj się! Ani kroku! Wiemy, jak wyglądają posłania od Starca z Gór.

- Nie jestem asasynem, przecież wiecie. Jestem zaledwie okiem i uchem Sinana na sułtańskim dworze.

- I tak lekko się do tego przyznajesz? - spytał Ryszard. - Gdybym o tym powiadomił Saladyna...

- To byłoby z twojej strony niemądre, królu. Pierwsza rzecz, mógłby nie uwierzyć, potraktować to jak próbę odwrócenia uwagi albo prowokację. Druga, swoim szpiegowaniem więcej przynoszę pożytku jemu, a teraz i wam niż szkody. A po trzecie i najważniejsze, jestem pewien, że sułtan się tego domyśla.

- I toleruje w swoim otoczeniu izmailickiego postrzegacza? - prychnął Piotr.

- Salah ad-Din to mądry człowiek. On doskonale zdaje sobie sprawę, że nic w życiu nie jest proste. Zawsze dobrze wiedzieć, gdzie przyczał się wróg, bo wtedy można go wykorzystać dla swoich celów. To jedna z jego zasad. Zresztą gdybym był prawdziwym zdrajcą, Sinan zostałby dokładnie powiadomiony o tym, co się wydarzyło w pustynnych pieczarach. Jednakże on nic nie wie. I ode mnie na pewno się nie dowie. Nie wolno mu dawać tak potężnej broni do ręki. Niech pozostanie skazany na domysły i niepewne wizje. Niech

szuka rozwiązania w słowach poronionych proroków.

- Leonidasie - powiedział powoli Ryszard. Nagle mały Grek urósł w jego oczach. - Jak widzę, prowadzisz także politykę na własną rękę.

- Ja chcę tylko dobra tej ziemi i mego ludu. Służę Saladynowi, bo tylko przy nim możemy przetrwać. Bo tylko on nie okazuje nam pogardy jak inni. Bo jest jednym z niewielu uczciwych i przestrzegających prawa ludzi, jakich spotkałem na swojej drodze.

- Dobrze już - Ryszard machnął ręką. - Co masz do przekazania od starego mordercy?

- Ten stary morderca, jak go raczyłeś nazwać, chce cię przestrzec. Nie daj się skusić i włożyć na skronie korony jerozolimskiej.

- Ani przez chwilę nie miałem takiego zamiaru. Ile razy w życiu można zostawać królem? W dodatku następnego takiego państwa, w którym każdy robi co chce? Jedno w zupełności mi wystarczy.

- Uchodź z kraju. Zbyt wiele sił jest zainteresowanych w tym, żeby cię zgładzić. Uciekaj stąd. I tak nic już więcej nie zwojujesz... O dawna nie możesz liczyć na nikogo poza garstką swoich rycerzy.

Ryszard zamyślił się. - Wiem - mruknął. - Czuję wokół siebie ten narastający opór. Czuję go w sobie... - nagle podniósł głowę. - Nie mogę nikomu wierzyć, więc dlaczego miałbym zaufać tobie, który sam się przyznajesz, że jesteś podwójnym szpiegiem?

Leonidas spojrział mu prosto w oczy. W jego wzroku była determinacja i nieoczekiwana, niepasująca do mizernej postaci twardość. - Musisz komuś zaufać, panie - powiedział cicho. - A jeżeli chcesz, żebym dał świadectwo prawdzie, niech pan Piotr poda mi sztylet. Przebiję nim swe serce, jeśli to miałyby cię przekonać, choć Bóg widzi, jak bardzo pragnę żyć. Czarne chmury zawisły nad twoją głową. Dzieją się wokół ciebie rzeczy niepojęte. Uciekaj, póki jest jeszcze czas!

- Ja nie ufam nikomu, Greku, nikomu! Zbyt wiele jest fałszu zarówno wokół mnie, jak i we mnie. Zbyt mało w tym wszystkim mogę się rozpatrzyć, aby komuś zaufać.

- Zatem zdobądź należyłą wiedzę.

- Jak?

- Weź przykład ze Zbawiciela. On, gdy chciał porozmawiać z Ojcem, rozjaśnić umysł, udawał się na pustynię.

- Mam jechać w te przeklęte piaski i skały, żeby dostąpić mądrości? Oszalałeś?

- Czyżbyś uważał się za lepszego od Jezusa Chrystusa, panie?

Ryszard przez chwilę obserwował Leonidasa spod przymrużonych powiek. - Coraz bardziej mnie zastanawiasz. A co za tym idzie, ufam ci coraz mniej.

- Twój wybór, najjaśniejszy panie. Zapytałeś, ja odpowiedziałem. Co z tym zrobisz, to już twoja rzecz.

Nagle król pobladł, twarz wykrzywił mu grymas bólu. - Telford - jęknął - wyprowadź go! I natychmiast wracaj!

XXXVI

Przez otwarte okno wtargnął lodowaty podmuch. Ciężki, aromatyczny dym rozwiewał się niechętnie. Sinan ze zmarszczonymi brwiami obserwował ostatnie pojedyncze pasma. Znowu niechciane, nie przywoływane duchy krążą w pobliżu. Znowu ich złośliwe głosy i drwiące śmiechy zakłócają przekaz wizji.

- Coś wisi nad pustynią - mamrotał niewyraźnie leżący na podwyższeniu człowiek. - Wielkie niebezpieczeństwo. Módlmy się, aby nie nadciągnęło nad nasze głowy.

Sinan spojrzął spod oka na natchnionego. Że coś zawisło jak ciemny tuman nad południowym wschodem, nad piaskami Arabii, sam wyczuwał, bez niczyjej pomocy.

- Co to jest? Jakie nosi imię?

- Tego nie wiem dokładnie. Wiem jedynie, że to demon, który pragnie wziąć odwet... Zmierza wprost ku wybrzeżu, jakby tam było coś, co go przyciąga wbrew ognistej naturze. Coś, albo raczej ktoś.

Na próżno zginąłeś, książę z Montferratu, pomyślał Sinan. Myliliśmy się wszyscy. Ja, ty, twoi poplecznicy i przeciwnicy, przekłeci kupcy z Pizy, Genui i Wenecji. Jakże zarozumiałym jest człowiek, myśląc, że potrafi przewidzieć przyszłość. Jakże jest naiwny, sądząc, iż puste słowa mogą zmienić bieg wydarzeń.

- Trzeba było jednak zabić Ryszarda, kiedy był na to czas! - mruknął. - Zanim w ogóle stanął w Palestynie, nim dotknął stopą nabrzeża pod Akką. Trzeba go było zgładzić, nie czekając na nic, kiedy zabawiał się na Cyprze śmieszną wojną z Komnenosem. Ale kto wtedy mógł przypuszczać... Napotkał zdumiony wzrok Saika.

- Czy można mówić, że jest za późno, aby wysłać asasyna, czcigodny szejku? To można uczynić zawsze, w każdej chwili.

- Nie rozumiesz? Nie odważę się zgładzić Anglika teraz, kiedy zupełnie straciłem rozeznanie, jakie mogłoby to nieść ze sobą skutki.

Saik nachmurzył się. Ostatnimi czasy Sinan stał się bardzo niezdecydowany. Trzeba będzie naradzić się z Hamdanem. Zły to moment, co prawda, na dokonywanie zmiany mistrza, jednakże może się okazać, że nie ma innego wyjścia.

Sinan spojrzął bystro na dowódcę asasynów. - Myślisz pewnie, że całkowicie

zdziażdżał. Starzec z Gór zamienia się w niedołęgę z Gór. Nie oceniaj mnie zbyt pochopnie. Miałem wizję. Kiedy i ty dostąpisz wtajemniczenia, sam zobaczysz, jak ciężko wtedy podjąć właściwą decyzję.

Saik milczał. Przenikliwość Raszida ad-Dina zdawała się rosnać z dnia na dzień. Hamdan uprzedzał go przecież, ale zdawało się to niemożliwe. Starzec jednak nadal umiał budzić strach i respekt.

- Saiku, przed chwilą byłem daleko stąd, na pustyni w pobliżu Jafy, opodal szlaku do Askalonu. Widziałem potężną ludzką postać siedzącą na piachu. Lecz potęga owego męża była niczym w porównaniu z wielkim płomieniem, w który się wpatrywał. Trwali tak naprzeciw siebie. Człowiek ani drgnął przez cały ten czas, a płomień palił się, wpraw równo i spokojnie, by potem rozdzielić się na kształt krzewu i unieść ku niebu. Gdy opadł i przybrał poprzednią formę, stał się sinoniebieski, z purpurowymi pasmami wirującymi od środka ku brzegom.

Opiekun asasynów wstrzymał oddech. Co ten stary wygaduje? Czyżby ogarniało go szaleństwo? Lecz wzrok Sinana był jasny i trzeźwy. Wyglądało na to, że opisuje zdarzenia, które naprawdę widział. Wizje, wizje... Czy on sam, trzeźwo myślący zabójca, będzie kiedykolwiek w stanie oddać się im bez reszty, jak siedzący naprzeciwko szejk?

- Straszliwy był to płomień - ciągnął tymczasem Sinan. - Biła od niego groza przywodząca na myśl czeluście piekielne. A człowiek trwał naprzeciwko, jakby nic go nie mogło poruszyć, nawet kiedy ognisty demon zbliżył się na pół kroku, on tylko patrzył spokojnie, jakby był pewien, że nic mu nie grozi, jakby go chroniły słowa modlitwy wypowiedzianej przez samego archanioła Dżibrila. Wyglądało to tak, jak w opowieściach o Mahomecie albo proroku Jezusie, zmagającymi się na puszczy z siłami ciemności - nagle zerwał się na równe nogi, stanął w groźnej postawie nad zaskoczonym Saikiem. - Pod żadnym pozorem nie wolno nam zgładzić angielskiego króla! Pamiętaj o tym, gdyby mnie zabrakło! Choćby płacili ci w złocie dwakroć tyle, ile on waży! Choćby płacili dziesięciokroć tyle, albo i stokroć! Nie ma ceny, dla której warto podjąć podobne ryzyko, pamiętaj!

- Co ujrzałeś, szejku? - szepnął Saik. - Co cię przeraziło? Sinan wbił w niego gorejące spojrzenie. - On musi sam unieść swoje przekleństwo, zabrać je ze sobą. Niewiele mu już czasu pozostało. Zaś ten, kto go zgładzi, narazi się na niebezpieczeństwo większe, niż można sobie wyobrazić, nie, Saiku, nie idzie mi o zemstę krzyżowców. To niebezpieczeństwo jest wszędzie, pod moimi i twoimi stopami, pogrążone w półśnie, gotowe w każdej chwili zerwać nałożone nań więzy!

- Wracamy, Telford!

Ryszard cały był pokryty kurzem, bił od niego odór dawno nie mytego ciała oraz dziwny zapach, podobny do tego, jaki pozostawia po sobie krótka i gwałtowna burza.

- Kiedy?

- Jak najszybciej! Najlepiej zaraz. - król usiadł ciężko na składanym krześle. - Wydałem już rozkazy, niebawem nasz okręt będzie gotów zabrać nas do domu.

Piotr kręcił z niedowierzaniem głową. Kolejny atak sławnego *Oc-e-No*. Dziś jest pod wrażeniem samotnego pobytu na pustyni, walki z własnymi myślami. A czy jutro nie okaże się, że nie tylko zostają w Palestynie, ale w dodatku rusza następna wyprawa pod mury Jerozolimy?

- Nie patrz tak, Telfordzie! Od tej decyzji nie będzie odwołania. Wracamy!

Coś dziwnego działo się z twarzą króla. Nagle wykrzywił ją nieznany dotąd grymas, po policzkach pociekły łzy.

- Co wam - szepnął Piotr. - Najjaśniejszy panie, co wam jest?

Król zwrócił na rycerza jeszcze bardziej błękitne niż zazwyczaj oczy. Tak jakby łzy spłukały z nich jakiś osad, pomyślał Telford. Prawdziwe łzy, a nie te, które ronił na użytek ludzi podczas publicznej pokuty. - Oni cierpią. Piotrze - powiedział cicho. - Oni tak strasznie cierpią...

- Kto? - Telford poczuł ciarki przechodzące wzdłuż pleców. - Kto cierpi, panie?

Lecz Ryszard nie odpowiedział. Zapadł w dziwne odrętwienie, trwał długo ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Piotr czekał cierpliwie, aż król upora się z myślami.

- Kto cierpi, pytasz - rzekł w końcu. - Mój syn i kobieta, z którą go spłodziłem. Trawi ich piekielny ogień. To wszystko nie skończyło się wraz z tamtym wielkim wybuchem na pustyni. Hatim cisnął ciało ghula w piekielny ogień, lecz nie zglądził w ten sposób ani potwora, ani demona. Ten gest strącił ich tylko w otchłań, pozbawił na jakiś czas możliwości działania. Ale szatan zawsze będzie pragnął się odrodzić. Piotrze! Okazuje się, że piekło jest zawsze tuż obok nas, a niebo tak strasznie daleko! Dlatego wracamy. Wracamy, żeby uciec przed straszliwą czeluścią otchłani...

- O czym ty mówisz, królu?!

- Wracamy - powtórzył Ryszard. - Grek miał rację. Na pustyni można znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania - zapatrzył się w mroczny kąt namiotu, przygryzł wargi. - Gdybyś choć przez sekundę doświadczył cierpienia, jakie jest udziałem tych dwóch nieszczęsnych... To najstraszliwsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić... Wie, źle mówię, tego nie można sobie wyobrazić. Na dodatek ów okrutny ogień chce strawić także mnie.

Jeszcze jest zbyt słaby, ale w każdym momencie gdy tu jestem, może urosnąć w siłę, przebudzić się na nowo - poderwał się na równe nogi. - Nie pozwolę, by mnie pochłonął! Nie będę mu służył i nie będę cierpiał jak tamci, co w nim spoczęli!

- Przecież stary mędrzec zapewniał...

- Zapewniał, ale i przestrzegał, pamiętasz? - przerwał Ryszard. - Zresztą największy nawet mędrzec wszystkiego nie ogarnie, najbardziej choćby przenikliwym umysłem. Może gdybym od razu wyjechał stąd... Nie wiem doprawdy... ale przynajmniej to wszystko byłoby już poza mną! - zamyślił się. - Kiedy brałem manierkę i laskę pielgrzymią z rąk biskupa, nie spodziewałem się, co może na mnie czekać w tym kraju. I nie wiem doprawdy, czy Palestyna jest bardziej święta, czy splamiona przekleństwem. Może krew Chrystusa zmyła z nas grzechy, ale czy to, że wsiąkla w tę ziemię, nie sprowadziło na nią nieszczęść? Czy nie obudziła przedwiecznych demonów? Widziałem piekielny ogień, potężny i groźny, choć był tylko cieniem tego, który napotkaliśmy wśród skał. W tym ogniu płonęły dusze mego potomka i jego matki. Tak lekko zepchnąć kogoś w otchłań, a tak trudno go potem wydobyć! Uganiamy się z mieczami, krzewiąc prawdziwą wiarę, a wściekłe demony radują się z tego, obserwując nas z ukrycia, czekając na okazję do ataku...

Piotr spojrział uważnie w oblicze króla. Nie, nie wyglądało na to, żeby znowu zaczynało ogarniać go szaleństwo, choć to, co mówił brzmiało jakby bredził w malignie. Jednakże czyż przebywając na tej ziemi, wszyscy krzyżowcy nie byli opanowani gorączką duszy?

- Nie przyłożę więcej do tego ręki! - mówił dalej król. - Pojedziesz z poselstwem do Saladyna. Natychmiast! O nim powiadają, że nie złamał nigdy słowa danego najmarniejszemu z ludzi. Pora wreszcie i mnie dotrzymać przysięg. Pora zaprzestać ucieczki przed samym sobą. Przygotuj się do drogi.

Telford wyszedł.

Ryszard skierował oczy na krucyfiks. - Panie - rzekł - dlaczego uczyniłeś z nich istoty tak nieszczęśliwe? Dlaczego ów ogień, w którym płoną, jest równie nieszczęśliwy jak one? Czy zło musi tak cierpieć na Twoją chwałę? Czy nie dostrzegasz z wysokości niebios, jak nieczyste duchy chcą dostąpić zbawienia? Im bardziej są zrozpaczone, tym większe w nich rodzi się okrucieństwo! Boże mój, zlituj się nad nimi! - z oczu króla znowu popłynęły łzy. - Ja stąd ucieknę. Panie, nie dam rady sam stawić czoła piekielnym stworom, a nie mam nikogo, kto stanąłby przy mnie. Lecz Ty wyciągnij swą miłosierną dłoń i spraw, aby nieszczęsne dusze dostąpiły Twej łaski.

Padł na kolana i pogrążył się w modlitwie.

XXXVII

Szary pręgowany kocur złożył łeb we wgłębieniu między poduszką, a zgiętym łokciem śpiącego człowieka, natychmiast zaczął mrużyć. Ruch i odgłosy kociego zadowolenia zbudziły mężczyznę. Spojrzał na zwierzaka. - Witaj, przyjacielu - powiedział z uśmiechem. - Czekałem na ciebie.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kota, a ten natychmiast poderwał łeb, żeby włożyć go jak najbardziej w zagłębienie dłoni. Mruczenie przybrało na sile. Grzbiet wyprężył się rozkosznie, kocur powstał i zbliżył się do twarzy mężczyzny, żeby o nią otrzeć pyskiem, nagle drgnął, nastawił uszu.

- Ktoś idzie?

Kot spojrzał wielkimi, mądrymi oczami. Teraz i człowiek dosłyszał kroki.

- Wskakuj - powiedział, uchylając derkę. - Jeszcze ci się każą wynosić. Nielitościwi są ci mnisi - podniósł się na łokciu na widok wchodzącego zakonnika. - Witaj, Gustawusie - zawołał. - Może w końcu ulżysz mi w cierpieniu! Bo twoi bracia dotąd nie potrafili sporządzić mikstury, która by choć na moment zabiła ten ból. Jak może tak mocno dolegać coś, czego w ogóle nie ma?!

Brat Gustawus uczynił uspokajający gest. - Ciszej, panie de Morges. Za tymi ścianami są cierpiący. Lazaret to nie jest miejsce na wydawanie z siebie gromkich okrzyków.

- Pół roku z okładem spoczywam w takim ponurym miejscu - odparł Jan. - Dwa razy przenosiliście mnie, a to do Hajfy, a to do Jafy! Może wreszcie tutaj, w Tyrze, znajdzie się rada!

Zakonnik zerknął na koc okrywający nogi rycerza. - Na ból w odjętej kończynie - rzekł - jak dotąd nikt nie znalazł skutecznego lekarstwa. U nas...

- To już słyszałem tysiące razy! Ma mnie pocieszyć, że inni też cierpią? Gdzie indziej leżałem przynajmniej na wspólnej sali. Mogłem popatrzeć na ludzkie twarze, było do kogo gębę otworzyć. A tutaj widzę jeno te ponure murzyska dookoła. Jakbym był trędowaty! Czy to kara za to, com powiedział waszemu wielkiemu mistrzowi? Należało mu się. Nie ma prawa znieważać pamięci umarłych rycerzy.

- Żeś bronił swoich druhów, tego ci za złe nikt poczytać nie może. I nawet wielki mistrz sam nie wie wszystkiego. Jam widział was jeno wtedy, kiedy przynieśliście worki z kośćmi, i wiem, że musieliście potem uczynić coś, co mogło być nawet niegodziwe.

- Żaden z nas nie uczynił niczego, czego potem musiałby się wstydić!

- Dlaczego zatem nie chcesz przystąpić do spowiedzi?

- Bo to, co miałbym do powiedzenia, nie może wyjść poza konfesjonał, a ja nie mam za grosz zaufania do klechów!

- Obowiązuje nas tajemnica spowiedzi...

- Nie mydl mi oczu tajemnicą spowiedzi! Gdybym opowiedział, co wiem, jeden z drugim natychmiast pognaliby do swoich zwierzchników! Ten, co onegdaj do mnie przyszedł, z miejsca zaczął zadawać bardzo dziwne pytania. Dawniej zawsze ilekroć wyznawałem grzechy, księdza najbardziej ciekawiło ile razy, z kim i w jaki sposób pozwoliłem sobie zdradzić małżonkę, albo czym nie zapomniał o należytych datkach na kościół. Inne sprawy i przewinienia nie były ważne. A tym razem wypytywać mnie zaczął o rzeczy bardziej związane z królem Ryszardem aniżeli z moją duszą. Jeśli on nie był nasłany i gotowy złamać ową sławetną tajemnicę spowiedzi, to niech mi noga zaraz odrośnie - uderzył pięścią w brzeg łóżka, a przestraszony kot poruszył się pod kocem. Jan natychmiast zaczął poprawiać fałdy tkaniny, żeby ukryć obecność zwierzęcia.

- Niepotrzebnie się unosisz, panie de Morges. A ja przynoszę dobrą nowinę. Przybył do nas pewien brat z zakonu Świętego Łazarza w Jerozolimie, który ma spore doświadczenie w warzeniu substancji, jakich używają Saraceni. Wiele mnie kosztowało zachodu, aby wydobyć od przełożonego lazaretu zgodę na podobne praktyki, jednakże wreszcie udało się. To dlatego leżysz w izolatorium. Gdyby się rozniosło, że pozwalamy na takie rzeczy...

- Dawaj tego mnicha!

- Postaraj się tylko nie być dla niego taki kolczasty. Wiesz jak zakonnicy niechętnie opuszczają klasztorne mury w tym niespokojnym czasie. Lecz ten, gdy dowiedział się o twych cierpieniach, wyjednał u swego rektora zezwolenie, by przynieść tutaj pomoc.

- Bardzo wdzięczny jestem za troskę. Niech się lepiej bierze już do rzeczy!

- Bardzo jesteś niecierpliwy, rycerzu.

- Trzeba mi było wraz z nogą odjąć też męskie klejnoty z workiem, wtedy byłbym o wiele spokojniejszy!

Brat uśmiechnął się. - Gdybyśmy wiedzieli, jaki będzie z tobą kłopot, zapewne lekarz otrzymałby stosowne instrukcje. Nie pora jednak teraz naprawiać to zaniedbanie.

- Dajże go już tutaj!

Gustawus odwrócił się, skinął na kogoś. Dopiero teraz Jan dostrzegł zakapturzoną postać przy wejściu. Zbliżyła się, utykając wyraźnie na prawą nogę.

- Czyżby taki sam kaleka jak ja? - mruknął de Morges. - W takim razie z całą pewnością się dogadamy.

- Oto twój pacjent - powiedział Gustawus. - Zostawiam was samych - zerknął szybko

na posłanie, gdzie znowu dał się zauważyć dziwny ruch. - A ten kocur - powiedział surowo - powinien teraz pełnić swoje obowiązki w kuchni albo stajniach, a nie grzać się w łożu.

- Odkąd zostałem umieszczony w osobnym pokoju - odparł Jan - tyle mam towarzystwa, ile on tu zawita. I tego chcesz mnie pozbawić?

Gustawus machnął tylko ręką i wyszedł. De Morges natychmiast wydobył kota na wierzch i zaczął się z nim bawić kawałkiem rzemienia.

Tymczasem przybysz wyjął z sakwy szklane flaszki, zawierające substancje w różnych barwach. Na próżno Jan próbował zajrzeć w głąb kaptura. Niepewne światło oliwnej lampy kładło tam głęboki cień.

- A nie strujesz ty mnie, braciszku? - spytał, kiedy jego nowy opiekun odkorkował buteleczki. - Dziwnie cuchną te twoje lekarstwa.

Kocur machnął łapą, próbując zahaczyć pazurem o pętlę na końcu rzemienia. De Morges roześmiał się, cofając szybko rękę. Uwielbiał patrzeć jak kotu w czasie zabawy ciemniejają oczy, a uszy zaczynają przylegać do czaszki. Wyglądał wtedy niczym rozeźlony lew w miniaturze. - No jak, bracie - Jan pociągnął głośno nosem. - Nie przyszedłeś mnie otruć?

Mnich milczał. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał, że chory coś do niego mówi.

- Jedno z dwóch - mruknął rycerz - alboś głuchy, alboś głupi.

Człowiek w habicie nie dał się sprowokować. Spokojnie przelewał płyny do dużego kielicha.

- Nic nie powiesz?

Mnich wsączył odrobinę jadowicie żółtej substancji. Po pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach.

- Otrujesz mnie, jak nic, coś mi się widzi. Odezwanie Jana znowu pozostało bez odpowiedzi.

- Też mi opiekun - rzucił. - Toż do ściany by mi się ciekawiej mówiło.

Widząc, że nic nie wskóra, legł ciężko. Łóżko zaskrzypiało. - A możeś ty złożył śluby wieczystego milczenia? Ciekaw jestem, jak też można coś podobnego wytrzymać. Ja tam bym nie mógł utrzymać jęzora na wodzy, choćby przez pół pacierza. Daj znać, złożyłeś taki ślub? Jeżeli tak, zostawię cię w spokoju.

Mnich potrząsnął przecząco głową. Przy tym ruchu spod kaptura wymknął się siwy kosmyk.

- Och, widzę, braciszku, że ty już jesteś starszy wiekiem. Wybacz w takim razie moje

poufałości - zamilkł, obserwując z ciekawością poczynania zakapturzonego człowieka. Ból w odciętej nodze to wzmagał się, to opadał, cały czas był jednak trudny do zniesienia.

- Saladyn umiera, jak mi doniesiono, i choć jeszcze nie skonał, jego synowie już walczą o schedę - spróbował jeszcze.

Uparte milczenie.

- Powinniście być zadowoleni. Ledwo pół roku minęło od czasu, jak król Ryszard udał się za morze, a antychryst i chrześcijan wróg najgorszy odchodzi z tego świata.

Mnich drgnął.

- Powiedział Pan - odparł głucho - miłujcie nieprzyjacioły swoje.

- Nawet takiego szatana jak ten Saracen? - Jan rad był, że udało mu się wreszcie zmusić milczka do odpowiedzi.

- Kto nazywa sułtana szatanem, sam musi być głupcem.

De Morges zmrużył oczy. - A ty co tak się za nim ujmujesz? Myślałem, że wy, duchowni, macie obowiązek go nienawidzić.

- Każdy ma najpierw obowiązek sam być człowiekiem - mężczyzna w habicie wyprostował się. - Nie sądz, abyś i ty nie został osądzony.

Jan zaśmiał się gorzko. - Komu to mówisz, klecho? - skrzywił się, gdyż w nodze nagle poczuł dojmujące uderzenie bólu. - Mnie tu mają za szaleńca, bo ośmielam się właśnie w ten sposób gadać i bronić Saladyna przed wściekłymi jęzorami! Sam wielki mistrz szpitalników raczył się na mnie pogniewać właśnie o to między innymi. Mówię „między innymi”, bo takowoż skląłem go na czym świat stoi, kiedy napomknął o Vincencie de Rionne, że mężobójca był i zwyczajny wygnaniec, nie jemu sądzić rycerza, co życie położył w słusznej sprawie! - Przez chwilę zmagął się z cierpieniem. - Niech to! Daj wreszcie ten dekokt, zanim oszaleję z bólu!

Zaniepokojony kocur usiadł naprzeciw Jana, wpatrując się uważnie w jego twarz. Na wychudzone policzki mężczyzny wystąpiły perliste krople potu.

- Pośpiesz się, człowieku! Tym trudniej znieść cierpienie, im nadzieja na ulgę bardziej się przybliża!

Mnich bez słowa podał mu kielich. Jan powąchał nieufnie zawartość. - Śmierdzi jak arabska mydlarnia. I pewno tak samo smakuje.

Przechylił naczynie, chcąc jak najszybciej połknąć wstrętną ciecz. Zakrztusił się, prychnął i zakaszłał. Drobinki substancji poleciały w stronę kota. Ten natychmiast zeskoczył z łóżka, patrząc z pretensją, a potem zaczął starannie wylizywać futro.

- Mam nadzieję - wykrztusił de Morges - że jest to równie skuteczne jak obrzydliwe.

Zakonnik pozbierał buteleczki, schował je z powrotem do sakwy. - Zaraz zaczniesz działać - mruknął.

- Mam wrażenie, że już działa - Jan zmarszczył brwi, wsłuchując się w swoje ciało. - Jakbym czuł odrętwienie w tej nieistniejącej przeklętej nodze - odetchnął z ulgą, ułożył się wygodnie. - Bóg ci zapłaci, bracie. Dawno nie czułem takiej ulgi, nawet wtedy gdy dali mi tego popić, żebym tylko przestał jęczeć. Powiadam ci, wolałbym, żeby mnie ubili wtedy pod Jafą. To cierpienie jest nie do zniesienia.

Mnich przysiadł na brzegu łóżka. Kot natychmiast wskoczył mu na kolana, zwinął się w kłębek i zamknął ślepią.

- Polubił cię - zauważył ze zdziwieniem Jan. - Zwyczajnie jest bardzo nieufny i prędzej wbije pazury w wyciągniętą ku sobie rękę, niż nastawi grzbiet na pieszczoty. Ludzie nigdy nie traktowali go zbyt dobrze. Cierpienie - przypomniał sobie. - Czasem nachodzą mnie grzeszne myśli, żeby skończyć ze sobą.

- Człowiek musi ponieść swój krzyż - powiedział bardzo cicho człowiek w habitie. - Nie wolno go zrzucić z barków, jak i nie zrzucił go Zbawiciel. Każdy z nas bowiem solennie sobie na ten krzyż zasłużył.

- Nie pouczaj mnie, starcze! - W oczach Jana zapłonął ogień. - Co ty możesz wiedzieć? Pewnie całe życie spędziłeś za klauzurą, tam gdzie cisza i spokój od doczesnego życia!

- Nie sądź po pozorach - rzekł głośniejszym głosem mnich. Jan drgnął. Ten głos wydał mu się skądś znany. - Nie jestem starcem, przynajmniej nie wiekiem, a w klasztorze przebywam dopiero od kilku miesięcy!

Odrzucił kaptur. De Morges wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je z sykiem. - Swansen, niech mnie diabli porwą! Edward Swansen!

- Brat Edward - poprawił go zakonnik. - Niebawem złożę zakonne śluby.

De Morges patrzył rozszerzonymi oczyma. - Co zaszło, żeś tutaj, a nie u Saracenów? - spytał. - Boże jedyny, przecież ty jesteś siwiuteńki jak gołąbek! Opowiesz o tym?

- Opowiem.

Jakiś czas później Swansen nadal siedział przy łóżku Jana. Tylko kot, nieco zniechęcony, bo stracono dla niego zainteresowanie, wstał z kolan Edwarda, żeby ułożyć się tuż przy głowie chorego.

- Pozostaliśmy tylko my dwaj z całej kompanii - powiedział w zamyśleniu de Morges. - Trzech nie żyje, Werner i Telford już dawno za morzem... Tylko ty i ja gnijemy dalej

w Palestynie. Dwaj kalecy. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy za to - wskazał chromą nogę zakonnika.

- Nie mogę mieć żalu. Zraniłeś mnie przecież w uczciwym pojedynku.

- Diabli! - Jan poderwał się, siadając gwałtownie. Kot spojrzał zdziwiony, potem umościł się wygodniej, zajmując całą poduszkę. - Nie opowiadaj mi o uczciwym pojedynku! Gdybym wtedy wiedział, jak bardzo się mylę co do ciebie, prędzej bym sam się pchnął mieczem w serce! Żebyś ty wiedział, jak mnie to później dręczyło!

- Każdy ma prawo pobłądzić.

Jan spojrzał w miejsce, gdzie powinna spoczywać jego prawa noga.

- Ale też i odebrałem godziwą karę - mruknął. - To może głupie, co powiem, jednakże sprawiedliwości stało się zadość i czuję się z tym dziwnie dobrze. Jakby nieco rozgrzeszony...

Swansen patrzył na niego łagodnym, współczującym spojrzeniem. - Niebawem, już za kilka dni będę musiał wracać do mojego klasztoru - rzekł - ale zostawię tu nieco ziół i przepis, jak sporządzać miksturę na twoje cierpienia, nim opuściłem sułtański dwór, lekarz księcia Malika wyuczył mnie, jak to przygotowywać, bo i mnie często doskwierają nieznośne bóle.

- A ja - de Morges zmarszczył brwi - będę musiał nauczyć się żyć na nowo.

- Co zamierzasz? Wrócisz do Francji, do swoich włości?

Jan skrzywił się niechętnie. - Słyszałeś sam, co mówił świętej pamięci Vincent o mojej małżonce. Nie przesadził ani jednym słowem. W porównaniu z nią ta wścieklica von Landberga to anioł. Zresztą musiała kochać tego nicponia Kurta, bo strasznie po nim rozpaczała. Moja na pewno nie uroniłaby nawet jednej łzy. Nie wiem, może ją krzywdzę tak gadając, ale nigdy w życiu nie okazała mi odrobiny serca. Kazał jej ojciec wydać się za mnie, to się wydała. Zapowiedziała przed ślubem, że będę tego żałował, i prawdę mówiła. Jeśli wrócę do niej jako kaleka, ciężkie mi zgotuje życie.

- A może odezwie się w niej współczucie? Może sobie z nią jakoś ułożysz...

- Współczucie? - uniósł się Jan. - Nie potrzebuję niczyjego współczucia! - Spojrzał w oczy Swansena, uspokoił się. - A może właśnie potrzebuję? - powiedział cicho. - Może masz rację? Kiedy tak o tym teraz myślę, zaczynam tęsknić do tej sekutnicy, choć mnie samemu wydaje się to niemożliwe.

Edward milczał z lekkim uśmiechem błakającym się na ustach.

- Jak tylko wydobrzeję - mówił dalej de Morges - i przyuczę się chodzić na szcudle, od razu wsiądę na statek. Popłyniesz ze mną, burasie? - lekko szturchnął palcem kocura. Ten, w oczekiwaniu na dalsze pieszczoty, przewrócił się na grzbiet. - Pewnie, że popłyniesz. Będziesz mi przypominał, co przeżyłem w Ziemi Świętej. A ty - zwrócił się do Edwarda -

widzę, żeś całkiem zmniszał. Ten łagodny wzrok i uśmiech... Jakbyś się w klasztorze urodził. A nie myślałeś przypadkiem, żeby wrócić do swoich fiordów?

Swansen pokręcił głową. - Zostanę już tutaj, nie wiem, może poproszę, żeby przydzielono mnie do jakiegoś leprozorium? Jako wojownik zadałem w życiu wiele ran, teraz chcę pomagać tym, którzy muszą cierpienie znosić. Zbyt wiele widziałem, żeby spokojnie patrzeć na błękitne niebo północy, nie zaznałbym tam spokoju.

- Przyznaj się - Jan zmarszczył brwi. - Chcesz dopilnować, żeby ten demon nie powrócił. Chcesz mieć pewność.

- To nie tak, Janie. W każdym razie nie do końca. Stwory piekielne powinny przebywać tam, gdzie ich miejsce. Ale gdzie tak naprawdę to miejsce się znajduje? W istocie rzeczy wcale nie jestem pewien, czy uwolnienie tego, który był uwięziony przez al-Hadžiba i derwiszów, przyniosłoby więcej szkody czy pożytku.

- W imię Ojca i Syna... - Jan patrzył na mówiącego wielkimi oczami. - Co ty opowiadasz? Jakiego pożytku?!

- Nie jestem pewien, przecież mówię, nie wiem. Ale może taki zły duch byłby pomocny, żeby przywieść ludzi do opamiętania? Nawet gdyby sprowadził na nas całą potęgę piekła? Wszak i szatan służy boskim zamysłom. Inaczej jak wytłumaczyć jego istnienie? A poza tym powiedz sam, Janie. Znasz przecież życie, znałeś radości i cierpienia, popełniałeś rzeczy chwalebne i straszne. Czy nie uważasz, iż demony gorsze od Tira zamieszkują w nas samych? Że to je właśnie trzeba najpierw zwalczyć, żeby pozbawić sensu istnienia takie stwory jak ten duch?

De Morges zamyślił się. Machinalnie gładził brzuch kocura. - Zwalczyć w sobie zło - powiedział - żeby zapobiec złu płynącemu ze świata. Możesz mieć słuszność, Wikingu - przez długą chwilę wsłuchiwał się w swoje myśli. - Możesz mieć słuszność - powtórzył wolno.

Zapadła głęboka cisza, w której rozlegało się jedynie rozkoszne mruczenie kota.

KONIEC

RAFAŁ DĘBSKI, rocznik 1969,

zodiakalny Bliźniak. Psycholog z wykształcenia i wykonywanego zawodu, z zamiłowania rycerz, szczęśliwy mąż swojej żony i dumny autor dwójki dzieci płci różnej.

Debiutował w 1998 roku na łamach NF opowiadaniem „Siódmy liść”, potem była współpraca m. in. z *Feniksem*, *Magią i Mieczem*, *Science-Fiction*, *Gazetą Rycerską*. Zainteresowania ma szerokie, czoło wąskie, palce smukłe, duszę piękną i wrażliwą, jest prostoduszny i szczerzy, a jego iloraz inteligencji wynosi, jak to zwykle u wieszczów, czterdzieści i... Lubi dobrą muzykę, dobrą literaturę, a także dobry alkohol, ze szczególnym uwzględnieniem piw czeskich i win węgierskich.